

STANISŁAWA FLESZAROWA-MUSKAT

Przerwa na życie

I

- Podaj mi szal - powiedziała babka.

Magdalena wstała leniwie z fotela i okryła plecy babki miękką tkaniną, której kolorowe pasy przypominały jej swetry dzieciństwa. Matka wydobywała je ze starego kosza na strychu i pruć podczas długich wieczorów wojennych. Wspomnienia ratowały ją przed rzeczywistością. Magdalena wiedziała o tym tylko z opowiadania, z owych radosnych strzępków zdań, w których po długiej rozłące przekazuje się sobie niepotrzebną i zużytą już przeszłość. Zagłębiła się znów w fotelu i podciągnąwszy kolana pod brodę patrzyła na pokreślone pstrymi pasmami plecy babki. Starła się wyobrazić sobie wojenną ciszę tego domu. Marzyła o niej przez wszystkie lata zanurzone w burzliwy zgiełk hotelu dla cudzoziemców w małym bawarskim mieście. Ten szal, którym matka okryła ją, gdy dotarła do domu po długiej wędrówce, był dla niej najpierw ciszą, a dopiero potem ciepłem. Zapragnęła dotknąć go teraz i przechyliwszy się ku fotelowi babki pogładziła czubkami palców miękką wełnę. Babka uniosła znad książki pytające oczy.

— Co to znaczy? - mruknęła, zsuwając okulary na czubek nosa, aby lepiej móc się jej przyjrzeć.

— Głaszczę szal, babciu - Magdalena parsknęła młodym, szczęśliwym śmiechem, a gdy spojrzenie babki nie traciło nic ze zdziwienia, umilkła szybko i pokornie.

— Przepraszam - powiedziała cicho i przymknęła oczy. Czuła się zawstydzona radością, jak uczeń przyłapany na ściąganiu. Nie umiała lekcji, należało ją sobie przypomnieć - w

resztówce babki gospodarzyli chłopci i Zygmunt nie wracał z Londynu. Ale kroki matki, krzątającej się w kuchni, jej głos strofujący nową pomocnicę domową, nasłuchiwanie telefonu od ojca, który miał zwyczaj zawiadamiania, że skończył operować i wychodzi ze szpitala - to wszystko było już wystarczającym powodem do odkrywania w sobie całych pokładów szczęścia, doskonałego szczęścia odzyskanej codzienności.

Ostatecznie Stawówkę i tak w końcu rozparcelowaliby Żydzi za długi, brat pozbija polskie podkówki na londyńskim asfalcie i wróci któregoś pięknego dnia na łono rodziny - może tylko ten mały własny smutek, wciąż ukrywany nawet przed sobą, nie stanie się tak szybko przeszłością. Ocalenie rodziców i domu, który przy ustronnej ulicy Saskiej Kępy cierpliwie przeczekał wojnę, było wystarczającym cudem, nie należało oczekiwać od losu niczego więcej.

Wciąż jednak ze swej pozycji obserwacyjnej w fotelu nie przestawała śledzić ścieżki, Stamtąd od furki poprzez ogród mógł nadejść listonosz. Codziennie o tej godzinie warowała pod oknem jadalni - niby to dotrzymując towarzystwa babce - a nieśmiała nadzieja śpiewała w jej sercu. Od furki do stopni ganku prowadził szpaler bżów obsypanych młodymi liśćmi. Gdy Magdalena mrużyła powieki, ścieżka wydawała się zielonym przedłużeniem rzęs.

Na górze odezwał się młotek szewca Grzesika.

Babka odłożyła książkę..

- Jezus Maria! - jęknęła. - Już zaczyna! Że też nas musiało spotkać coś takiego.

Magdalena milczała. Znała ten odgłos. Przez długie wieczory Belgowie mieszkający na drugim piętrze hotelu Frau Hoehmeier naprawiali Niemkom obuwie za odcinki z Rauchkarty. Ich niestrudzone dłonie wbijały gwóźdź za gwoździem w obcasy zdarte na ostrych podalpejskich drogach. Nie potrafiła uwolnić się od konieczności liczenia uderzeń młotka, gdy leżała na łóżku w ciemnym pokoju, a każdy gwóźdź zdawał się wwiercać w jej czaszkę. Teraz jednak wspomnienie

przywołane za sprawą pracującego na górze szewca przywiodło inne wspomnienie i nadzieję, że za chwilę drewniane schody zatrzeszczą pod znajomymi krokami i gdy drzwi się otworzą, a ktoś na progu wymówi jej imię, umilkną wszystkie niepotrzebne odgłosy świata.

— Muszą przecież gdzieś mieszkać - powiedziała łagodnie do babki.

— Ale dlaczego u nas? - parsknęła. - Dlaczego u nas? Ludzie, którzy nie rozumieją, że twój ojciec musi mieć spokój, nie mogą rządzić krajem!

Na progu stanęła matka..

— Słyszycie? - zapytała unosząc głowę ku sufitowi, skąd dochodziło postukiwanie. - Oszalejemy! Oszalejemy we własnym domu. Jeśli ojciec nie potrafi tej sprawy załatwić, ja będę musiała się do tego zabrać.

— Nic nie zrobisz - powiedziała Magdalena z perswazją.

— Nic nie zrobię? - matka zapaliła papierosa i przysiadłszy na brzegu fotela wyciągnęła daleko przed siebie swoje długie, wciąż jeszcze bardzo piękne nogi. - Zobaczymy! - dorzuciła mściwie.

Pod oknem rozległ się tupot wielu małych stóp, rozkrzyczana gromada przedarła się przez bzy i pognała ścieżką ku ulicy. Po chwili tylko nie domknięta furtka kołysała się w zawiasach.

- Stratują ogród! Przecież nie można dopuścić do tego, żeby wszystko zniszczyli - babka podniosła się z fotela i ruszyła do okna.

— Zostaw! - powstrzymała ją córka. - Pokażą ci język.

— Język?

Tak, na razie tylko język. Mnie to wczoraj spotkało, kiedy usiłowałam

im wytłumaczyć, że mogą się bawić na ulicy. Ustawili się w rząd i wywalili języki do pasa.

— Ilu ich było?

— Bo ja wiem? Czwórka naszych z góry i tabun kolegów.

— To Magdalena powinna z nimi walczyć.

— Dziękuję. Babcia myśli, że mnie nie pokażą języka?

- Mogłabyś ich przepędzić. I tak masz za mało ruchu. Nic by ci się nie stało gdybyś ruszyła się z tego fotela i pobiegała po ogrodzie.

— Nie mam zamiaru uganiać się za łobuzami - Magdalena czuła się dotknięta. - Trzeba po prostu kupić siatkę i zamknąć im wejście do ogrodu.

— Musimy tak chyba zrobić - westchnęła matka. - Powiem Andrzejowi, to się tym zajmie.

— Ten się wam udał! - babka zagłębiła się z powrotem w fotelu. Wzięła z kasetki papierosa i przez chwilę umieszczała go starannie w srebrnej cygarniczce. Magdalena patrzyła na jej ruchliwe palce, czekając, co dalej powie. - Ten się wam udał! - powtórzyła. - Andrzej i Andrzej! Na twoim miejscu nie robiłabym z zięcia chłopca na posyłki.

— Z przyszłego zięcia - sprostowała Magdalena z udaną wesołością.

— Cóż chcesz? - matka zaciągnęła się dymem. - Andrzej wchodzi za pięć dni do naszej rodziny, a oprócz tego znam go prawie od dziecka.

— Chciałaś powiedzieć, że prawie od dziecka stara się o Magdalene.

— Przynajmniej wiem, za kogo wychodzi. Nie zniosłabym myśli, że jakiś obcy człowiek zabiera mi córkę. - Umilkła. Magdalena wpatrywała się w nią czujnie.

— Tak, moja droga - westchnęła babka - ale tylko obcy

ludzie stanowią dla nas jakąś atrakcję.

Matka spłoszyła się. Uwaga babki wydała jej się wysoce niewłaściwa, usiłowała przekazać jej to spojrzeniem, ale starsza pani z niezmaconą pogodą ciągnęła dalej:

- Mąż, który jest obcym człowiekiem, budzi w nas przez dłuższy czas miłe zaciekawienie. Jest to jakby posiadanie zabawki, której nie rozkręciło się jeszcze do końca. Tymczasem Andrzeja Magdalena potrafi rozkręcić i złożyć z powrotem nawet po ciemku. To będzie nudne.

Matka wstała i przeszła się po pokoju. Magdalena przyglądała się jej z zainteresowaniem. Lubiła, kiedy nie zgadzały się z babką.

— To wszystko są głupstwa - powiedziała matka przystając. - Ostatecznie Magdalena ma już dwadzieścia pięć lat. Ja w jej wieku byłam matką dwojga dzieci.

— I co ci z tego przyszło? W gruncie rzeczy jesteś bardziej dziewiętnastowieczna niż ja. To twoje „ja w jej wieku”...

- Boże! Kłócimy się o drobiazgi, a nikt z nas nie myśli o tym, że znowu nam kogoś dokwaterują, gdy Magdalena przeniesie się do siebie.

- No tak - krzyknęła babka - może jeszcze jednego szewca?

- Gdyby to było konieczne - powiedziała cicho Magdalena, podnosząc na matkę oczy - mogłabym zostać tutaj.

Spojrzały na nią zdumione.

— Jak to: zostać? - spytała matka.

— No, moglibyśmy mieszkać na razie osobno, Andrzej u siebie, a ja tutaj.

— Biedne dziecko! - powiedziała babka.

— Andrzej nigdy na to się nie zgodzi. Czekał na ciebie dosyć długo. Mógł sobie przecież kogoś znaleźć, kiedy byłeś w Niemczech. A kochał cię wciąż, gdy wróciłaś.

Magdalena uśmiechnęła się.

- Trudno było mnie nie kochać. Każdy miałby prawo nazwać go ostatnim łotrem, gdyby mnie wtedy nie kochał. Nie

miałam paznokci, przesłuchanie na gestapo...

- Tylko nie zaczynaj znów tej historii - babka zatkała sobie uszy palcami. - W każdej rozmowie potraficie dojść do tego tematu. Słuchać wprost nie można. Ostatecznie trudno - z ciekawością czy bez ciekawości każde małżeństwo staje się w końcu tylko przymusowym pobytem w tym samym pensjonacie. Przyzwyczaisz się.

— A osobne mieszkanie wybij sobie z głowy - matka uważała rozmowę za skończoną. - Może uda się nie wymeldowywać cię przez jakiś czas od nas. A teraz chodź i zobacz, jak się robi sos na dziko. Pokazuję Marysi - możesz się nauczyć przy tej okazji.

— Mama sobie naprawdę wyobraża, że ja będę sama gotowała?

— Może się zdarzyć. Choćbyśmy nawet wszyscy nie stali się nędzarami, to co zrobisz, jeśli dostaniesz takie cielę jak Marysia?

— Będziemy jadać w restauracji. Zresztą przysięgam mamie, że Andrzej nie znosi sosu na dziko.

— On gotów w ogóle wyrzec się jedzenia, żeby ci sprawić przyjemność.

- Straszna dupa! - powiedziała babka.

Patrzyły na siebie przez chwilę milcząc, a potem wybuchnęły gwałtownym, niepohamowanym śmiechem. Matka opadła z powrotem na fotel i kołysząc się w przód i w tył chichotała jak pensjonarka. Babka wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i wycierała załzawione od śmiechu oczy.

- Trzy małe dziewczynki! Trzy małe dziewczynki! - powtarzała Magdalena, klaszcząc w dłonie. Zerwała się ze swego miejsca i krążyła między babką i matką całując je raz po raz. - Boże, jakże ja kocham te dwie nieznośne starsze panie!

Listonosza zobaczyła dopiero wtedy, gdy stał już przed oszklonymi drzwiami werandy. Podbiegła do nich, zanim odezwał się dzwonek a gąbka i matka umilkły równocześnie, jak wyłączona nagle płyta. Magdalena czuła nieomal, jak wstrzymują

obydwie oddech, śledząc jej ruchy, gdy otwiera drzwi i wyciąga rękę do listonosza. Dla nich mógł to być przede wszystkim list od Zygmunta. Dla niej - jeszcze i ten drugi.

Ale była to lakoniczna depesza do profesora z zawiadomieniem o zjeździe naukowym w Gdańsku.

Okazały tak wyraźne rozczarowanie, że młody listonosz, który z szacunku dla dywanu zatrzymał się przy progu, uważał za stosowne zażartować:

— Jutro będzie list, na który panie czekają.

— Chyba pan sam go napisze - odparła babka. Podeszła do kredensu i opuściła klapę baru. Przez chwilę patrzyła na rząd butelek odbijających w wyłożonych lustrem ściankach baru swoje kolorowe grzbiety. - Napije się pan? - zapytała.

Listonosz w milczeniu przełknął ślinę.

Babka napełniła dwie głębokie kryształowe czarki pachnącą ziołami, ciemną jak noc świętojańska angosturą.

- Zimno! - powiedziała, podając jedną z nich listonoszowi. - Koniec kwietnia, a zimno.

Magdalena lubiła patrzeć, jak babka podnosząc do góry kieliszek mruży na chwilę oczy, aby z bliska, wyostrzonym spojrzeniem zbadać kolor i przezroczystość alkoholu. Przelykała go potem szybko i sprawnie, jak fernal.

— Musiała mama wyjeżdżać z tą wódką! - syknęła córka po wyjściu listonosza.

— Moja droga - babka cicho i starannie zamykała bar. - Musisz się z tym liczyć, że oni to lubią. Oni to bardzo lubią! Trudno - trzeba iść razem z ludem, takie czasy. Zapewniam cię, że w Stawówce nie pijałam nigdy wódki z listonoszami. A tutaj cóż? - ty jesteś chora na serce, a Magdalenie jednak nie wypada.

Ostry dźwięk naczynia tłuczonego w kuchni zdradził jakieś zamyślenie Marysi, nagłe i głębokie, którego ofiarą padały raz po raz ocalałe części serwisu.

— Jak wszystko wy tłucze, kupię blaszane talerze i będzie spokój. - Matka skierowała się do kuchni, połajanie Marysi było jedyną rekompensatą za poniesioną stratę. Od progu jeszcze

zapytała: - Skąd ten telegram?

— Z Gdańska.

— Ojciec będzie wściekły. Ni stąd, ni zowąd tłuc się do Gdańska. Że też nie mogli o nim zapomnieć!

— Cóż chcesz? Łumieniecki jest jeden w Polsce! - Babka po rozparcelowaniu Stawówki doszukiwała się panicznie nowego splendoru dla rodziny w naukowej sławie zięcia. - Łumieniecki jest jeden! - powtórzyła, otulając się ciasniej szalem, jakby to stwierdzenie nie było jednak w stanie obudzić w niej ciepłej otuchy. Młotek szewca Grzesika znów odezwał się na gó-

Wbrew obawom profesor ucieszył się z zaproszenia. Nie był jeszcze po wojnie w Gdańsku, ponadto miał nadzieję spotkać na jeździe wielu kolegów i znajomych.;

Roztrząsali te sprawy przy obiedzie, gdy Magdalena powiedziała nagle:

— Weź mnie z sobą!

— Co ty mówisz? - spytała matka.

— Mogłabym przecież pojechać z ojcem.

— Po co? Profesor jadł szybko zupę, unosząc nieco górną wargę, aby nie dotykać krótko przystrzyżonych wąsów.

- A dlaczegoż by właśnie nie? - spytał podnosząc oczy. - Dlaczego nie miałyby ze mną pojechać?

Matka przestała jeść i odsunęła talerz.

— Teraz? Na pięć dni przed ślubem?

— No właśnie! - Magdalena plasnęła w dłonie. - Należy nam się z ojcem taka kawalerska podróż! - Patrzyła na ojca przechyliwszy nieco głowę, z zalotnym prawie błaganiem w oczach, z góry wiedząc, że nie jest jej w stanie niczego odmówić.

— Ależ oczywiście - powiedział. - Należy nam się taka kawalerska podróż.

Magdalena zerwała się i zaczęła go całować po karku, po siwych, ale wciąż jeszcze bardzo gęstych włosach, po kołnierzu marynarki, aż wreszcie odsunął ją i trzymał daleko od siebie wyciągniętymi rękoma.

— Pobrudzisz mi marynarkę! - wołał.

— Moja pomadka nie plami, też coś - autentyczny Factor! Niech tatuś spyta Andrzeja, nie dał się chyba oszukać. - Magdalena usiadła na swoim miejscu i na serwetce wypróbowała trwałość pomadki.

— Nie, to przecież szaleństwo! - Matka nie uważała sprawy za załatwioną. - Tyle rzeczy jest jeszcze nie przygotowanych, a ty masz zamiar sobie wyjechać.

— Przygotuje się po ślubie - powiedziała Magdalena. - Uśmiechała się do matki roziskrzonymi oczyma, wciąż przekonana, że wszyscy zachwyceni są jej młodą obecnością w tym domu, gdzie tak długo trwała martwa cisza oczekiwania.

— Ale sama powiesz o tym Andrzejowi.

— Oczywiście że mu powiem - potwierdziła bez entuzjazmu.

Matka przestała oponować, to było najważniejsze. Spoglądała wprawdzie w stronę babki, jakby szukając sprzymierzeńca dla resztek swego oporu, ale stara pani jadła z oczyma utkwionymi w talerz. Wciąż dopisywał jej świetny apetyt.

Andrzej przyszedł wieczorem.

Zjawił się, jak zwykle, nienagannie zakochany, dobrze wygolony i pachnący solidną wodą kolońską. Jego spodnie były bez zarzutu wyprasowane, a czubki butów lśniły jak dwa lusterka. Zdawał wprawdzie jeszcze ostatnie egzaminy, ale nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu małej firmy budowlanej, zajmującej się remontowaniem zniszczonych domów. W ocalałych bramach kamienic, na parterach, dźwigających nad sobą czerwoną ceramikę murów przewiewnych i kruchych, powstawały pod kielniami murarzy Andrzeja małe sklepiki, bary i owocarnie, przez które przepływała co dzień głodna i obdarta, ale z każdym dniem liczniejsza ludność stolicy. Była to bez wątpienia praca prawie że patriotyczna, i Andrzej nie zapominał o tym aspekcie swojej działalności.” Mógł wreszcie wydawać ze spokojem sprawiedliwie zarobione pieniądze, co - uważał - należało mu się po różnego rodzaju katzenjammerach, których pod tym względem musiał doznawać podczas okupacji.

Andrzej jest konkretem - myślała Magdalena patrząc, jak rysuje na kartce papieru rozstawienie mebli w ich przyszłym mieszkaniu. Było całkowicie wybudowane przez niego, a więc nie podlegało kwaterunkowi. Dlatego mogli dysponować aż trzema pokojami, które Andrzej urządzał według swego gustu i według swoich - niemałych - możliwości. Wodziła uważnie wzrokiem za ołówkiem, który posłuszny i pewny w jego palcach kreślił linie ich przyszłego życia na dziewięćdziesięciu metrach kwadratowych przestrzeni. To on dawał jej wszystko. Wraz z „wyłączonym” mieszkaniem stwarzał jej możliwość wyłączenia się z tej ogólnej szarzyzny i ciasnoty, która zamykała się nad nimi jak szklany klosz. Andrzej był konkretem! Trzeba go było kochać, szanować i cenić.

- Pianino postawimy tutaj, tak? - powtórzył z naciskiem. - O czym ty myślisz? - zapytał podnosząc oczy.

Usiłowała się uśmiechnąć. Wciąż nie miała odwagi mu powiedzieć. Siedzieli sami w jadalni, rodzice i babka wynieśli się do siebie - była pewna, że nie zjawią się przez cały wieczór.

— Ależ tak - potwierdziła skwapliwie - to jest najlepsze miejsce dla pianina,

— A wiesz, co będzie wisieć nad nim?

— No?

— Zgadnij!

— Skądże mogę wiedzieć?

— Prawdziwy Makowski. Rysiek obiecał skądś wytrzasnąć. Mam się z nim jutro zobaczyć. Ciekaw jestem, ile zaśpiewa.

— Pewnie bardzo dużo.

— Trudno. Ostatecznie to jest także najpewniejsza lokata pieniędzy. Nie masz ochoty się przejść?

— Nie.

- Stale siedzisz w domu. Musisz mieć więcej ruchu.

Teraz powinna by mu powiedzieć. Uważał, że ma za mało ruchu, wyjazd do Gdańska wyglądałby prawie jak spełnienie jego życzenia. Ale przygryzła tylko wargi i patrzyła na niego bez słowa.

— Już dosyć nacieszyłaś się domem. Wojna skończyła się rok temu i teraz trzeba żyć.

— Żyć, to znaczy chodzić po ulicach, oglądać domy, sklepy, kupować, taszczyć do domu sprawunki?

— I to także! - Andrzej przechylił się przez stół i szybko pocałował ją w usta.

Umilkła zaskoczona.

- Jeszcze całe pięć dni! - westchnął.

Powiedziała mu dopiero na ścieżce w ogrodzie, gdy odprowadzała go do furtki. Ciemno już było zupełnie. Wiatr przetrząsał gałęzie bzu, z rozkopanych grządek buchał wilgotny, ostry zapach ziemi. Na Andrzeja działały takie rzeczy. Nigdy nie przepuszczał żadnej okazji, żeby jej nie wycałować na schodach, w bramie domu czy w ciemnej alejce ogrodu. Magdalena zastanawiała się nieraz, czy porzuci ten zwyczaj, gdy staną się już małżeństwem. To by nawet wtedy było bardziej zabawne. Zatrzęsło ją zimno, noc była chłodna. Andrzej rozchylił swój

płaszcz i przyciągnął ją do siebie. Wsunął dłonie pod jej sweter, poczuła na nagich plecach jego gorące palce. Lubiła woń nikotyny i wody kolońskiej, którą był przesycony. Gdy przy pocałunku rozchyłał usta, czuła pod wargami jego gładkie zęby.

Całowali się tak zwykle przez długą chwilę. Był to rytuał codziennego pożegnania, nieodzowny - jak zjedzenie kolacji. Przerывała go zwykle Magdalena, sądziła prawie, że jest to jej obowiązkiem. Tym razem jednak nie myślała o odejściu. Czuła się winna i pokorna, chciałyby już teraz wynagrodzić mu przykrość, o której jeszcze nie wiedział. Był to najpospolitszy sposób zachowywania się grzeszników.

- Posłuchaj, Andrzej - powiedziała nagle. - Chcę jutro pojechać z ojcem na dwa dni do Gdańska.

Niepotrzebnie powiedziała „chcę”. Wyglądało to, jakby prosiła go o zgodę.

Andrzej zastygł w bezruchu. Wciąż jeszcze trzymał ją przy sobie, wciąż czuła na plecach jego dłonie, ale nie była to już pieszczota, nawet nie zbliżenie.

— Co to znaczy? - zapytał.

— Ojciec dostał zaproszenie na zjazd. Chce zabrać mnie z sobą. Nigdy nie byłam jeszcze w Gdańsku.

— Gdańska przecież nie ma.

— Warszawy też nie ma, a jednak w niej mieszkamy.

Milczeli przez chwilę, nie znajdując żadnych słów. Magdalena oparła czoło o policzek Andrzeja i słuchała jego oddechu. Na górze u szewca Grzesika wyłączono światło. Jasny wykrój okna na ścieżce zgasł, jakby był zdmuchniętym płomieniem.

— Jedź ze mną - powiedziała cicho.

— Wiesz dobrze, że nie mogę. Pojutrze mam egzamin.

— Dwa dni, tylko dwa dni!

— To przecież nie o to chodzi.

— A o co?

— O to, że w ogóle chcesz jechać.

— Cieszyłam się tak na tę podróż!

— Cieszyłaś się?

— Tak. Czy to co złego?

Andrzej uwolnił ją z objęcia i starannie zapinał płaszcz. Magdalena czuła się szczęśliwa, że jest ciemno i nie widzi jego twarzy.

— Jeśli ci na tym zależy - zaczęła cicho - mogę przecież nie jechać.

— Nie, jedź! - głos Andrzeja brzmiał spokojnie. - Skoro miałaś na to taką ochotę. Tylko - zawahał się - już raz zgodziłem się na coś podobnego, pamiętasz?

Magdalena chwyciła go za rękę.

— Ale wtedy była wojna, Andrzeju! Przecież teraz nie może przydarzyć mi się nic złego.

— Przepraszam - powiedział.

— Przecież naprawdę nie może mi się przydarzyć nic złego - powtarzała Magdalena. - Nie bądź dziecinny.

— O której jutro mam przyjść na dworzec?

— Nie, nie, tak się nie rozstaniemy! - Magdalena objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie.

Całowali się długo i żarliwie, ze smutkiem.

Wróciła do domu na palcach, ostrożnie zamykając drzwi za sobą. Bała się, że matka zechce zapytać, jak Andrzej przyjął nowinę o wyjeździe. Chętnie przyjęłaby potwierdzenie swoich obaw. Na fotelu leżał porzucony przez babkę kolorowy szal. Magdalena usiadła i owinęła się nim aż po brodę.

Ale wszystkie swetry dzieciństwa nie chciały otulić jej swoim ciepłem.

II

Ktoś na korytarzu mówił o odwadnianiu Żuław. Głos brzmiał monotonnie, podnosił się tylko i zaostrzał namiętnie przy wyliczaniu ilości siana, mleka, masła i ton żywca, które Niemcy osiągnęli na tych terenach.

Magdalena leżała na wznak i z przymkniętymi oczyma

przysłuchiwała się temu dowodzeniu. Dojeżdżali dopiero do Tczewa. Ociągała się z wstawaniem. Kołysanie pociągu, stukot kół złagodzony wysoką odległością piętrowego łóżka, nagle, jaskrawe rozbłyski słońca w szparze rolety, nawet przenikliwy zapach karbolu, unoszący się z koca, którym była przykryta, sprawiał jej niewypowiedzianą rozkosz. Tylko raz jeden przed wojną podróżowała wagonem sypialnym. Nie pamiętała nawet, czy łóżka były szersze, wygodniejsze, pościel mniej ascetyczna. Teraz wąska, twarda deska kolejowego posłania wydawała się jej szczytem komfortu.

Pasażerka z dolnego łóżka, skończywszy się ubierać, podniosła roletę.

- Ach, co za dzień! - jęknęła z zachwytem.

Fala intensywnego, wiosennego słońca zalała przedział.

Magdalena zmrużyła powieki. Teraz dopiero rozgrzeszyła się, zupełnie z decyzji odbycia tej podróży. Ileż to już lat nie widziała morza? Postanowiła pojechać do Orłowa i odwiedzić pensjonat, w którym spędziła jakieś przedwojenne wakacje. Chodziła wtedy jeszcze do gimnazjum, ale matka sprawiła jej na lato kilka cywilnych sukienek i spodnie, w których kręciła się co wieczór po nadmorskim deptaku, aż do zmęczenia udając dorosłą.

Zerwała się z łóżka. Naciągnęła sweter i spódnicę, przyczesła włosy, wyjęła z torby ręcznik i wyszła na korytarz.

Ojciec stał już pod oknem naprzeciwko swego przedziału, wypoczęty i wyświeżony, jakby wyszedł właśnie ze swojej łazienki. Palił papierosa i czytał *Dzieje Anglii* Maurois. Nigdy nie miał czasu, aby w spokoju zająć się lekturą, woził więc z sobą pękate tomisko i pogrążał się w jego treści przy okazji każdej własnej ciszy, którą umiał wyłuskać w największym ludzkim zgiefku. Maurois zachwycał go. „Jeśli ktoś pisze o dziejach obcego kraju, musi mieć więcej do powiedzenia, niż wymaga tego historia” - mówił, namawiając wszystkich wokół na przeczytanie tej książki. Teraz jednak odłożył ją i uśmiechnął się na widok córki. Byłby pocałował ją na powitanie, gdyby nie

ciekawe spojrzenia, które osaczały ich zewsząd. Lubił, że nie przechodzi nie zauważona. Była jedyną sensacją jego życia, na którą sobie bez poczucia ujmy pozwalał. Poczul tkliwość wokół serca, patrząc, jak przepycha się przez korytarz z włochatym rękawnikiem w ramionach, zaróżowiona jeszcze od snu. Pomyślał, że musi jej dać trochę pieniędzy, żeby w Gdyni kupiła sobie coś ładnego. Maurois przestał go interesować. Zamknawszy książkę patrzył na szeroką płaszczyznę zieleniejących pól, na ciągnące się pasmo ziemi powracającej do życia z tą samą namiętą radością jaką ludzie czują w sobie po przebudzeniu. Jakiś pan potrącił go nieostrożnie wychodząc z przedziału. Profesor uśmiechem odpowiedział na przeprosiny. Był przepełniony pogodą i siłą, ba - młodością, którą napełniał go na równi wiosenny poranek, jak i mała kartka telegramu wzywająca go na zjazd.

Śniadanie zjedli w Grand Hotelu w Sopocie, gdzie profesor miał zarezerwowany pokój. Nie bez trudu udało się zamienić pojedynczy pokój na podwójny - cierpliwi goście zwalczyli jednak upór i zły humor recepcjonisty-

Za ogromnymi oknami hotelowej jadalni rozciągało się morze. Długie rami? drewnianego mola i ciemnozłoty, prawie rudy od wilgoci brzeg plaży zamykały je w ramę niby ogromny obraz. Magdalena zapomniała o jedzeniu nie mogąc oderwać oczu od tej głębokiej, nie kończącej się żadną linią graniczenia z niebem, przestrzeni połyskliwego błękitu. Raz po raz zapytywała ojca, czy dobrze zrobił, że zabrał ją z sobą. Profesor pił kawę i mrużył oczy przed natarczywością światła.

- Nie bądź głupia - mówił z rozczuleniem.

Dzień spędziła bezładnie.

Zaraz po śniadaniu odwiozła ojca na konferencję do Wrzeszcza jakąś sędziwą, rozpadającą się nieomal po drodze taksówką. Rozstała się z nią nie bez ulgi, gdy ojciec wysiadł przed Akademią Medyczną, i na piechotę, wolno, w rozkosznym poczuciu ogromnej przestrzeni czasu przed sobą ruszyła z powrotem w stronę Wrzeszcza. Stare lipy szerokiej alei owiewała już zielona mgła. Małe listki wydobywały się na świat z dopiero

co rozpekłych pączków. Tylko brzozy tryskały tu i ówdzie z ciemnego jeszcze parku pełną, jaskrawą barwą wiosny.

W ogrodach przed potężnymi willami, które zdobiły godła obcych państw, krzątali się ludzie. Sadzono kwiaty, siano trawę, przycinano krzewy. Pokojówki konsulów trzepały przez okna flanelowe ściereczki, zbierając kurz z mebli, których lśniące powierzchnie miały prezentować gościom spokój i zadomowienie gospodarzy. Przed ptasim domkiem w którymś z ogrodów skakał czarny, połyskliwy kos. Ziemia była mokra i oczekująca.

Śródmieście trzymała jeszcze zima. Nagie ruiny, nie zasypane doły po bombach, suchy pył pokruszonych cegieł i gdzieś tam kolorowa oaza sklepu, białe firanki w oknach, jakiś kwiat za szybą - gorące akcenty ludzkiej samoobrony. Pachniało tu Warszawą, choć gdy Magdalena zatrzymała się w jakimś zbiorowisku ludzi, ściśniętych przed sklepową wystawą, usłyszała wśród akcentów z Powiśla ciepłe zgłoski miękkiej mowy wilnian, lwowiaków, tych „zza Buga”, jak mówili niechętni tubylcy.

Uprzykrzony widok zniszczonego miasta znużył ją szybko. Rozpytała się o środek lokomocji do Orłowa. Zwiedzanie Gdańska zostawiła sobie na jutro, ciągnęło ją najpierw odwiedzenie miejsc znajomych. Przy przystanku autobusowym, przy którym stanęła, zatrzymał się samochód, znów jakby wykrojony z warszawskiego krajobrazu: buda z plandeki, ruchome ławki i żelazne stopnie, obwieszane ludźmi. Z trudem wcisnęła się do wnętrza, usiłując obronić się przed zagarnięciem w głąb budy. Świeże powietrze i oglądanie mijanych ulic mogło jeszcze uratować tę wycieczkę. Zaczęła już prawie żałować, że nie została we Wrzeszczu, gdy nagle zazieleniły się na horyzoncie oliwskie wzgórza, a po przeciwległej stronie drogi błękitne pasmo morza zawisło nad czerwonymi dachami małych domków, podobnych do siebie jak klockowe budowle dzieci pozbawionych wyobraźni.

W Orłowie spotkało ją rozczarowanie. W pensjonacie, który odszukała, mieszkali teraz na stałe jacyś ludzie.- Mały,

zajadły pies czekał na progu, a po ogrodzie chodziły kury.

Zawiedziona odeszła od płotu. Pospacerowała po pustym deptaku, kupiła w kiosku bułkę, aby z mola nakarmić mewy i z pewną pretensją do wiejskiego nastroju, którym tchnęło teraz modne kąpielisko z jej wspomnień, stanęła znowu na przystanku. Tym razem miała więcej szczęścia. Prawdziwy autobus, pomalowany na czerwono, zawiózł ją do Gdyni.

To nareszcie było miasto! Sklepy, kawiarnie, dobrze ubrane kobiety na ulicy, mężczyźni znajdujący czas na oglądanie się za nimi - oto było coś, czego potrzebowała. Zjadła - w cukierni dużą porcję kremu, potem kupiła sobie błękitny pulower i wiosenne buciki na bardzo wysokim korku. Syta lekkomyślności wzięła taksówkę i kazała zawieźć się do portu. Czowała się jak uczeń, który w obawie, że może być zapytany o wrażenia z wycieczki, musi z konieczności dbać o ich wartość. Zwiedzenie portu - to było coś, co mogło nawet na Andrzeja podziałać łagodząco.

Stanęła przy nabrzeżu i usiłowała zapamiętać obce nazwy statków, które tkwiły tu na grubych cumach, nie tak znów liczne, jak sobie wyobrażała. Były to zapewne statki z towarami UNRRA, Magdalena doznała żalostnego smutku ubóstwa.

Gdy tak stała, zapatrzona w tłuste plamy oliwy, mieniące się niebiesko na wodzie kanału, poczuła, że ktoś natarczywie na nią patrzy. Odwróciła głowę. W odległości kilku kroków stał czarny, lśniący jak pasta do obuwia Murzyn i przyglądał się jej z nadzieją. Wyglądał tak szykownie w jasnoniebieskim gabardynowym ubraniu i popielatym kapeluszu z matowej słomy, że Magdalena uśmiechnęła się mimo woli. Uznał to za zachętę. Zbliżył się i wybełkotał kilka słów po angielsku.

Nie rozumiała, bawiła ją jednak ta scena. W końcu wydało się jej podejrzane, że Murzyn powtarza wciąż te same słowa i bardzo się nimi męczy. Zagadnęła go po francusku. Rozpromienił się. Pochodził z Marsylii. Magdalena przypomniała sobie Dominique'a i jego listy, pisane do niej w tym mieście. Zapytała o przebieg inwazji, ale Murzyn spędził wojnę w

oddziałach francuskich w Afryce. Nie, nie mógł jej nic powiedzieć o Marsylii z tego okresu. Spoważniał - pytanie, jakie mu postawiła, i sam fakt, że odezwała się do niego po francusku, zgasił w nim poprzednie zapały. Patrzył na nią uważnie, prawie niespokojnie.

— Znałam kiedyś człowieka, który uciekł do Marsylii - powiedziała Magdalena.

— Uciekł - skąd?

— Z Niemiec. Z samego środka Niemiec. Trafił do Marsylii, ale nie wiem, co się z nim stało. Nie chciałabym, żeby zginął..

- Ludzie nie giną tak łatwo - powiedział. Błyskawicznym ruchem podciągnął nogawkę spodni i pokazał jej zasklepione różowo głębokie rany podudzia. Rozpiął potem marynarkę i szarpnąwszy guzikami jedwabnej koszuli obnażył przed nią pierś, poraną tak samo różowymi bliznami, pokreśloną jakby w straszne wzory, w niedokończony rysunek śmierci. – To wszystko stamtąd! - wyjaśnił z dumą.

W Magdalenie zdumienie walczyło z przestraczem. Jej przygodny znajomy prezentował swoje bohaterstwo w sposób dość gwałtowny - pośród ludzi śpieszących w obie strony wzdłuż nabrzeża. Ponadto nigdy w życiu nie widziała blizn na czarnej skórze i nie wiedziała, że zasklepiają się jakby wewnętrzną jej stroną, jasną, jak wydobyta na światło błona śluzowa.

— To stamtąd - powtórzył czarny. Zapinał wolno guziki, a Magdalena w napięciu śledziła ruch jego palców, jakby to one miały jej wytłumaczyć wszystko, co się stało - bliski sens zdarzenia sprzed chwili i odległą konieczność ran, które oglądała.

— Rok leżałem w szpitalu - powiedział. - Ledwo mnie pozszywali. Człowiek jest silny jak rzemień, niejedną wojnę przetrwa.

Magdalena uśmiechnęła się blado. Wokół niej i Murzyna zbierała się grupka gapiów. Rozejrzała się niespokojnie, przed dworcem morskim nie było żadnej taksówki. Zwróciła się w stronę miasta w nadziei, że złapie jakąś po drodze. Murzyn ruszył także. Kilku gapiów posunęło się w ślad za nimi.

- Człowiek chciałby mieć coś z tego życia, zanim umrze - mówił, nie zrażając się tym, że mu nie odpowiada. - Nie można przecież stale myśleć o tym, co było, albo o tym, co może być. Nie uciekaj! Dlaczego chcesz odejść?

Magdalena przyśpieszyła kroku. Droga pustoszała z każdym metrem oddalania się od portu. Po obydwu jej stronach ciągnęły się teraz tory kolejowe. Nieśmiała trawa zieleniała między kamieniami niskiego nasypu.

- Dam ci pończochy! Takie, jakich u was nie ma. Tylko porozmawiaj ze mną. Nie chcę nic więcej. Tylko porozmawiać.

Jak człowiek z człowiekiem.

Gapiowie odpadali jeden za drugim, zawiedzeni. Scena stawała się pospolita: obcy marynarz usiłował zaczepić dziewczynę.

- Za pończochy wszystko można dostać w całej Europie. W całej Europie! - powtórzył. - W Polsce też, nie wierzysz? Koledzy mi opowiadali,

- koledzy nigdy nie kłamią w takich sprawach. W takich sprawach obowiązuje solidna informacja. A ja chcę z tobą tylko porozmawiać. Jak człowiek z człowiekiem.

Magdalena wciąż nie odpowiadała. Czuła się zażenowana i zła na siebie, że nie potrafi we właściwy sposób rozwikłać tej sytuacji. Kapitulowała przed jakimś nawet nie własnym, narzuconym jej wstydem, który jej zabraniał naturalnej prostoty obcowania z każdym, kogo była ciekawa. Ale wciąż widziała siebie z zewnątrz, stała jakby na brzegu chodnika i przyglądała się własnymi oczyma tej scenie.

Może się nawet bała? Droga była pusta. W oddali widniała tylko mała grupka nadchodzących bez pośpiechu ludzi. Magdalena prowadziła ich wzrokiem ku sobie, jak wysłanników oczekiwanej od dawna odsieczy.

Murzyn tymczasem tracił ostatnie pozory agresywności. Zaczynał się jakby wstydzić, że dziewczyna ucieka przed nim. Mruczał coś do siebie, mełł w ustach krótkie jakieś sylaby, zwalniał kroku. Nadchodzący ludzie okazali się odsieczą niepotrzebną. Byli to jacyś - być może - funkcjonariusze portowi o powierzchowności, jak mówiła babka, w guście epoki, nie dającej ludziom ani pieniędzy, ani czasu na zajęcie się własnym wyglądem. W rękach nieśli teczki - ten nieodłączny rekwizyt, podbudowujący poczucie władzy.

Magdalena przyglądała się im bez zaciekawienia. Nagle poczuła głuche szarpnięcie w sercu, jakby ktoś uderzył ją w pierś i zatrzymał gwałtownie na miejscu. Wśród zbliżających się szedł Piotr. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni na ulicy niemieckiego miasteczka. Może miał jakieś inne

ubranie i buty nie tak staromodne jak te, które dostał od swego gospodarza, starego Hanneckera. Ale twarz, twarz, ciało, sposób trzymania rąk, przywartych ciasno do boków, chód harmonijny, niby zwolniony bieg zawodnika na bieżni, prosta linia karku - pozostały te same.

Nie poznawał jej, szedł pochłonięty rozmową. Dopiero gdy krzyknęła, zatrzymał się i podniósł na nią oczy.

- Ty? - zapytał, blednąc.

Idący z nim ludzie zatrzymali się także. Murzyn przybliżył się z wahaniem, wsadził ręce w kieszenie spodni.

Stali wszyscy w poprzek drogi, jakby jakaś grupa przyglądająca się ulicznej awanturze lub nieszczęśliwemu wypadkowi. Ktoś parsknął grubiańskim śmiechem. Piotr zaczerwienił się i dotknął ramienia Magdaleny.

— Chodźmy stąd - powiedział. - Chodźmy stąd! - Rozejrzał się nieprzytomnie wokoło. Twarze towarzyszy wyrażały zaciekawienie. Murzyn przysunął się, żeby być bliżej Magdaleny. Chciał wiedzieć, dlaczego ktoś zabiera mu dziewczynę.

— Piotrze! Piotrze! - szeptała. Paczki ze swetrem i butami wysunęły się z jej rąk na ziemię. Buty jeden po drugim potoczyły się daleko na brzeg chodnika. Piotr schylił się i pozbierał je, daremnie starając się zawinąć je ponownie w podarty papier.

— Idziemy! - powiedział jeden z towarzyszących mu ludzi.

- Piotrze! - powtórzyła Magdalena. Murzyn dotknął jej łokcia.

- Musicie załatwić to beze mnie - rzekł Piotr, nie patrząc na nikogo. Wciąż walczył z paczkami Magdaleny, które nagle zmieniły się w żywe, oporne zwierzęta. - Musicie! - powtórzył.

Jeden z mężczyzn znów roześmiał się głupio i obrażająco. Murzyn nie wiadomo dlaczego wziął ten śmiech do siebie. Odwrócił się i przyjrzał mu się groźnie.

Piotr zagarnął Magdalenę ramieniem i pociągnął ją w stronę miasta.

Pierwszą przytomną myślą, jakiej doświadczyła, była świadomość katastrofy. Może radosnej, może upragnionej, ale katastrofy.

Siedzieli w ciasnej, pachnącej dobrą kawą kawiarence przy jakiejś bocznej ulicy. Ludzie pijący kawę przy sąsiednich stolikach dotykali ich prawie kolanami i bardzo głośno rozprawiali o swoich sprawach. Może dlatego wydawało się rzeczą naturalną, że oni milczą. Piotr mieszał uporczywie łyżeczką swoją kawę i oddychał głęboko, jakby się dusił.

- Co ty tu robisz? - zapytał wreszcie.

Dopiero teraz zobaczyła wyraźnie jego twarz, gdy podniósłszy oczy czekał na odpowiedź. Oto był człowiek, którego kochała, tak samo smutno i namiętnie jak wtedy, kiedy niewiadomy koniec wojny wciąż znakiem zapytania przekreślał jej miłość, jak wtedy, kiedy znak zapytania zniknął, a ona wciąż czekała w rozpacz i nadziei. Zatopiona w księżycu droga z Asenham do Schwarzbach, płacz w jego ramionach na progu plebanii w Edelheim, długie wieczory nad brzegiem rzeki, gdy przez most mknęły pociągi wiozące amunicję z Altóting - wojna, wojna, wojna, strach i miłość, nienawiść i miłość, nadzieja i miłość.

— Dlaczego mnie nie szukałeś? - wybuchnęła. - Dlaczego nie przyszedłeś po mnie?

— Wszystko ci wytłumaczę - odparł, spuszczać głowę.

— Co tu można tłumaczyć? Jesteś. Chodzisz. Żyjesz, a nie przyjechałeś do mnie, nie napisałeś. Dlaczego?

— Pozwól, Magdaleno - rzekł łagodnie. - Wiem, winien ci jestem to wyjaśnienie. Jeśli naprawdę czekałaś na mnie.

Teraz ona zaczęła uważnie mieszać swoją kawę. Na opuszczonych rzęsach zobaczył dwie łzy. Zawsze bał się jej łez.

Przymknął oczy, żeby nie widzieć, jak drżą jej wargi i mały podbródek daremnie hardo wysunięty naprzód.

— Nie - powiedziała nagle mściwym szeptem - nie czekałam na ciebie. Od razu wiedziałam, że nic z tego nie będzie. To było jednak nawet dla mnie zbyt nieprawdopodobne, żeby wierzyć, że mógłbyś w życiu mnie potrzebować. - Odetchnęła, ostrożnie wskazującym palcem otarła łzy z powiek. Teraz wydawała się spokojna. Podniosła filiżankę i długo, małymi łykami piła kawę.

— Może przynajmniej jesteś ciekaw, co działo się ze mną i Gastonem po twojej ucieczce? Nie wyobrażasz sobie chyba, że uszło to nam na sucho?

Drgnął.

— Aresztowano was?

— Przecie się jednak o to w końcu zapytałeś. Twój most wyleciał w powietrze, a mało brakowało, żeby Gaston i ja...

— Bili cię?

— Zapytaj o Gastona! - krzyknęła. - Ja przynajmniej żyję, a jego zabrali do obozu i nie wiem, co się z nim stało.

- Bili cię? - powtórzył. Opuściła głowę.

— Po co pytasz? Nie możesz sobie tego wyobrazić? - Schowała pod stolik dłonie, jakby jeszcze teraz można było odnaleźć na nich ślady badania w gestapo.

— Czego od was chcieli?

— Myśleli prawdopodobnie, że pomagaliśmy ci przy wysadzeniu mostu.

— Gaston mi pomagał.

— Wiem.

— Powiedział ci? - Czułość Magdaleny pochwyciła w tym zbyt ostro postawionym pytaniu ton dawnej zazdrości o pięknego Francuza, bardziej wyraźny niż żal za niedochowanie męskiej tajemnicy.

— Nie. Ale przecież raz w życiu mogłam się czegoś domyślić.

— Nie wiesz, dokąd go zabrano?

— Nie. Hochmeierka mi opowiadała, że widziała tylko, jak go wyprowadzali z żandarmerii. Ona przychodziła do mnie do szpitala.

— Do szpitala?

— Tak. Leżałam tam ze dwa miesiące. Zależało im widocznie na tym, żeby inni cudzoziemcy takiej mnie nie zobaczyli.

— Jak to - żeby cię nie zobaczyli?

— No, nie wyglądałam wtedy dobrze...

— Magdaleno! - Piotr zniżył głos, jego gorący oddech owiał jej policzki. Poczul żal tak świeży, jakby to, o czym mówiła, nie działo się prawie przed dwoma laty, ale jakby dziś, teraz właśnie miał sprowadzić na nią zawinione przez siebie cierpienie. – Magdaleno - powtórzył. - Musisz mi wierzyć, że nie mogłem przewidzieć tych konsekwencji. Nie sądziłem, że będę musiał uciekać. Już przed domem spotkałem żandarma

Stolzberga. Wiedziałem, że mnie aresztuje, gdy tylko nastąpi eksplozja. - Pochylił głowę. - Musiałem dokonywać wyboru między jego śmiercią a moją.

Magdalena przymknęła oczy, gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie mówmy o tym.

— Nie. Muszę ci wszystko wyjaśnić. Wiem, co mogłaś myśleć o mnie podczas badania.

Uśmiechnęła się nagle tak promiennie, że Piotr przestraszył się tego uśmiechu bardziej niż łez.

— Nie, tego właśnie nie wiesz.

— Cierpiałś przeze mnie.

— Kochałam cię. Kochałam cię tak bardzo, że nawet wtedy myślałam tylko o tobie - czy żyjesz, czy udało ci się uciec, czy dotarłeś do Warszawy. Nie wiesz nawet, że gdy tylko wypuścili mnie ze szpitala, podążyłam za tobą.

— Uciekłaś?

— Tak.

— Dostałaś się do Warszawy?

— Było już po powstaniu. Dotarłam tylko do babki pod Łowicz. A potem po oswobodzeniu do domu. Byłam na Browarnej - dodała cicho.

Opuścił powieki.

— Poszedłem z armią na Berlin. Po powstaniu dostałem się na drugi brzeg i zaciągnąłem do wojska.

— Byłam na Browarnej - powtórzyła Magdalena. - Dom, w którym mieszkali twoi rodzice, stał wypalony do piwnic. Powiedziałaś mi w Edelheim, pamiętasz - tego wieczora, kiedy ci się oświadczałam, a ty nie chciałeś mi powiedzieć, jak się naprawdę nazywasz...

— Sądziłem, że mnie zrozumiesz. Uciekłem z obozu, musiałem być ostrożny.

— Domyślałam się tego. Powiedziałaś więc, że jeśli zechcę cię odnaleźć, będę musiała pójść na Browarną i zapytać o szewca, którego dzieci przezywają „Suchanózką”. Byłam tam, ale nie mogłam go znaleźć.

— Moi rodzice nie żyją - rzekł Piotr tępo. - Zginęli razem, to jedno mnie pociesza.

— Byłeś tam?

— Tak.

— Nie znalazłeś mego napisu na drzwiach?

— Znalazłem.

— Dlaczego więc nie przyszedłeś do mnie? - krzyknęła. - Dlaczego zaraz do mnie nie przyszedłeś?

— Uspokój się! - Piotr pochylił się ku niej nad stolikiem. Ludzie odwracali się i patrzyli na nich z zaciekawieniem.

Magdalena płakała. Wyszarpnąwszy z torebki chustkę ukryła w niej twarz.

Skinął na kelnera, szybko zapłacił należność za kawę i zebrał paczki Magdaleny.

- Idziemy - powiedział, wyciągając rękę.

Wstała posłusznie. Jeszcze na ulicy ocierała oczy, potykała się na nierównościach chodnika, szła nic nie widząc przed sobą. Piotr ujął ją mocno pod ramię. Skręcili w ulicę wiodącą ku morzu. Usiedli na ławce na skraju bulwaru. Wysoki stok Kamiennej Góry stał za nimi jak zielona ściana. Morze uderzało o betonowy brzeg i cofało się z szumem.

- Tu jest dobrze - szepnęła Magdalena rozglądając się. - Tu nareszcie będę mogła się wypłakać.

Nie przeszkadzał jej, choć trwało to dość długo. Dotknął wreszcie jej ramienia i powiedział z niezręczną łagodnością:

- Musisz zrozumieć, że wszystko jest już poza nami, od dawna postanowione, spełnione, doprowadzone do końca. Nie trzeba opłakiwać aktualności naszego nieszczęścia, bo ono stało się prawie przed wiekami. Ty chyba także po ochłonięciu z wojennych sensacji doszedł do przekonania, że nie potrafimy być razem szczęśliwi.

- A bez siebie jesteśmy szczęśliwi? - spytała cicho.

Piotr wziął jej rękę i zamknął w swojej dłoni. Czuł fałszywe brzmienie tego, co mówił, ale trzeba było coś mówić - milczenie było jeszcze wyraźniejszą obawą przed prawdą.

— Nie możemy żyć razem, tak jak słowik czy skowronek nie może żyć z lwem, wilkiem, z wołem, jeśli wolisz dosadniejsze określenia. Wiem, co potrzeba tobie, a co wystarczyć musi mnie. Zdaję sobie sprawę, że ani ty, ani ja nie potrafimy zmienić zasadniczego układu naszej psychiki.

— Ten słowik czy skowronek to niby ja?

— Tak.

— A ten lew, wilk czy wół to ty?

- Tak by wypadało. Skrzywiła się.

— Nie nadajesz się na Lafontaine'a. A poza tym myślisz za dużo, Piotrze. To zawsze nam przeszkadzało, pamiętasz? Albo się kogoś kocha, albo nie. Myślenie na ten temat zawsze budzi podejrzenia i prowadzi do niekonsekwencji.

— Nie jesteśmy na bezludnej wyspie, gdzie można wyłącznie poświęcić się miłości - poza zdobywaniem jedzenia

naturalnie.

— A tutaj jest inaczej? Ludzie pragną kochać i jeść. Wszystko inne jest zmieniającym się w różnych epokach dodatkiem do życia.

Dwie mewy usiadły na betonowym brzegu bulwaru. Trwały przez chwilę nieruchome, jak umieszczona w jakimś prospekcie reklama uroków nadmorskiej miejscowości, a potem spadły w dół na upatrzoną w fali zdobycz.

Odwróciła głowę.

- To przecież ty potrafiłeś stwarzać bezludną wyspę nawet wtedy, gdy bardzo ciasno otaczali nas ludzie.

- Wiem. Nie miałem do tego prawa. Wybacz mi, Magdaleno. Zgarnęła swoje paczki na kolana, objęła je oburącz, jakby zamierzała

odejść stąd zaraz, natychmiast po tym, co powie.

- Nie myśl, że mówię to wszystko po to, żeby coś zmienić między nami, odwołać, naprawić. To ja, nie ty, wiem od dawna, że nasze nieszczęście jest nieaktualne. Wiem także, że nie mogło stać się nic gorszego ponad nasze dzisiejsze spotkanie.

Wstała.

- Muszę już iść - powiedziała cicho. - Przyjechałam tu z ojcem, będzie czekał na mnie w Grand Hotelu.

Siedział wciąż na ławce, nie mógł wstać, ruszyć się, uczynić żadnego gestu. Ogarnęła go prawie senność, odprężenie, gwałtowne jak paraliż. Patrzył od dołu na jej twarz, płonąca jeszcze od niedawnych łez, na usta wciąż drżące od powstrzymanego płaczu, patrzył na ostatnią swoją radość i ostatnią utratę. Stała przed nim ta prześliczna, jak z pudełka wyjęta panna, płakała, oczekiwała litości i pociechy tak łatwej jak wyciągnięcie ramienia. Widział ją, czuł na twarzy jej oddech, dotykał nieomal jej kolan, drżących pod cienką wełną spódnicy, i wciąż - jak kiedyś - nie mógł wykrzesać w sobie mściwej radości, którą karmił swe serce ukochany jego bohater, Julian Sorel, niedościgniony w miłości i okrucieństwie.

Wiedziała, że trzeba naprawdę już iść. Nie zatrzymywał jej.

Zrozumiała wreszcie, że bał się jej, że przerażała go i niepokoiła. Zobaczyła w końcu jego unrowską zieloną marynarkę, koszulę w fioletowe paski i popielate spodnie o postrzępionych mankietach. Zwilżyła językiem wargi i głośno przełknęła ślinę.

- Do widzenia, Piotrze! - powiedziała nie wyciągając ręki. Wstał, zerwał się z ławki, jakby dopiero teraz zrozumiał, że odchodzi.

- Bądź jutro w Gdańsku przy kościele Marii Panny - powiedział szyb ko. - Może uda mi się wyrwać na chwilę. Będę czekał o dwunastej przy wejściu do kościoła.

Milczała.

— Przyjdziesz? - zapytał, czując jak ogromny strach ścisną mu krtań.

— Nie wiem - powiedziała cicho.

Ojca nie zastała w hotelu. Biegła prawie, żeby być z nim. Ale konferencja przeciągała się i profesor mógł zdobyć się tylko na telefon do portierni z prośbą, aby nie czekając na niego zjadła sama kolację.

Wzmianka o kolacji przypomniała jej, że nie jadła obiadu. Nie czuła jednak głodu, tylko straszłą, namiętą potrzebę płaczu. Zamknęła się w pokoju i rozebrawszy się, bosa, w bieliźnie tylko zabrała się do swojej rozpacz. Szlochała i jęczała bez wytchnienia, aż ktoś zapukał delikatnie w ścianę. To ją otrzeźwiło. Płakała jeszcze przez chwilę, ale już cicho i z namysłem. Uznała za świetne wyrażenie Piotra o nieaktualności ich nieszczęścia. Miał rację - to stało się dawno. Nie trzeba odgrzebywać dawnych smutków, trzeba im pozwolić zestarzeć się i umrzeć. Nie ma nic równie pocieszającego, jak starzejący się smutek. Magdalena wstała z łóżka, na którym płakała, i przymierzyła nowy pulower. Potem buty. Zdjęła ze ściany lustro, żeby móc zobaczyć w nim odbicie swoich stóp. Obydwa sprawunki okazały się bardzo efektowne. Zawiesiła lustro na ścianie i zaczęła przemywać oczy zimną wodą - to przypomniało jej o przyczynie ich zaczerwienienia i znów głucha rozpacz targnęła jej sercem.

Późnym wieczorem, gdy ojciec wciąż się nie zjawiał,

zeszła - - nieco speszona samotnością - do sali jadalnej hotelu. Usiadła przy tym samym stoliku, przy którym rano jadła z ojcem śniadanie. Ale na dworze było już ciemno, morze zasłaniała noc i gruba firanka zapuszczona na okno. Gdzieś w głębi rozległy się tony orkiestry. Rumba. Melodia unosiła się i opadała, jak śmiech. Magdalena rozejrzała się, kelner nie nadchodził. Wstała i podążyła śladem melodii.

Na sali dansingowej już tańczono. Wybrała stolik niedaleko parkietu i usiadła. Widok tańczących par rozerwał ją na długą chwilę. Wybrała z karty zakąskę i gorące danie, a gdy zjawił się kelner, zamówiła sandacza w galarecie i boeuf Strogonow. Poprosiła także kieliszek białego wina. To dodało jej pewności siebie. Orkiestra znów zaczęła grać. Tym razem było to tango. Jakiś mężczyzna w bardzo długiej marynarce skłonił się przed nią. Nie przewidziała tego niebezpieczeństwa. Odmówiła. Ale gdy właściciel długiej marynarki wycofał się zawiedziony, szarpnęła nią myśl, że przecież trzeba było z nim pójść, wcisnąć się w ten tłum sunący po parkiecie, przymknąć oczy i dać się tarosić w rytm argentyńskiego tanga. To było życie, prawdziwe życie; powinna wreszcie zaprzestać ucieczki przed nim.

Wypiła od razu kieliszek wina, gdy tylko kelner postawił go na stole. Poprosiła też zaraz o drugi i pilnie zajęła się jedzeniem. Apetyt jednak opuścił ją, czuła tylko fizyczną potrzebę jak najszybszego napełnienia pustego żołądka bez owej nie najbliższej z ludzkich radości, jaką daje woń, smak i widok nie zmarnowanych przez kucharza darów bożych. Drugi kieliszek wina rozlał się w jej ciele jakby jakieś światło. Piotr wydał się jej złym, marnym człowiekiem, którego nareszcie wykreśliła ze swego życia. Wmawiała w siebie usilnie tę ulgę, jakiej wciąż nie czuła w całej pełni. Orkiestra grała teraz walca angielskiego, rozlewnego jak ciemna, wezbrana rzeka. Magdalena podparła ciężką głowę na dłoni i sennymi oczyma patrzyła na tańczące pary. Gdyby teraz ktoś ją poprosił, zgodziłaby się z ochotą na zanurzenie w tej pociągającej ją ciemności i głębi. Czuła też pragnienie, ale bała się pić więcej wina. Przywołała kelnera i w nadziei, że zaraz

zaśnie, gdy tylko znajdzie się w łóżku, zapłaciła rachunek.

W drzwiach prowadzących do baru stał Murzyn. Ten sam, którego spotkała w porcie. Jego twarzy nie byłaby w stanie rozpoznać, ale jasnoniebieskie ubranie z daleka biło w oczy swą niepokalaną barwą. Zobaczył ją w chwili, gdy wstawiała od stolika, i pośpiesznie, wśród tańczących par żeglował w jej stronę. Musiał już coś wypić, bo zachowywał się o wiele śmieiej niż przed południem. Oczy mu błyszczały, a nabrzmiące wargi pękły szeroko na wypukłych zębach. Zapraszał ją do baru, to tylko zrozumiała z tego, co mówił. I nagle, zbyt szybko nawet jak dla niego, zgodziła się pójść z nim.

Usiedli na wysokich stołkach i Murzyn zamówił dwa cocktaile. Magdalena oparła łokcie na ladzie i patrzyła bezmyślnie, jak barman nalewa złoty płyn do stojących przed nimi czarek. Ogarnął ją łagodny smutek, rezygnacja słodka jak sen..

— To jest dobre! - szepnęła pociągając przez słomkę spory łyk zimnego trunku.

— To jest najlepsze, na co nas stać! - powiedział Murzyn. - Jeśli człowiek się boi, musi uciec gdzieś przed swoim strachem. Dokąd uciec? - Gdzieś daleko - nie ma „daleko” dla strachu. Dla strachu jest tylko to - podniósł czarkę na wysokość swoich błyszczących źrenic.

- Nie zaczynaj tylko gadać o tych nudnych rzeczach - przerwała mu Magdalena. - Po dziurki w nosie mam tego gadania.

— Ale my się już bijemy w Wietnamie! - krzyknął. - Już, rozumiesz? W sanatoriach leżą jeszcze ostatni ranni z tamtej wojny, a oni już przygotowali nową.

— Nie chodzi ci nawet o zasady czy sprawiedliwość - powiedziała. - To tempo! Tempo cię przeraża.

Murzyn wczepił palce w swoje gęste jak peruka, prosto zarysowane nad czołem włosy. Kołysał się na stołku to w przód, to w tył i jęczał cicho.

— Tempo! - powtórzyła Magdalena. - Ludzie przyzwyczaili się zabijać. To niebezpieczny nałóg. Można do niego przywyknąć jak do palenia papierosów, co gorsza - nie

zaprzestając wygłaszania pogadanek o szkodliwości nikotyny.

— Nie palę - bąknął Murzyn. Magdalena przyjrzała mu się spod oka.

— Ja też - powiedziała, żeby nie sprawić mu przykrości.

— Kiedy leżałem w szpitalu - zaczął znowu - czułem się jak bohater. Nie dlatego że to jednak my wygraliśmy wojnę. Ale dlatego że byłem jakby żywą przestroga dla tych, którzy wciąż nie mieli dosyć.

Magdalena powstrzymała jego rękę, bo wydawało się jej, że znów ma ochotę obnażyć przed nią swoje piersi.

- Głupi jesteś! - powiedziała. - Jaka tam znów z ciebie przestroga. Musiałbyś stanąć w gablotce w jakimś muzeum wojny, żeby cię ludzie oglądali. Ale wojenne muzea świecą teraz pustkami. Nie chce się oglądać czegoś, co się zbyt dobrze pamięta.

Puste czarki stały przed nimi. Barman zapytał, czy nalać. Obydwoje skwapliwie skinęli głową. Małe kawałeczki lodu zachrzęściły cichutko. Magdalena gonila je słomką, pochylona nisko nad kontuarem. Murzyn wciąż dumiał nad posepną przyszłością świata.

Trąciła go łokciem w bok.

- Nie martw się, w gruncie rzeczy wszystko rozwija się prawidłowo. Ludzie mówią sobie: musimy zabijać, ponieważ tamci tak samo jak my chcą żyć. Najważniejsza w życiu jest logika. Myśl musi przylegać do myśli jak ostrze do ostrza. Zawsze byłam zdania, że najszlachetniejszą ze wszystkich broni jest broń biała. Nawet w walce trzeba móc się porozumieć.

Nie słuchał jej. Odwrócił się ku niej na stołku i położył na jej plecach swoje ciężkie ramię.

- Wiesz - mówił wolno, potrząsając nią z lekka - nie uwierzysz pewnie, ale zupełnie mi się nie chce pójść z tobą do łóżka. Może jestem chory? Nie, nie jestem chory. Myślałem za dużo, to zdarza mi się zawsze, kiedy za dużo myślę.

Magdalena roześmiała się cicho i palnęła go dłonią między łopatki.

— Jesteśmy kolegami, którzy są ze sobą po to, żeby im

było łatwiej zapomnieć. Każdy człowiek ma tam zawsze coś do zapominania. Ty o tych swoich obrazeczkach na ciele, a ja... - umilkła.

— No, no - mruknął Murzyn pocieszająco. Wciąż kołysał ją, obejmując przez plecy.

Usłużny barman po raz trzeci napełnił czarki.

— Nie chce mi się wcale z tobą spać - szepnął znów Murzyn.

— To bardzo dobrze, to bardzo dobrze! - zaśpiewała Magdalena w jego kędzierzawy kark. - Nic nam się nie chce. Nic. Tylko logika, precyzyjna logika może nas uchronić przed pomieszaniem porządków świata. Ludzie mówią: Musimy zabijać, ponieważ tamci tak samo jak my chcą żyć!

— Nie chce mi się - jęczał Murzyn.

— To dobrze, to bardzo dobrze - powtarzała, głaszcząc jego ostre, jak u teriera, włosy.

O północy profesor znalazł ją w barze, płaczącą na ramieniu zdziwionego Murzyna.

Drugi dzień na Wybrzeżu zapowiadał się ponuro.

Profesor od rana miał obrady i wcześniej udawał się wraz z kolegami autokarem do Akademii. Nie przespał urazy, jaką żywił do córki za bar i Murzyna. Stanąwszy przy jej łóżku zapowiedział, że wyjeżdżają nocnym pociągiem, powinna więc zwiedzić Gdańsk, zjeść obiad w jakiejś skromnej restauracji i czekać w hotelu na jego powrót.

Niezupełnie rozbudzona przysłuchiwała mu się pokornie. Wymamrotała, że dobrze, że wszystko będzie tak, jak sobie ojciec życzy.

Dopiero po wyjściu ojca przypomniała sobie spotkanie z Piotrem. Przeraził ją długi dzień w obcym mieście, bezczynny, wydany na pokusę zobaczenia go, zobaczenia go po raz drugi. To oczywiście było niemożliwe. Postanowiła w ogóle nie jechać do Gdańska, darować sobie jego ruiny; wojna nie była zbyt pomysłowa w niszczeniu. Ale gdy około południa poszła na molo, żeby karmić mewy, ogarnął ją popłoch. Zaczęła prawie biec w

kierunku miasta. Miała nadzieję, że złapie gdzieś na ulicy taksówkę, żeby zdążyć na podaną przez Piotra godzinę do kościoła Najświętszej Marii Panny. Jedynym pojazdem spotkanym po drodze był mały wózek zaprzężony w dwa osiołki. Stary ogrodnik rozwoził nim wczesne warzywa. Na przystanku nie było ludzi - autobus zapewne dopiero co odszedł. Stała przy brzegu jezdni i podniósłszy rękę usiłowała zatrzymać przejeżdżające samochody. Rumiany kierowca ciężarówki, wyładowanej kolorowymi kołdrami, ulitował się nad nią.

- Pani po raz pierwszy w Gdańsku? - zagadnął, gdy Magdalena zapytała go o kościół Marii Panny.

Skinęła głową.

Wjeżdżali z lipowej alei na most kolejowy, z którego otworzył się nagle przed oczyma rozległy widok spopielalej pustyni miasta. Magdalena, oswojona z gruzami Warszawy, doznała jednak wstrząsu patrząc na ten nie kończący się obraz klęski, rozciągnięty pod jaskrawię pogodnym niebem, ku któremu wznosiły się tylko wieże ocalałych kościołów.

- Ten najwyższy - powiedział kierowca - to właśnie kościół Marii Panny. - Wysadził ją przy Bramie Wyzynnej i wskazał najbliższą drogę do kościoła. Dostać się tam samochodem było nie sposób.

Gdy rzuciła się we wskazanym kierunku, nie spojrzawszy nawet na ocalały fronton zabytkowej bramy, wzruszył ramionami i głośno zatrzasnął drzwiczki szoferki.

Dochodziła pierwsza. Biegła wąską ścieżką między gruzami ku widniejącemu w oddali masywowi ogromnego kościoła. Wciąż powtarzała sobie, że Piotra już nie ma, że nie mógł czekać tak długo, że na pewno odszedł, a jednak biegła, potykając się o kamienie, poślaczane gzymsy, fragmenty zniszczonych rzeźb.

Piotra przed kościołem nie było.

Obezwładniające uczucie żalu zatrzymało ją na miejscu. Stanęła bezradnie u stóp potężnej wieży. Dwa małe obłoki płynące nad nią sprawiały wrażenie, że to ona przesuwa się przez niebo. W ciszy panującej wśród ruin zadudniły czyjeś kroki. W Magdalenie zamarło serce, odwróciła się w stronę, z której nadchodził odgłos, i patrzyła drżąc z oczekiwania.

Postacią, która wyłoniła się zza krawędzi muru, była stara kobieta, wychudzony szkielet bez ciała i krwi, przerażająca zjawa niepotrzebnej, samotnej starości. Zobaczywszy Magdalene, kobieta przystanęła. Niosła coś przed sobą w spłowiałym fartuchu, którym była przepasana. Przygarnęła do siebie swój skarb, jakby spojrzenie obcej dziewczyny mogło wydrzeć go jej i odebrać.

Magdalena domyśliła się w niej starej gdańszczanki, opuszczonej przez bliskich, nie zabranej transportem do Reichu.

Chciała przemówić do niej, obdarować drobną sumą pieniędzy, ale strach był silniejszy niż litość. Z oczu starej kobiety była nienawiść. Nienawiść tak oskarżająca i tak niezdolna do przebaczenia nawet win nie popełnionych, że Magdalena niespokojnie obejrzała się dokoła. Wśród wypalonych domów, nagich ścian sterczących samotnie, panowała cisza, wielkie milczenie ruin. Cienkie źdźbła trawy wydobywającej się spod kamieni, drżały na wietrze.

Kobieta trwała wciąż w tym samym miejscu, nie spuszczać posępnych oczu. Magdalena знаła to spojrzenie. Znała twarze kobiet rażonych rozpaczą nagle, wśród rozsadzającej serce pychy. Dla tamtych oczu łyzy były niespodzianką, okrutnym nieporozumieniem losu. A jednak Magdalena bała się ich tak samo, jak tych wyplakanych do dna rozpacz, zapadniętych w głąb czaszki oczu starej kobiety, samotnie przeżywającej swoją wielką klęskę. Wtedy była w kraju potężnego wroga, teraz stała na własnej ziemi, bardzo pewna zwycięstwa. Serce jej wypełniało jednak to samo uczucie: strach przed nienawiścią.

Postąpiła krok naprzód. Wychudzona kobieta zaczęła także iść w jej kierunku. Stała więc, aby pozwolić jej przejść przed sobą. Niemka trzymała wciąż oburącz swój wielki, okryty fartuchem ciężar. Szła, nie spuszczać oczu z twarzy A4agdaleny. Gdy zrównała się z nią, wyrzuciła nagle ku górze wyciągnięte ramię gestem patetycznego przekleństwa, protestu czy groźby. Zakrzywione palce jej starczej dłoni trwały przez chwilę na tle nieba, wygrażając mu swoją czarną nędzą. Z rozluźnionego fartucha posypały się na bruk kamienie. Drobnie części gzymsów, rozłupane cegły, szczątki rozbitych kafli. Kobieta krzyknęła, uklękła i zgarniała je pośpiesznie z powrotem do fartucha.

Magdalena, przemógłszy strach, pochyliła się i zaczęła jej pomagać w tej przerażająco bezsensownej, czynności. Dla niej leżące na ziemi kamienie były wszystkie do siebie podobne, ładowała je hojnie do rozpostartego fartucha, ale Niemka

wynajdowała wśród nich te, których nie chciała, których przedtem nie niosła - i odrzucała je daleko, mrużąc pod nosem jakieś słowa.

Zakończywszy zbieranie, uniosła się z kłęczek i dźwignęła swój ciężar. Magdalena chciała jej pomóc, ale odepchnęła ją spojrzeniem. Z kamiennym brzemieniem przed sobą odeszła wolno wąską ścieżką między gruzami.

Patrzyła za nią, aż zginęła jej z oczu za krawędzią spalonego domu. Potem podniosła głowę ku wieży, nad którą znów płynęły małe, szybkie obłoki. Dopiero po chwili rozumiała, że odmawia modlitwę za umarłych.

Białe drzwi, okolone gotyckim gzymsem, prowadziły do bocznej nawy kościoła. Magdalena z wahaniem weszła do środka. Przyzwyczajona do mrocznych wnętrz starych świątyń, cofnęła się przed powodzią światła wypełniającą ogromny gmach. Przez wyrwy w dachu wpadała ulewa słońca i stapiała się z kolorowymi smugami, cedzonymi przez poszczerbione witraże, w szczególną, aż drażniącą jasność. To jaskrawe wtargnięcie wiosennego blasku w łuki, sklepienia i nisze, zestarzałe w pełnym godności mroku, było jakby profanacją rzeczy, którym wieki wyznaczyły właściwą im barwę. Obnażone z ciemności, prezentowały teraz dostojny kurz na swoich rzeźbionych grzbietach.

Magdalena żywiła zawsze szacunek dla miejsc starych, uświetnionych historycznymi datami, pogardliwie prawie niezależnych od współczesności. Szła od ołtarza do ołtarza, wpatrywała się w twarze ocalałych lub zabitych po raz drugi świętych, usiłowała nawet odmawiać pacierz. Ale gubiła zaraz jego słowa zdławione myślą o ogromnym wymiarze modlitw, jakie w ciągu wieków zasyłano ku Bogu spod tego sklepienia. Przystawała przed malowidłami na ścianach - obliczami obrazów, porysowanych jak twarz starego człowieka, przed kształtami rzeźb, wiernych ludzkiej anatomii, tak pocieszająco budzących nadzieję na realność nieba. I znów szła dalej, odmawiając pierwsze słowa pacierza.

Nagle usłyszała jakiś szmer poza sobą, nikły jak oddech albo westchnienie, przerażenie zatrzymało ją na miejscu. Pomyślała o napotkanej starej Niemce. Pustynia ruin, ciągnących się za murami kościoła, wydała się jej dżunglą pełną tajemniczych ech. Nie wiedziała, czego bardziej się boi: pozostania w pustym kościele czy wyjścia w rudy obszar spalonego miasta. Śmierć ludzi, domów i drzew, śmierć posągów i malowideł, śmierć piękna i przeszłości, bardziej wyraźniej niż rzeczywistość, zagradzała jej zewsząd drogę. Tu tylko pewność własnej śmiertelności mogła być pociechą. Wzrok Magdaleny spoczął na ogromnej płycie kamiennej posadzki, kryjącej grobowiec jakiejś gdańskiej rodziny, na której mąż po stracie żony kazał wykuć trzy słowa: ICH KOMME BALD.

Szmer poza jej plecami powtórzył się. Czując zimny dreszcz wzdłuż krzyża, powoli odwróciła głowę.

W cieniu bocznego ołtarza stał Piotr. Musiał tu być od dawna, widział zapewne, jak weszła do kościoła, śledził jej wędrówkę przez puste nawy; może czekał, aż odejdzie, może miał jeszcze nadzieję, że jednak odejdzie, chciał tego, pragnął jak ostatecznego zbawienia. Sama miała w sercu te wszystkie uczucia, których mógł doznawać. Rozumiała go. Ona także się bała.

Patrzył na nią nieruchomo. Zaczęła iść ku niemu wolno, nie spuszczać oczu z jego twarzy. Kroki jej dudniły donośnie w pustej przestrzeni kościoła. Nie drgnął, nie oderwał się od ściany. Prowadził ją wzrokiem ku sobie, prowadził jak po promieniu światła. Ostatnie kilka kroków przebyła biegnąc. Dopadła go z głuchym jękiem, a on wyciągnął ramiona i przygarnął ją do siebie.

— Przyszłaś! - szepnął. - Przyszłaś!

— Musiałam - odpowiedziała prosto.

— Teraz to już tylko śmierć! Gdybyś odeszła, tylko śmierć, Magdaleno. Pokrywała jego twarz szybkimi, drobnymi pocałunkami - oczy, policzki, usta.

- Tylko śmierć! - powtórzył.

Gładziła go po czole i karku, zawsze zarośniętym zbyt nisko kędzierzawymi brązowymi włosami. Mruczała jakieś słowa pieszczoty i rozpaczy.

— Posłuchaj - powiedział nagle. - To nieprawda, że cię nie szukałem. To nieprawda, że nie przyszedłem po ciebie. Uczyniłem to zaraz, tego samego dnia, gdy znalazłem się w kraju. Byłem pod twoim domem rok temu,

— Byłeś tam?

— Tak. I uciekłem. Nie miałem odwagi.

— Mnie się bałeś?

— Nie. A może ciebie? Nie wiem. Bałem się, że nie potrafisz być ze mną szczęśliwa..

— Znowu to samo? - jęknęła Magdalena. - Wiesz, że nie potrafię być szczęśliwa bez ciebie.

Zanurzył dłoń w jej włosy, oparł policzek o czoło. Miał ją teraz blisko, nie i bał się mówić prawdy.

— Siedziałaś na tarasie z jakąś starszą panią. Z matką.

— Z babką.

— Przystanąłem przy furtce za krzakiem jaśminu, zanim zdołałaś mnie i zauważyć. Po ogrodzie biegały jakieś dzieci. Starsza pani nie mogła tego i znieść. Złamały krzak róży.

— To dzieci naszych lokatorów z góry - wyjąkała Magdalena.

— Babka usiłowała namówić cię, żebyś wypędziła małych intruzów z ogrodu, a ty odpowiedziałaś...

— Co, co odpowiedziałam?

— ...że jeśli jeszcze jeden krzak róży zostanie zniszczony, skręcisz kark któremuś z tych szewskich bękartów.

Magdalena przełknęła ślinę.

— I dlatego odszedłeś?

— Tak. Odszedłem natychmiast. Potem myślałem, że może gdyby to były moje róże, zachowałbym się tak samo jak ty. Ale nie mogłem sobie tego wyobrazić. Dopiero teraz to zrozumiałem. Nie wróciłem tylko dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić własnych róż we własnym ogrodzie. Na Browarnej, na

tej przeklętej ulicy, która wciąż nie pozwala mi naprawdę zamieszkać gdzie indziej, nie rosły róże. Może dlatego wciąż wydaje mi się, że oddałbym pół życia, aby inne szewskie dzieci bawiły się w ogrodach.

— A nie mogłyby w tych ogrodach mimo to rosnąć róże?
- cicho spytała Magdalena.

— Nie, nie. Nie będziemy teraz o tym mówić. - Piotr mocniej ogarnął ją ramieniem. - Nie powinienem ci w ogóle o tym opowiadać. Ale chciałem, żebyś wiedziała, że byłem, że przyszedłem po ciebie. Czułem się bardzo nieszczęśliwy.

— Jeszcze wczoraj, jeszcze wczoraj broniłeś się jednak przede mną...

— Wciąż uważałem to za swój obowiązek wobec ciebie. Magdaleno, moje życie jest trudne. Nie będę mógł dać ci tego, co dają ci rodzice.

— Ale ja nie chcę niczego! - zawołała przymykając oczy. - Chcę tylko ciebie. Tylko ciebie! Wiesz, jak skromnie potrafiłam żyć w Edelheim.

— To co innego. Była wojna. Ale teraz wiesz, że znów masz do wszystkiego prawo. Dlaczego miałabyś się czegokolwiek wyrzekać, a ja...

Zasłoniła mu usta dłonią. Wtulił wargi w ciepłe zgięcie jej palców i nagle odechciało mu się mówić i myśleć. Było dobrze, ponad wszelki wyraz dobrze w tym mrocznym kącie kościoła, przesiąkniętym zapachem starego drzewa, wilgoci i kadzidła. Przez uszkodzony dach widać było niebo. Słońce migotało w ocalałych szybkach witraży.

— Zostaniesz ze mną? - zapytał.

— Tak. O, tak! - westchnęła.

- Nie mogę z tobą jechać do Warszawy - powtórzyła. Wieczorem z rozpaczą w sercu usiłowała wytłumaczyć to ojcu.

Ojciec stał w otwartym oknie wagonu. Nie widziała jego twarzy, światło na peronie było słabe. Wolałaby, żeby krzyczał, złościł się i przeklinał. Ale on po prostu jej nie rozumiał.

- Wsiadaj prędzej! - powiedział. - Pociąg zaraz ruszy.

Konduktor zatrząskiwał drzwi wagonów.

— Muszę tu zostać - krzyknęła. - Nie mogę jechać z tobą. Nie mogę wyjść za Andrzeja. Spotkałam kogoś, kogo kochałam przedtem.

— Dobrze, dobrze, porozmawiamy o tym w domu - rzekł ojciec z obrażającą pobłażliwością. - Wsiadajże, do diabła!

Magdalena wyciągnęła ręce i dotknęła palcami dłoni ojca opartych o opuszczone okno.

— Tatusiu! - powiedziała z bliska. - Błagam cię, zrozum mnie. Zawsze mnie rozumiałeś. Nie mogę pojechać z tobą, nie mogę wyjść za Andrzeja. Byłabym bardzo nieszczęśliwa. Nie chciałbyś, żebym była bardzo nieszczęśliwa. Zrozum mnie, błagam cię. Postaraj się mnie zrozumieć!

— Jeśli nie chcesz, nie musisz wychodzić za męża. Za Andrzeja ani za kogokolwiek. Wsiadaj, porozmawiamy o tym w domu.

— Nie. Muszę tu zostać.

— On ci tak kazał? - spytał profesor cicho.

— Tak.

— To szubrawiec! Tylko szubrawiec może tego żądać od dziewczyny. Wsiadaj mi natychmiast do pociągu!

— Nie!

— Posłuchaj! - głos ojca stał się cichy i groźny. - Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, bo mam wrażenie, że postradałaś zmysły. Ale może to do ciebie dotrze: nie wpuszczę cię na próg mego domu, jeśli zaraz nie pojedziesz ze mną.

— Muszę tu zostać! - zawołała Magdalena z płaczem. - Nie mogę stracić go po raz drugi!

Lokomotywa wyrzucała na boki ciepłe kłęby pary. Ojciec wychylił się z okna, dotykał prawie jej twarzą. Widziała wyraźnie jego czarne szerokie brwi nad jasnymi oczyma.

- Masz ostatnią sekundę do zastanowienia - mówił. - Nie wpuszczę cię na próg, pamiętaj! Straciłem jedno dziecko, mogę stracić i drugie. Powinienem teraz wysiąść i zmusić cię do powrotu choćby za cenę skandalu. Ale nigdy nie byłam

policjantem.

Pociąg ruszył. Konduktor stał w półotwartych drzwiach. Można było jeszcze wskoczyć wyciągając ku niemu dłoń.

- Magdaleno! - krzyknął profesor. - Matka! Pomyśl o matce! Podniosła dłonie i zasłoniła oczy. Pociąg przetoczył się obok niej, coraz

szybszy i szybszy, koła dudniły o szyny, ale łoskot ich odpływał, milkł, przestawał być rzeczywistością. Pomyślała przez ułamek sekundy, że gdyby wzięła zaraz taksówkę, mogłaby w Gdańsku złapać jeszcze pociąg. Dławiło ją w gardle, w uszach przelewał się ogromny szum przerażenia.

Gdy otworzyła oczy, peron opustoszał już z ludzi. Tylko opodal widniała wysoka sylwetka Piotra opartego o słup latarni.

III

Obudziła się z uczuciem, że jest jej ciasno i niewygodnie. Gorące duże ciało przywierało do niej bokiem, nagie ramię mężczyzny trzymało ją w ciasnym objęciu.

Otworzyła oczy. Obcy jej pokój zalewała fala ostrego, porannego światła. Ostrożnie, spod rzęs, spojrzała na głowę Piotra spoczywającą obok niej na poduszce. Spał. Oddychał głęboko i spokojnie. Nie miała odwagi go obudzić. Wspomnienie nocy oblało jej twarz gorącym rumieńcem. Leżała przez I chwilę nieruchomo, jakby wsłuchując się w swoje wnętrze. Ale miast niespodziewanych jakichś wrażeń poczuła naraz, że jest głodna, przeraźliwie spragniona dobrej herbaty, trzeszczącego pieczywa i soczystego plastra szynki. Poruszyła się w nadziei, że obudzi Piotra. Wsparta łokciem o jego pierś zaczęła przyglądać mu się, jakby zobaczyła go po raz pierwszy, i wszystko, co dostrzegała w jego twarzy, było odkryciem i niespodzianką. Prosty nos, dziewczęce rzęsy, jaśniejsze nieco na końcach, i mocna broda mężczyzny, o zaciśniętych w głębokim śnie szczękach. Ciemny zarost wydostawał się spod skóry i nie wiadomo dlaczego ucieszył Magdalene, gdy dotknęła dłonią szorstkiego policzka.

Będzie musiał się golić - pomyślała. - Będzie stał w łazience i gwizdał, rozrabiając pędzlem białą pianę. - Och, to było chyba najpiękniejsze z całego obcowania z mężczyzną, ta poranna chwila, kiedy goli się w łazience i gwizdże.

Przytuliła czoło do jego policzka. Chciała, żeby się obudził. Czowała głód i samotność. Ojciec dojeżdżał właśnie do Warszawy. Za chwilę matka dowie się o wszystkim. Usiądzie, zacznie płakać. Kto zawiadomi Andrzeja? Wstyd, wstyd - to będzie pierwsze uczucie, jakie ją ogarnie.

Potrząsnęła Piotrem. Nie powinien był pozwolić, aby rozmyślała po przebudzeniu.

- Nie śpij! - powiedziała prawie wrogo.

Uniósł powieki, przez chwilę patrzył na nią nieprzytomnie, a potem zaczął się rodzić w jego oczach błysk uśmiechu.

Położyła głowę na jego piersi i trwali tak przez długą chwilę, onieśmieleni sobą i nagłym szczęściem, które przytrafiło im się w życiu.

— Jeść! - szepnęła Magdalena.

— Zaraz dostaniesz. Zaraz dostaniesz jeść - mówił Piotr ze śmiechem. Czuł ogromną; rozsadzającą piersi radość, że to on, on będzie ją teraz karmił, ubierał i ogrzewał sobą. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Trzymał ją przy sobie ciepłą, żywą, oplecioną wokół niego udami, a jednak bał się, że to wszystko złudzenie, może sen, może gorączka?

— O czym myślisz? - zapytała.

Przypomniał sobie, że zawsze bała się jego milczenia. Zsunął się z łóżka i ukląkł przy nim, opierając twarz o jej kolana. Nie umiał inaczej wyrazić swego uczucia.

Magdalena otoczyła ramieniem jego kark.

— Wstań! - powiedziała zawstydzona. - Nie możesz klęczeć przede mną.

— Za ten jeden ranek będę przez całe życie klęczał przed tobą.

Ojciec dojeżdża do Warszawy - pomyślała Magdalena. -

Może Andrzej wyjdzie na dworzec i od razu dowie się o wszystkim? Co pomyśli? Jak się zachowa? Muszę do niego zaraz napisać - postanowiła, choć wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie.

Piotr podniósł się z klęczek i zaczął się ubierać.

Magdalena patrzyła w okno, udając, że nie zwraca na to uwagi. Dzień wstawał czysty, nie skażony żadną chmurą na niebieskim niebie.

- Otwórz okno! - powiedziała.

Do pokoju wtargnęło rześkie powietrze poranka. Magdalena czuła w nim ostrą woń morza, zapach wielkiej wody. Nie zdawała sobie sprawy, ile w tym złudzeniu jest jej usilnego pragnienia, żeby jak najprędzej pokochać to wszystko, co ją teraz otaczało, co miało stać się jej domem i życiem.

- Od morza jesteśmy daleko - powiedział Piotr. - W stocznicy są tylko kanały. Pokażę ci któregoś dnia.

Magdalena skrzywiła się rozczarowana. Za drzwiami, do połowy tylko zasłoniętymi niską szafą, zapłakało dziecko.

— Co to? - spytała.

— To mały Marciniak - odpowiedział Piotr pogodnie. - Trzeba przyznać, że zachowywał się dziś w nocy wzorowo. Nie zapłakał ani razu, a zwykle koncertuje dość często.

— Mieszkanie jest wspólne? - wyjąkała Magdalena.

— Oczywiście! - roześmiał się. - Jakże mogłoby być inaczej! I tak miałem szczęście. W innych mieszkaniach gnieździ się po kilka rodzin. A tutaj tylko Marciniakowie i ja.

— Ile oni ich mają, tych dzieci? - spytała.

— Na razie troje.

— Jak to - na razie?

— Bo chyba niedługo będą mieli czwarte.

— No to jest nadzieja, że cię stąd wykwaterują. Przy tym tempie produkcji będzie im przysługiwało całe mieszkanie. - Mówiła to wszystko bez uśmiechu, nie patrząc na niego. Piotr sposepniał.

— Zobaczysz - oni w gruncie rzeczy są bardzo mili.

Jestem pewny, że I potrafisz się z nimi zaprzyjaźnić.

— Sam powiedziałaś „potrafisz”. Sądzisz, że to będzie jednak trochę trudne?

Nie odpowiedział. Zrozumiała, że jest mu przykro, tak jakby on sam ponosił odpowiedzialność za wszelkie trudności mieszkaniowe w kraju, za tro - I je dzieci Marciniaków i bliską nadzieję powiększenia ich rodziny.

- Już koniec awantury - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Ostatecznie nie musimy tu mieszkać.

Piotr zgodził się skwapliwie.

- Oczywiście. Zaraz jutro zacznę starać się o inne mieszkanie. A teraz skoczę kupić coś do jedzenia. Ty nie wstawaj - dorzucił spostrzegłszy, że Magdalena ma zamiar zacząć się ubierać.

Popatrzyła na niego speszona.

— Ale ja muszę, Piotrze.

— Z tym będzie gorzej - Piotr zatrzymał się przy drzwiach niezdecydowany. - Wspólna toaleta mieści się na półpiętrze, ale od tygodnia jest zepsuta.

Magdalena oblizwała wargi.

— Gdzie więc?...

— Chodzimy na podwórze. Ale tam brudno. Poczekaj - otworzył drzwi i minąwszy korytarz wszedł do kuchni. Była jeszcze pusta. Pod zlewem stał nocnik małych Marciniaków. Piotr chwycił go desperackim ruchem i przez uchylone drzwi wsunął do pokoju.

Magdalena nie ruszając się z łóżka wpatrywała się, jak urzeczona, w niebieskie emaliowane naczynie. W pierwszej chwili chciała się roześmiać, ale zmysł humoru ją zawiódł. To wszystko, co w jej marzeniach błyszczało wyolbrzymionym przez nader długie czekanie patosem miłości, zostało na - i gle sprowadzone do szczegółów zbyt realnych. Miała ochotę zanurzyć twarz w poduszce i zapłakać ze wstydu. Ale zdała sobie sprawę, że łzy były w tej sytuacji bezużyteczne. Niczego nie można już było zmienić ani naprawić. Ogarnął ją strach, a potem

paniczna chęć działania. Kochała Piotra, kochała go tak samo jak wtedy, gdy połączyły ich losy wojny. Ale tamten prymityw i warunków był romantycznym plenerem ich miłości. Ten - był po prostu nędzą, obskurnym prostactwem, na które nie miała zamiaru się godzić.

Jeśli naprawdę jest inżynierem chemii, tak jak mi powiedział - rozmyślała - to dlaczego mieszka tak podle, dlaczego wystarczają mu te meble, ten pokój, towarzystwo Marciniaków, dlaczego mu to wszystko wystarcza, u diabła? - Postanowiła zabrać się do tego jeszcze dziś, natychmiast, zaraz. Zsunęła nogi na podłogę, ale przy łóżku nie czekały jej ranne pantofle.

Przypomniała sobie, że nie ma nic poza kostiumem i jedną koszulą. Nawet nowy pulower i buty powędrowały do Warszawy zapakowane do wspólnej walizki, jaką miała z ojcem.

Przy drzwiach stał pokornie niebiesko emaliowany nocnik. Magdalena z rezygnacją podeszła do niego. Wskoczyła potem z powrotem do łóżka i nakryła się po brodę kołdrą. Gdy Piotr wrócił, obładowany paczkami, wyglądała jak dobrze wychowany pies, który się wstydzi, że zamknięty w pokoju musiał załatwić się na dywan.

Piotr roześmiał się i złożywszy paczki na stole, wyniósł nocnik z pokoju. Powrócił z dwoma innymi naczyniami w rękach. Były to kubki z herbatą. Sterczały z nich aluminiowe łyżeczki.

- Usiądź! - powiedział, gdy Magdalena leżała wciąż ze szczelnie zamkniętymi powiekami. - Dostaniesz zaraz śniadanie. - Przyniósł stół do łóżka i rozłożył na nim przyniesione sprawunki. - Niestety, nie mam talerzyków, ale kupię je dzisiaj. Spisz? - zapytał, pochylając się nad nią.

Zanurzył dłoń w jej włosy i potargał łagodnie.

- Nie trzeba się wstydzić - powiedział. - To wszystko jest tak samo naturalne jak miłość. Wiem, że nie miałem prawa narażać cię na te warunki, ale sama powiedziałaś...

Usiadła gwałtownie na łóżku. Chwyliła dłoń Piotra i

zaczęła okrywać ją pocałunkami.

- Tak - szepnęła namiętnie. - Tak! Chcę tylko ciebie. Tylko ciebie. Spożyli śniadanie w nastroju wielkiego święta.

Magdalena brała palcami pokrojoną na papierze kielbase, rozsmarowywała masło na bułkach małym scyzorykiem Piotra i zlizywała z pergaminu krem pozostały po ciastkach. Siedziała na łóżku zaróżowiona, rozgrzana jedzeniem i zachwytem, jaki czytała w oazach Piotra.

- Poleż sobie jeszcze trochę - powiedział, odsuwając stół.
- Ja muszę już iść.

- Nie będziesz się golił? - zawołała z rozczarowaniem. Przesunął dłoń po brodzie.

— Ogołę się wieczorem. Teraz już za późno. Mam dzisiaj tyle spraw do załatwienia.

— Gdzie pracujesz? - spytała z ciekawości.

— W Komitecie.

— Gdzie?

— W Komitecie Wojewódzkim PPR-u.

- Jezus Maria! - Magdalena aż usiadła na łóżku. Patrząc na nią Piotr mimo woli się roześmiał.

- Trudno, musisz pogodzić się z tym, że będziesz miała męża aktywi stę - rzekł wesoło.

Ale Magdalena nie przejęła jego tonu.

- Przecież ty jesteś chemik? - szepnęła.

- Teraz są rzeczy pilniejsze niż chemia - powiedział poważnie.

- Dla kogo pilniejsze?

- Dla nas wszystkich.

Patrzyła w milczeniu, jak szuka czapki i zabiera ze stołu pudełko z papierosami.

- Przyjdę po południu - powiedział. - Czekaj na mnie, pójdziemy na obiad.

I dorzucił od progu:

- Musisz dziś napisać do Warszawy po swoją metrykę. Długo leżała po jego wyjściu, wpatrując się w sufit. Z rodzicami

koniec! - myślała. - Gdyby nawet kiedyś przebaczyli mi

sposób zamążpójścia, to nie przebaczą nigdy jego podmiotu. W dodatku rewolucja nie obeszła ich z daleka. Ojciec ma swego pielęgniarza-dyrektora, matka szewca nad głową, a w wyobraźni babki rozparcelowana Stawówka urosła do rozmiarów dóbr łańcuckich. Piotr nie może liczyć na powodzenie w tej rodzinie. W dodatku jeszcze - Zygmunt u Andersa!

Zamyśliła się ponuro, a tymczasem u Marciniaków znowu zapłakało dziecko. Jakiś cienki głosik usiłował je uspokoić, ale bezskutecznie. Płacz wzrósł się, przechodził w krzyk. Cienkiemu głosikowi także już zbierało się na płacz. Magdalena wsunęła głowę pod poduszkę, ale i tu docierały dźwięki zza ściany. Znow opanowała ją niechęć do Piotra. Partyjny, a nie mógł wystarać się o mieszkanie - pomyślała. Ich szewc z Saskiej Kępy zapisał się do partii, to przynajmniej coś z tego ma. Nigdy w życiu nie mieszkałby z profesorem uniwersytetu.

Dziecko płakało coraz głośniejsze i Magdalenie zrobiło się nagle żal Piotra. Jemu przecież także musiało to przeszkadzać. Trudno było go winić za to, że nie potrafił rozpychać się łokciami. W gruncie rzeczy przedsiębiorczość Andrzeja nie budziła w niej nigdy entuzjazmu.

Wstała, ubrała się szybko i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Dzieci były same w domu, matka musiała wyjść po sprawunki i nie wróciła jeszcze. Przez wpółotwarte drzwi sąsiedniego pokoju zobaczyła Magdalena może czteroletniego chłopczyka, pochylonego nad niemowlęciem leżącym na łóżku wśród rozkopanej pościeli. Pakował mu do gardła pustą butelkę po mleku, prawdopodobnie w celu radykalnego uciszenia. Odebrała mu flaszkę. Chłopczyk patrzył na nią przerażony i mało brakowało, a byłby wstąpił w ślady swego młodszego brata.

Zdjęła z ręki zegarek i migotała nim nad głową małego. Starszy chłopczyk wdrapał się na łóżko i śledził z uwagą ruchy jej ręki.

- Tata ma także - powiedział.

Dziecko uciszało się powoli, ale kiedy Magdalena cofała

rękę z zegarkiem, podejmowało na nowo swój pracowity wrzask.

- Jednym słowem, chcesz, żeby cię bawić - roześmiała się. Starszy chłopczyk zawtórował jej głośno. Magdalena wytargała go wesoło za włosy.

Tak zastała ich Marciniakowa, gdy obładowana chlebem, bańką z mlekiem i siatką pełną kartofli zjawiała się na progu. Piotr musiał zawiadomić ją poprzedniego dnia o jej przyjeździe, bo nie zdziwiła się zastawszy ją w mieszkaniu. Była to kocięta z naturalnym spokojem przyjmująca wszystkie ciężary i przykrości swego gatunku, już za życia zamordowana pracą i biologicznymi obowiązkami ciała. Może była nawet młoda, ale Magdalena nie mogła zgadnąć jej wieku. Po prawdzie nie była go ciekawa. Chciała jak najprędzej wycofać się do pokoju Piotra. Czuła mdłości na widok tego mieszkania z oleodrukami na ścianach, dzieci w posmarkanych koszulkach, kobiety obciążającej bawełnianą sukienkę na wzdętym brzuchu. Dusił ją fala pospolitości lepkiej i oślizłej.

— Niech pani posiedzi - Marciniakowa wytarła ścierką krzesło.

— Dziękuję - odpowiedziała szybko. - Nie mam czasu. Muszę posprzątać i wyjść do miasta.

— Mężulkowi będzie teraz przyjemnie - twarz Marciniakowej wykrzywił uprzejmy uśmiech.

Magdalena zmieszała się. Poczwała, że się rumieni, ale kobieta ciągnęła dalej przymilnie:

- Sam, po całych wieczorach sam. Tylko ten nos w książkę wsadzi i czyta. Mój - zatrzymała się na chwilę i machnęła ręką - pan Janek to chociaż uczony, ale mój to zwykły człowiek, a też się tymi książkami zaraził. Nic, tylko by czytał po nocach, mnie i dzieciakom spać nie daje.

Magdalena wyłowiała z tego gadania dwie rzeczy: że sądząc po figurze jego małżonki, Marciniak znajduje wieczorami czas również i na inne zajęcia oraz że wreszcie przez usta tej kobiety dowiedziała się prawdziwego imienia człowieka, z którym spała tej nocy. Była to jakby obelga, ale ucieszyła ją. Czuła potrzebę psychicznego dostosowania się do wszystkiego, co ją otaczało: ludzi, sprzętów, smrodliwego powietrza w pokoju. No, babka byłaby zadowolona! - pomyślała z mściwą satysfakcją. - Piotr jest chyba dostatecznie obcy, żeby stanowić pierwszorzędną atrakcję na

całe życie.

- Dobrze, że pani lubi dzieci - ciągnęła dalej kobieta. - Nie wytrzymałaby pani inaczej z tą moją rebiatą. - I roześmiała się, zadowolona z rosyjskiego słowa.

Magdalena wróciła do swego pokoju i usiadła bezradnie na brzegu łóżka. Potem podeszła do okna i spojrzała w szeroką przestrzeń błękitu, wiszącą nad stoczną. Dźwigi wyglądały jak ogromne czaple. Będę to widzieć co dnia - pomyślała. - Pokocham. Dziś tylko trzeba starać się nie myśleć. Wybrałam za trudny rodzaj szczęścia - oto wszystko. Innym przychodzi to łatwiej. Nie są zmuszani do konfrontacji. Konfrontacje nigdy nie są przyjemne. Konfrontacje ludzi, sprzętów, światów.

Odwróciła się od okna i znów usiadła na łóżku. Pod ścianą stała niska szafka z książkami. Sięgnęła po pierwszą z nich: *Józef Stalin - Krótki życiorys*. Nie - pomyślała - przy tym niczego nie da się zapomnieć. Odłożyła książkę na miejsce i wzięła drugą: *Podręcznik języka rosyjskiego*. Dopiero na drugiej półce znalazła coś do czytania: *Czerwone i czarne* Stendhala i *Duszę zaczarowaną* Romain Rollanda.

Uśmiechnęła się. Anetka Riviere - to był sprzymierzeniec. O, i Sylwia była nim także - najbardziej paryska ze wszystkich kobiet w literaturze francuskiej. Sprężysta i zwinna łasiczka. Nie, łasiczka należała wprawdzie do Romain Rollanda, ale darował ją swemu Colas Breugnon.

Magdalena z nadzieją wyciągnęła rękę. Tak. Mieszkał tutaj i ten czarujący stary Burgundczyk, nigdy niesyty życia, łakomy, sam soczysty jak owoc. Doznała krzepiącej pociechy na widok tych książek. Jeśli Piotr lubił je tak I samo jak ona, porozumienie z nim wydawało się łatwe, jak pocałunek. Znów I powtórzyła sobie, że nie powinna go winić za brak zdolności rozpychania się łokciami. Na pewno wolałby mieć ładne mieszkanie, meble nie tak ascetyczne i spodnie mniej postrzępione przy mankietach. Zajrzała do szafy, czy nie wiszą w niej te nieszczęsne portki, w których zobaczyła go pierwszego dnia. Tak, Piotr zawiesił je na wieszaku pieczołowicie, jakby należały do wizytowego stroju. Zdjęła i

pokiwawszy głową nad niewesołym ich stanem, rozejrzała się za igłą. Znalazła ją wraz z nićmi w blaszanym pudełku na oknie - widocznie Piotr sam zajmował się usuwaniem braków swojej garderoby. Zdawało jej się, że potrafi to lepiej od niego. Skończywszy z igłą, poprosiła Marciniakową o pożyczenie żelazka i wyprasowała spodnie, sama dziwiąc się swoim krawieckim zdolnościom. Potem zasłała łóżko, pozamiatała podłogę, wytarła kurz i odpoczęła zadowolona z siebie. Poczula głód. Wyjmując z papieru kielbasę pozostałą od śniadania przypomniała sobie o talerzykach i szklankach. Przeliczyła pieniądze. Z sumy, którą dał jej ojciec, pozostało zaledwie sześćset złotych. No dobrze - myślała - wydam je i co dalej? Piotr nie wygląda na zasobnego. Ile też w takiej partii mogą płacić? - zastanowiła się ponuro.

Wzrok jej padł na pierścionek, który miała na palcu. Dwukaratowy brylant w platynie był darem babki z okazji jej bliskiego ślubu. Biedna babcia, pośpieszyła się z prezentem! Pierścionka od Andrzeja nie miała. Ich zaręczyny - niezupełnie formalne - miały miejsce przed wojną, a ponieważ nie kwestionowano ich trwania, nie było okazji do uroczystego zamienienia pierścionków. Ominął ją teraz przynajmniej obowiązek odesłania pierścionka Andrzejowi. Z babką była oczywiście inna sprawa - mogłaby się poczuć obrażona, gdyby Magdalena odesłała jej prezent. Poza tym był zbyt cenny, żeby powierzać go poczcie. Zadumała się, obracając pierścionek na palcu. I nagle babka wydała jej się najbliższym człowiekiem na świecie, jedyną istotą, która była zdolna ją zrozumieć. Pomyślała, że babka nigdy w życiu nie wybaczyłaby jej, gdyby będąc w potrzebie nie zwróciła się do niej o pomoc! Zerwawszy się z krzesła zaczęła gorączkowo szukać listowego papieru. Znalazła jakiś kancelaryjny blok i kopertę. Wyjęła pióro z torebki i zasiadła do pisania.

List był dziełem lisa, sowy i jagnięcia.

Kochana Babciu! - napisała i postawiła po tych słowach zamaszty, bardzo pewny siebie wykrzyknik. - *Na pewno wszyscy zgodnie wyrzekliście się mnie, zawsze umiecie jakoś szybko pogodzić się w nieprzyjemnych sprawach. Ze mną jest jednak gorzej - ja nie potrafię wyrzec się Was, to dla mnie o wiele trudniejsza historia. Ci, których kochamy, są niejako naszą własnością - mogą nas nie chcieć, ale nie mają możliwości siebie nam odebrać. Ojciec bez wątpienia ma rację. To wszystko, co zrobiłam, jest oburzające. Do końca życia nie przestanę się wstydzić. Pocieszyć mnie może jedynie fakt, skrupulatnie odnotowany w kronikach rodzinnych, że moja mama w identyczny sposób wychodziła za mąż. I nie żałowała tego przez całe swoje życie.*

Gdyby Babcia, przy częstej zapewne okazji roztrząsania mego występu, raczyła szepnąć słówko na ten temat, byłabym Babci szczerze wdzięczna.

A teraz coś o nim. Babcia na pewno umiera z ciekawości. Nie wspominałam po powrocie z Rzeszy, że kogoś tam kochałam - zawsze bałam się śmieszności, choćby w najmniejszym gronie, a nie byłam pewna, czy ten człowiek należy do mnie. Musi bowiem Babcia wiedzieć, że Piotr (w rzeczywistości ma na imię Jan, ale w Niemczech miał lewe papiery, bo uciekł z obozu) to taki żywy dr Judym, tylko że ja ńę nie nadaję na Joasię. Nawet teraz po spotkaniu w Gdyni plótl mi tam coś o jakichś różnicach między nami, o swoim trudnym życiu i tych historiach, które Babcia zna z literatury. Ale ponieważ potem płakał, wiedziałam, że muszę zostać przy nim. Zobaczyć Piotra płaczącego, słyszeć, jak mówi o śmierci i mieć przy tym nad głową niebo, widoczne przez potrzaskany dach kościoła Marii Panny - to było zbyt wiele, jak na moją wytrzymałość.

Piotr jest komunistą. Już widzę, jak w oczach Babci skandal, którego się dopuściłam, przestaje być takim sobie zwykłym towarzyskim skandalem i urasta do rozmiarów katastrofy. Ja byłam nie mniej wstrząśnięta niż Babcia, choć właściwie

mogłam się tego po nim spodziewać. Muszę tu nadmienić, że Piotr jest z zawodu inżynierem chemii. Jest wykształcony i można z nim porozmawiać na każdy temat. W gruncie rzeczy jestem pewna, że Babcia byłaby nim zachwycona. Bo Babcia lubi mężczyzn prawdziwych, nie podrabianych wata w marynarkach, takich co to można iść z nimi najciemniejszą ulicą. Taki jest Piotr. No, mówię Babci, można było się w nim zakochać.

A co do ciekawości, którą mąż powinien wzbudzać, to on ma jej całe pokłady: mówi mało i właściwie - nie zawsze wiem, co myśli.

Staram się Babci jakoś osłodzić ten mój mezalians - wiem, że trudno przyjdzie Babci go przelknąć. Ale mezalianse nieraz mogą się przydać. Gdyby mama nie popełniła mezaliansu wychodząc za ojca, gdzie by Babcia teraz była po rozparcelowaniu Stawówki? Tak więc i mój mezalians może się z czasem przydać całej naszej rodzinie, jeśli już musimy teraz w ogóle na ten temat rozmyślać.

Piotr jest wprawdzie ósmym cudem świata i posiada wszelkie zalety, niestety jednak - prócz pieniędzy. Jest biedny jak mysz kościelna, choć to porównanie nie przystoi marksiście. On chce naprawiać świat, a to - w odróżnieniu od psucia świata - zawsze robi się za darmo.

Możesz więc sobie wyobrazić, kochana Babciu, jak się czuję zjechawszy mu tu na kark w jednym kostiumie i jednej koszuli (zupełnie jak w tym powiedzeniu „wziął ją w jednej koszuli”, co jest podobno dowodem wielkiej miłości, ale na pewno nie ułatwia życia). W dodatku apetyt dopisuje mi zupełnie wyjątkowo. Tłumaczę to sobie nie tyle zmianą stanu, co powietrza. Mam zamiar zacząć pracować. Ale Babcia może sobie wyobrazić, ile będę zarabiać! Poza tym pierwszą pensję dostanę ostatniego maja, a ja muszę mieć zaraz pieniądze na uzupełnienie mojej garderoby.

Pomyślałam więc o sprzedaży pierścionka, który mi dałaś. Jeśli stanowi dla Babci pamiątkę, to - oczywiście - nigdy się na to nie ważę. Ale jeśli jest tylko cennym przedmiotem (bardzo cennym,

prawda? - na wszelki wypadek napisz mi, ile jest wart, żebym się nie dała oszukać), to chyba mogłabym się nim poratować? Nie sprawiłoby Ci chyba przyjemności, gdybyś dowiedziała się, że Twoja jedyna wnuczka świeci, za przeproszeniem, gołym tyłkiem? Ten mój bolszewik byłby „pewnie z tego zadowolony, bo to asceta i od razu bardzo bym pasowała do jego otoczenia. Nie wyobrażasz sobie, Babciu, jak mimo wszystko nie mam na to ochoty. Proszę Cię więc, napisz niezwłocznie, czy zgadzasz się, żebym sprzedała brylant. Będę czekać niecierpliwie na Twój list.

Mam jeszcze inną do Babci prośbę. Proszę nie pozwolić, aby mama i ojciec za bardzo się mną martwili. Jestem pewna, że to się da w najbliższym czasie złagodzić. Ale teraz są pewnie na mnie wściekli, a wściekłość to najgorszy gatunek rozpaczy. Gdyby przynajmniej Zygmunt wrócił i był z nimi, ale on ma patriotyczny powód do stania się złym synem, i jeszcze jedno - jeśli spotkasz Andrzeja, bądź dla niego miła. Bardzo mi przykro, że nie potrafiłam go kochać, choć jest na pewno tego wart. To dlatego że znalazłam go zbyt długo. Piotr też by mi pewnie wywietrzył z głowy przez tyle lat narzeczeństwa. W miłości jak na wojnie - do celu prowadzą tylko nagle, ostre ataku. Przepraszam Babcię za te sentencje, ale ilekroć jestem zdenerwowana, zawsze same układają mi się w głowie.

Proszę pozwolić ucałować rączki i nie gniewać się na Magdalene.

Czekam niecierpliwie na list.

Zaadresowała kopertę, opatrzyła ją w adres nadawczy, zasięgnąwszy uprzednio u Marciniakowej potrzebnych informacji - po czym po krótkiej zadumie uzupełniła list lakonicznym postscriptum:

Jeśli w ciągu czterech dni nie otrzymam odpowiedzi, będę uważała milczenie Babci za zgodę.

I zakleiła kopertę, przymykając oczy.

IV

Przed dworcem stara kobieta sprzedawała bukietki fiołków. Piotr przystanął, aby kupić je dla Magdaleny. Płacąc, zdał sobie sprawę, jak mało ma pieniędzy. Powrót Magdaleny w jego życie stał się niezwykłą dezorganizacją. Zaczął nagle myśleć o pieniądzach. Nigdy dotąd nie martwił się, czy wystarczy mu ich do pierwszego. Obiady miał z góry zapłacone w stołówce. Śniadania i kolacje umiał ograniczyć - gdy zachodziła potrzeba - do bohaterskiego minimum. Obecnie jego nagle szczęście rysowało się konkretną sumą wydatków i Piotr, wstydząc się przed sobą, wciąż powracał myślami do tej sprawy.

Mimo to nie mógł odmówić sobie kupienia Magdalenie bukietka fiołków i niosąc je, czuł radość wielkiego podarunku. Myślał, jak mało doznała od niego tych drobnych, zwykłych względów, należnych kobiecie, których na pewno nie szczędzili jej inni, choćby Gaston. Jakże on umiał patrzeć, jak umiał patrzeć na nią!

Kwiaty, słodczyce, czułe spojrzenia - cały ten repertuar cywilizowanych zabiegów miłosnych sprawiał mu niemało kłopotów. Zwłaszcza że zaczynał odnajdywać w nich zawstydzający go urok. Podniósł do nosa bukietek drobnych kwiatków i chłonał ich przenikliwy zapach. Pomyślał, że trzeba będzie którejś wolnej niedzieli - nie pamiętał, kiedy miał ją ostatnio - pojechać na prawdziwą wieś, do prawdziwego lasu, nad jakąś prawdziwą polską rzekę. Wychowany na warszawskim asfalcie znał tylko niemiecką wieś. Uważał to prawie za jakieś swoje narodowe kalectwo, jeszcze jedno narodowe kalectwo, które niósł w sobie. Potrząsnął głową, znów łapał się na niepotrzebnych, niebezpiecznych dla wewnętrznej równowagi, myślach. - Cierpliwości! - szepnął. - Wszystko jeszcze będzie: odpoczynek, zielona wieś, spokojne ludzkie życie. Cierpliwości!

Usłyszał nagle, że ktoś się śmieje - blisko, tuż przed nim.

Podniósł głowę i poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Na krawężniku chodnika stała Bronka. Musiała widzieć go z daleka i zatrzymawszy się, czekała na niego. Trzymała w dłoni taki sam bukietek fiołków i śmiała się z jego zamyślenia sprzed chwili i rumieńca, jakim spłonął, przyłapany na gorącym uczynku. Ten gorący uczynek nie dawał się na razie bliżej sprecyzować, ale cień podejrzenia krył się już w jej ładnych, roześmianych oczach.

- Fiołki - powiedziała. - Fiołki?

Nie mogła się obronić przed tą nutą zapytania w głosie i zmieszana nagle, podniosła swój bukietek do twarzy.

- Wiosna - mruknął Piotr.

Bronka przyjrzała mu się z małym uśmiechem.

- Wy ją także dostrzegacie? - I dodała po chwili: - Nawet nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Czy komuniści na pierwszym etapie mają prawo do wiosny?

Mówiła to prawdopodobnie także i o sobie, ale Piotr uświadomił sobie naraz - po raz pierwszy od kiedy ją znał - że zaczyna rozumieć tych, którzy się jej bali. Maniera niejednoznaczności tego, co mówiła, nie pozwalała czuć się bezpiecznym pod obstrzałem jej spostrzeżeń. Ewentualność, że zawsze można było nie być w porządku, że z jakiegoś słowa, myśli czy pragnienia może wyłonić się niedopełniony obowiązek, krzywe niezrozumienie czy wygodna zdrada - mobilizowała wobec niej w sposób ostry.

Piotr zawisł spojrzeniem na wargach Bronki, jakby oczekując, co dalej powie.

Ona myślała jednak już o czymś innym.

- Czekałam na was - powiedziała z pretensją. - Wymknęliście mi się z komitetu, anim się spostrzegła. A referat? Sama mam pisać?

Spojrzał na nią niezupełnie przytomnie.

- Pojutrze referat ma być na egzekutywie, a w czwartek powinien już dotrzeć do terenu. I tak jesteśmy spóźnieni. Pierwszego maja nie da się przesunąć.

Umilkła i czekała ze zniecierpliwieniem. Bała się, że odgadnie prawdziwy powód jej niepokoju, i to ją wyprowadzało z równowagi. Odwróciła się i skierowała ku jezdni. Piotr ujął ją pod ramię, żeby

pomóc jej przejść po nierównym bruku i tramwajowych szynach. Przygryzła wargi. Poczwała, nagle swoją protezę jak stukilowy ciężar wiszący u nogi. Przygarbiła się. Fiołki, które wciąż trzymała wysoko przy twarzy, straciły zapach. Najgorszą rzeczą była świadomość, że on myśli o tym samym, że czuły dotyk jego dłoni na jej ramieniu, troskliwość, z jaką ją prowadził, to może szacunek dla jej żołnierskiej ofiary, ale także i litość, bardzo pospolita, bardzo ludzka i bardzo nieodwołalna.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie ulicy, uwolniła ramię z jego palców i milcząc szła przed siebie. Piotr kroczył obok niej, zdając sobie sprawę z tego, że zdążają w kierunku jego mieszkania. Może to był zwykły nawyk - nieraz przychodziła do niego, pozorując wizyty niezbyt przekonującymi powodami - a może naprawdę miała zamiar pisać u niego referat. Tak czy owak sytuacja nie była wesoła. Piotra ogarnął popłoch. Przestraszył się przede wszystkim tego, że nie ma odwagi powiedzieć jej o Magdalenie. Dlaczego, u diabła, miałby jej tego nie powiedzieć? Przyjaźnili się prawie, ona pierwsza powinna usłyszeć o szczęśliwej zmianie w jego życiu. Usiłował tłumaczyć sobie, że to brak wprawy w mówieniu o własnej osobie nie pozwala mu poruszyć tego tematu.

Wciąż milczał, a i ona zrezygnowała na razie z mówienia. Jak na złość, w płowym obszarze ruin, przez który brnęli oczyszczoną z kamieni ścieżką, nie było żadnego miejsca, ławki, gzymsu czy usprawiedliwiającego zatrzymanie się pasma zieleni. Mówienie o Magdalenie do nieprzyjaznego profilu Bronki wydało się Piotrowi zbyt trudne.

- Jutro - powiedział szybko.- jutro możemy pisać od samego rana. Zatrzymała się i patrzyła mu z bliska w twarz, unosząc ku niemu swą śliczną głowę oplecioną ciężkim, złotym warkoczem. Usta jej drżały.

— Dobrze - powiedziała cicho. Piotr zmieszał się.

— Odprowadzę was - rzekł, kiedy ruszyła w przeciwnym kierunku.

— Nie! - szepnęła krótko.

Ale mimo to szedł obok niej, podtrzymując ją przy każdej

nierówności gruntu, sam skrepowany swoją gorliwością.

Mieszkała na Siedlicach. Wsiadł z nią do tramwaju i osłaniając ją szerokimi plecami od tłoku, jeszcze raz spróbował nawiązać rozmowę.

Ale patrzyła przed siebie na twarze innych ludzi, zdawała się nie słyszeć tego, co mówił, w sposób doskonały wyodrębniona własnymi myślami ze zgiefku, który ją otaczał.

Dwie kobiety w kolorowych szalikach, związanych jak turbany na czubku głowy, prowadziły po niemiecku przyciszoną rozmowę. Bronka zatrzymała na nich przez chwilę czujne spojrzenie, wróciła jednak zaraz do swojej zadumy. Tramwaj zahamował na kolejnym przystanku i nowa fala ludzi wtoczyła się do wozu.

Stali na przednim pomoście, sprasowani do granic wytrzymałości. Piotr wyciągnął ręce ponad głowę Bronki i oparł się nimi o ścianę. Gdyby byli kochankami, zbliżenie w jakim się znaleźli, wystarczyłoby do pojednania. Ale oni czuli tylko zażenowanie. Bronka znów zaczęła gryźć wargi. Ostry wiatr, który przewiewał pomost, przynosił zapach lasu: mokrego mchu i sosnowych pni, ociekających żywicą. Ta woń, wiosenna i świeża, zmieszana z odorem męskiej odzieży i złego tytoniu, poraziła jej serce nagłym przypomnieniem leśnego szałas, w którym leżała przez długie tygodnie - już bezużyteczna, już uciążliwa, jak zepsuta, zardzewiała broń. Gdzieś nad czubkami drzew przeciągały dudniące ciężko samoloty. Może i od nich odrywały się nocą wirujące punkty spadochronów, może uczepieni do nich ludzie mieli więcej szczęścia niż ona: lądowali zdrowo i bezpiecznie lub ginęli od razu, nie potknąwszy się o śmierć.

Jak to mówił ten mały, płowy leningradczyk ze strzaskanym obojczykiem, który leżał obok niej?... - Uże my żiźni nie budiem kusat!... - Obydwoje mieli tak zdrowe, tak wspaniałe zęby: głodne, łakome i połyskujące nienawiścią, jak zęby wilka! Cóż on o tym gryzieniu?... Bredził, a ona powtarzała za nim: - Uże my żiźni nie budiem kusat!...

- Co mówicie? - zapytał Piotr pochyliwszy głowę.

- Wysiadam na następnym przystanku - odpowiedziała,

przepychając, się do wyjścia.

Piotr torował jej drogę. Była zła, że jej towarzyszy, że pomagając jej zejść ze stopni tramwaju musi niewątpliwie przyjrzeć się z bliska ciężkiemu buciorowi protezy, zastępującemu jej stopę.

Ruszyła przed siebie spieszej, niż mogła sobie na to pozwolić. Piotr ujął ją za ramię - och, mogłaby go uderzyć za ten opiekuńczy ruch, o którym nigdy nie zapominał.

- Do jutra! - powiedziała, zatrzymując się przed progiem swego domu. W prawej ręce trzymała wciąż bukietek fiołków, który ucierpiał nieco podczas jazdy tramwajem. Piotr czekał na podanie ręki; uświadomiła sobie, że nie ma prawa do dziewczęcych dąsów, że ośmiesza się w jego oczach. Wyciągnęła dłoń i pożegnała go mocnym, męskim uściskiem.

Przez Całą drogę układał wymówkę, która miała w sposób najbardziej przekonujący usprawiedliwić przed Magdaleną jego spóźnienie. Tego także nauczył się w ciągu ostatnich dni. Nie umiała czekać. Czuł prawie na odległość jej namiętą rozpacz potęgującą się z każdą chwilą samotności w jego wciąż jeszcze obcym dla niej pokoju.

Tym razem jednak Magdalena nie czekała na niego ze zwykłą niecierpliwością. Nie spostrzegła nieomal jego przyjścia. Siedziała przy stole i, zarumieniona z podniecenia, czytała jakiś list. Gdy stanął przed nią, podniosła na niego roztargnione oczy. Spojrzał na kopertę. Czerwona naklejka „express” świadczyła o ważności korespondencji, która została zapewne doręczona na krótko przed jego przyjściem.

- Od kogo? - zapytał z niepokojem. Położył bukietek fiołków na stole, ale nie zwróciła na niego uwagi.

- Od babci - odpowiedziała, pogrążając się znów w czytaniu. Starsza pani pisała:

Moje dziecko!

Ponieważ wiem, że nie przeczytasz uważnie listu, nie znalazłszy na wstępie odpowiedzi w najbardziej interesującej Cię sprawie - do niej przystępuję najpierw. Oczywiście: tak. Możesz sprzedać brylant. Naprawdę nie zniosłabym myśli, że moja wnuczka świeci gołym tyłkiem, jak to obrazowo ujęłaś. Nie zniosłabym jednak również myśli, że dałaś się oszukać, i dlatego proszę, żebyś się zwróciła najpierw do

nie zainteresowanego kupnem jubлера, który by brylant ocenił. Moim zdaniem, nie powinnaś wziąć za niego mniej niż dziewięćdziesiąt tysięcy. Jest to szczególnie piękny kamień i ma dobrą oprawę. Kupił mi go Twój dziadek, gdy miałam dwadzieścia lat i dopiero od roku byłam jego żoną. Jest to najprzyjemniejszy okres w małżeństwie, dopiero potem zaczyna się tzw prawdziwa miłość i szacunek. Kobiety mojej sfery często bywały prześladowane szacunkiem mężczyzny

Ten brylant zobaczyłam w oknie wystawowym u jubлера w Nicei. Kosztował wiele, ale dziadek miał wtedy pieniądze. Poza tym grał szczęśliwie w ruletę. Zdarzyło mu się to bodaj jedyny raz w życiu. Wyjeżdżał potem nieraz beze mnie i mówił, że mu się już nigdy nie wiodło. Myślę, że po prostu miał większe wydatki. Wracając do brylantu, sądzę, że kamień, wystawiony na sprzedaż w miejscu największych pokus świata, nie może po prawie pół wieku trafić do rąk jakiegoś gdyńskiego jubлера za zbyt niską cenę. Upadek wydaje się nam niekiedy zwycięstwem dzięki uzyskaniu przyzwoitej ceny.

Ciesz się, Magdaleno, że nie straciłaś dawnego kontenansu, jakkolwiek szczebiot Twego listu wydał mi, się zastanawiający. Nigdy nie posługiwałaś się tym tonem, zrezygnuj z niego czym prędzej w swoich nowych warunkach. Dokonałaś rzeczy, o której marzą wszystkie kobiety, wszystkie stare kobiety po przeprowadzeniu ostatecznego podsumowania strat swego życia: wychodzisz za mąż za człowieka, na którego masz ochotę. Nie wiem, czy w dostateczny sposób pojmujesz, jaka to wielka (przynajmniej początkowo) przyjemność. I jaka odpowiedzialność na przyszłość. Jeśli on także cię kocha, nie zmarnuj tego. I pilnij się - nie masz znowu aż tak wiele zalet. Twoja babka Ci to mówi. Przykro by mi było, gdybyś tego człowieka nie potrafiła uczynić szczęśliwym. Całuję Cię.

Mam nadzieję, że odezwiesz się od czasu do czasu.

Babka

Ani słowa o rodzicach i Andrzeju! Mimo zawartej w liście aprobaty na sprzedaż pierścionka Magdalena czuła się rozczarowana. Podniosła wzrok na Piotra, który wciąż jeszcze stał oparty o stół.

— Babka zgadza się - powiedziała bez radości.

— Pisałaś do niej?

— Tak.

— Jednak było ci to potrzebne!

— A jak twoim zdaniem miałam postąpić?

— Dlaczego więc nie napisałaś do rodziców?

— Do rodziców? - zdziwiła się. - Przecież to pierścionek babki.

— O czym ty mówisz? - krzyknął Piotr.

— Jak to o czym? Ach - roześmiała się nagle - przecież ty o niczym nie wiesz! Babka zgadza się, żebym sprzedała brylant.

— Jaki brylant?

— Ten, który mam na palcu. Będziemy mieli masę pieniędzy.

— Magdaleno! - rzekł cicho Piotr.

Przyskoczyła do niego i objawszy za szyję przytuliła czoło do jego policzka.

- Ach, mój kochany, kupimy sobie tyle wspaniałych rzeczy! Meble, dywan i firanki, bieliznę, sukienki, buciki i ubranie, ubranie dla ciebie!

Piotr zdjął jej rękę ze swojej szyi. Był blady.

- Ubranie dla mnie? -, powiedział przez zęby.

— Przecież nie masz... nie masz się w co ubrać - wyjąkała Magdalena.

— Nie ja jeden, wszyscy, cała Polska nie ma w co się ubrać.

Nie patrzył na nią. Spod opuszczonych powiek wzrok jego uciekał gdzieś w bok, żeby nie spotkać się z jej spojrzeniem. Wciąż trzymał ją za rękę.

— Boli - powiedziała cicho.

— Ubranie dla mnie! To nawet piękny pomysł. I co? Dywan - powiedziałaś. Dywan, meble, firanki, no, no...

— Boli!

Puścił ją i przeszedł się po pokoju. Patrzyła za nim, rozcierając przeguby rąk, - Myślałem - powiedział ze smutkiem - że nigdy nie będziemy musieli mówić na ten temat. Że dokonawszy wyboru, świadomie godzisz się nawszystko. Że nie będziesz się buntować, że nie będziesz się w ten sposób buntować.

Milczała, wciąż rozcierając rękę.

— Radość zdobywania w trudzie każdej drobnej rzeczy, radość

własności naprawdę własnej, zasłużonej. Mnie nigdy nikt niczego nie dawał, rozumiesz? - krzyknął, zatrzymując się przed nią. - Niczego od nikogo nie przyjmowałem. Sam zdobywałem wszystko, i będę zdobywał dalej - dla siebie i dla ciebie. Powinnaś mieć na tyle serca, żeby mi na to pozwolić.

— Ale - Magdalena postąpiła krok naprzód. Chciała dotknąć jego ręki, przytulić się - wiedziała, że czując ją blisko, nie będzie mógł krzyczeć na nią. - Ale... to będzie chyba długo trwało, a ja... ja muszę mieć zaraz...

— Nie będziesz miała. - Piotr cofnął się, nie pozwolił jej zbliżyć się do siebie, jego wzrok wciąż uciekał od jej przestraszonych oczu. - Nie masz prawa mieć niczego szybciej, więcej i łatwiej niż inni. Będziesz żyła tak jak wszyscy. Tak jak wszyscy będziesz dorabiać się łyżek, poduszek, butów i koszul... To jest najlepszy przepis na poznanie życia - roześmiał się krótko. Magdalena zobaczyła jego ostre zęby, ale zaraz skrył je w gorzkim domknięciu ust, gdy zamyslił się na chwilę, opuściwszy powieki.

— Siadaj! - powiedział. - Napiszesz list do babki.

— Nie! - krzyknęła Magdalena.

— Siadaj! - powtórzył. Rozkładał na stole czysty arkusz papieru. - Musisz - jej napisać, że się nie zgadzam - że ja się nie zgadzam.

— Nie! - krzyknęła znów Magdalena. Ukryła twarz w dłoniach. Wiedział, że za chwilę zacznie płakać. Dotknął lekko jej ramienia.

— Magdaleno! - szepnął. Usiadła przy stole. Usta jej drżały.

Kochana Babciu! - dyktował. - Ten straszny człowiek, którego wybrałam sobie, zdradziwszy Was, nie zgadza się na sprzedaż brylantu. On uważa, że Babcia nie powinna odejmować mi tej podstawowej radości, jaką jest zdobywanie wszystkiego własnymi rękoma. Mówił też coś o tym, że to jest najlepsza lekcja życia dla mnie. Jeszcze nie rozumiem, o co mu chodzi, ale skoro zgodziłam się żyć z nim, muszę godzić się też i na tę lekcję.

Magdalena podniosła oczy znad listu. Nie płakała, patrzyła tylko na niego, trzymając nieruchomo rękę z piórem.

- Pisz! - powiedział. Zagryzła wargi.

- Pisz! - powtórzył. - ...muszę godzić się też i na tę lekcję.

Kropka. *Dziękuję Babci za dobre chęci. Skorzystam z darowizny, gdy będę stara, chora lub męża zabiją mi na wojnie. Ucałowania rączek.*
Magdalena. - Dość serdeczności? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- A teraz koperta. Tylko się nie pomył! - Sam sprawdził zgodność adresu z adresem nadawczym na liście babki, zakleił kopertę i poszukał czapki. - Pozwolisz, że odniosę list na pocztę.

Dopiero teraz oprzytomniała. Zerwała się z krzesła i rzuciła się ku niemu, aby odebrać list. Ale trzymał go wysoko nad głową i nie narażając się na śmieszność, nie mogła mu go wydrzeć.

Jeszcze na schodach usiłowała go zatrzymać, ale nie odpowiadał na żadną z jej prośb, zacięty i milczący. Na ulicy zaczęła płakać. Nie mogąc dotrzymać mu kroku, biegła obok niego - wciąż jeszcze miała nadzieję, że odwiedzie go od wysłania listu. On jednak nie zwracał na nią uwagi. Szedł szybko, wydłużonymi krokami, jakby był sam na tej pustej, wyludnionej o tej porze dnia ulicy.

W okolicy dworca, wśród ludzi, Magdalena musiała zaniechać prośb i łez. Piotr zauważył, z jaką łatwością przeobraziła się w młodą damę, której nagle - zwalniając kroku - musiał ze spokojnym zadowoleniem towarzyszyć. Nawet podziw, który przez chwilę poczuł dla niej, nie złagodził w nim sposobu doprowadzenia do końca swego zamiaru. Nie zamieniwszy z nią słowa, kupił znaczek w kiosku i nakleił na kopercie. Patrzyła z natężeniem na jego palce, dokonujące tej prostej czynności. Jeszcze miała nadzieję, że nie zrobi tego!

Gdy wrzucił list do skrzynki, krzyknęła. Dopiero teraz spojrział na nią, w jej pociemniałe z upokorzenia i gniewu oczy. Jakże ją kochał, jakże kochał to oporne, wierzgające źrebę! Objął ją przez plecy. Teraz wreszcie mógł pozwolić sobie na wielką falę tklivości, która zalewała mu serce.

- Tak trzeba! - powiedział cicho.

Milczała, ale poczuł, że jej ramię miękko przywiera do jego piersi.

- Tak trzeba - powtórzył.

Wciąż objęci szli przed siebie wąską ulicą między rudymi od ognia ścianami opustoszałych domów. Na ich tle zamigotała z dala zwiewna zieleń pochylonej nad wodą wierzby. Poszli w tym kierunku, jednakowo spragnieni widoku wiosny. Była w tej zielonej plamie nie tylko niespodzianka - wytchnienie dla zmęczonych oczu, ale prawie nadzieja na odradzającą się pomyślność świata.

W omszałym kanale Radunia płynęła podniecona i wezbrana wiosną; jej nurt rwał pośpiesznie ku szumiącemu progowi, który niegdyś ożywiał koła Wielkich Młynów, a teraz był sprawcą jedyne go gwaru w tym muzealnym pustkowiu.

Piotr ujął twarz Magdaleny i podniósł ją ku sobie. Najpierw ją pocałował, a dopiero potem zaczął mówić. Czuł, że gdy jego wargi dotknęły jej ust, już przestała pamiętać o zdarzeniu sprzed chwili. Ale zostawił je czekające na drugi pocałunek.

- Magdaleno! - powiedział. - Musisz mi wybaczyć. Musisz mi wybaczyć, gdy nieraz będę brutalny i zaboli cię moja miłość. Chcę ci pokazać wartość mojego życia, chcę ci ją udowodnić, żebyś tak samo jak ja uwierzyła, że pragnąc zachować szacunek dla siebie - nie można żyć inaczej. Nie możesz mnie upokarzać, biorąc za wadę to, co ja przyjąłem za największy mój honor. Mam czyste ręce, nie grzebałem w popiele, nie starałem się zdobywać dla siebie nic, co by mi kazało spuszczać oczy ze wstydu przed tymi, którzy utracili tak wiele. Tak wiele - zamyślił się.

Stała przy nim blisko, każde słowo owiewało ją jego oddechem. Myślała, że znów ją pocałuje i za chwilę wróci do małego pokoju na Lisiej Grobli i on będzie z nią, on będzie z nią - jej jedyna niezaprzeczalna własność.

- Jest jakaś kolejność spraw, które należy u nas załatwić - mówił dalej. - Małe zachcianki ludzi muszą być na dalszym planie. Nie po to wstąpiłem do partii, żeby zgarniać meble, dywany i kryształ. Nie możesz tego ode mnie wymagać. Naplułbym w twarz każdemu, o kim bym wiedział, że tak postępuje. Musisz mnie zrozumieć, Magdaleno.

Rozumiała go. Teraz dopiero go rozumiała! Ogarnęła ją prawie macierzyńska, rozbrajająca czułość, napędzające łzy do oczu

pobłażanie dla tej jego maniackiej ufności w prawość ludzi. On w nich wierzył! On musiał w nich wierzyć!

Przeraziła ją myśl, że dopiero ta świadomość przekonała ją o konieczności pozostania przy nim: Piotr był w niebezpieczeństwie. Każdego dnia, każdej chwili grozi mu klęska. Co się z nim stanie, kto go będzie bronił, jeśli iskra, którą niósł w duszy, zgaśnie?

- Rozumiem cię - powiedziała cicho. - Rozumiem cię!

V

Nic nie umiem - myślała Magdalena ze zniechęceniem. Przy Andrzeju mogło to być nawet wdziękiem, ale w zestawieniu z brakiem poczucia humoru w tych sprawach u Piotra wyglądało na zwykłą, pozbawioną łagodzących cech osobistych, ignorancję. Nie czuła powołania do żadnego zawodu. Przed wojną zaczęła studiować prawo w nadziei, że nie przeszkodzi jej to w przyjemnym spędzeniu życia. Wciąż jeszcze w jej środowisku zawodem kobiety była jej pleć. Według ustalonych pojęć miała pełne szanse na zrobienie kariery w tym zawodzie. Wiele pokoleń pięknych Polek, nie niszczących sobie rąk dojeniem krów i ochraniających karnację parasolkami zarówno przed słońcem Warszawy, jak i Wenecji - cyzelowało jej urodę. I nagle wąskie pęciny nóg, dłonie z ołtarza Wita Stwosza, szlachetna linia karku, rysunek profilu i ten rodzaj czarującej bezbronności wobec życia, który zawsze zjednywał opiekunów, zdewaluowały się jak przedwojenne banknoty. Teraz wchodziły w obieg denerwująco zdrowe dziewczyny, mocno zaparte w ziemię potężnymi nogami. Nie czuła się na siłach, żeby z nimi współzawodniczyć. Jak przeczorny posiadacz akcji starała się jak najlepiej je zabezpieczyć. Sądziła, że transakcja się jej powiodła: Piotr kochał ją, taką właśnie jaką była, stworzoną według nie obowiązującego już modelu. Ale jej kobieca ostrożność kazała jej zabezpieczyć się podwójnie. Miłości Piotra nie należało wystawiać na zbyt ciężkie próby. Trzeba mu było poza urodą prababek dorzucić jakieś walory współczesne. Nie umiała na razie ich sobie wyobrazić. Naukę, a raczej uczenie się czegokolwiek, rygorystyczne, obłożone terminami egzaminów uznała za najbliższy,

najwygodniejszy ratunek. Podjęła zaoczne studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Zachowany przedwojenny indeks uprawniał ją do zapisania się na drugi rok. Przerzuciła palcami kilka kartek skryptu, leżącego przed nią na ławce kolejowego wagonu. - „Pacta sunt serVanda” - przeczytała trzy słowa, napisane dobitnym, rozstrzelonym drukiem.

Pociąg biegł między dwoma jeziorami, połyskującymi niebieskim odbiciem nieba. Obrzeżały je zręby pozłoconych jesienią lasów, schodzących ku wodzie z łagodnie pochylonych wzgórz. Błotne ptaki krążyły nad szuwarami. Smutne piękno krajobrazu zaskoczyło ją. Jechała po raz pierwszy tą trasą. Poczula się nagle spragnioną wszelkich wrażeń turystką, odkrywającą dla siebie jakiś kraj. Zabolęła ją, że Piotr nie wybrał się razem z nią. Mógł przecież z łatwością wynaleźć jakąś misję urzędową w te strony. Nie chciał jej jednak „niańczyć”, jak się wyraził, podczas jej pierwszej podróży służbowej. Doceniała w należyтым stopniu wagę tego zabiegu dydaktycznego, było jej jednak żal, że Piotr nie patrzył teraz wciąż z nią na rude odbicie drzew w ogromnych plamach nieba, między którymi biegł pociąg. Jego obecność przy niej pomnażała wszystkie wzruszenia. Nieraz zadawała sobie pytanie, czy to jest szczęście, czy też bezustanna zasadzka w jej życiu? Wciąż przecież odmieniała w myślach jego imię, jakby dwudniowa rozłąka, na którą musiała się zdecydować, była niewymiernym okresem tęsknoty. On był najważniejszym i bezpośrednim powodem jej podróży do jakiejś wsi w powiecie bytowskim, dla niego chciała być dzielna, zaangażowana w życie, przejmująca się załatwianiem powierzonych jej spraw. Jemu potrzebna była jej nauka, wkuwanie suchych formuł, na pamięć, strona po stronie.

Przeczytała kilka wierszy i znów zamyśliła się, patrząc w okno. Iluż to już rzeczy nauczyła się dla niego? Gotować! Ale to nie było najważniejsze. Przy odrobinie inteligencji dochodziło się jakoś do najszcześniejszych skojarzeń tłuszczu, mięsa, mąki i jarzyn. To ten ruch, jakim podpierała się pod boki, tocząc podczas gotowania codzienny dyskurs z Marciniakową, świadczył o jej pojętności w dostosowywaniu się do nowych warunków życia. Właściwie był to chyba tylko powrót - może dlatego przyszło jej to tak łatwo. Już w Niemczech nabyła umiejętności zadzierzystej rozmowy z Francuzkami, Erną, Weroniką i Krystyną. Nie czuła się niczym skrepowana w ich towarzystwie, nie brakowało jej słów, których lubiły używać, ani tematów” w których poruszały się najłatwiej.- Potem powrót do domu znów z niej to wszystko wymazał. Powrót do powojennego domu. Zdawała sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła w psychice jej najbliższych. Przed wrześniem dom jej rodziców nie miał cech, które teraz wywierały na jego atmosferę wpływ decydujący. Stawówka, w której dzięki finansowej pomocy ojca utrzymywała się jeszcze babka, była raczej czymś zawstydzającym i nikomu nie przychodziło do głowy chwalić się jej istnieniem. Teraz rozparcelowana Stawówka stawała się cierpiętniczym początkiem każdej rozmowy, a tak doniosłe uczestniczenie w narodowych klęskach wymagało dostrojenia się na odpowiedni ton.

Nie była już dawną Magdaleną, tak dobrze czującą się wśród międzynarodowej hołoty zamieszkującej hotel szanownej Frau Hochmeier w bawarskiej mieścinie Edelheim. Rozparcelowane dobra babki były w każdym jej słowie, które mówiła lub którego raczyła nie mówić. Marciniakowa podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Samo to, że mówiła o Piotrze zawsze „mężuś”, wystarczyło, żeby poczuć nieodpartą konieczność gestykulacji kopystką podczas każdej rozmowy w kuchni.

- Wielka, nieśmiertelna pospolitość! - mówiła sobie, zamykając się w swoim pokoju z uczuciem dopłynięcia do brzegu. W bezmyślnym odpoczynku, w jaki zapadała, pulsowała

słabo wciąż obecna świadomość, że tu właśnie, w nieśmiertelnej pospolitości ludzi, sprzętów, dźwięków, woni i barw widzi najostrzej swoje życie.

Pociąg przystanął na jakiejś małej stacji. Kilku ludzi stało na peronie. Trzasnęły drzwi wagonu. Magdalena poczuła niemiły lęk przed utratą samotności. Ale dwóch wyrostków przeszło dalej korytarzem, szukając wolnych przedziałów. Nieśli sękate worki, pękające pod naporem nieforemnych przedmiotów, nie przystosowanych kształtem do obchodzenia się z nimi w podobnie bezceremonialny sposób. Pociąg ruszył, za budynkami stacyjnymi ukazały się niskie ruiny startych przy ziemi domów. Dwoje ludzi - mężczyzna i dziecko - grzebało w ich szczątkach.

„Pacta sunt servanda” - Magdalena powróciła znów do skryptu. Wszystko wydało się jej bezsensowne. Czas był najmniej odpowiedni po temu, aby wykuwać na pamięć zasady prawa narodów. Nieobecne tak długo, zbiegły się teraz do ciasnego skryptu i na każdej stronie ośmieszały się swoją bezsilnością.

Właściciele sękatych worków, zajmwszy miejsca w sąsiednim przedziale, usiłowali wybić dłonią korek z butelki. Nie szło im, byli zbyt młodzi, aby mieć należyłą wprawę. Magdalena przysłuchiwała się z zainteresowaniem charakterystycznym odgłosom. Wreszcie korek strzelił, chłopcy zaśmiali się, a potem ucichli -7 jeden zajęty prawdopodobnie piciem, a drugi niespokojnym oczekiwaniem na swoją kolej.

Zamknęła skrypt i wsunęła go do teczki. Raz w życiu doświadczyła już podobnego pragnienia. W hotelu w Niemczech Polacy pili denaturat. Leżała na łóżku i słyszała przez ścianę pijacki hałas, podniecone śmiechy i krzyki. Na korytarzu przy zlewie wymiotował mały Grześ. Przed chwilą spotkała grupę rosyjskich jeńców, widziała jeszcze przed sobą żółte, rozbłyśnięte ostrą uwagą oczy niemieckiego psa, zwabionego zapachem chleba, który trzymała w ręce. Głodni ludzie maszerowali ulicą. Gdy zamknie się za nimi brama obozu, będą myśleli długo w noc o bochenku chleba, który niosła polska dziewczyna. Za ścianą

było wesoło: ludzie znaleźli jednak nawet tutaj sposób na ucieczkę od smutków. Magdalena zapragnęła wtedy wejść tam, napić się tego litosnego płynu, wciąż cuchnącego mimo prymitywnej destylacji, i zwaliwszy się na któreś z łóżek uczestniczyć w ogólnej beztrosce.

Teraz też jakiś fragment świata odbity w jej duszy wymagał natychmiastowego wymazania. Poczula nagłą chęć przyłączenia się do chłopców, odebrania im butelki i pociągnięcia kilku zdrowych łyków..

Spalone osiedle ciągnęło się po obu stronach toru. Zapięła paski na wypchanej teczce. Chłopcy śpiewali „Płynie, płynie Oka”. Nie byli na wojnie. Mogli mieć najwyżej szesnaście lat. Tyle, ile miał Grześ, gdy go zastrzelono.

Spojrzała na zegarek. Za kilka minut powinna być na miejscu. A potem furmanka, jeśli będzie miała szczęście, a jeśli nie - ileś tam kilometrów spaceru do wsi, której nazwa figurowała na jej delegacji.

Pociąg zanurzył się w las. Magdalena uchyliła okna. Uderzyło ją w twarz powietrze pachnące jesienią, łagodną śmiercią traw, mchów i liści. Chłopcy śpiewali teraz „Żołnierz drogą maszerował”.

Na stacji nie było żadnej furmanki. Dwie baby, które razem z nią wysiadły z pociągu, potoczyły się, niosąc kosze i walizki, w stronę widniejącego na wzgórzu osiedla. Zapytała kolejarza, który stał jeszcze na peronie, o drogę do Jasieńca.

Zdumiał się.

—Pani tam do kogo? - zapytał zamiast odpowiedzi.

—Służbowo - mruknęła.

—Trudna sprawa - kolejarz podsunął palcem czapkę na tył głowy. - Osiem kilometrów. I las. Nie da pani rady.

—A czym tu ludzie dostają się do stacji?

- Ludzie idą piechotą, ale pani nie da rady - powtórzył. Zdenerwowała ją życzliwa uwaga kolejarza i zabołał nagły żal, że Piotr pozwolił, żeby samotnie odbyła tę podróż. Bez słowa ruszyła przed siebie. Kolejarz patrzył w ślad za nią.

Droga wiodła istotnie przez las. Bezwietrzna cisza stała między drzewami. - Nawet ptaki milczały, jak syci rentierzy, odpoczywający po południowym posiłku. Suche gałęzie trzaskały pod nogami. Magdalena udawała sama przed sobą, że się nie boi. Od czasu do czasu pod jakimś drzewem migotał hełm żołnierski, zatknięty na dwóch zbitych na krzyż gałęziach sosnowych. Groby nie miały tabliczek, tylko kształt hełmów mógł określić rzecz w tej chwili już tak nieistotną, jak narodowość tych, którzy zginęli. Przystawała przy nich i odmawiała pośpiesznie pierwsze słowa pacierza. Na dalsze brakowało jej odwagi. Odchodziła nie oglądając się za siebie.

Musiała już odbyć co najmniej połowę drogi, gdy z bocznego duktu, wpadającego jak strumień do głównego traktu, wyjechała furmanka zaprzężona w jednego konia. Siedział na niej niemłody już chłop apatycznie patrzący przed siebie. Widok Magdaleny nie zdziwił go ani zastanowił, tak jakby o każdej porze dnia można było spotkać w tym lesie podobne jej młode osoby. Zaciął konia i miał zamiar - wyminąwszy ją - pojechać dalej.

Krzyknęła. Zatrzymał się, bez niechęci, - ale też i bez entuzjazmu. - Podwieziecie mnie do Jasieńca? - zapytała, podchodząc.

— Czemu nie? - zgarnął połę długiej kapoty i zrobił jej miejsce na koźle.

— Daleko jeszcze? - zagadnęła, gdy ruszyli. Koń nie śpieszył się. Obfitość traw, o której świadczyły jego gładkie boki, wytworzyła w nim flegmatyczny spokój w dążeniu do żłobu.

— A będzie dobre pół mili - odparł chłop, nie zdradzając ochoty do rozmowy.

Mimo to zapytała raz jeszcze:

- Skąd jesteście?

Chłop spojrział na nią zamyślonymi oczyma. -

— Spod Tarnopola - odrzekł. Zamrugła powiekami w nagłym pomieszaniu.

— Ale teraz skąd jesteście?

— Chłop się stropił.

— A, teraz? - mruknął. - Teraz? Trochę w bok od Jasińca dostałem gospodarkę. Łubianka to nazywają czy jakoś tak. - Umilkł.

Magdalena ukradkiem przyglądała się jego twarzy. Było to sterane, na zbyt ostre wiatry wystawiane oblicze o wyblakłych oczach i wyschniętych ustach, twarz, która była już przeszłością, tak trudno było uwierzyć, aby coś dzisiejszego mogło zmieścić na niej bodaj jedną zmarszczkę czy nowy grymas znużenia.

Opuściła powieki. Jechali w milczeniu, w ostrożnym milczeniu, dwóch obcych sobie istot. Magdalena potrzebowała jednak informacji o mieszkańcach tej okolicy i uważała, że nie powinna rezygnować z tego, co mógł jej powiedzieć stary osiedleńca spod Jasińca.

— I jak wam się tutaj żyje? - zagadnęła niezręcznie.

— Ano - chłop wzruszył ramionami.

— Gospodarstwo ładne?

— Ładne to ono jest.

Rozmowa się urwała. Chłop patrzył uparcie przed siebie, Magdalenie zamykało usta jego niechętne odwrócenie twarzy. Postanowiła jednak nie zrażać się jego zachowaniem i znów zapytała z udanym brakiem zainteresowania:

— Ludzi we wsi dużo?

— Ano - odpowiedział po swojemu.

— Tutejsi?

— Tutejsi. I swoi.

Teraz Magdalenie zabrakło następnego słowa w rozmowie.

Milczała długo, zanim odważyła się na następne pytanie:

— Szkoła u was jest?

— Jest.

— Dzieci do niej chodzą?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nauczycielki nie ma.

— Więc jak to tak? W ogóle się nie uczą?

— Chodzą do Jasieńca.

— Daleko?

— Ano z pół mili. - Zerknął na nią ciekawie. - Panienska może na posadę u nas w szkole się szykuje?

- Nie - odpowiedziała po długiej chwili. Oblał ją zimny pot na myśl, że mogłaby mieszkać za tą ścianą lasu, odgradzającą od świata, że może nawet powinno to być jej obowiązkiem.

- Świetlicę macie? - zagadnęła pośpiesznie.

Chłop nie rozumiał.

— Świetlicę, taką izbę, do której schodzą się ludzie na odczyty i pogadanki, na wspólne czytanie.

— Czytanie? – powtórzyła.

— Nie ma nic takiego na wsi?

— Ano nie.

— A chcielibyście, żeby było? Żeby wam przywieźć książki, założyć bibliotekę? Czytalibyście książki?

Po dłuższej chwili odpowiedział z wysiłkiem:

— Oni czytają po niemiecku, a my...

— A wy?

— Z książki do nabożeństwa.

— Nie umiecie czytać?

— Jest kilku takich, co umieją. - Zaciął konia i wpatrywał się uważnie w jego bieg, jakby kierował nim przez Marszałkowską, gdzie każdy nieostrożny ruch grozi dostaniem się pod drugi pojazd.

— To uczyć was trzeba - powiedziała niepewnie.

— Ano - przytaknął bez entuzjazmu.

— Może wstąpię do was jutro - obiecała, gdy u wylotu drogi wybiegającej z lasu ukazały się zabudowania dużej, malowniczo położonej nad jeziorem wsi. - To Jasieniec?

— A onże.

— Ile należy wam się za podwiezienie?

— Iii tam - skrzywił się - Dobre słowo wystarczy, ja na pieniądze nie łasy.

— No to macie to dobre słowo.

— Bóg zapłać!

Jasieniec nie był chyba przed wojną zwykłą wsią - świadczyła o tym miejska okazałość domów, asfalt wylany wśród trawy obrastającej drogę, domki campingowe, rozsiane nad brzegiem jeziora. Musiała to być miejscowość o charakterze turystycznym, co nie przeszkadzało jej mieszkańcom w uważaniu rolnictwa za podstawowe swoje zajęcie. Z tyłu za obszernymi domami mieszkalnymi, przystosowanymi do goszczenia letnich przybyszów, ciągnęły się zabudowania gospodarcze: murowane stajnie i stodoły, obory, kurniki i spichlerze. W sadach, wśród rzadkich już liści, migotały dojrzałą czerwienią nie zerwane jabłka.

Ten widok nie sprzątniętych z drzew owoców podziałał na Magdalенę jak uderzenie. Dopiero teraz poczęła dokładnie przyglądać się rajjanym domom. Nie wszystkie były zamieszkane. Niektóre z nich ziały czarnymi czeluściami pozbawionych szyb okien. Drzwi, wyważone z zawiasów, ukazywały wnętrza nierzadko pełne sprzętów połamanych i bezużytecznych. Wróble wypadały z hałasem z tych opustoszałych gniazd ludzkich. Przed innymi domami bawiły się dzieci. W oknach wisiały firanki, a z komina buchał wesoły dym. Magdalena z radością wciągnęła go w nozdrza. Czuła się jak zabłąkany w puszczy wędrowiec, który po zapachu dymu odnajduje ludzi.

Na froncie piętrowego domu, poroślego czerwonym winem, widniał napis: „Bruno Schwarz - Conditorei”. A pod nim mała tabliczka: Urząd Gminny w Jasińcu.

Weszła do środka: długi korytarz, zasłany słomą, po obydwu stronach drzwi. Zamknięte. Mocniej nacisnęła klamkę - nie ustąpiły. Zaczęła pukać, najpierw uprzejmie, z nadzieją na otworzenie, potem gwałtownie, podniecona bezsilną wściekłością. W budynku nie było nikogo. Podumawszy chwilę, wyszła na podwórze, łudząc się, że może tam kogoś znajdzie. W otwartych wrotach stajni leżało świeże końskie łajno - znak że jednak życie

nie zamarło zupełnie w tym obejściu. Znak zresztą jedyny. Magdalena wycofała się rozczarowana na ulicę i stanąwszy pod dwoma mylnie informującymi szyldami, zastanowiła się, co robić dalej ze swoją osobą.

Jakaś dziewczynka - może dziesięcioletnia - nadbiegła z naprzeciwka i zatrzymawszy się opodal, przyglądała się jej nieufnie.

- Nie wiesz, gdzie jest wójt? - spytała.

Dziecko milczało. Otworzywszy usta, gapiło się w nią bezmyślnie. Magdalena powtórzyła pytanie po niemiecku. Dziewczynka zamknęła gwałtownie buzię i uciekła, oglądając się co kilka kroków.

Magdalena powoli ruszyła przed siebie.

Weszła do pierwszego domu ożywionego obecnością ludzi. Młoda kobieta w chustce na głowie siedziała na niskim stołeczku i obierała ziemniaki. Patrzyła na Magdalенę zaniechawszy swej czynności, zdumiona, nie oczekująca po tej wizycie przyjemności.

— Nie wie pani, co się dzieje z wójtem? - Magdalенą od razu wyniszczyła cel swego przyjscia. - Cały urząd gminny zamknięty na trzy spusty. Nikt tam nie urzęduje?

— Urzęduje? - kobieta roześmiała się i wrzuciła ziemniak do stojącej na ziemi miski. Magdalena cofnęła się, woda opryskała jej pończochy.

— Nie ma u was wójta?

— A jest, skurczybyk, jest! Tylko co komu z tego? Na oczy go nikt nie widzi.

— Nie mieszka tutaj?

— Mieszka. Jeszcze jak! Przez okno może pani zobaczyć. Najładniejsze meble z całej okolicy pościagał. To jedyna jego robota.

— A gdzie jest teraz?

— Skąd ja mogę wiedzieć? - kobieta znów podjęła z koszyka świeżą - skórką pokryty ziemniak i poczęła go strugać zakrzywionym kozikiem. - Może do powiatu pojechał? On zawsze do powiatu jeździ. Jak go tylko kto zahaczy, od razu mówi, że był

w powiecie A może do Kutna się wybrać?

— Do Kutna?

— W Kutnie ma żonę i dzieciaki.

— Nie sprowadził ich tutaj?.

— A bo on głupi? - Kobieta znów plusnęła ziemniakiem w miszkę, aż bryzgi wody dosięgnęły nóg Magdaleny.

— Nie przypuszczacie, kiedy może wrócić? - zapytała ze zniecierpliwieniem.

- Na wieczór pewnie ściągnie. Pani do niego urzędowo? Magdalena skinęła głową.

— Tymczasem pójdę do nauczycielki - powiedziała, kierując się ku drzwiom. - Do szkoły daleko?

— Blisko, tylko że nauczycielki nie ma.

— Jak to nie ma?

— Wszystko
no nie starać.
ma. Ani
Wyjść ławek, ani
hała szyb w
tydzień oknach.
temu. Zeszły

— Tak jakoś
eraż? wytrzyma
Na ła, a teraz
począł poderwała
ku się i
roku? poszła.

— N — N
o, ie
widzi mogliście
pani! pomóc?
Prawdę — L
mówią udzie by
c, ja pomogli,
bym jakby
też nie widzieli,
wytrzy że i
mała władza
na jej zabiera
miejsce się do
u. roboty. A
Kobiet jak
a władza
młoda, nic, to i
niezwy my nic.
czajna M
- sama agdalena
musiał milczała.
a się o Ogarnęła

ją można
nagła było spać
wściek spokojnie.
łość na — N
nikogo iech pani
innego, usiądzie -
tylko kobieta
na podsunęła
Piotra. jej
Nie krzesło.
mógł z Magdalen
nią a wyczuła
jechać, jakby
nie współczu
miał cie w jej
nic do głosie.
załatwi — N
enia w ie,
tej dziękuję.
okolicy Pójdę
! Nic sobie.
do Porozma
załatwi wiam
enia! trochę z
Nic! ludźmi
Wszyst we wsi.
ko tu Chcemy
toczyło wam
się książek
ustalon przysłać
ym do
trybem czytania.
, a w Skoro nie
Gdańs ma ani
ku wójta, ani

nauczy znajdzie
cielki, się czas
muszę na
znaleźć czytanie.
kogoś, Może wy
kto by byście się
mógł tym
się zajęli?
zająć K
wypoż obieta
yczani zaczerwie
em. niła się.

— W -

ypożyc Ja tam w
zaniem czytaniu
? - nietęga.
powtór Nie
zyła pamiętam
kobieta , kiedy
. książkę

— Wiałam

ypożyc ostatni raz
zaniem w rękach.
książek Pewno
. jeszcze w
Będzie szkole.
cie -
mieli Możecie
bibliot sobie
ekę, przypomn
wieczó ieć.
ry Gdybyści
teraz e chcieli
nastaną poświęcić
długie, co dnia

wieczo fragment
rem swojej
pół instruktor
godzin skiej
y, na przemow
pewno y. - Jakby
zaczęli się
byście zebrało
znowu kilku
czytać. chętnych
- - ciągnęła
Magda dalej -
lena toby i
ucieszy kółko
ła się dobrego
prawie, czytania
że można
znalazł było
a tak założyć.
wspani Schodzili
ały byście się,
okaz powiedzm
wtórne y, raz na
go tydzień,
analfab żeby
etyzmu czytać na
, pod głos jakąś
któreg książkę.
o Można by
adrese nawet
m ustalić
miała małą
okazję nagrodę
wygłos dla tego,
ić kto

czytałb siebie
y gada. A
najładn nic, tylko
iej. takie, co
- się do
O, do wiersza
tego to składa. Ta
moja nauczycie
Jadźka lka, co tu
najpier była,
wsza! - powyucza
kobieta ła ją
roześm różności,
iała się a teraz
nieocz dziewuch
ekiwan a chodzi
ie ze jak chora.
szczęśl - Mówiła
iwą prędko,
matczy drobniutki
ną mi jakby
dumą. słowami,
- Pani! rozgorzał
- a nagle,
zawoła nie ta
ła. - Co sama. - O,
ja mam Jezu! -
z tą zawołała.
dziewu - Toć pani
chą! może ją
Siedzi przesłuch
w ać!
kącie i Jadźka! -
sama otworzyła
do drzwi i

krzykn ięte
ęła stworzeni
przeraż e, lat
liwie w może
ciemną czternastu
przestr , speszzone
zeń długością
sieni. - swoich
Jadźka rąk i nóg
! wystający
D ch spod
ziewcz przykrótki
yna ej
zjawiała sukienki.
się -
cicho i Mów,
szybko Jadźka,
, jakby mów! -
czekała nagliła
tylko matka -
na pani chce
wezwa cię
nie przesłuch
matki, ac, mów,
żeby jak to się
się zaczynało
zaprod ?... Jezu!
ukowa Tyle razy
ć przed tom
goście słyszała, a
m. nie
Było to pamiętam
ponad ani słowa.
wiek Ja
wyrośn dźka

dygnął obieta
a i wpatrywa
upatrzy ła się w
wszy Magdalen
sobie ę
jakiś niespokoj
punkt nym,
na pytającym
suficie, wzrokiem
zaczęła . Szukała
podnie w jej
sionym twarzy
dyszka potwierdz
ntem: enia dla
L własnego
itwo! zachwytu
Ojczyz i
no wzruszeni
moja! a.
ty Magdalen
jesteś a
jak uśmiechn
zdrowi ęła się do
e; Ile niej i
cię przymkną
trzeba wszy
cenić, oczy
ten słuchała
tylko inwokacji
się .
dowie. Si
Kto cię edziała
stracił.. wciąż z
. przymkni

K ętymi

oczym teraz
a, gdy robi? -
dziewc spytała
zynka Magdalen
skończ a, gdy
ywszy ballada
deklam dobiegła
ację, końca.
zakaszł — A
ała z no, obija
zakłop się po
otanie domu.
m. Pomoc
- jeszcze z
niej
Jadźka niewielka.
! - — N
szepnęł auczyciel
a ce
matka. pozwoliliś
- A cie
pamięt odjechać..
asz to .
drugie?
Kobieta
Już zaczerwie
księżyc niła się.
zaszedł — M
... ają kogoś
zaczęła przysłać z
mała z powiatu.
przejęc — M
iem. yślicie, że
— Ien
co ona wytrzyma

? Kuse

— Młkawy

a być ukazywał
chłop, y
może spierzchni
wytrzy ęte,
ma. czerwone

— Ad

jak jesienneg
nie? o chłodu
K ręce.

obieta — Ż

odwróc eby tylko
iła się i wójt się
patrzył do roboty
a teraz przyłożył
nie na -

Magda krzyknęła
lenę, z nutą
tylko pretensji
na w głosie -
córkę, my by
która zaraz

stała z pomogli!

opuszc — K

zoną to tu we
głową, wsi ma
mnąc poszanow
w anie
palcac wśród
h ludzi? -
tasiem przerwała
kę od jej
kołnier Magdalen
zyka. a. Myślała

wciąż — N

o ie lubicie
swojej się?

bibliot — K

ece. to by tam

 K mówił o

obieta lubieniu?

zamyśl - kobieta

iała się. wzruszyła

 — Tamionam

u nie i.

ma — T

takich o oni nas

- nienawidz

pokręci ą!-

ła krzyknęła

głową. dziewczy

- nka.

Każdy — C

żyje na icho,

swoją Jadźka! -

rękę. zgromiła

Nikt ją matka.

przed Magdalen

drugim a

duszy nacisnęła

nie klamkę.

otwiera -

. Ani Bądźcie

my zdrowi -

przed powiedzia

nimi, ła cicho. -

ani oni A o

przed nauczycie

nami. ła dbajcie,

jeśli lena nie
się tu przejmow
jaki ała się
zjawi. swoimi

W zwierzchn
yszła, ikami - to
nie ona,
wiedzą wyłącznie
c, ona, była
dokąd zleceniod
się awcą
udać. swego

Wraca trudnego
ć, nic zadania.

nie Znów
załatwi powędro
wszy, z wała pod
pierws „Bruno
zej Schwarz -
służbo Conditóre
wej i” i

podróż zaczęła
y walić
oznacz pięściami
ało we

kompr wszystkie
omitacj drzwi
ę. niegościc

Przed nego
samą domu.

sobą Ale
przede odpowiad
wszyst ała jej
kim. tylko

Magda cisza i

spłoszo chłopca,
ne kto ma we
ćwierk wsi
anie najładniej
wróbli sze
przepę gospodars
dzonyc two.
h Kiedy już
sprzed szła we
progu. wskazany
Dzieci m
z kierunku,
sąsiedn poczuła
ich wstyd za
domów zastosowa
wyległ nie tego
y na kryterium
ulicę i przy
obserw szukaniu
owały, godnych
zacieka opiekunó
wione i w
rade z biblioteki.
sensacj Ale
i, jej rozgrzesz
daremn ył ją już
e sam
wysiłki widok
. domu,
Z piętroweg
apytała o,
najbard ozdobione
ziej go
rozgar rzeźbiony
niętego mi

gzyms dały ku
ami i niej
posążk spłoszone
iem .
nagieg Najstarsza
o dziewczy
aniołka nka miała
we około
wnęce dwunastu
nad lat, dwóch
szczyto chłopców
wym -
oknem. bliźniakó
 N w było
a młodszyc
podwó h od niej.
rzu -
bawiło Mama w
się domu? -
hałaśli zapytała
wie Magdalen
troje a.
dzieci. C
Gdy chłopcy
zauważ spojrzeli
yły na siostrę
Magda zakłopota
lenę nym
przy wzrokiem
furtce, .
umilkł — N
y ie ma
natych matki? -
miast i Nie.
spoglą — A

ojca? a
— Magdalen
jca a.
także — N
nie ma. ieprędko -
- odrzekła
Nie dziewczcy
wiesz, nka.
kiedy — O
wróci? n nigdy
T nie wróci!
eraz - krzyknął
dziewc jeden z
zynka chłopców.
spojrza — N
ła ieprawda!
szybko - drugi
na przyskocz
braci. ył do
— Niego z
ie pięściami.
wiem, -
kiedy Nieprawd
wróci - a! Wróci!
odpowi Wróci
edziała niedługo!
szepte — G
m. ówno!. -
— Krzyknął
o, ale znów
prędko pierwszy.
czy — C
niepręd ich
ko? - bądźcie! -
nalegał dziewczcy

nka iął się z
starą triumfem.
się -
uspoko Słyszałaś,
ić co
braci. - mówiła
Powie mama?
m — O
mamie, n nie
to wam wróci -
da. powiedzia
 — ~~h~~
o dziewczę
dlaczego nka
go on twardo.
mówi, C
że tata hłopak
nie stał przed
wróci? nią i
 — ~~M~~ściskając
ówię, pięści
bo krztusił
wiem. się z
Spytaj wściekłość
Trudy, ci.
ona ci -
to Wróci!
samo Wróci! -
powie. powtarzał
No nie, uparcie. -
Truda? I wyrznie
- was!
chłopa Wyrznie
k wszystkich
roześm h

szkopó spuszcza
jąc głowę.

D — O

ziewcz na wie -
yna, krzyknął
zalana bliźniak. -
rumień Ona wie!
cem po Szkopy
białka go
oczu, zabrały.

patrzył — N

a ie zabrały
spode -
łba na sprostowa
Magda ła
lenę. dziewczę

— Ga cicho,

dzie ale z jakąś
jest poważną,
wasz dorosłą
ojciec? dobitności
- ą - tylko
spytała sam
, poszedł. Z
kładąc wojskiem.

jej — S

dłoń na łużył w
ramien niemiecki
iu. m

— Wojsku? -

ie spytała
wiem - Magdalen
odpowi a.

edziała — T

, ak.

— Rłóci się z
olak? nami -
— Hłodała w
olak - stronę
odpowi Magdalen
edziała y,
z ukazując
wahani w
em. „skrępow
— Hnym
olak! - uśmiechu
krzykn nierówne
ął zęby.
chłopie — P
c. - oczekam
Polak! na matkę
A -
mama powiedzia
Niemra ła
. Magdalen
— A, chcąc
icho! - przerwać
siostra klótnię
zamier między
zyła rodzeństw
się na em. Sama
niego. nie
- Ty wiedziała,
dzisiaj po co
dostani właściwie
esz, zamierza
zobacz zobaczyć
ysz. się z tą
Od kobietą.
rana Skłaniała

ją do bawialni.
tego Pluszowa
jakaś kanapa
pełna czyniła tu
żalu honory
ciekaw domu, a
ość rozrosły
losów fikus
ludzkie przesłania
h, tak ł całe
okrutnie okno,
e wychodzą
popłata ce na
nych złotą
przez przestrzeń
wojnę. ogrodu.
Postąpi Na
ła w małym
stronę stoliku
drzwi, leżały
dzieci albumy w
niechęć ozdobnym
nie h,
szły za malowany
nią. ch
P okładkach
okój, . Usiadła
do na brzegu
którego kanapy; a
o dzieci
weszła, zatrzymał
spełnia y się przy
ł progę, nie
zapew spuszcza
ne rolę ąc z niej

oczu. am -
Dziew Magdalen
czynkę ę zaczęło
trawiła bawić jej
najwid przerażeni
oczniej e. -
posepn Porozma
a wiamy
wątpli sobie,
wość, zgoda?
czy Dz
zrobiła ieci
dobrze, milczały.
wpuszcz Nawet
zając bliźniak-
do patriota
domu nie
obcą wyraził
osobę. ochoty do
— Mzyjęcia
atka jej
nie propozycj
wróci i. Patrzył
prędko jej w oczy
- jakby z
powied pretensją
ziała. - za
Pojech sprowoko
ała do wanie
miasta. sceny,
— Ntórą miał
ie przyplącić
szkodz tęgim
i, laniem.
poczek W

głębi od
mieszk szklanki
ania herbaty,
rozległ którą
y się przełknęła
kroki. o świcie
- przed
Mama udaniem
wróciła się na
? dworzec.

D — N

zieci ie można
tkwiły u was
przy kupić
drzwia szklanki
ch bez mleka? -
ruchu. zapytała.

- Dzieci

To znów
Dienst spojrzwały
magd - po sobie.

odpowi — Z

edziała apłacę.-
dziewc Dziewczy
zynka. nka

M ruszyła

agdale się od
na progu, ale
poczuł zaraz
a nagły wróciła
głód, na swoje
nie miejsce.

miała — P

nic w owiedz
ustach Marii,

żeby k z
dała rozczarow
mleka aniem.
- — N
polecił ie -
a Magdalen
jednem a
u z roześmiał
braci. a się
Chłopi mimo
ec woli. -
niechęt Nie bój
nie się, nie
opuścił jestem
swoje nauczycie
stanow lką. Chcę
isko. wam
- przywieźć
książki do
Umieci czytania.
e Umiecie
czytać? czytać? -
- powtórzył
spytała a.
Magda — T
lena. ak -
— Ąruknęła
ani jest dziewczy
nowa nka
nauczy niepewnie
cielka! .
- — N
zawoła ie -
ł drugi szepnął
bliźnia chłopiec.

— Nawalkie

o więc m chleba.
jak to M
jest: agdalenie
umieci przypomn
e czy iał się jej
nie? przyjazd

— Ŭo

miemy Waidgrub
czytać e i
- pierwszy
powied posiłek,
ziała który
dziewc postawiła
zynka przed nią
stanow Frau
czo. Wimmer,
B gdy
rat zdecydow
patrzył ano
na nią ostateczni
z e, że
wyrzut zostanie u
em. nich
Zgromi służącą.
ła go To
spojrze wspomnie
niem. nie
Drugi odebrało
bliźnia jej dalszą
k chęć na
wrócił rozmowę
z z dziećmi.
mlekie Wypiła
m i prędko

mleko, chłopiec
nie odsunął
ruszają się w
c obawie,
chleba, aby i jego
i nie
położył spotkała
a na ta
stole pieszczota
pieniąd .
ze. -
- Co mam
A te powiedzie
książki ć mamie?
są z - spytała
obrazk dziewczyny
ami? - nka.
spytał M
bliźnia agdalena
k- spojrziała
patriot w jej
a. czujne,
- zwięzione
Mogą dojrzała,
być i z smutną
obrazk nieufności
ami - ą oczy.
uśmiec -
hnęła Nic -
się i powiedzia
potarga ła w
ła go zadumie.
za - Nic..
włosy. W
Drugi stępowała

jeszcze ięcie ich
do do akcji
kilku oświatow
domów ej. Gdy
. pod
Wszęd wieczór
zie bez szła przez
większ wieś,
ego zastanawi
powod ając się,
zenia. w jaki
Albo sposób
nie dostać się
zastaw do
ała położonej
gospod za lasem
arzy - stacji,
był olśnił ją
czas widok,
wykop którego
ków i przestała
pilnych się już
robót spodziew
w polu ac.
- albo Pr
prymit zed
ywne urzędem
ich gminnym
zainter stała
esowan wyładowa
ia nie na
dawały furmanka,
nadziei a rosły
na mężczyzn
wciągn a znosił z

niej pośpieszn
pękate ie.
worki i Odwrócił
toboły. do niej
 — Poczzerwie
an jest niałą od
wójtem wysiłku
? - twarz.
zapytał — J
a, a, a bo
podcho co?
dząc

— Przyjechałam do was. Z Gdańska.

— Z Gdańska? - zdziwił się niemile.

— Tak. Czekam na was od rana.

— O świcie wyjechałem do powiatu. Zebrało się trochę spraw, trzeba było załatwić. - Patrzył na nią małymi, bystrymi oczkami małomiasteczkowego cwaniaka, przyzwyczajonego do łatwego dowodzenia swoich racji. Ale w Magdalenie zbyt długo wzbierała wściekłość na jego rządy w tej ocalałej podczas wojny, a zrujnowanej przez pokój wsi, aby teraz miała pobłażliwie potraktować tę wymówkę.

Dotknęła dłonią jednego z leżących na wozie worków. Nieforemnym kształtem przypominał jej tobołki, jakie wieźli chłopcy napotkani w pociągu. Poczła pod palcami twardą wypukłość jakiegoś metalowego naczynia, rzeźbione rękojeści sztućców, kanciaste bryły świeczników.

- To wszystko wieziecie z powiatu? - spytała, nie spuszczać oczu z jego twarzy. - Dali wam to na przydział, tak?

Wójt w milczeniu oceniał sytuację. Nie wiedział, kim jest stojąca przed nim dziewczyna. Powinien zażądać od niej delegacji, ale bał się, że to pogorszy jeszcze jej stosunek do niego. Wolał wmówić w nią, że wszystko, co robi, jest absolutnie legalne i z korzyścią dla ludowego państwa, które tu reprezentował.

— Kupiłem! Za własne pieniądze kupiłem! Nie wolno?
Ludzie sprzedają, co się da.

— Byliście przecież w powiecie.

— No, i wracając po drodze kupiłem trochę drobiazgów.
Okazja! Grunt to trafić na okazję.

— O, tak! - potwierdziła Magdalena, znów obmacując worek. - Bo ja, widzicie, kiedy jechałam przez ten las, nie napotkałam nikogo, kto by mi chciał coś sprzedać.

Wójt spojrzał na nią z ukosa.

— Jechaliście złą drogą - mruknął. - Trzeba było dać znać, wyjechałbym po was na stację. A okazja - zawahał się - okazja może nadarzyć się wszędzie. - Rozwiązał jeden z worków i zapuściwszy dłoń w jego obszerne wnętrze, wyjął mały nesoser z krokodyla, zapinany na srebrną klamrę. Podając go Magdalenie powiedział z szerokim uśmiechem.

— Weźcie to, towarzyszeko, na pamiątkę. Żebyście miło wspominali Jasieniec.

Magdalenie pociemniało w oczach.

- Nie jestem żadną waszą towarzyszką!" - krzyknęła. -
Coście zrobili z tą wsią?

Wójt cofnął się o krok, odtrącony nesoser wepchnął z powrotem do worka, ręce mu drżały, gdy obwiązywał go sznurkiem.

- Coście zrobili z tą wsią? - powtórzyła Magdalena. - Co się dzieje ze szkołą? Gdzie jest nauczycielka?

— To przecież nie moja sprawa - podniósł głowę, odzyskując tupet. - Nauczyciel należy do powiatu. Ja pilnuję tylko tego, co do mnie należy.

— Widzę właśnie - Magdalena znów dotknęła dłonią nieszczęsnych worków. - Będziecie za wszystko odpowiadać. Za wszystko! Za wszystko! - powtarzała z namiętną złością.

Wójt patrzył na nią posepnie.

- Dajcie człowiekowi żyć - powiedział cicho.

Magdalena odwróciła się i zaczęła szybko odchodzić. Miała przed sobą po jednej stronie ciemną ścianę lasu, a po drugiej taflę jeziora, mroczną przy brzegach, wysrebrzoną na głębi jak ogromny gładki talerz. Zmierzchało, zawiewał chłodny, mokry wiatr.

Wójt dogonił ją zdyszany.

- Podwiozę was, towarzyszeko.

— Nie, dziękuję - powiedziała stanowczo.

— Albo zanocujcie, pokoi u mnie dość. Droga przez las.

— Wiem. A do Łubianki daleko?

— Łubianka za jeziorem. Podwiozę was.

— Nie. Dziękuję - powtórzyła.

Skreśliła na drogę wiodącą wzdłuż jeziora. Trzciny szeleściły cicho. Od czasu do czasu ryba wynurzała się z wody i błysnąwszy w powietrzu lśniącym grzbietem, zapadała z pluskiem w jezioro. Magdalena czuła się znużona i bezsilna. Zapłakałaby z chęcią, gdyby wiedziała, że ktoś może ją pocieszyć. Znów ogarnął ją głuchy żal do Piotra.

Postyszała nagle za sobą jakieś kroki. Ogarnął ją obezwładniający strach. Drogą między sitowiem biegł ktoś pośpiesznie. Może goił ją, może sam uciekał. Pierwszą myślą była chęć ukrycia się gdziekolwiek, zanurzenia się w trzciny, przypadnięcia do rozmokłej ziemi. Ale jakiś odruch wstydu nie pozwolił jej na to. Odwróciła się i przystanęła, czekając.

Drogą biegła dziewczynka. Rozglądała się w popłochu, pewnie także bała się zmierzchu nad jeziorem. Gdy podbiegła bliżej, Magdalena poznała w niej Jadźkę-deklamatorkę. Obie

jednakowo ucieszyły się ze spotkania.

- Mama - mówiła zdyszana dziewczynka - kazała mi panią dogonić i zapytać, czy pani nie zgodziłaby się mamie oddać tych książek? Mamie i mnie - dodała ciszej. - Mama się nauczy lepiej czytać, nie poplamimy żadnej książki, wszystkie obłożymy w papier, zabaczy pani.

A gdy Magdalena wciąż milczała, zawołała przypominając sobie drugie polecenie:

- I powiedziała też, żeby pani przenocowała u nas, bo już ciemno i Mo że się co złego przytrafić na drodze. Czysta powłoka jest na pierzyne - dorzuciła, zdziwiona, że obca pani objęła ją przez plecy i wciąż nic nie mówiąc zawróciła do Jasińca.

VI

Pani Townfield wypila szybko wino po wzniesionym przez siebie toaście, postawiła na stole kieliszek i milcząc przez chwilę patrzyła na nich. Na nich trzech.

Potem podniosła się od stołu i stanawszy za swoim krzesłem, położyła na jego poręczy swoje piękne, silne ręce.

- Tak - powiedziała pośpiesznie. - Ani słowa więcej! W pożegnaniach zwykle jest za dużo słów. Ludzie mają potem do siebie niepotrzebne o to pretensje. Jeszcze raz dziękuję wam za wszystko!

Chłopcy milczeli. Zygmunt dlatego, że tu zostawał. Tamci - ponieważ stąd odjeżdżali i paraliżowało ich wzruszenie.

Dłonie pani Townfield przesunęły się po poręczy w dół i znieruchomiały wzdłuż ciała w krótkim zakłopotaniu. Odwróciła się i wyszła z pokoju.

- A jednak przywiązała się do nas - rzekł Dawid. - Powiedział to jakby ze zdumieniem. Zawsze dziwiły go rzeczy oczywiste.

Florian ubijał tytoń w fajce.

- Przez rok można się przywiązać nawet do psa - mruknął.

Zygmunt milczał. Powinien był powiedzieć tym dwom, że trzeba się już zbierać. Brakowało tylko tego, żeby się spóźnili na pociąg i żeby jeszcze raz od początku musiał przeżywać to rozstanie. Ale nie wypadało mu naglić, mogliby pomyśleć, że cieszy się z ich odjazdu. Miał odwiedzić ich samochodem na dworzec w dość odległym od farmy pani Townfield miasteczku. Nie lubił śpieszyć się prowadząc wóz, za dużo rzeczy było do omijania na angielskiej drodze. Wieloletni nawyk lotnika, przyzwyczajonego do wielkiej pustki wokół oszklonych ścian kabiny, sprawiał, że czuł lęk przed każdym biegnącym mu naprzeciwko drzewem, nie mówiąc już o gęsiach, kurach i baranach, które oswojone z pojazdami mechanicznymi nie miały zwyczaju pośpiesznego schodzenia im z drogi.

— Wyładniała przez ten czas - mówił dalej Dawid. -

Przestała oplakiwać tego swego rudzielca, poweselała - pomogliśmy jej powrócić do życia.

— Jednym słowem - parsknął Florian - uważasz, że to ona nam powinna być wdzięczna za ten rok spędzony w Roseshade. - Przyłożył zapalniczkę do fajki, pociągnął. Nie paliła się.

— Wcale tak nie myślałem. - Dawidowi było przykro. Ulegał uczuciu przykrości łatwo, jak panna. Łagodny, duży, silny, pszenicznie płowy, musiał mieć powodzenie u tych swoich ognistych dziewcząt z Rio, do których teraz wracał. - Wcale tak nie myślałem! - powtórzył. - Sądzę tylko, że i Betsy miała coś z naszego pobytu. Widziałeś, jak trudno było jej z nami się pożegnać.

— Ona jest po prostu wielką panią, która wie, jaką kiedy należy mieć minę. - Florian był synem chłopca spod Łowicza i nie znał się na subtelnych uczuciach. A może nie lubił tylko o nich mówić: wciąż dłużył w swojej fajce, nie podnosząc oczu.

— Jak tylko przyjadę do Rio - mówił Dawid - poproszę ojca, żeby kazał zrobić pokój sypialny według najmodniejszych wzorców. Przyślę go jej w upominku. Oni tu zupełnie nie mają mebli. Jak można żyć w takich gratach?

— Mówiłem ci już tyle razy - krzyknął Zygmunt - że to są antyki! Jedno krzesło z epoki elżbietańskiej jest więcej warte niż tona twoich mebli najmodniejszych wzorów. - Syn meblarza z Rio denerwował go. - Przepraszam! - powiedział szybko, widząc, że Dawid nie rozumie jego nagłej złości. On sam zresztą był nią zaskoczony. Przedtem lubił Dawida. To obecny Dawid, wracający do swojej ojczyzny, do swojej drugiej ojczyzny, po spełnieniu obowiązku wobec pierwszej, nigdy nie widzianej na oczy - wyprowadzał go z równowagi. Był szczerze wdzięczny Florianowi, gdy ten wstawszy od stołu pierwszy skierował się na górę, gdzie w ich sypialnych pokojach stały przygotowane do podróży walizy. Podjechawszy pod główne wejście, został przy kierownicy i patrzył bezmyślnie na zieloną ścianę parku, którą miał przed oczyma.

Dawid i Florian nadeszli wreszcie, dźwigając swoje

bagażę. Dawid miał ich mniej, nie odczuwał łakomstwa na widok każdego przedmiotu, które Florianowi - wciąż mającemu przed oczyma swoją wieś łowicką - kazało zbierać i ciułać wszystko, co podczas pobytu za granicą wpadło mu w ręce. Gdy samochód ruszył, spojrzeli równocześnie w obrosnięte dzikim winem okna pierwszego piętra.

Ale pani Townfield nie było w żadnym z nich.

- No i tak - powiedział Florian bez związku, gdy wyjechali z alei parkowej na asfaltowy gościniec wiejskiej drogi. Po obu jej stronach ciągnęły się nieprawdopodobnie zielone łąki. Ta angielska zieleń nie przestawała go zdumiewać. Inaczej wyobrażał sobie brytyjską wyspę. Wiejska sielanka, jaką tii przeżył, nie mieściła się w tym wyobrażeniu. Łąki, strumyki, ogrody, dwory - a przecie nie dwory, bez chłopów, bez czworaków, bez pańskich fanaberii. Przypatrywał się przez rok gospodarce w Roseshade, a jeszcze nie pomiarkował dobrze, na jakiej zasadzie utrzymuje się ta oaza spokoju, dobrobytu i kurzych jaj, które co dnia o świcie ciężarówka odwoziła do Londynu. Wprawdzie gdy wstawali, pani Townfield wracała już od kurnikowi obór, ale nie znać było po niej zmęczenia, a staranność ubioru nie świadczyła o wykonywanej pracy. Usiłowali pomagać, zwłaszcza on garnął się do roboty z nudów, z tęsknoty za znajomym, zbliżającym do przeszłości zajęciem. Pani Townfield niechętnie jednak dopuszczała ich do gospodarstwa, może szanowała ich rekonwalescencję, a może bała się, aby polski żywioł nie zniszczył precyzyjnego ładu, jaki panował w jej małym królestwie.

Zygmuntowi, jako najlepiej znającemu angielski, powierzała od czasu do czasu swoje sprawy handlowe, rachunki, korespondencję. Dawida dopuszczała niekiedy do oranżerii, ale tylko wtedy, gdy ogrodnik sobie tego wyraźnie życzył. Florianowi pozostawały albo kury, albo stajnia, w której czuł się bardziej skrupowany niż w salonie podczas wizyty rzadkich zresztą w Roseshade gości. Cztery konie pod wierzch, które tam stały, onieśmiały go. Nie wiedział, co i ile żrą takie

bezużyteczne stworzenia. Nie było przy nich roboty, dobrze urządzone ścieki odprowadzały odchody. Czasem brał szczotkę i glansował okrągłe boki, jak przedtem swoje saperskie buty przed paradą. Ale nie jeździł na nich nigdy. Wychodził ze stajni zamyślony.

Konie lubił dopiero wtedy, gdy pani Townfield dosiadała któregoś z nich. Długie bryczesy i biała bluzka czyniły ją podobną do chłopca-wyrostka, oddającego się swojej ulubionej zabawie.

Zygmunt przyhamował gwałtownie. Środkiem drogi maszerowało spokojnie stadko białych owiec. Szarpnęło ich do przodu. Lżejsze, ułożone na wierzchu walizki i paczki obsunęły się ze sterty bagaży - Florian zaczął je liczyć z gorączkowym niepokojem. Zygmunt nie zdejmował palca z klaksonu, owce jednak niewiele robiły sobie z tego wrzasku. Nie oglądając się za siebie, podrzucały kudłatymi zadami tuż przed maską samochodu. Zatrzymał wóz i wyskoczywszy na drogę spędził je do rowu.

Chłopcy, śmiejąc się, obserwowali tę scenę. To, że żaden z nich nie pośpieszył, aby mu pomóc, także oznaczało rozstanie. Wsiadł szybko do wozu i nie odpowiedział na uśmiech Dawida, który zapewniał go, że bardzo by mu było do twarzy w charakterze biblijnego pasterza. Florian dorzucił coś, że te owce - to jak w Polsce na Podkarpaciu. Dawid spytał zaraz, co to jest Podkarpacie, a Florian tłumaczył mu mętnie. Potem umilkł i Zygmunt wyczuł, że każdy z nich myśli o tym samym: o przeszłości, która ich tu zawiodła.

Poznali się w nocy, w małym pokoju hotelowym Domu Żołnierza przy Devonia Road w Londynie. Wypisani ze szpitali, w których spędzili długie powojenne miesiące, przyjechali do Londynu, aby zabawić się przed dalszym niewiadomym losem. Wróciwszy w nocy, każdy z jakiejś swojej uciechy, znaleźli się nagle we wspólnym pokoju. Zygmunt, podporucznik lotnictwa z siedemdziesięcioma bojowymi lotami i obietnicą stypendium na studia w Oxfordzie, Dawid, bosmanmat z „Garlanda”, i Florian,

kapral 3 kompanii saperów 15 baonu spod Monte Cassino.

Tej nocy nie zmrużyli oka.

Opowiedzieli sobie wszystko - od urodzenia aż po tę chwilę nocnych zwierzeń w sercu szumiącego jak morze Londynu.

A rano, gdy Zarząd Domu Żołnierza obwieścił, że pani Townfield z Roseshade zgłosiła gotowość przyjęcia na pobyt wypoczynkowy kilku polskich żołnierzy, zapisali się wszyscy trzej.

Roseshade oczarowało ich. Była to typowa posiadłość angielska, zielona i kwitnąca, jak bukiet. Jej właścicielce było w niej bardzo do twarzy. Stwierdzili to zgodnie, gdy wysłane po nich auto zatrzymało się przed podjazdem wspieranym dwiema obrosłymi bluszczem kolumnami. Stała tam, wyszedłszy, aby ich powitać, wysoka i wysmukła, w nieuchwytny jakiś sposób godna szacunku i mimo żałoby, a może dzięki niej, bardzo młoda.

Starali się uszanować jej wdowieństwo. Gdy zdarzało im się zająć do gabinetu pani domu, patrzyli ze szczerym smutkiem na fotografię płowego porucznika lotnictwa, stojącą na jej biurku. Przepasywała ją czarna wąska wstążeczka, przy której szeroki, biały uśmiech poległego żołnierza wydawał się złą pozą.

Betsy - tak ją wkrótce zaczęli nazywać między sobą - odprawiała przed tą fotografią długie żałobne nabożeństwa. Nieraz, gdy zdawało im się, że pogrążona jest w wystawianiu rachunków swoim jajczarskim odbiorcom, zastawali ją z oczyma zaczerwienionymi od płaczu, zrozpaczoną tak świeżo, jakby dopiero przed chwilą otrzymała lakoniczne zawiadomienie o śmierci męża.

Starali się ją wtedy rozerwać odległymi od wojny opowiadaniem o własnym kraju, bardziej dla niej egzotycznym niż Indie czy Chiny. Niekiedy udawało się doprowadzić ją do uśmiechu. Chodzili wtedy dumni z siebie przez cały dzień, a idea braterstwa broni wydawała im się bliższa niż na polu bitwy.

Zdumieni byli niepomnie, gdy któregoś popołudnia zjawił się w Roseshade pan Townfield - prawdziwy pan

Townfield, bardzo żywy, bardzo zdrowy i bardzo - jak się okazało - niezadowolony ze swojej żony. Jako odjechał po kilku godzinach, a pani Townfield zamknęła się w swoim gabinecie i zobaczyli ją dopiero nazajutrz przy śniadaniu.

Tajemnicę wyjawiał im ogrodnik sąsiadów, który przybył do Roseshade po sławne w okolicy szczepionki róż, a nie zastawszy kolegi, rozgadał się o nie swoich sprawach. Płowego porucznika lotnictwa pokochała pani Townfield nieopatrznie na początku wojny, gdy mąż zbyt długo nie przyjeżdżał na urlop z Malty, a baza hurricanów znajdowała się o kilkanaście kilometrów od Roseshade. Bohaterscy chłopcy przesiadywali w wolne dni na farmie, dopraszając się wdzięczności za obronę przed niemieckimi nalotami. Mąż oczywiście o niczym nie wiedział, aż do chwili, gdy płowego porucznika zestrzelono u wybrzeży hiszpańskich, a panią Townfield opętała rozpacz, bardziej kompromitująca ją przed światem niż szczęśliwy romans. Po wojnie żyła z mężem w separacji, nie przestając opłakiwać kochanka.

Tak miały się sprawy, gdy w Roseshade zjawilo się trzech polskich żołnierzy. Pan Townfield przyjeżdżał jeszcze kilkakrotnie podczas ich pobytu, ale wynosił się wkrótce, nie zatrzymywany przez nikogo. Kwiaty na drzewach zmieniały się w owoce, najpierw małe i zielone, potem coraz większe, opite sokiem, słodkie. Trzeba je było w końcu zerwać, bo i liście już zaczynały żółknąć, a jesienna mgła coraz częściej spadała na Roseshade, jak rozpylony w powietrzu mleczny proszek. Przesiadywali teraz coraz częściej w dużym bawialnym pokoju na parterze, umeblowanym owymi gratami, jak nazywał Dawid antyki. Na kominku traskało drewno. Pani Townfield nosiła teraz jasne bryczesy i tylko czarny sweter był jedynym i ostatnim akcentem jej żałoby. Pili niezmiarzone ilości herbaty, dorzucali drew do kominka, rozmawiali o sprawach na tyle nieważnych, aby mogły stać się przedmiotem pogodnej, nie drażniącej nikogo pogawędki. Czasem milczeli. Betsy siadywała w fotelu z nogami daleko wysuniętymi na dywan, co nie było jednakże

niespodziewaną nonszalancją w jej nieskazitelnym sposobie bycia, lecz troską o nie wypychanie napiętych na kolanach spodni. Palila papierosy i śledziła wzrokiem każdy kłębek dymu, aż do chwili gdy rozpływał się w górze przed portretami dziadków, uwielbiających polowania z chartami, i babek, strzegących pilnie godzin podawania posiłków. Płakała teraz coraz rzadziej, może nawet - czuli się tym prawie zażenowani - nie płakała wcale. Tak, Dawid miał rację - wyładniała i poweselała. Dobrze jej zrobił pobyt trzech Polaków w jej opustoszałym domu.

— O czym myślicie? - spytał Florian.

— O tym samym! - odparł Dawid.

Gdy przybyli na dworzec, okazało się, że mają jeszcze pół godziny do odejścia pociągu.

Zygmunt zaparkował samochód i podążył za przyjaciółmi do bufetu, gdzie Florian zamawiał już u kelnerki sześć butelek coca-coli.

— Tego będzie mi brak najbardziej - mruzczał. Zygmunt roześmiał się.

— Przyzwyczaisz się do samogonu.

Dawid zapytał oczywiście zaraz, co to jest samogon i trzeba mu było długo wyjaśniać sposób i przyczyny fabrykacji tego słowiańskiego napoju. Znowu stanął między nimi ten temat, którego Zygmunt obawiał się od rana. Wydawało mu się, że sprawa została dawno ostatecznie wyjaśniona. Oświadczył, że nie jedzie - nad czym tu można było jeszcze debatować? A przecież wracali do tego przy każdej sposobności i teraz też, w ciągu ostatnich chwil, gdy cierpiał najbardziej.

- Przykro mi, bracie! - westchnął Florian po swoim. Zygmunt spojrzał na niego prawie z nienawiścią. Jemu dobrze! - pomyślał. - Chłopski syn, ba! - z małorolnego gospodarstwa. Jakież to zaszczyty nie czekają na niego, jakie posady, jakie stanowiska! Przebaczą mu Andersa i II Korpus, przebaczą mu nawet to, że o mało co nie padł pod Monte Cassino. Ta małorolność tatusia była w stanie odciążyć tamte grzechy, wymazać je

z kartoteki na zawsze. A cóż on - potomek obszarników z jednej strony, inteligentów pracujących z drugiej; jemu tak łatwo nie przebaczą. Nic dostanie się na uniwersytet, będzie zdychał gdzieś na jakiejś posiadce, jeśli mu ją w ogóle dadzą.

- Nie, poczekam!- powiedział twardo.

— Przykro mi - powtórzył Florian.

— Napiszesz do mnie - złagodził swoją odpowiedź Zygmunt nie dlatego, żeby sam wierzył w to, co mówi, ale żeby dać jakąś szansę Florianowi. - Tak przecież wmawialiśmy się, prawda? Jeśli to wszystko jest tylko propagandą, jeśli będę mógł dalej studiować, jeśli nikt nie będzie się mnie czepiał - wrócę. Masz mi o tym szczerze napisać.

— Dobrze. - Florian otworzył drugą butelkę coca-coli.

— A twój ojciec - zaczął Dawid niepewnie, zmieszany pytaniem, które miał postawić - twój ojciec nie każe ci wracać?

Zygmunt milczał przez chwilę.

— Nie - rzekł wreszcie.

— Nigdy nie mówiłeś o tym z nami.

— Bo nie było o czym. Ojciec sam zapewne przeżywa ciężkie chwile. Oczywiście teraz jest im jeszcze potrzebny. Ale niech tylko wykształcą swoją inteligencję, niech się dorobią swoich inżynierów i lekarzy, na pewno starych odsuną w kąt. Wyobrażacie sobie taki kraj, gdzie wszystko zaczyna się od początku? Ludzie też. Tak jakby kultura to był bak do benzyny, który można sobie dowolnie napelnić. Ciekaw jestem, jaki chłopek zastąpi mego ojca na katedrze.

Florian poruszył się niespokojnie.

Dawid pośpieszył zagadać nietakt Zygmunta.

— A siostra? - zapytał cicho. - Nigdy nie wspominasz o siostrze.

— Bo siostra mi się s.....a - rzekł Zygmunt porywczo. - Straciliśmy ją

raz na zawsze. Wyszła za męża za jakiegoś gnojka, prowodyra nowego ładu, który - jak oni wszyscy - z rozkoszą by nas powyrzynał, gdyby to nie było zbyt wielkim skandalem

wobec Europy. - Wściekłość szumiała mu w uszach. Było coś poniżającego w tym, że musiał się tłumaczyć, że znowu musiał się tłumaczyć przed nimi. - Nie patrzcie tak na mnie! - krzyknął, aż spokojni Anglicy przy bufecie zaczęli mu się przyglądać z zażenowaniem. - Czy to jest wstyd, czy to jest taki wstyd, że się boję?

— Przecież nikt cię nie namawia - rzekł Florian z serdecznością, której nigdy nie zdradzał.

— Jakby ci się tu znudziło, to możesz przyjechać do mnie - Dawid był prawie gotów obiecać Zygmuntowi gabinet według najmodniejszych wzorów, gdy Florian przerwał mu wesoło:

— Znudziło się? Jemu się tu prędko nie znudzi.

— Co to znaczy? - spytał Zygmunt leniwie. Nie był wcale ciekaw, co Florian ma na myśli. Patrzył na zegarek, prawie się modlił do wskazówek, żeby prędszej wyznaczyły czas odejścia pociągu.

— Przecież ona ma od dawna na ciebie ochotę - parsknął Florian wciąż dobrotliwie.

— Kto?

— Któż by? Betsy!

— O, do licha!

— No, nie udawaj, żeś tego nie zauważył. Nie ciągnęła cię do łóżka, bo kobieta inteligentna - wiedziała, że byłoby nam przykro. Każdy z nas mógłby mieć żal, że nie wybrała jego. A teraz...

Zygmunt wstał i chwycił bagaże przyjaciół. -

- Pociąg! - powiedział z ulgą. - Pociąg!

Ruszył do wyjścia z peronu, kiedy twarze Dawida i Floriana widniały jeszcze w wykroju okna i mógł na nie patrzeć i machać do nich chusteczką, patrzeć i... Nie, biegł do auta potrącając ludzi, przepraszając ich i znów wpadając na kogoś. Postanowił natychmiast zabrać z Roseshade swoje rzeczy i wynieść się dokądkolwiek: do Londynu, gdzie mógłby znaleźć jakąś pracę i czekać na stypendium, czy w ogóle wyjechać z Anglii, do Kanady, Indii czy Afryki. Ponura mściwość, która w nim bulgotała, przejawiała się na razie w pierwszym dostępnym mu działaniu - prowadził auto jak szaleniec.

Zdziwione owce pryskały sprzed samochodu z wysoko zadartymi ogonami. Gęsi i indyki w poszumie piór opadały w zielone rowy. Zajechawszy do Roseshade zostawił wóz przed podjazdem i wbiegł szybko do domu. Chciał powiedzieć pani Townfield o swoim postanowieniu, zabrać rzeczy i ruszyć z powrotem do miasteczka. Bez pukania wpadł do jej pokoju.

Siedziała jak zwykle pogrążona w swoich rachunkach. Zauważył, że fotografia lotnika znikła z biurka, że na jej miejscu stoi wąski wysoki wazon z jedną czerwoną różą. Kiedy skończywszy liczenie, podniosła na niego oczy, sam zdziwił się sobie, jak bardzo czekał, aby się do niego uśmiechnęła. Podszedł do niej szybko i podniósł ją z fotela, biorąc na ręce jak dziewczynkę. Nie krzyknęła nie broniła się, nie była nawet zdumiona.

Gdy niósł ją na górę, całowała jego kark krótkimi, niecierpliwymi pocałunkami.

VII

Magdalena zjawiała się w domu, rzucając od progu części ubrania. Miała zwyczaj rozbierania się po drodze, gdy pożerała ją niecierpliwość znalezienia się u siebie.

Piotr łapał w powietrzu beret, szalik i rękawiczki, odbierał z jej rąk torbę, zawsze pełną jakichś w uprzykrzony sposób potrzebnych do życia sprawunków i złożywszy to w pośpiechu na krzesło, rozbierał ją z płaszcza, zdejmował z nóg buciki i nakładał miękkie domowe pantofle.

Przyjmowała to wszystko z głębokimi westchnieniami ulgi, lubiła, gdy się nią zajmowano. Pewność, że Piotr docenia jej zmęczenie, pozwalała jej natychmiast odzyskiwać siły. Jakoż „pożałowana” w odpowiednio czuły sposób, zrywała się zaraz do domowej pracy, do gotowania, sprząwania czy szycia. Mówiła przy tym bez przerwy, relacjonując wszystko, co robiła od rana z dokładnością pracowitego protokolanta. Piotr uczestniczył więc niejako w całym jej dniu, nie tylko w tym skrawku wieczoru, który spędzali razem. Były to opowieści nie zawsze pogodne; każdy cierń, o który Magdalena raniła się podczas pracy czy wędrówki do domu, wbijała po powrocie w jego uszy. Męczeństwo, którego - jak wszyscy święci - dobrowolnie się podjął, miało jednak właściwy sobie posmacek religijnej ekstazy. Wiedział, że opłaca nim wielką łaskę jej obecności.

Dziś jednak wróciła w nieco innym nastroju.

Gdy zdejmował z niej płaszcz, gdy całował podsunięty mu na powitanie policzek, poczuł, że jest rozpalona niecierpliwością powiedzenia mu o czymś, co jednak mogło nie być dla niego zbyt radosną nowiną. Ale nie mówiła nic, a on nie pytał.

Przeżyli już z sobą rok, cały rok wciąż nie przestającej być niespodzianką miłości. Piotr dziwił się, gdy po przebudzeniu spostrzegał obok na poduszce jej ciemną, potarganą od snu głowę.

Magdalena natomiast sprawiała wrażenie od dawna zdomowionej w swoim nowym życiu. Buntowała się jeszcze od czasu do czasu na prymityw, który osaczał ją zewsząd nie

kończącymi się zajęciami domowymi, które trzeba było wykonywać, jak w epoce kamienia łupanego, przy użyciu maksimum wysiłku. Od załamania ratowała ją nie tylko miłość, ale i zahartowany wojną optymizm, który pozwalał jej wszystkie trudności uważać za bardzo przejściowe, mające tak czy inaczej szybko przeminąć. To tak czy inaczej” kryło w sobie tylko jej wiadome dwie możliwości, z których jedna oznaczała powrót dawnych czasów, pracę Piotra w jego właściwym zawodzie, pogodzenie z rodzicami i całe mnóstwo przyjemnych rewindykacji obyczajowych z porządnym mieszkaniem na czele. Druga - mniej jej zdaniem prawdopodobna - opierała się na wierze w Piotra i jemu podobnych. Poprawa, o której oni mówili, powinna była jednak nastąpić szybko, tak szybko, aby uniknąć jej zniecierpliwienia.

Tymczasem jednak - w oczekiwaniu tych dwóch cudów - namówiła Piotra do wzięcia na raty kredensu i tapczanu, który po udrękach żelaznego łóżka wydawał się rozległym obszarem burżujskiego odpoczynku. We wnęce obok drzwi, przesłoniętej jakimś gobelinem kupionym na ciuchach, zainstalowano kuchenkę elektryczną, co ograniczyło towarzyskie pogawędki Marciniakowej jedynie do chwili, gdy Magdalena zjawiała się w kuchni po wodę. Piotr - rozglądając się po swoim nowym otoczeniu - mówił, że wstydziłby się teraz zaprosić do siebie kogokolwiek ze swoich kolegów.

Mprzybyszów w ich skromnym gospodarstwie.

agdale Gdy jednak któregoś dnia Magdalena obdarzyła go na brązową sukienną bonżurką, odkupioną od jakiegoś szabrownika, zapewne wybuchła awantura tak żywiołowa, że aż dyskretni niali Marciniakowie uważali za stosowne włączyć radio na cały go, zeregulator, aby pozwolić współlokatorom wyklócić się do woli. najpiękBonżurką została oddana do komisji i nie było więcej na jej temat niejsze mowy. Magdalena uznała, że jej praca nad Piotrem musi na razie meble, zatrzymać się w punkcie, do którego z trudem dobiła. Reszty jakie miał dokonać czas i wszelkie siły sprzymierzone, za które widziałuważała przede wszystkim swój wdzięk osobisty, ogólną a poprawę warunków i przymus asymilacyjny w zetknięciu z życiu, ludźmi nie rezygnującymi z myślenia o sobie.

ma Na razie pochłaniały ją rzeczy ważniejsze. Ani się obecni spostrzegła, jak zajęcie, które przyjęła wyłącznie w celach e zarobkowych, zaczęło ją pasjonować. Uważała wciąż, że jest partyjn poza polityką, że jej praca jest absolutnym obowiązkiem wobec y narodu bez względu na to, kto nim rządzi. Płonęła żarliwą szewc, gorliwością wmuszania książek każdemu, kto miał i nie miał na który nie ochoty. Jeździła po tak zwanym terenie, brnęła kilometrami zajął przez, wiejskie drogi, jadła byle co i spała byle gdzie, wyklócała piętro się z wójtami, żądała zdjęć starostów, dobierała się do w ichchłopskich ambicji i żalów - i wracała zżarta daremnością willi. wysiłków lub promienna nadzieją.

Piotr Piotr wtedy kochał ją najwięcej.

milkł i Klęcząc zdejmował z jej nóg zakurzone buciki i pozwalał tłumiającej być bardzo zmęczoną. Zupełne, doskonałe szczęście poryw ogrzewało mu serce. Magdalena wiedziała, czym była dla niego y jej praca, choć podejrzewała, że spodziewa się po niej zbyt wiele. proleta Wybaczyła mu dawno, że nie usiłował towarzyszyć jej w riackiejzmudnych służbowych podróżach. Obudziła się w niej wojenna ascezy, samodzielność, przytłumiona rocznym pobytem w domu na godził Saskiej Kępie. Cieszyła się, że Piotr musi uważać ją za się narównorzędnego pod każdym względem partnera, że musi się nowyc liczyć z jej czasem i decyzjami. Szacunek dla obowiązków, które

wypełnokoju, a za ścianą milkły ostatnie odgłosy życia rodzinnego
iała, Marciniaków, przysunęła się blisko i oparłszy policzek o jego
wyklucramię, powiedziała cicho:

zał — Pojutrze muszę być w Warszawie. Był tak zaskoczony,
wszelk że zabrakło mu słów.

ie — Spisz?»

dyskus — Nie, skądże znowu. Dlaczego, dlaczego musisz być w
je. Warszawie?

M

imo to

tym

razem

nie

miała

odwagi

podziel

ić się z

nim

wiado

mością

, która

przede

wszyst

kim

dotycz

yła jej

spraw

służbo

wych.

Dopier

o gdy

leżeli

już w

ciemny

m

— Wysyłają mnie służbowo. Poszukał w ciemności jej dłoni i zapytał po chwili:

— Pójdiesz tam? Teraz ona długo nie odpowiadała.

— Pójdiesz? - powtórz.. Uniosła lekko głowę i jakby odsunęła się od niego.

— Wiesz, że mi nie wolno. - A potem dodała szybko i tak głośno, że u Marciniaków było chyba słycać każde słowo: - Przed tygodniem napisałam list do ojca. Myślałam, że już mu przeszło. Przecież to rok. Rok! A nie stałam się ani złodziejką, ani pijaczką i na pewno nie skompromitowałam rodziny. Ale nie chce mnie widzieć. Nie chce.

— Cicho, cicho - szepnął Piotr łagodnie.

— Napisał tylko te cztery słowa: nie chcę cię widzieć. A ty się pytasz, czy ja tam pójdę.

— Cicho, cicho...

— No więc już jesteś spokojny, tak?

Piotr leżał w ciemności milcząc, bez ruchu, zdawał się nawet nie oddychać i Magdalena miała czas odczuć zbyt ostre brzmienie swoich słów. Zwilżyła wargi końcem języka.

— Przepraszam - mruknęła. Położyła znów policzek na jego ramieniu. Lubiała tak leżeć.

— Na długo jedziesz?

— Na jeden dzień. Chyba że zdarzyłoby się coś nieprzewidzianego.

— A może się zdarzyć?

— Czy ja wiem?

Znów milczeli. Przez szyby przebiegał blask dalekich światel ze stoczni, pracowała trzecia zmiana.

— Wiesz, dokąd pójdę? - spytała nagle. Nie rozumiał.

— Na Żoliborz, a potem twoim szlakiem. Poruszył się niespokojnie.

— Po co?.

— Chcę przynajmniej móc to sobie wyobrazić. Mój Boże! - ogarnęła ją gwałtowna falą czułości. - Ile ty się nacierpiałeś!

— Minęło - szepnął Piotr.

Nie chciał na ten temat rozmawiać. Nigdy nie chciał na ten temat rozmawiać. Magdalena usiłowała nieraz dobrać się do jego powstańczych wspomnień, ale zbywał ją półsłówkami.

—Opowiedz mi, chcę wiedzieć, wszystko chcę wiedzieć.

—Śpij!

—Nie chcę spać. Jutro nie będziemy razem. Jutro będę o tej porze w pociągu.

- Więc tym bardziej powinnaś spać.

- Nie - Magdalena podsunęła się wyżej i oparła czoło o jego brodę. - Chcę, żebyś mi opowiedział wszystko od początku. Dlaczego nie zostałeś w Warszawie po ucieczce z Edelheim?

Piotr poddał się z rezygnacją.

— Bałem się. Nie miałem żadnych papierów. I ta blizna na ręce po numerze z Oświęcimia. W Reichu mogłem z tym być bezpieczny. W Warszawie każda łapanka oznaczała dla mnie śmierć. Po trzech dniach wyjechałem na wieś pod Ciechanów. A kiedy wybuchło powstanie, poszedłem do Puszczy Kampinoskiej.

— Nie próbowałeś nawiązać dawnych kontaktów?

— Próbowałem, ale nie było mnie tyle lat... Zresztą - zawahał się - po pierwszych niepowodzeniach dałem spokój. Uważałem, że wszyscy walczą przeciw Niemcom. To tylko mnie interesowało. - Urwał. Długo czekała, żeby znowu zaczął mówić.

— Miałem nadzieję, że z oddziałami puszczańskimi wejdę od razu do Warszawy. Ale nie wszystkie oddziały kwapiły się do tego. Ludzie mieli tam przedtem święte życie: zieleń, jagody. Jestem przekonany, że świetnie byś się czuła, gdybyś tam była.

— Z tobą?

— Ze mną.

Pocałował ją. Przez chwilę miał nadzieję, że zasnęła ukołyszana przywołanym przypadkowo wspomnieniem letnich wieczorów, które spędzili razem nad bawarską rzeką.

Ale Magdalena nie była senna. Westchnęła.

— Właściwie cieszę się, że nie byłam z tobą. Jestem pewna, że okazałabym się wielkim tchórzem.

— Każdy człowiek w gruncie rzeczy jest tchórzem - powiedział powoli Piotr - to okoliczności robią z niego bohatera. Nadchodzi moment, kiedy nie można zachować się inaczej. Nienawiść, strach sprawiają, że zapomina o niebezpieczeństwie, czasem chciałby zawrócić, ale przeważnie wtedy zawrócić już nie można.

— Czy ty... chciałeś zawrócić?. Odpowiedział cicho:

— Tak.

— Kiedy?

— Zaraz na początku powstania, kiedy przyszedłem z Puszczy na Żoliborz i dowiedziałem się, że oddziały z Żoliborza pomaszerowały do Puszczy, kiedy skierowałem się znowu do Puszczy i spotkałem oddziały wracające z Puszczy na Żoliborz, kiedy zobaczyłem ludzi bez broni, kobiety, dziewczęta, małych chłopców. Ale wtedy można było ratować już tylko siebie, a na to nikt jeszcze nie miał odwagi.

— Przecież nie wszyscy myśleli od początku o klęsce.

- Nie, nie wszyscy. W wielu oddziałach wierzono w zwycięstwo do końca.

- W twoim także? Nie wiem, w jakim ty właściwie byłeś oddziale...

— Ach, w kilku. Rozbijano nas, traciłem łączność, oddziały organizowały się na nowo. Śpij już.

Magdalena oparła się ramieniem o jego piersi i szukała po omacku kontaktu przy lampce stojącej na półce. Znalazła go wreszcie. Pomarańczowe od papierowego abażuru światło zalało jej twarz pochyloną nad nim nisko. Patrzyła mu w oczy.

— Ty jednak zawsze przede mną coś ukrywasz.

— Magdaleno! - powiedział z wyrzutem.

— Tak. Wiem o tym. Okłamywałeś mnie podczas wojny. Wybaczyłam ci to. Ostatecznie to wszystko, co mówiłeś o drzazgach wbijanych pod paznokcie okazało się prawdą. Ale teraz?

— O czym ty mówisz?

Oparła głowę na rękę i patrzyła na niego ze smutkiem.

- Żal mi ciebie, Piotrze - powiedziała.

„Drugi człowiek zawsze jest niebezpieczeństwem - Piotr przypomniał sobie swoje wojenne hasło, które strzegło go przed zasadzkami. - Drugi człowiek zawsze jest niebezpieczeństwem, zawsze trzeba milczeć, zamykać się szczelnie, nie dać się podejść słabości ani wzruszeniu”.

Wciąż patrzyła mu z bliska w twarz, usiłując wytropić coś w jego oczach. Spostrzegł, że rzęsy ma teraz jaśniejsze, nie tak czarne jak wtedy, gdy zobaczył ją po przyjeździe z Warszawy. Nie chodzi do kosmetyczki - pomyślał z bezsensowną w tej chwili tkliwością i postanowił namówić ją na ten mały wydatek.

Zgasła światło.

— Wiem, że nie ty jesteś temu winien - powiedziała nagle. - To czas, w którym żyjemy, a który zmusza ludzi do nieufności, jest potwornym kalectwem naszego pokolenia. Jestem pewna, że mój ojciec wstydziłby się leżeć w łóżku z moją matką, ukrywając coś przed nią. Nie, nie, nie chcę zmusić cię do wyznań. To byłby także powód do wstydu. Do wstydu na całe życie. Prócz tego, Piotrze - głos jej zadrżał. - to ja, ja muszę ci coś wyznać. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale myślę, że teraz trzeba to powiedzieć - ja nie chcę, żebyś mi się zwierzał. Gdybyś wtedy powiedział mi cokolwiek o sobie, sypnęłabym cię już trzeciego dnia pobytu na gestapo.

— Po co wracasz do tego?

— Muszę. Muszę, Piotrze - żebyś czuł się i teraz usprawiedliwiony przed samym sobą. Kiedy nie chciałeś mi wyznać, jak się nazywasz, podałeś mi tylko przydomek swego ojca. Bili mnie, bili mnie, a ja powtarzałam wciąż nie mogąc już znieść bólu: „Suchanóżka, Suchanóżka”.

Zagarnął ją w ramiona i trzymał na swojej piersi.

- Nie miałam dotąd odwagi ci o tym powiedzieć.

- Kocham cię - szepnął Piotr. - Wybaczyłbym ci nawet, gdybym miał umrzeć przez ciebie.

Całowali się krótkimi, żarliwymi dotknięciami ust, szczęśliwi, że nie widzą swoich twarzy.

VIII

Maj w Warszawie. Tego nikt nie był w stanie zabić w tym mieście.

Magdalena wyszła z ulicy Wiejskiej i przez Aleje Ujazdowskie dążyła ku Łazienkom. Nie zastawszy w zarządzie głównym swego zwierzchnika, miała - czekając na jego powrót - trochę czasu dla siebie.

Idąc Alejami można było ominąć czas, wykreślić wojnę z pamięci i obrazu miasta. Patrzyła na wesołe, dobrze ubrane kobiety, chłopców opowiadających sobie dowcipy, babcie w błogim zamyśleniu pchające przed sobą wózki ze śpiącymi wnuczkami. Ludzie posiadli szczęśliwą umiejętność zapominania.

Wygląd spotykanych kobiet zmusił ją do krytycznego spojrzenia na własną powierzchowność. Miała na sobie płaszcz-prochowiec, a pod nim letnią błękitną sukienkę w białe groszki. Białe pikowy kołnierzyk przypominał szkolne lata. Czeskie półbuciki z białego nubuku w Gdańsku wydawały się jej niezwykle eleganckie. Włożyła wiele starań, aby zdobyć talon, na który można je było nabyć. Stroju dopełniała duża czarna torba z dermy, bez trudu mieszcząca piżamę, ręcznik i mydło. Oględziny nie wypadłyby deprymująco, gdyby nie natarczywość porównań, które zmusiły Magdalenę w końcu do poddania się. Nie była to zresztą tylko sprawa stroju, rzecz polegała na czymś o wiele ważniejszym. Owa nieuchwytna elegancja warszawianek, chód, który zdawał się być tylko przyjemnością chodzenia, lekkie pochylenie pleców przy prostej, czarująco wiotkiej linii karku, jakiś gest ręki przytrzymującej rozchylenie płaszcza, jakieś spojrzenie zalotne, skierowane do własnych myśli, do miłej z

kimś rozmowy - istniało tylko w połączeniu z tym miastem, z jego powietrzem, z brukiem jego ulic. Tylko tu szło się tak lekko, jakby każdy krok miał za zadanie ukazać sprężystą doskonałość ciała, tylko tu patrzyło się z uśmiechem w oczy przechodniów. Magdalena poczuła głuchy żal w sercu, jak po stracie kogoś bliskiego. Podniosła głowę i starała się iść jak dawniej - płynnie, nie śpiesząc się i nie zdradzając bezcelowości spaceru. Ale niskie obcasy bucików i prawie koński nawyk do galopu w wiecznej pogoni za tramwajem czy pociągami, podświadome podejrzenie, że zaraz może się potknąć o jakiś kamień na drodze czy zapaść w błoto po kostki - nadawały jej krokom żołnierski rytm i nie pozwalały oderwać czujnych oczu od chodnika..

Szła upokorzona, zła na siebie i prawie sobą pogardzająca. Jeszcze podczas wojny miała wciąż uczucie, że ten połysk warszawski nie stał się z niej zupełnie. Widziała jego odblask w oczach wszystkich, z którymi obcowała: Gaston nie mógłby jej kochać, gdyby było inaczej, Philomena ratowała przy jej współudziale swoje artystyczne wspomnienia, a Ernst Waldemar, Ernst Waldemar - zamyśliła się - chociaż był Niemcem...

Przypomniała sobie dzień spędzony z nim razem w Monachium, gdy pierścień frontów zaciskał się wokół Rzeszy i równie rozpaczliwe postanowienie sprowadziło ją i jego do tego miasta. Pili wino i udawali, że potrafią zapomnieć o jutrze, patrzyli w gwiazdy, których nawet Niemcy nie zdołali zaciemnić, włożyli się po ulicach, bardzo sobie wdzięczni za ten jeden wieczór życzliwego oszustwa.

Zapomniała, o czym myślała przed chwilą. Nie starała się już iść lekko i sprężysto. Z pochyloną głową przekroczyła bramę Łazienek. Usiadła na ławeczce w bocznej alei i usiłowała zwrócić myśl ku innym sprawom. Ale wokół czyhały na nią zasadzki. Nawet zieleń, nawet wiosna kryła je w sobie. Z jakiejś grupy krzewów, z pochylenia gałęzi, oblepionych kwiatem, przywiało nagle wspomnienie ogrodu po drugiej stronie Wisły, białych drzew sadu, wąskich alejek, które matka - być może - grabi

właśnie teraz, w rękawiczkach i chusteczce osłaniającej jej twarz przed wiosennym słońcem. Każdej wiosny pokazywało się na nosie mamy kilka małych brązowych piegów. Zacięta walka o niedopuszczenie do ich powstania trwała przez parę tygodni i kończyła się klęską, gdy pierwsza ciemna plamka skaziła skórę. Matka porzucała wtedy chusteczki i parasolki, nie skrywała już twarzy przed słońcem, a piegi ginęły wkrótce, roztopione w opaleniznie. W Magdalenie serce zamierało od czułości, gdy myślała o tych śmiesznych sprawach. Ambicja nie pozwalała jej pójść do domu mimo zakazu ojca, ale ambicja zawsze sprawiała jej cierpienie. Zdobyła się wreszcie na żalosny kompromis pojechania na Saską Kępę i spojrzenia na dom. Kryło to w sobie niebezpieczeństwo obudzenia sensacji wśród sąsiadów, ale nie miała innego wyjścia. Postanowiła po południu udać się na wędrowkę „szlakiem Piotra”, który wiódł przecież na przeciwległy brzeg.

Podjąwszy tę decyzję, uspokoiła się i patrzyła z bezmyślnym zachwytem w przesyconą słońcem zielen parku. Opodal, przy zamkniętym jeszcze budynku kawiarni, pracowała grupa niemieckich jeńców. Ścinali zniszczone wojną drzewa, karczowali pnie i wygładzali ślad po nich - mokrą, ciemną ranę ziemi. Patrzyła na nich najpierw obojętnie, potem z rosnącą złością, że plamią sobą jedyny fragment miasta, w którym można było choć przez chwilę nie myśleć o ich pięcioletnim pobycie na tej ziemi. Powinni byli usuwać gruzy na Starym Mieście, gdzie nie zachował się nawet rysunek ulic, odkopywać nie trupy drzew, lecz ludzi zasypanych w piwnicach, nosić w zębach cegły ocalałe z Królewskiego Zamku.

Ogarnęła ją głucha nienawiść. Nie mogła oderwać oczu od uwijających się gorliwie sylwetek w zbyt znajomych mundurach, cieszyła się mściwie widokiem polskich strażników, krążących wokół. Jeszcze pies - pomyślała. - Jeszcze powinien być pies! Przez ile bezsennych nocy dudnił w jej głowie powolny marsz jenieckiej kolumny. Wciąż widziała siebie stojącą z kawałkiem chleba w ręce na krawężniku ulicy niemieckiego

miasta. Jej środkiem przechodził skazany na śmierć oddział sowieckich jeńców. Każdego ranka wychodziło ich mniej.

Wstała nagle i podeszła do Niemców, żeby zobaczyć, czy są tak bladzi i wychudli jak tamci. Pragnęła z bliska popatrzeć im w oczy. Dziwiła się, że mogą żywi i cali chodzić po tym mieście, że nikt nie rzuca się na nich, nikt nie kamieniuje. Przysiadła na ocalałej ławce w pobliżu. Wszystko, co myślała, musiało odbijać się na jej twarzy, bo Niemcy unikali jej wzroku. Pracowali pilniej, ich ruchy stały się szybkie i nerwowe. Jednak boją się nas - pomyślała ze złą radością - boją się nawet spojrzenia. Sprawiało jej satysfakcję mszczenie się choćby w ten sposób za wszystkie krzywdy Warszawy. Usiadła wygodniej i oparłszy podbródek na rękę wpatrywała się intensywnie w pracujących.

Nagle pochyliła się ku przodowi, ledwie powstrzymując okrzyk. Czyżby uległa halucynacji? Heinz Steinlieb umarł przy niej na dworcu krakowskim, gdy jesienią 44 roku cofały się armie wschodniego frontu. Ernsta Waldemara, jego brata, zostawiła dzień przedtem w Monachium. Dopiero nazajutrz miał przywdziać mundur. Nie zdążyłby, nie zdążyłby dostać się do polskiej niewoli. A przecież to był chyba on - ten człowiek usiłujący dźwignąć pień brzozy. Nie zapomniała jego twarzy, na którą patrzyła, przez trzy lata spędzone w Bawarii.

- Herr Steinlieb! - zawołała cicho.

Drgnął, podniósł głowę.

Patrzyli przez chwilę sobie w oczy. Zmizerniał, miał bladą, niezdrową cerę, ale dokładnie wygolony zarost nadawał jego twarzy zwykły staranny wygląd.

- Herr Steinlieb - powtórzyła z żalem.

Spojrzał z ukosa na strażnika, który oddaliwszy się nieco nie zwracał na nich uwagi. Podeszedł do niej kilka kroków i pochylił się nad ziemią, pozorując pracę.

— Na litość boską, co pan tu robi?

— Widzi pani przecież - powiedział gorzko.

— Ale skąd, skąd pan się tutaj wziął? W Warszawie?

Zostawiłam pana w Monachium w cywilnym ubraniu.

— Od razu poszedłem na front. Dostałem się do niewoli pod Poznaniem. W styczniu.

— Nie starał się pan o zwolnienie? Nie mówił pan nikomu, że tylko dwa miesiące był pan żołnierzem?

Machnął ręką.

- Usiłowałem tego dowieść.

Pomyślała, że musi natychmiast do kogoś iść, do jakichś władz, wysokich urzędów, wszechwładnych ludzi i zaświadczyć, że jeniec Ernst Waldemar Steinlieb nie jest winien żadnych wojennych zbrodni, że siedział w bawarskim miasteczku i kierował produkcją obuwia. O te buty żołnierskie, przy których i ona obtłukiwała sobie palce, potknęła się teraz myśl Magdaleny. Ale, do diabła, czyż mogło być inaczej? Nawet odbytnice niemieckich kur nastawione były na produkcję wojenną.

Była pewna, że musi się jej udać, że łatwo przekona wszystkich o słuszności swoich racji. Przypominała sobie w pośpiechu, co Ernst Waldemar uczynił dla niej podczas jej pracy u niego. Że mogła z nim szczerze rozmawiać, że się go nie bała, że nie żywił sympatii do Hitlera... To nie były jeszcze żadne czyny, a antyhitlerowcami byli teraz wszyscy Niemcy... Ze ukrył ją, gdy spodziewała się aresztowania, że interweniował w jej sprawie w gestapo - bezskutecznie, cóż z tego? Intencja była ważna, a nie skutek. Co jeszcze? - Optymizm sprzed chwili zaczął ją opuszczać. - Co jeszcze? Krył jej ucieczkę do kraju! Tak, to był najważniejszy, najwłaściwszy argument.

- Papierosa! - poprosił cicho.

Nie paliła, nie miała papierosów. Wyjęła z torby tabliczkę czekolady, którą Piotr kupił jej na drogę. Rzuciła mu ją niepostrzeżenie w trawę. Chciała wstać.

- Zaraz przyniosę papierosy.

Powstrzymał ją.

— To zwróci uwagę. I tak za chwilę odchodzimy stąd. Południe. Nie zdążyłaby pani. Jutro - dodał z prośbą.

— Nie mieszkam w Warszawie.

— A gdzie? - zmartwił się.

— W Gdańsku.

- W Gdańsku - powtórzył.

Pamiętała, że raz powiedział jej żartem o lekkomyślnej nieustępliwości

Polaków w sprawie Gdańska. - To my wywołaliśmy tę

wojnę? - zapytała wtedy.

— Zostanę jeszcze na jutro w Warszawie - zdecydowała się nagle. - Muszę coś zrobić, żeby pana zwolnili do domu.

— Pani?

- Ja. Tylko ja mogę tego dokonać.

Patrzył na nią z budzącą się nadzieją.

- Pójdę do Ministerstwa Obrony Narodowej. Pójdę do partii, niech pa będzie dobrej myśli.

Strażnik odwrócił się i szedł teraz ku nim, poprawiając pepeszę na brzuchu. Magdalena wyjęła z torby książkę i pogрузzyła się w lekturze. Ern Waldemar uderzył siekierą w leżący pień brzozy. Strażnik przeszedł ziewając.

- Niech pan będzie dobrej myśli - powtórzyła Magdalena. Ernst Waldemar usiłował uśmiechnąć się do niej.

- Mężatka? - zapytał, dostrzegając obrączkę na jej palcu. Skinęła głową. Potem przypomniała sobie, że przecież musiał znać Piotra, Edelheim było takie małe. Ponadto po wysadzeniu mostu zbiegłego Polaka otoczył niewątpliwy nimb złej sławy. Uznała jednak, że nie należy wspominać, kto jest jej mężem.

Zapytała z wahaniem:

— Czy matka wie, gdzie pan jest?

— Przypuszczam, że nie. W Bawarii są Amerykanie. Już pod koniec wojny „nie miałem z domem żadnej łączności.»

Chciała go też zapytać, czy otrzymał zawiadomienie o śmierci brata, ale zaniechała tej myśli. Jeśli nie wiedział, tym lepiej dla niego. Zastanawiała się przez długą chwilę, co do niego mówić, jakie słowa mogłyby go pocieszyć, dać nadzieję, zapewnić o jej życzliwości.

- Nie jest pan głodny?

Milczał. Usiłował się uśmiechnąć. Wargi mu zadrżały.

— Przegraliśmy wojnę.

— A myśmy ją wygrali!

Zrozumiał jej gorzką aluzję. Przypomniał sobie dawne dowodzenie tej polskiej dziewczyny, że na wojnie nie ma zwycięzców, przegrywają ją obie strony: zwycięzcy i zwyciężeni. Teraz nie było żadnego sensu myśleć o tych sprawach. Zapytał:

— Udało się pani szczęśliwie przejść przez granicę?

Skinęła głową.

— Zawdzięczam to głównie Schillerowi.

— Schillerowi? - szukał w pamięci jakiegoś wspólnego znajomego o tym nazwisku.

— Fryderykowi naturalnie. Pewien stary generał SS recytował mi w pociągu jego wiersze, gdy do przedziału weszła straż graniczna. Przerwano mu w najpiękniejszym momencie. Posłał strażników do wszystkich diabłów, tak że nie mieli czasu zapytać mnie o paszport.

Słuchał z niedowierzaniem. Miał ochotę się roześmiać,

dojrzała w jego oczach znajomy błysk chłopięcej wesołości. Ale zgasł, zanim narodził się uśmiech.

Znów powróciła myślami do tego jednego wspólnego wieczoru, jaki spędzili w dużym, obcym dla niej mieście. Ulice Monachium - te, których nie dotknęła wojna - miały fioletową mglistość każdego rodzinnego miasta. Szli jedząc śliwki i wypluwając na chodnik pestki, bardzo źle wychowani i bardzo sobie bliscy. Może alkohol, który wypili, a może śmierć, której się bali, a która w drobnych sprawach zawsze dodaje odwagi - sprawiły, że nie myśleli, co ich czeka, gdyby przypadkiem na ulicy sprawdzono ich dokumenty.

Teraz sytuacja wyglądała tak samo. Nawet gorzej! Ernst Waldemar był kapitalistą, posiadał narzędzia wytwórcze, zatrudniał wielu robotników. Próbowwała uzmysłowić sobie, ilu ich było - czy należało zaliczyć go do wielkiego kapitału, czy też do drobnej burżuazji. Wiedziała, że trzeba będzie odpowiedzieć na to pytanie, dokądkolwiek by się udała w jego sprawie.

— O czym pani myśli? - spytał cicho. Patrzył na nią ze zdumioną ciekawością. Dopiero teraz wydało mu się nieprawdopodobne, że się spotkali.

— Jestem bardzo zmęczona - westchnęła. I dodała szybko: - Jechałam całą noc, potem miałam coś do załatwienia - urwała. Po cóż było to kłamstwo? Czyżby teraz jej przypadła niewygodna rola zwycięzcy, który nie ma prawa przyznać się do swoich smutków?

— Zmęczona - powtórzył miękko. Słowo było współczuciem i pieszczotą. I to także musiała zrozumieć: od dawna nie widział z bliska i nie rozmawiał z kobietą.

Zarumieniła się.

Strażnik wydał rozkaz formowania kolumny. Magdalena wstała. Chciała odejść pierwsza. Widok Ernsta Waldemara maszerującego w szeregu był nie do zniesienia.

- Przyjdę jutro - zdołała szepnąć.

Odprowadził ją spojrzeniem. Potem Schylił się po siekiere, wytarł jej trzon o trawę i ociągając się stanął w swojej

czwórce.

Biegła przez park nie zważając na ludzi. Teraz niskie obcasy czeskich bucików przydały się na coś, były naturalnym sprzymierzeńcem jej pośpiechu. Postanowiła jak najprędzej załatwić swoje sprawy służbowe i pojechać na Saską Kępę. Nie miała już zamiaru snuć się, jak złodziej, wokół domu. Wiedziała, że ojciec pomoże jej w sprawie Ernsta Waldemara - znał go z jej opowiadań, wiedział, co mu zawdzięcza.

Wbiegła bez tchu do biura. Osoby, na którą czekała, jeszcze nie było. Ważna konferencja w ministerstwie. Powiedziano jej, że musi zostać na dzień następny. W kadrach dostała skierowanie do hotelu - gdzieś w gruzach na Moniuszki. Był to prywatny hotel w cudem ocalałej kamienicy. Magdalena podziękowała z roztargnieniem; miała nadzieję, że nie będzie musiała korzystać ze skierowania. Jakimś ciężarowym samochodem dostała się na Saską Kępę. Nie wiedziała dlaczego, ale raczej wolała nie spotkać nikogo ze znajomych. Andrzej! - pomyślała z przerażeniem. Na szczęście nie natknęła się na nikogo. Do domu weszła nie przez werandę, lecz głównym wejściem, jak pacjent lub jakiś oficjalny, obcy gość. Bała się, że dostrzeże ją babka ze swego posterunku na fotelu. Nie miała odwagi iść pod jej wzrokiem długą ścieżką przez cały ogród.

Zadzwoiła. Otworzyła obca służąca. Nie wiedziała, co jej powiedzieć, i stała przez chwilę milcząco, ogłuszona szumem krwi w uszach.

— Pana profesora nie ma - powiedziała dziewczyna.

— Ja do pani.

Służąca weszła do środka, zostawiając ją na progu.

— Ktoś do pani profesorowej - krzyknęła w głąb mieszkania.

— O Boże! - westchnęła matka.

Magdalena zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, matka stała już na progu.

Była w popielatym kostiumie wiosennym z pękiem fiołków przy klapie. Wybierała się widocznie do miasta, aby odsiedzieć swoją popołudniową godzinkę w „Kopciuszku”. - Gdy tkwiła tak na progu z zamartwym gestem zaproszenia, Magdalena miała możliwość ocenić szczerą jej determinację.

- Wejź! - powiedziała wreszcie.

Pokój się nie zmienił. Była w nim ta sama wiosenna barwa, którą zawsze wspominała z ostatnich dni w domu. Meble stały podświetlone od podłogi gorącym blaskiem słońca, jakby wyższe i lżejsze. Matka też wydawała się wyższa i smuklejsza niż dawniej. Może naprawdę zeszczupiała, a może postawa z greckiej tragedii, jaką mimo woli przybrała, nadała jej ten pozór.

Patrzyły na siebie długo, aż w końcu matka, zmęczona obojętnością, mruknęła:

- Pocałuj mnie!

Magdalena przyskoczyła do niej. Ale matka wysunęła ręce w obronę przed jej uściskami i nadstawiła policzek, który Magdalena musiała pocałować ostrożnie, aby nie zetrzeć różu.

— Tylko bez czułości! - powiedziała. Podeszła do drzwi sąsiedniego pokoju i otworzyła je szeroko.

— Mamo, jest Magdalena.

Nie powiedziała „przyjechała”, „przyszła”, tylko „jest”. Tamte sformułowania znaczyły więcej. Matka zawsze była znakomitą stylistką.

Nie usłyszawszy w drugim pokoju zachęcającego okrzyku powitania, Magdalena powoli podeszła do drzwi.

U starszej pani była fryzjerka. Uzewnętrznianie uczuć przy obcych ludziach nie leżało w zwyczaju tego domu. Spod białego

rękawa fryzjerki wyjrzała twarz babki umiarkowanie uprzejma.

- Witam cię, moje dziecko.

Magdalena podeszła i prawie z daleka pocałowała podaną jej dłoń. Zauważyła, że babka szuka wzrokiem brylantu na jej palcu. Podniosła rękę, aby go mogła zobaczyć. Obydwie były godne siebie.

Gdy wróciła do drugiego pokoju, matka starannie zamknęła drzwi.

— Ojca nie ma? - spytała Magdalena. - Muszę z nim rozmawiać.

— Masz szczęście, że go nie ma. - Matka usiadła i zapaliła papierosa. Podsunęła pudełko w stronę Magdaleny, - Nie palisz?

— Nie.

— Myślałam, że się nauczyłaś.

— Nie nauczyłam się.

- Usiądź!

Magdalena zmieszana się. Dopiero teraz spostrzegła, że wciąż stoi. Przysiadła na brzegu krzesła.

— Dlaczego mam szczęście, że ojca nie ma? - spytała cicho.

— No, moje dziecko - matka przyglądała się jej ciekawie - nie sądzisz chyba, że powitałby cię z otwartymi ramionami.

— Wiem o tym. Napisał przecież do mnie, że mnie nie chce widzieć.

— Napisał do ciebie?

— Tak. Nie mówił ci?

— Nie.

- - Mimo to jednak przyszłam. Tamtą sprawę trzeba na razie odsunąć na bok. Jest inna, ważniejsza.

— Ważniejsza? - przestraszyła się matka.

— Niech się mama nie denerwuje, nie dotyczy nas. Spotkałam Ernsta Waldemara.

— Tego Niemca?

— Tak.

— Gdzie go spotkałaś? Na litość boską! Nie sądz, że pozwolę go tu ukryć.

Magdalena uśmiechnęła się gorzko.

— Ukryty jest w sposób doskonały. Jest w niewoli.

— W Warszawie?

— W Warszawie.

— Jak zawiadomił cię, że tu jest?

— Wcale mnie nie zawiadamiał. Spotkałam go przypadkowo w Łazienkach.

— A co ty robiłaś w Łazienkach?

— Poszłam na spacer. Musiałam czekać na pewną osobę i nie miałam co z sobą zrobić.

— Nie przyjechałaś więc, aby nas odwiedzić?

— Nie.

Matka straciła naraz pewność siebie i długo strzepywała popiół z papierosa.

— Przyszłam tu - wybuchnęła Magdalena - bo ojciec musi mi pomóc w uwolnieniu go z niewoli. Bezprawnie go trzymają. Dawno powinien być w domu.

— Ten Niemiec? - spytała znów matka.

— Jezus Maria! Nie mogłaś przecież zapomnieć, co ci o nim opowiadałam. Ojciec musi mi pomóc.

— Ojciec ci nie pomoże.

— Dlaczego? - Magdalena usiadła głębiej w krześle, wiedziała, że teraz trzeba będzie odpierać atak.

— Bo nie chce w ogóle mieć z tobą do czynienia.

Magdalena wstała.

— Pójdę do szpitala. Przy obcych ludziach nie zrobi mi afrontu.

— Tupecik to ty masz.

— Rodzinny - mruknęła Magdalena.

— Ale nie przyda się na nic. Ojciec jest we Wrocławiu. Przyjedzie dopiero w nocy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła babka, wyświeżona i pachnąca.

— Już? - zdziwiła się córka.

— Odprawiłam fryzjerkę, bo przecież nie wiedziałam, jak długo ona tu będzie. - Patrzyła na Magdalenę. - No, no - powiedziała. - A jednak przyszedłeś.

— Przyszedłam.

- Nie do nas - sprostowała matka. - Chciała widzieć się z ojcem w sprawie wyciągnięcia z niewoli tego Niemca z Edelheim.

— No, no - powtórzyła babka. Usiadła w fotelu i nie przestawała przyglądać się Magdalenie.

— Dlaczego nie przyjechałaś wtedy z ojcem do domu?! - krzyknęła nagle matka. - Dlaczego wtedy nie wróciłaś? Zachowałaś się jak ulicznica. Można było to wszystko inaczej załatwić.

— Jak? - spytała Magdalena z denerwującym spokojem.

— Nie wiem jak. Inaczej. Trzeba było wrócić do domu i uzyskać naszą zgodę.

— I otrzymałabym ją?

Matka czerwieniała z wściekłości.

— Tylko człowiek pozbawiony wszelkich zasad mógł narazić cię na taki konflikt z rodzicami.

— Więc ta awantura jednak nas nie minie? Dobrze. Ale zanim zaczniesz się na dobre, musi mama wiedzieć, że on mnie w ogóle przez cały czas nie chciał. To ja, ja mu się narzuciłam. Rozumie mama teraz? A on znalazł się jak dżentelmen.

- Ty?

- Tak. Nie mogłam żyć bez niego. Nie mogę żyć bez niego. To wszystko. Mama chyba zna to uczucie?

Dwie starsze panie spojrzały na siebie. Starsza pani pierwsza z małym drapieżnym uśmiechem. Starsza pani druga z prawdziwie panińskim rumieńcem.

— No dobrze - powiedziała cicho. - Więc twierdzisz, że jesteś szczęśliwa.

— Szczęśliwa? - powtórzyła Magdalena. Już była przyłapana. Nuta zastanowienia, która zadrżała w jej głosie, zdradziła ją. Jej szczęście okazało się niezbyt oczywiste - w każdym razie był to temat dopuszczający dyskusje-

Starsze pani poruszyły się w fotelach pod nagłym podmuchem nadziei.

- Czy ty msz z nim w ogóle jakiś ślub? - spytała matka.

Magdalena czerwieniła się. Przez chwilę miała ochotę skłamać, ale zrezygnowała z tego. Prawda była nie do ukrycia ani do naprawienia. Piotr nie zmienia swoich postanowień.

— Mam tylko cywilny - powiedziała unikając ich spojrzenia. - Kościelnego Piotrze chciał, bo uważa...

— Ależ to świetnie! - przerwały jej z entuzjazmem.

— Świetnie!

— Moja droga - matka z nowym przyływem energii zapaliła papierosa - cywilny ślub znaczy tyle co żaden.

— Jak to żaden?

— No, żaden. Jakbyś miała kochanka. Mój Boże, zdarza się to w najporządniejszych rodzinach. Nie sądź, że pochwalam ten stan rzeczy, ale zawsze lepsze to niż związanie się na całe życie z takim człowiekiem.

— Niemniej jednak on jest moim mężem - przerwała jej Magdalena z naciskiem.

— Jaki tam mąż? Spójrz no tylko na siebie, jak ty wyglądasz? Co się z tobą przy nim zrobiło? Poznać cię nie mogłam.

Magdalena speszyła się. Gdyby słowa matki były pierwszym atakiem z tej flanki, potrafiłaby się im oprzeć. Ale

one brzmiały jak powtórzenie jej wewnętrznego monologu, który wygłaszała do siebie w drodze do Łazienek. Już wtedy miała świadomość klęski. Teraz jednak poczuła żołnierski obowiązek odpierania ataku do ostatka.

— Wyglądali tak jak inne kobiety - powiedziała, oblizując suche wargi.

— No, własne! - krzyknęła matka, patrząc z triumfem na starszą panią pierwszą. - Jak inne! Szczyt szczęścia wyglądać jak wszystkie inne. Sukienka według państwowego wzoru, buciki takie, jakie nosi całe miasto, torebka z masowej produkcji. Gdy tymczasem wszystkie kobiety od początku świata stawały na głowie, żeby wyglądać inaczej i ładniej od innych. Do tego cię doprowadził ten twój bolszewik.

- Mamo!

— Cicho bądź! Dobrze wiesz, że mam rację. A co ty w ogóle robisz z nim przez cały dzień?

— Przez cały dzień? Mamy bardzo mało czasu dla siebie. On jest do wieczora zajęty ja pracuję.

— Pracujesz Gdzie?

— W takiej jednej instytucji.

— W takiej jednej instytucji - to interesujące. Zajmuje cię to?

— Tak.

— Bo ty się akurat przyznasz. Charakterek! I co dnia wysiadujesz za biurkiem po ośm godzin? I wstajesz o świcie?

— Nie o świcie, o szóstej rano.

— Moja droga, ja w ciągu całego swego życia, nie licząc wojny oczywiście, tylko raz wstałam o szóstej rano. Jechałam do Krynicy i pociąg odchodził o tej barbarzyńskiej porze. Kobieta nie jest piekarzem, żeby zrywać się tak wcześnie. Nie ma mowy o dobrym wyglądzie, jeśli po śniadaniu nie poleży się trochę w łóżku. Zobaczysz, w trzydziestym roku życia będziesz miała zmarszczki.

— Nie będę miała - Magdalena wysunęła ku przodowi szyję, aby matka mogła lepiej obejrzeć jej czyściutką twarz.

W oczach starszej pani drugiej po raz pierwszy zabłysnął mały płomynek czułości. Chciało jej się wyciągnąć rękę i pogłodzić tę brązową kochaną głowę, którą wciąż czuła przy piersi, w ramionach, na kolanach, gdy tylko ona była obroną przed dziecinnymi smutkami i rozpaczą.

- Cóżś ty zrobiła, moje dziecko? - jęknęła.

Magdalena już była przy niej. Całowała ją nie pamiętając o zamierzonym wyjściu do „Kopciuszka”, niszczycielsko i gwałtownie, jakby wyczuła, że trzeba przywołać dawne wspomnienia, aby broniły jej w tym domu. Matka płakała. Magdalena nie dawała jej czasu na zastanowienie. Całowała ją wciąż i trzęsła w objęciach.

- Mnie też! - zawołała babka.

Magdalena roześmiała się i podbiegła ku niej.

- Ty mały głupcze! - powiedziała starsza pani pierwsza, wydzierając się z jej uścisków. Brzmiało to jak nagana, która straciła swoje oblicze.

Potem piły kawę, jadły ciastka - takie jakich nikt inny nie potrafi upiec - otwierały słoiki dżemów i konfitur. Matka zdjęła żakiet, kuchnia otrzymała rozkaz przyśpieszenia obiadu, a okno zostało otwarte szeroko, aby krzewy jaśminu mogły pachnieć do środka. Magdalena nie miała już ochoty się kłócić ani bronić - wiedziała, że nic nie ma znaczenia poza jej obecnością w tym domu. Prawdziwe szczęście wymagało jeszcze tylko jednego warunku do spełnienia - żeby Piotr był tu razem z nią» Ale tylko

głupcy żądają od razu zbyt wiele. Rozgrzeszywszy się w ten sposób z odsunięcia marzeń na dalszy plan, poddawała się błogiemu trwaniu rzeczywistości, gdy nagle przypomnienie sprawy, z którą tu przyszła, uderzyło ją jak kamień.

Zerwała się z krzesła.

— Co się stało? - spytała babka.

— Przecież muszę gdzieś iść - krzyknęła z rozpaczą - kogoś prosić, błagać, bo ja wiem? Oni nie mogą go trzymać! To niemożliwe. To niesprawiedliwe!

— Dajże spokój - matka nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do jej podniecenia. - Dokąd chcesz iść? Jeszcze cię zanikną. Na ojca nie licz. Pozwól, że ja go najpierw przygotuję na rozmowę z tobą. To na pewno potrwa kilka miesięcy. Ale nawet gdyby nie gniewał się na ciebie, nie wyobrażam sobie, żeby mógł ci pomóc. Wykonuje uczciwie swoje obowiązki, nie wymagaj od niego, żeby wsadzał palec między drzwi, kiedy Bogu dzięki żyjemy jakoś spokojnie.

Magdalena zwiesiła głowę.

— Ale ja muszę, zrozum - nie potrafię zasnąć spokojnie, jeśli tego nie zrobię.

— Bądź rozsądna.

— Jestem rozsądna. Wiem, że muszę mu pomóc.

— Ale nie możesz się sama narażać. Wplącesz się w nie wiadomo co.

— Ja muszę! - powtarzała Magdalena.

— Nie broń jej - powiedziała cicho babka. - Ona musi. To proste. Trzeba, żebyś to zrozumiała, - Wyszła do drugiego pokoju i wróciła z torebką. - Będą ci potrzebne pieniądze. Weź to - wsunęła w dłoń Magdaleny zwitek banknotów.

— Nie! - krzyknęła matka. - Czy mama chce, żeby ją zamknęli? Jezus Maria! - chwyciła się za głowę. - Nie waż mi się proponować nikomu łapówki! Takie rzeczy trzeba umieć robić.

— Weź te pieniądze! - powiedziała twardo babka. - Nie musisz ich wydawać, ale musisz wiedzieć, że je masz. I inni to także powinni wiedzieć.

Magdalena stała nieruchomo.

- Oczywiście nie mówię, żeby nie brała tych pieniędzy, skoro mama je daje, ale, na litość boską, uważaj, co robisz! Że też musiało cię ponieść do tych Łazienek. Dlaczego nie przysłaś od razu do domu?

Nie odpowiedziała. Matka zarumieniła się i poszukała dłonią papierosa. Magdalena sięgnęła po swój płaszcz.

— A przyjdź powiedzieć, co załatwiłaś - nakazała babka.

— Kiedy ojciec przyjeżdża?

— Dziś w nocy.

— Wobec tego przyjdę jutro przed południem, kiedy będzie w szpitalu.

- A gdzie... - głos matki się załamał - gdzie będziesz nocować?

Magdalena poszukała w kieszeniach. Niedbale zwinięty świstek skierowania do hotelu okazał się ratunkiem.

- Na Moniuszki - szepnęła. - Jest tam jakiś hotel.

Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i kazała się wieźć do MON-u.

Tu skierowano są najpierw do biura przepustek. Zasadnicza trudność w załatwieniu tej formalności polegała na tym, że nie znała nazwiska osoby, z którą chciała rozmawiać.

— Do kogo? - pytał młody sierżant, wpatrując się w nią ze znużeniem. Dochodziła druga, miał już dość twarzy w okienku, ukazujących się przed nim raz po raz, jakby zbliżenie w bardzo nieciekawym filmie. Bohaterów było wielu, a nic się nie działo. - Do kogo idziecie, obywatelko?

— Nie wiem, do kogo idę - zniecierpliwiła się Magdalena. - Chcę rozmawiać z kimś, komu podlegają obozy jeńców.

— Jakich jeńców?

— Niemieckich. Nie wiem, czy są inni.

— Nazwisko?

— Steinlieb.

— Nie pytam o wasze nazwisko, tylko do kogo się udajecie?

— Nie wiem, do kogo się udaję! - krzyknęła. - Nie znam żadnego nazwiska. Chcę dostać przepustkę i rozmawiać z kimś, kto zajmuje się jeńcami.

— Przedzwońcie - powiedział sierżant.

— Co mam robić?

— Przedzwońcie. Tam jest telefon.

— Do kogo mam telefonować?

— Do tego, do kogo się udajecie. Musicie zapytać, czy was przyjmie.

— Ale ja nie wiem, do kogo się udaję.

Sierżant podumał przez chwilę, a potem przesunął palcem po wypisanym na maszynie spisie wewnętrznych telefonów.

- Dwieście trzydzieści - mruknął.

Weszła do kabiny i nakręciła podany numer. Po drugiej stronie przewodu ktoś się wzruszył, po prostu ktoś się wzruszył jej bezradnością. Nie wiedziała, z kim chce mówić i usilnie dopytywała się o nazwisko osoby, która przypadkiem podeszła do aparatu. W głosie Magdaleny dźwięczało błaganie. - Poczekajcie - powiedziano jej z westchnieniem..

Wyszła z kabiny i czekała. Wreszcie na stoliku sierżanta zadzwonił telefon, a po chwili wychyliła się z okienka jego twarz.

- Dowód! - powiedział.

Podąła posłusznie dokument.

- To wy nie nazywacie się Steinlieb? - zapytał podejrzliwie.

— Nie.

— Przecież mówiliście, że nazywacie się Steinlieb.

— To jeniec nazywa się Steinlieb.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Dwa razy odrywał wzrok od wypełnionej kartki, aby jej się przyjrzeć. - Co macie ze sobą? - zapytał.

- Nic. Torebkę - poprawiła się. Pomyślała o pieniądzach babki. Może teraz należało zrobić z nich użytek? Ale żołnierz podał jej przepustkę, więc chwyciła ją i ruszyła ku drzwiom. Wciąż powtarzała sobie, że musi to załatwić, że ma szczęście i musi to załatwić.

Oficer, który ją przyjął, był w randze kapitana.

Usiadła na wskazanym krześle przed biurkiem. Człowiek siedzący za nim milczał. Gdyby zaczął mówić, gdyby zapytał, o co jej chodzi, prędzej przysłoby jej na myśl pierwsze słowo. Ale on patrzył tylko na nią i czekał, bez ruchu, nawet bez nadmiernej ciekawości.

Aby mógł zrozumieć, że ma prawo zajmować mu czas w tak niezwyklej sprawie, trzeba było streścić kilka lat, kilka lat wojny, z których łagodniejsze od pospolitej rzeczywistości chwile miały stać się obroną jednego człowieka. Magdalena zaczęła opowiadać. Nie zaoszczędziła cierpliwemu oficerowi ani jednego szczegółu od momentu zabrania jej sprzed domu na Saskiej Kępie aż po ów wieczór w Monachium, gdy Ernst Waldemar kupił jej bilet na ucieczkę do kraju. Była to interesująca opowieść, uważne oczy kapitana oddały jej pełną sprawiedliwość.

Ale gdy skończyła, zdradzając błaganiem zbyt gorący stosunek do przedstawionej prośby, oficer zapytał krótko:

— Dlaczego na przepustce napisane jest „Kwaśniewska”?

— Bo to jest moje nazwisko.

— A dlaczego przedtem mówiliście, że nazywacie się Łumieniecka?

— Bo to jest nazwisko mojego ojca.

— Dlaczego podaliście mi nazwisko ojca?

— Bo wtedy, kiedy to się działo, nie byłam jeszcze mężatką. Poza tym... - Poza tym?...

- ...sądziłam, że... - zawahała się. - Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy żywili specjalny szacunek dla mego ojca. Czasem wdzięczność. Myślałam więc...

Nie zapytał, kim jest jej ojciec, choć było jasne, że nazwisko to nic mu nie mówi. Pochylił się znów nad przepustką.

— Pani na stałe mieszka w Gdańsku?

— Tak.

— A co pani robi w Warszawie?

- Przyjechałam służbowo.

Zapalił papierosa.

- Gdańsk i Warszawa! - powiedział, gasząc powoli zapalną.

- I widok tych dwóch miast nie zdołał powstrzymać pani od przyjscia tutaj w tej sprawie?

Nie spuściła oczu, choć patrzył w nie natarczywie.

— Nie! Ten człowiek nie ma z tym nic wspólnego.

— Być może. Ale z nas dwojga tylko pani jest o tym przekonana.

— Nie wierzy mi pan?

- To bez znaczenia - wierzę czy nie, to są zupełnie uboczne sprawy. Siedzimy na kupie gruzów i liżemy rany. Długo będziemy je lizać, tę czynność mamy zapewnioną na wiele lat. Może nie starczy młodości mojej, ani nawet pani, żeby posprzątać choćby po wierzchu to wszystko, co oni poniszczili w naszym kraju.

- Ten człowiek nie ma z tym nic wspólnego! - zawołała. - On jest niewinny!

Patrzył na nią długo.

- No więc jeśli nawet tak - rzekł z upartym spokojem - jeśli naprawdę nie ma z tym nic wspólnego, o zakładnikach pani słyszała? Zbiorowa odpowiedzialność - to była broń przez pięć lat trzymana przy piersi naszych niewinnych.

Milczała.

- Musimy Niemców odzwyczaić od wojny. Przynajmniej my, gdy inni się z nimi cackają. Powinna pani dobrze to sobie przemyśleć – powiedział po chwili.

Nie słuchała tego, co mówił.

— To nie jest w porządku - powtarzała. - To nie jest w porządku! - Rozpacz nie podsuwała jej żadnego innego argumentu.

— Sami dojdziecie kiedyś do wniosku, że to jest w porządku. Każdy Niemiec ma teraz swojego Polaka, który go broni. Gdybyśmy chcieli ulegać tym prośbom, musielibyśmy założyć sanatoria wypoczynkowe, żeby dać im odetchnąć po tej wojnie. Niech pani zapomni, że była pani u mnie w tej sprawie. Ja także o tym zapomnę - dodał spuszczać głowę. - Tylko tyle mogę zrobić dla pani.

Zrozumiała, że należy wstać. Rozmowa była skończona. Podniosła się ciężko z krzesła. Oficer wstał także. Gdy była już przy drzwiach, zapytał:

— Nie straciła pani na wojnie nikogo z bliskich?

— Nie.

— Byłem tego pewny.

Dopiero na ulicy przypomniała sobie o legitymacji zostawionej w biurze przepustek. Zawróciła i jeszcze raz ukazała się w okienku znudzonemu, sierżantowi.

Nie poszła tego dnia „szlakiem Piotra”, jak zamierzała poprzednio. Każdy zburzony dom, każdy kamień, o który potknęłaby się na drodze, byłby dowodem słuszności tego, co mówił tamten człowiek w mundurze. Ale i to, co mówiła ona, było sprawiedliwe. Mimo pogody przesiedziała cały wieczór w hotelu. Czytała tygodniki i kupioną na straganie jakąś francuską powieść bez karty tytułowej. Książka przypominała jej Gastona. Jeszcze jeden znak zapytania zawisł w jej myślach. Poczuli żal do Piotra, że nigdy nie usiłował dowiedzieć się, co się z nim stało. Razem wysadzili most, byli towarzyszami broni - powinno ich to łączyć do śmierci. Dlaczego Piotr nie szukał swego towarzysza broni? Dlaczego przekreślał wszystko, co było,

wyrzekł się przyjaźni i wspomnień? Wielkiej wagi i rangi musi być terazniejszość, która przekreśla wszystko, co do niej wiodło.

Późnym wieczorem poszła do właścicielki hotelu i poprosiła o proszek na sen. Bała się, że nie zaśnie tej nocy.

O ósmej rano załatwiała już swoje sprawy służbowe. O jedenastej była wolna. Nakupiwszy papierosów i czekolady, podążyła do Łazienek. Od chwili kiedy się obudziła, nurtowała ją nowa nadzieja: do diabła, przecież była żoną tak zwanego aktywisty! Jeśli sama nie potrafiła załatwić zwolnienia Ernsta Waldemara, to przecież gdzieś na górnym szczeblu drabiny partyjnej, do której Piotr dotrze bez trudu, istniała na pewno ta możliwość. Pieniądze od babki na razie nie przydały się na wiele: papierosy, czekolada i taksówka. Dopiero teraz zastanowiła się, dlaczego nie usiłowała zrobić z nich właściwego użytku. Przypomniała sobie słowo po słowie całą rozmowę z kapitanem - nie, nie było możliwości.

Jeńcy pracowali w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. Nie chcąc, aby strażnik przypomniał ją sobie, Magdalena zdjęła płaszcz i w samej sukience usiadła na ławce. Poszukała wzrokiem Ernsta Waldemara. Pracował po drugiej stronie placu. Nie było tam ławki, nie mogła się tam zatrzymać pod żadnym pozorem. Po chwili zauważyła, że Ernst Waldemar zamienia swoje miejsce z kolegą, który pracował opodal, że prosząc coraz to innego o tę przysługę, zbliża się do niej. Znalazł się wreszcie o niecałe trzy metry od niej schylony nad stertą gałęzi sosnowych. Podniósł głowę i spojrzał na nią. Uśmiechnął się - wiedziała, że najpierw podziękuje - jej za obecność, dopiero potem zapyta.

Pokręciła przecząco głową. Przymknęła oczy, żeby nie widzieć, jak to przyjmie.

- Byłem tego pewny - szepnął.

Uniosła powieki, ale nie zobaczyła jego twarzy. Pochylił się nisko nad stertą gałęzi i ciął je siekierą.

— Ale nie wszystko jest stracone - zawołała cicho. Strażnik przeszedł na drugą stronę placu. - W ministerstwie nie zgodzili się, są jednak jeszcze inne możliwości.

— Jakie?

— Mój mąż... mój mąż... - zająknęła się - jest pracownikiem partii. Sądzę, że on... - urwała. Ernst Waldemar patrzył na nią nieruchomo. - Są pewne możliwości - powiedziała. - Dziś wracam do Gdańska i będę robić wszystko... - Poczula w gardle duszący kłęb płaczu. Otworzyła pośpiesznie torbę i zaczęła rzucać w trawę papierosy, czekoladę i papierosy, nie troszcząc się, czy będzie miał je gdzie schować.

— Dosyć! - bez pośpiechu chował paczki w kieszeniach i w zanadrzu munduru.

Strażnik, odwrócony dyskretnie, załatwiał małą potrzebę. Wyjęła na wszelki wypadek książkę i przerzuciła kilka kartek. Zauważyła, że włosy na skroniach Ernsta Waldemara kręcą się jak dawniej i że nigdy jeszcze nie był tak opalony.

- Niech pani tu zostanie - powiedział podnosząc oczy.

Skinęła głową. Znowu poczuła w gardle tę nie dającą się przełknąć grudę.

— Pamięta pani, zawsze bałem się, że będę maszerował ulicami pani miasta. Nie sądziłem, że w takiej sytuacji. Nie wiem, co jest dla mnie gorsze.

— Niech pan będzie dobrej myśli - przerwała mu pośpiesznie. - Tak czy inaczej, niedługo muszą was zwolnić. Nie będą was tu trzymać latami. To kosztuje.

— Niewiele.

Zaczerwieniła się. I znów na odwet temu wstydomi pośpieszyło wspomnienie ślaniającego się z głodu oddziału jeńców z Dorn. I psy, psy obżarte, dyszące parującymi jezorami.

Uderzał siekierą w gałęzie i mówił, nie podnosząc głowy.

— Niech pani nie sądzi, że ja oskarżam kogokolwiek poza sobą. Bierność to jest także przestępstwo, za które trzeba ponosić karę. Jeśli teraz za wielkie zwycięstwa Niemców będą musieli zapłacić ci, którzy nie brali w nich udziału...

— Proszę o tym nie mówić, nie trzeba o tym mówić.

— Trzeba. Wszyscy muszą o tym mówić.

— My nie. Pan i ja. My możemy to przemilczeć.

Robiliśmy już wspólnie wiele rachunków sumienia. Żaden nie pomógł nam żyć.

— Rachunek sumienia robi się przed śmiercią.

— A gdy śmierć nie przychodzi?

- Nie powinien stać się jeszcze jedną niepotrzebną czynnością.

Umilkli. Magdalena patrzyła na piękne ręce Ernsta Waldemara,

widoczne spod przykrótkich rękawów kurtki. Były pokaleczone i spękane.

— Źle wypadły w życiu nasze spotkania - powiedział.

— Źle - powtórzyła.

— Może trzecie wypadnie lepiej. Należy nam się to od losu.

Wstała. Zrozumiała, że trzeba iść. Wiedziała, czym jest dla niego jej obecność. Sama też pragnęła być przy nim jak najdłużej, ale równocześnie czuła paniczną chęć ucieczki. Po raz pierwszy nie wiedziała, o czym z nim mówić. Przy tym w ciągu kilku lat obcowania z tym człowiekiem każde słowo służyło jej do podjęcia wielkiego tematu swojej klęski i nadziei. Teraz on miał tę smutną szansę. Ale nie korzystał z niej.

Strażnik zbliżał się pogwizdując. Waldemar pochylił się nad gałęziami.

- Idź już! - szepnął. - Dziękuję.

Wsunęła książkę do teczek, długo nie mogąc zacisnąć zamka.

- Idź! - powtórzył.

Podniosła oczy, ale nie spotkała jego wzroku.

Obejrzała się za siebie dopiero przy końcu alei. Strażnik odszedł znów w przeciwległy kąt placu, a Ernst Waldemar stał wyprostowany, z dłońmi wyprężonymi wzdłuż ciała i patrzył, patrzył w ślad za nią.

Piotr czekał na peronie.

Zauważyła go pierwsza, zanim on zdołał ją dostrzec w oknie wagonu. Stał pod kioskiem z napojami, bez nakrycia głowy, z rozpiętym pod brodą kołnierzykiem białej koszuli – bardzo wiosenny, wyspany i wygolony. W rękę trzymał małą wiązanekę narcyzów, wstydził się nade wszystko tego, że czeka z nimi na kobietę.

Krzyknęła, bo wciąż jej nie widział. Podbiegł i pomógł jej wsiąść. Po niepokoju w jego oczach poznała, jak bardzo bał się jej wyjazdu do Warszawy. Objęła go za szyję. Całowali się długo, z radością odzyskania, jakby ich rozłąka trwała lata, a groziła wiecznością.

Dopiero po chwili zapytał z wyrzutem:

— Dlaczego nie przyjechałaś wczoraj?

— Nie mogłam. Pierwszego dnia nie zastałam nikogo w zarządzie głównym.

— Jak to nikogo? Zamknęli biura?

— Nikogo, kto mógłby załatwić moje sprawy. Poza tym... spotkałam Ernsta Waldemara.

— Kogo?

— Steinlieba, Steinlieba z Edelheim. Przecież musisz go pamiętać: pracowałam w jego fabryce.

— Co on tu robi? Nie przyjechał chyba, aby zwiedzać Warszawę. Ton Piotra nie podobał się jej.

— Jest w niewoli - powiedziała ostro.

— Przecież nie służył wcale w wojsku.

— Służył pod koniec wojny. Do niewoli dostał się pod Poznaniem. Zobaczyłam go w kolumnie jeńców pracujących przy porządkowaniu Łazienek.

— A co ty robiła w Łazienkach?

— Jezus Maria! - krzyknęła. - Co można zrobić w Łazienkach? Poszłam na spacer. Czy myślisz, że widok gruzów nie męczy?

— Przepraszam. - Odebrał z jej rąk torbę, przerzucił przez ramię płaszcz. Wyszli z dworca na plac zalany wiosennym

słońcem. I tu było morze gruzów, płowe jak pustynia.

— I nie pytasz mnie, co dalej? - powiedziała z wyrzutem.

— Z czym?

— Ze Steinliebem. Obiecałam mu, że wydostanę go z niewoli.

— Rozmawiałaś z nim?

— Oczywiście. Usiadłam w pobliżu na ławce. Powiedziałam mu, że zrobię wszystko, żeby go uwolnić. Ale w MON-ie...

— Gdzie?

— W Ministerstwie Obrony Narodowej mi się nie powiodło.

— Byłaś tam? - Piotr oddychał szybko. - Byłaś w ministerstwie?

— Byłam. Najpierw tam poszłam.

- Wpuścili cię?

Uśmiechnęła się z ironią.

- Ja się dostałam. Tyle że nic z tego. Chodźmy do domu. Chce mi się pić.

Piotr ruszył za nią, zbierając myśli. Zobaczył, że opaliła sobie trochę nogi, siedziała zapewne długo na tej ławce w Łazienkach.

— Piotrze - zaczęła znowu - musisz mi pomóc.

— W czym? - zapytał zdumiony.

— W tym właśnie. Powinniśmy go uwolnić.

Czekała, że powie: przecież on jest Niemcem. Ale nie powiedział tego, milczał tylko długo.

Wreszcie rzekł z wahaniem:

— Czy sądzisz, że to takie łatwe?

— Na pewno niełatwe. Ale jego los zależy tylko ode mnie. Nie wolno mi zapomnieć, że mam w stosunku do niego pewne zobowiązania.

— Wiem, jakie masz zobowiązania. - Piotr był zniecierpliwiony. Usiłował się opanować, ale wiedział, że mu się to nie uda. Nie byli z sobą całe dwa dni. Ale ona wstępowała po schodach bez pośpiechu i bez zwykłej radości powrotu do domu, pogrążona w myślach, które przywiozła z sobą. Widział znów jej nogi wyłoczone słońcem - krótkim dotknięciem palców pogładził ją po łydce, nie zauważyła tego, nie przystanęła, żeby mógł ją pocałować.

Przywitanie z Marciniakową zajęło kilka chwil; pytała o Warszawę, o domy i ulice. Piotr wciągnął wreszcie Magdalenę do pokoju.

- Mam pół godziny czasu - powiedział, stawiając torbę na krześle.

Płaszcz rzucił na tapczan i zagarnął ją w ramiona.

Najpierw całowała go łagodnie i serdecznie, potem jakby z namysłem - poczuł, że sztywnieje w jego uścisku.

— Nie - szepnęła - Nie!

— Dlaczego?

Widział, że krępuje się, że nie umie mu tego powiedzieć. Ukryła twarz na jego szyi.

— Dlaczego? - powtórzył gwałtownie. Milczała.

— Nie chcesz mnie teraz, tak?

— Tak.

Puścił ją, poprawił włosy i wypadł z pokoju. Na schodach przystanął. Myślał, że go zawoła. Czekał daremnie. Zbiegł w dół, potrącając kogoś po drodze.

Dzień w Komitecie był ciężki. Egzekutywa. Bronka siedziała naprzeciw niego. Dzielili się z nim swoimi spostrzeżeniami, przerzucając przez stół zapisane ołówkiem kartki. Nie lubił tego rodzaju korespondencji. Pismo miała drobne, nieczytelne. Biedził się, żeby je odcyfrować. Nieraz domagała się odpowiedzi - pomyślał, że jest męcząca. Nie lubił tego dnia kobiet. Miał dużo do myślenia, pragnął spokoju. Oskarżał się, że przez ten rok zaniedbał się w swoich obowiązkach, że osłabła w nim jego dawna żarliwość, przytłumiona gruchaniem we dwoje, uwijaniem gniazdka, miękko, miękko pod wygodny tyłek. Trzeba było wielkiego wysiłku, samozaparcia, ogromnej pracy, a on w tym czasie myślał o czymś innym, co nie powinno tyle miejsca zajmować w jego życiu.

Gdy zaczęła się dyskusja, zabrał także głos. Bronka patrzyła na niego, paląc nerwowo papierosa. Wydawało jej się, że zna go, że zna go w sposób wystarczający do ugruntowania się w rozczarowaniu. Jego niedoskonałość była jej sprzymierzeńcem. Teraz poczuła niepokój, dawny ból mógł powrócić ze zdwojoną siłą.

Mówił o tym, że klasa robotnicza powinna być wciąż w stanie walki. Nie dlatego, żeby nie było rewolucji wygranych do końca, żeby czujność wobec wroga nie była koniecznością przejściową, ale dlatego, że tylko ręce walczące są czyste. Żołnierz, który niesie broń, po nic się nie schyla. Jeśli będzie chciał równocześnie brać wszystko, co uda mu się dla siebie zagarnąć, broń wypadnie mu z ręki. Tylko w walce klasa robotnicza może zachować swą rewolucyjną czystość.

„Żołnierz, który niesie broń, po nic się nie schyla” - zapisała na kartce papieru. Zaczynała rozumieć potrzebę, która zrodziła to Wyznanie Piotra - bó to było wyznanie; tylko ona jedna wiedziała o tym na sali. Postanowiła mu pomóc. W sposób zbyt radykalny, wiedziała o tym, ale nie umiała inaczej.

Gdy skończył, a na sali zapanowało niesprecyzowane w wyrazie milczenie, pochyliła się nad stołem i powiedziała półgłosem:

- Au mnie jest pytanie.

Drgnął i spojrzął na nią ostro. Nie lubił, gdy popisywała się wypaczeniami swej mowy, zawsze akcentując nimi wagę tego, co chciała powiedzieć.

- Au mnie jest pytanie - powtórzyła nie zniżając oczu pod jego spojrzeniem. - Dlaczego towarzysz Kwaśniewski akurat dziś zaaplikował nam swoje piękne przemówienie? Kogo miał zamiar nim ostrzec?

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, ona - wyczekująca i przyczajona, on - przyłapany; - Siebie - powiedział twardo - Także i siebie.

Zobaczył uśmiech Bronki, dziewczęcy, śliczny uśmiech, którego nigdy u niej nie widział.

Dopiero teraz spuścił głowę i usiłował zapalić papierosa, łamiąc zapalki. Gdy ochłonął z podniecenia, czuł w sobie tylko, ulgę, ulgę poddania się mądrości, która każe zatrząskiwac za sobą drzwi, żeby nie było powrotu. Jeśli nie miał dość siły, aby móc siebie pilnować, musiał mieć dość siły, aby wystawić przeciwko sobie strażę. Nie spojrzął już jednak tego dnia na Bronkę, choć uparcie szukała jego spojrzenia.

Do domu wrócił późno.

Magdalena nie położyła się jeszcze, czekała na niego ubrana przy nakrytym stole. Zauważył, że miała to być kolacja odświętniejsza niż zwykle, że włożyła wiele starania, aby ją przygotować. Drażnił go przymus posłusznego spożywania wszystkiego, co przyrządziła - wystarczyłby mu teraz kawałek chleba i samotność.

Umył ręce i usiadł przy stole. Patrzyła na niego pogodnie. Sytuację utrudniał fakt, że nie wyobrażała sobie, aby mógł się na nią gniewać. Podsuwała mu jedzenie, nakładała na talerz.

— Nie jestem głodny - powiedział szorstko.

— Musisz być głodny. Przecież wiem, że na pewno nie miałeś nic w ustach.

Musiał być głodny - ona o tym decydowała, ona to przedtem już postanowiła. - Mieszał nerwowo łyżeczką cukier w herbacie.

— Dlaczego tak głośno? - skrzywiła się.

— Przepraszam -. powiedział. Wciąż jeszcze nie chciał pokazać po sobie, że coś się zmieniło, że oddalili się od siebie. Mogłaby to sobie mylnie tłumaczyć. Naprawdę ranny incydent nie był tego powodem. Gdyby doszła do tego wniosku, miałyby powód do triumfu. Wypił szybko herbatę, parząc sobie usta.

— Nie będziesz więcej jadł?

— Nie. Dziękuję.

— Chcę z tobą porozmawiać. — Wyrzucił jej oczu upewnił go, że nie myśli o tej błahej historii, która im się przydarzyła rano. Wyciągnęła do niego ręce przez stół; czekała, że je uściśnie. — Musisz pojechać ze mną do Warszawy.

— Do Warszawy? Po co?

— Musisz mi pomóc. Sama nie potrafię tego załatwić. Prosiłabym o tę przysługę ojca, ale ojciec wciąż nie chce ze mną rozmawiać.

— Mówisz o tym Niemcu?

— O tym Niemcu.

— Magdaleno! - rzekł gwałtownie. - Dziwię ci się, dziwię ci się bardzo...

— Dlaczego? - spytała spokojnie.

— Znasz nastroje antyniemieckie, jakie u nas panują, nastroje słuszne i sprawiedliwe.

— Tak i cóż z tego?

— I chcesz, żebym ja mieszał się w tę sprawę? Patrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

— Zaszkoziłoby to twojej karierze, tak?

— Wiesz, że nie pracuję dla kariery. Wstała gwałtownie.

— Przyznam ci się, że teraz nie jestem tego taka pewna.

— W jednej chwili straciłaś do mnie zaufanie?

— Musi się tracić zaufanie do deklamatorów szczytnych haseł, które nie mają zastosowania w zetknięciu z żywym człowiekiem. Humanizm, do diabła, przynajmniej w naszej epoce powinien nie być prądem, lecz praktyką. Nie ruszył się od stołu. Usiłował wciąż mówić spokojnie.

— W całym kraju, ba - prawie w całej Europie, toczy się tyle

procesów o ludobójstwo, w których oskarżonymi są Niemcy. W takiej sytuacji zmuszasz mnie do sentymentów.

— On nie jest oskarżonym. I ty najlepiej wiesz, że nie ma go o co oskarżać. Ale mimo to nie odważysz się na jego obronę. Piotrze, ostrzegam cię, to jest pierwsza szczelina w twojej uczciwości.

— Zostaw w spokoju moją uczciwość!

— Dobrze - powiedziała cicho. - Jak sobie życzysz. - Rozejrzała się po pokoju. Jej torba podróżna stała na krześle przy drzwiach, tak jak ją Piotr rano postawił. Spojrzała na zegarek. - Jeszcze zdążę, mam dziesięć minut do odejścia pociągu.

— Co chcesz zrobić?

— Pojechać do Warszawy. Skoro nie chcesz jechać ze mną, muszę starać się załatwić to sama.

— Jesteś szalona!

— Być może. Szaleństwo to pewien rodzaj szczerości. - Wyjęła z szafy płaszcz, zmieniła buciki.

Nie wiedział, co zrobić, w jaki sposób ją zatrzymać. Bał się śmieszności. Wstał i patrzył bez słowa, jak zapina torbę i naciąga rękawiczki.

- Magdaleno! - powiedział słabo.

Nie spojrzała na niego.

- Ten człowiek - zaczęła mówić cicho, nie podnosząc głowy - powiedział mi kiedyś przy okazji mego niebezpieczeństwa, że ochrania mnie, ponieważ lubi żyć wygodnie. Ja także lubię żyć wygodnie, Piotrze. Nie znoszę, kiedy uwiera mnie sumienie.

Przeszła obok niego, cicho zamknęła za sobą drzwi. Marciniakowie spali.

Cieszyła się, że Piotr nie wybiegł za nią, że nie usiłował jej zatrzymać. Czuła, że stało się coś bardzo złego, ale starała się zachować najszlachetniejszą formę tego, co było nieuniknione. Postanowiła nie myśleć o zdarzeniu sprzed chwili. Chciała ułożyć sobie podczas podróży plan działania w Warszawie. Wiedziała, że może liczyć tylko na siebie: to mobilizowało siły, ale nie budziło nadziei. Pomyślała z rozpaczą o Andrzeju. O, Andrzej - to był partner do takich spraw. Na pewno nie pytałby o nic i nie miałby żadnych

skrupułów. Wystarczyłoby, że ona go o to prosi.

Przymknęła oczy. Pociąg kołysał usypiająco. Nie należało dopuszczać do serca żadnego żalu. Pomyślała, że najlepiej będzie udać się do zarządu głównego swojej instytucji i szczerze przedstawić sprawę najbliższemu przełożonym. Na pewno mieli znajomości w partii i urzędach. Spędzili wojnę w Warszawie, więzy zadzierzgnięte podczas okupacji i powstania były bardzo silne.

Mimo tej pokrzepiającej nadziei nie zasnęła przez całą drogę. W Skierniewicach wyszła z przedziału i stanąwszy na korytarzu, czekała na obraz Warszawy, wyłaniający się z porannej mgły. Wybiegły jej naprzeciw domy stare i brzydkie, pokaleczone, ukazujące otwartymi ścianami tragiczną pustkę, jak sceny smutnych teatrów, na których nic się nie będzie działo. Zaczynał się długi, trudny dzień.

Wieczorem, kiedy wszystkie klęski okazały się oczywiste i nieodwracalne, uświadomiła sobie, że nie ma gdzie nocować. Pragnęła nade wszystko przykryć twarz kołdrą i nareszcie zapłakać. Poszła na Moniuszki - nie miała skierowania, prócz tego i tak wszystkie miejsca były zajęte. W „Bristolu” nocowali uczestnicy jakiegoś zjazdu, w „Polonii” też - cała Polska oszalała na punkcie zjazdów w Warszawie. W „Centralnym” również nie było miejsca. Płakać - myślała Magdalena. - Muszę gdzieś się wypłakać. Trzeba to było zrobić dzisiaj, żeby uchronić się przed tą katastrofą jutro podczas rozmowy z Ernstem Waldemarem. Chciała iść do domu, ale nie czuła się na siłach przebrnąć przez rozmowę z ojcem.

Wieczór był ciepły - taki, jaki o tej porze może być tylko w Warszawie. Przypomniała sobie z dreszczem wilgotny chłód wieczorów nad morzem. Marzła przez całe ubiegłe lato. Po alejach Saskiego Ogrodu chodziły dziewczyny z chłopcami, przytulone do nich, uwieszone ciężko u ich ramion. Chłopcy zaglądali im w oczy, pochylali się nad nimi, żeby lepiej, z bliskości oddechu, widzieć ich twarze. Miłość miała te same gesty, wypróbowane od wieków podczas każdej wiosny.

Siedząc na ławce w bocznej alejce Magdalena przywołała z pamięci wszystkie swoje sytuacje z zakresu tej praktyki. Doszła do wniosku, że zawsze psuła je zbyt wielka, zbyt poważna miłość jej lub

partnera. Andrzej i Piotr - obydwaj wykluczali wszelki kunszt miłosny. Jeden Gaston znał się na tym. Usłyszała prawie jego cichy śmieszek, gdy całował ją na moście wiodącym do Dorn. Ludzie, którzy mają zamiar kochać do śmierci - myślała - uważają się za zwolnionych z obowiązku efektownej miłości. Tymczasem cóż człowiekowi z tego, że jedzie do Władywostoku, gdy niewygodnie i nudno, a wystarczyłaby mu może wesoła podróż do Kutna.

Jakiś człowiek w zbyt długiej marynarce usiadł obok niej na ławce, zapalając papierosa. W odchyleniu ciała w jej stronę, w ciekawym spojrzeniu była zapowiedź zaczepki. Wstała szybko i odeszła w stronę Alej.

Zmierzchało, miała przed sobą wiele godzin do świtu. Wsiadła w tramwaj i pojechała na dworzec. Nakupiła gazet w kiosku i wybrawszy w restauracji najbardziej ustronny stolik, postanowiła pijąc herbatę przesiedzieć przy nim do rana. Miała za sobą dwie noce w wagonie sypialnym, trzecią przesiedzianą w pociągu i dzień pełen nużących wrażeń. Powieki opadały jej na oczy. Tylko wybuchające raz po raz awantury między pijakami przy bufecie trzeźwiły ją na chwilę.

O jakiejś godzinie po północy wygarnięto z restauracji wszystkich gości.. Sprzątanie. Magdalena wraz z resztą podróżnych przeszła do poczekalni, gdzie ławki, a nawet podłoga pod ścianami zasłane były śpiącymi. Większość z nich nie miała bagaży. Nie przyjechali znikąd i nie udawali się w żadną podróż, przespali tu bezdomną noc przed nowym bezdomnym dniem.

Stała pośrodku sali i kurczowo trzymając pod pachą swoją torbę, patrzyła przed siebie rozbudzonimi zupełnie oczyma. Wojna - pomyślała, ale wiedziała, że to chęć łatwego uspokojenia podsunęła jej to słowo. Opryski spod ciemnej gwiazdy, ludzie o twarzach skażonych życiem, napiętnowanych przez ułomności i choroby duszy, plugawi i brudni snuli się między śpiącymi. Jakaś kobieta przeszła obok niej, szepcząc ochryple:

- Nocleg! Tani nocleg!

Odwróciła się, żeby nie widzieć jej twarzy. Zaduch, ciężki smród wielu ciał chwytął za gardło. Wyszła, z poczekalni i rozejrzała się za toaletą. W długiej ubikacji, oświetlonej słabą żarówką pod sufitem, królowała stara, opasła kobieta. Dwie dziewczyny, rozebrane do pasa, myły się pod kranem. Trzecia wymiotowała w otwartym na oścież ustępie. Magdalena cofnęła się od progu. Spacerując po hali dworca doczekała dnia.

Wsiadła w pierwszy tramwaj i pojechała nad Wisłę. Słońce już przygrzewało, piasek był suchy i ciepły. Zdjęła sukienkę, zrzuciła obuwie i zanurzyła nogi w rzece. Obmywała twarz i ramiona czując błogosławieństwo zimnej, czystej wody. Rozłożywszy płaszcz na piasku, z torbą pod głową, zasnęła nagłym, młodym snem.

Obudził ją czyjś śmiech na skarpie. Zerwała się, zmrużyła oczy przed słońcem. Wisła lśniła jak łuska wielkiej ryby. Wiatr przeganiał po niej lśnienia ostre i jaskrawe. Dochodziła dziesiąta. Spała pięć godzin pod gołym niebem, w miejscu gdzie chodzili ludzie i bawiły się dzieci. Uczesała się pośpiesznie, usta pociągnęła pomadką. Twarz miała wypoczętą i zaczerwienioną od słońca. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lusterku, ale

uśmiech zgasł zaraz pod przypomnieniem wszystkiego, co miała za sobą i co czekało ją w ciągu nadchodzącego dnia. Strzepała piasek z płaszcza, podniosła torbę. A jednak nie wyplakała się należycie. Cały zasób gotowych łez czekał na spotkanie z Ernstem Waldemarem. Wiedziała, że się nie opanuje. Zaczęła zastanawiać się, czy nie lepiej byłoby w ogóle do niego nie iść. Czułby żal tylko do niej, do jednej istoty, która go zawiodła. Ale nie była zdolna do takiej wspaniałomyślności.

Kupiła znów papierosy i czekolady i poszła do Łazienek. Jeńcy pracowali w tym samym miejscu. Podeszła do ławki i usiadła na niej, wyciągając z torby książkę. Poszukała wzrokiem strażnika. Miała zamiar uśmiechnąć się do niego. Praktyczniej było przekonać go, że to dla niego wysiaduje uporczywie na tej ławce.

Ale strażnik był inny niż poprzednio. Niski, krępy, nieco starszy od swego kolegi, obchodził plac powolnym krokiem. Mijając ławkę, przyjrzał się Magdalenie nieufnie. Jeńcy pracowali z opuszczonymi głowami.

Długo szukała Ernsta Waldemara. Musiał przecież ją zauważyć, dlaczego nie dał jakiegoś znaku, że ją widzi, że będzie starał się zbliżyć do niej? Może nowy strażnik wprowadził surowsze rygory, może Ernsta Waldemara ukarano za poprzednie z nią rozmowy? - Magdalena gubiła się w domysłach. Z głową pochyloną nad książką śledziła grupę pracujących żołnierzy, daremnie wypatrując w niej znajomej twarzy. Po godzinie doszła do przekonania, że to jest w ogóle inna grupa jeńców, że Ernsta Waldemara w niej nie ma. Przywołała szeptem najbliższego pracującego Niemca.

— Od kiedy pracujecie?

— Od wczoraj.

— A gdzie są tamci, którzy pracowali tu poprzednio?

Jeniec rozejrzał się niespokojnie. Strażnik przeszedł na drugą stronę placu.

— Abgeschickt - powiedział krótko.

— Dokąd? Dokąd ich odesłali? Wzruszył ramionami.

— Do domu? Może puścili ich do domu? Zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

— Nie, nie do domu.

— A więc dokąd?

Uczył głową nieokreślony gest. Była w nirfi jakaś zła wieść. I Magdalena to zrozumiała.

Nie wiedziała nawet, jak znalazła się na Saskiej Kępie. Oprzytomniała dopiero, gdy automatycznie skręciła w ulicę prowadzącą do domu. Zatrzymała się. Znowu ogarnął ją lęk przed spotkaniem z sąsiadami. Na szczęście ulica była prawie pusta, tylko na rogu stał jakiś człowiek oparty o latarnię. Obserwował dom rodziców z wytrwałym spokojem. Przykre skojarzenie poraziło ją jak prąd. Rozsądek nakazywał wycofać się z kręgu zagrożenia, ale Magdalena biegła już w stronę domu, zapominając o pragnieniu nie zwracania na siebie uwagi.

Na jej widok osobnik spod latarni oderwał się od słupa i począł iść w jej kierunku. Rzucił na ścieżkę papierosa.

Magdalena przystanąła.

— Piotr! - szepnęła z bezmyślną ulgą. - Piotr! Co tu robisz?

— Co tu robię? - próbował się uśmiechnąć. Twarz miał zmęczoną, oczy zapadnięte. - Czekam na ciebie. Od wczoraj czekam na ciebie. - Wyciągnął rękę, odebrał od niej torbę i płaszcz.

Oddała mu je bez słowa. Wciąż patrzyła na niego nie rozumiejąc.

— Co tu robisz? - powtórzyła,

— Wyjechałem wczoraj z Gdańska rannym pociągiem, byłem tu wieczorem. Przeszukałem wszystkie hotele, w żadnym cię nie znalazłem. Więc przyszedłem tu, bo myślałem - zająknął się - że nocujesz w domu.

— Czekałeś tu całą noc?

— Całą noc.

— I rano do południa?

— I rano do południa.

— Nic nie jadłeś?

— Nie.

Patrzyli na siebie, usta im drżały. Dotknął jej ręki.

— Myślałem, że rano wyjdiesz z domu i od razu pójdziemy załatwić tę sprawę.

— Już nie potrzeba.

— Załatwiłaś to sama? - Ulga w jego głosie była zbyt wyraźna.

— Nie.

— Więc co?

— Jego, jego już nie ma. Wywieźli go.

— Do domu?

— Nie, nie do domu.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Kiedy?

— Wczoraj - powiedziała cicho. - Chodźmy stąd - dodała.

Bała się, że ktoś z domu może ją zauważyć, stojącą na ulicy z jakimś obcym człowiekiem.

Szli wzdłuż ogrodzeń, za którymi obsychała w słońcu rozkopana ziemia. Piotr milczał. Magdalena dotknęła jego ramienia.

- Chcę pójść tam, wszędzie tam, gdzie się biłeś - powiedziała szybko. - To ci się ode mnie należy. A o tamtym... musimy zapomnieć.

Wiedział, że wszystko, co mówi, jest chęcią rozgrzeszenia go z tej chwili namysłu, która w końcu stała się dniem, całym dniem zwłoki w ratowaniu człowieka. Niemca prawdopodobnie i tak wypuszczą po niedługim czasie, ale ta mała chwila wróci kiedyś między nich, żeby go oskarżyć.

- Magdaleno - powiedział - musimy sobie to wyjaśnić do końca: nie chcę, żeby ta sprawa tkwiła między nami. On i tak przecież niedługo wyjdzie na wolność, wojna skończyła się przed dwoma laty.

Magdalena podniosła dłonie do uszu.

- Nie, nie! - zawołała. - Nie chcę już nic o tym słyszeć.

Ani słowa! Temat wykreślony z dyskusji. A teraz chodź! Musisz coś zjeść, zanim zaczniemy łązić po tych twoich gruzach.

Dzień był długi, wypełniony wspomnieniami aż po brzeg wieczoru.

Stare Miasto. Piotr czuł nieomal ostrą woń dymu, która wypełniała ulice podczas dni powstania. Gdy patrzył na ogromne rumowisko, rozsypane u stóp murów katedry, nie pamiętał nic z siebie. Wszystko, co wtedy czuł i przeżywał, nienawiść, strach, pragnienie zemsty wywietrzało z niego do szczętu, do szczęśliwego dnia zapomnienia. Pozostał w nim tylko jeden obraz, wyraźny, do absurdu wyostrzony w kształcie i barwach, obraz domu siadającego w jego oczach na kamiennych fundamentach. Otworzyła się nad nim nagle plama nieba; jakby po to właśnie, dla ukazania czystego błękitu, dom schylił się ku ziemi. Piotr rozglądał się, nie mógł sobie przypomnieć, w którym to było miejscu. Pomyślał, że wszystkie domy musiały padać tak samo, jak ludzie, unosząc się na palcach, a potem lecąc w dół, na twarz.

Na Browarną nie poszli. Magdalena wyczuła, że Piotr wolałby tego uniknąć. Nie nalegała, choć pragnęła, żeby zobaczył miejsce, w którym zostawiła po wojnie wiadomość dla niego. Przez Żoliborz zeszli nad Wisłę. Piotr chciał jej pokazać, w którym miejscu po upadku powstania przeprawił się na drugą stronę.

Księżyc wisiał między dwoma brzegami. Na wodzie słało się szerokie jasne pasmo. Usiedli pod krzakiem wikliny. Piotr rozciągnął płaszcz Magdaleny na ciepłym jeszcze piasku.

— Nie jestem pewny, czy to było tu - powiedział.

— Wszystko jedno - Magdalena objęła go przez plecy. Czowała się znużona i senna. - Wszystko jedno - powtórzyła. - Trzeba o tym zapomnieć. Może chcesz, żebyśmy poszli tam, gdzie spałam dziś rano?

— Nie - poprosił. - Zostańmy tutaj! - Położył się na piasku i pociągnął ją za sobą. Oparła łokcie na jego piersiach i patrzyła w niebo.

— Dobrze ci? - spytał cicho.

— Dobrze.

Poruszyła się naraz niespokojnie, dotknęła palcami jego twarzy.

— Piotrze, muszę ci coś powiedzieć.

— Ważnego? - przestraszył się.

— Ważnego. Chciałam nie wrócić już do ciebie. Leżałam bez ruchu, bez oddechu nawet. Potrząsnęła nim.

— Odezwij się! Odezwij się, na litość boską!

— I mogłabyś to uczynić?

— Och, nie! Przecież wiesz, że nie! Ale chciałam.

— Ale teraz przyszedłbym po ciebie. Gdziekolwiek byś była. Wiatr zakołysał wikliną. Powiało wilgotnym, zielonym zapachem. W dole płynęła Wisła.

X

- Wolałbym, żeby się nas mniej bali - rzekł Piotr.

Bronka nie odpowiedziała od razu. Widział w mroku jej twarz, nieruchomą, zamkniętą zdumieniem lub przedłużającym się namysłem.

Samochód wpadł z wiejskiej, rozmokłej drogi na bity trakt. Kierowca włączył drugi bieg. W oddali zamigotały światła Tczewa.

— To dobrze - powiedziała zmęczonym głosem. - Dobrze, że się nas boją. Za długo trzeba by było czekać, żeby sami zrozumieli, że to dla ich dobra. Jakoś na parcelację folwarków zgodzili się z ochotą. A do spółdzielni nie mogą się przekonać. I to, i to przyniosła ta sama rewolucja, a rewolucji nie można wybierać sobie po kawałku.

— Nie wiem - mruknął.

— Czego nie wiecie?

— Tego właśnie. Czy nie lepiej by było, gdybyśmy rewolucję wybierali sobie po kawałku. To najpierw, a to na potem.

— Co macie na myśli?

— Jeszcze nic konkretnego. Zastanawiam się na głos.

- Lepiej nie zastanawiajcie się.

Piotr roześmiał się.

— Przecież to wasz pomysł z tą rewolucją po kawałku. Ja chciałbym go tylko z wami przedyskutować.

— Może jednak nie teraz - powiedziała cierpko. Niezadowolenie w jej głosie było wyraźne.

Milczeli aż do Gdańska. Gdy wysiadł za nią, aby odprowadzić ją do progu domu, przytrzymała jego rękę przy pożegnaniu. Jej oczy były pełne troski.

Podniósł jej dłoń i szybko pocałował.

- Co wy? - spłoszyła się. - To niepotrzebne.

Odeszła, a on stał chwilę przed jej domem, zanim wrócił do samochodu. Wysiadł z wozu przy komitecie. Czuł potrzebę powietrza, wiatru, skrzypienia śniegu pod nogami. Gdyby miał łopatę, wziąłby się do usuwania gruzów, żeby się zmęczyć, zaznać odprężenia w fizycznym znużeniu. Wiedział, że nie zaśnie tej nocy.

Zbliżając się do domu, zobaczył światło w kuchni. Przypomniawszy sobie, że Marciniak miał czekać na jego powrót. Zapisał się do wieczorowego gimnazjum, tego roku czekała go matura. A potem studia na Politechnice, na którą wysyłała go stocznia. Był przodownikiem pracy, przy każdej okazji wywieszano jego portrety. Marciniak przemyczał obok nich przygarbiony, zawstydzony swoją nieoczekiwaną ważnością. Ale uczył się zażarcie i Piotr, który mu pomagał w matematyce i chemii, wierzył, że będzie z niego inżynier.

Wytrwałość Marciniaka ucieszyła go teraz podwójnie. Miał nadzieję, że uda mu się uniknąć rozmowy z Magdaleną. Zwykle czekała na niego i pytała o przebieg dnia, dziś wolał jej się nie zwierzać. Pragnął, żeby zasnęła, zanim lekcja z Marciniakiem się skończy.

Gdy tylko zaskrzypiały schody pod jego krokami, Marciniak otworzył drzwi, aby mu poświecić. Był w kraciastej, porozpinanej na piersiach koszuli, włosy opadały mu na czoło. Miał zwyczaj targać je, gdy nie mógł rozwiązać jakiegoś zadania.

Ogarniała go wtedy wściekłość i upokarzające uczucie bezsilności. Gdyby nie lęk przed obudzeniem śpiących, połamałby krzesło, na którym siedział, i stół, na którym leżały urągające jego głupocie książki, połamałby wszystko w kuchni na drobne kawałeczki. Teraz właśnie znajdował się w tym stanie bolesnego, chłopskiego buntu - i Piotr roześmiał się, aby go pocieszyć.

Marciniak zamknął cicho drzwi i wymownie skinął głową w głąb mieszkania. Piotr umilkł, ale w jego oczach wciąż jeszcze był śmiech. Traser uśmiechnął się także.

— A niech to diabli! - powiedział, siadając na swoim krześle. - Zaciąłem się w jednym miejscu, jakbym się nogami w ziemię zaparł. Ani kroku dalej. Myślałem przed chwilą, że dom ze złości rozniosę.

— Pokażcie! To na jutro?

— Na jutro.

Pochylili się nad zeszytem. Tak byli zajęci zadaniem, że nie słyszeli otwierania drzwi. Dopiero głos Magdaleny zmusił ich do podniesienia głowy.

Stała na progu w lekkim szlafroku, narzuconym na nocną koszulę, mrużąc oczy przed światłem.

— Dlaczego zaraz do mnie nie przyszedłeś? - zapytała.

— Nie chciałem cię budzić. Muszę jeszcze posiedzieć trochę z panem Marciniakiem.

— Wiesz, że mogłeś mnie zbudzić - powiedziała cicho.

Patrzyła na niego uważnie, przechyliwszy głowę, niespokojna i zasmucona. Podszedł do niej i pocałował w rozgrzany od snu policzek.

- Dlaczego nie przyszedłeś? - powtórzyła.

— Idź spać! - powiedział miękko. Westchnęła.

— Będę czekać na ciebie.

— Nie, to naprawdę niepotrzebne. Wstajesz rano.

Popatrzyła na niego jeszcze raz, długo, uważnie i zamknęła cicho drzwi za sobą. Piotr wrócił do stołu.

— Aby tylko to zadanie mi rozwiążecie - poprosił

nieśmiało Marciniak.

— Dajcie spokój - zaczerwienił się Piotr. Zrozumiał jego intencje. Siedzieli do późnej nocy, pogrążeni w zawilóści matematycznych równań

i chemicznych wzorów. Marciniak potniał i czerwienił, targał włosy, zrywał się od stołu i pił wodę z kranu. W pokoju zapłakało dziecko. Matka uciszyła je szybko, ale oczy Marciniaka znieruchomiały w zamyśleniu.

- Taki gówniarz sobie śpi - powiedział z tkliwością - i ani mu w głowie, że ojciec tu się męczy. Ale za to moje dzieciaki będą miały wszystko w swoim czasie.

Piotr machinalnie poklepał go po ramieniu. I nagle zrozumiał, że te chwile spędzone z Marciniakiem były najlepsze z całego dnia. Że nie miał przed sobą nic pilniejszego, nic ważniejszego do zrobienia. To Marciniakowie mieli stać na straży i bronić zębami tego, co zdobyli lub co im dano. Jeśli będą bronić, czując, że do zdobyczy nie mają prawa, że nie zasługują na to, co im się dostało – walka będzie zażarta, ale prędzej czy później musi skończyć się klęską. Marciniaków trzeba było uzbroić w coś więcej, niż tylko w zaciekle pragnienie utrzymania się przy władzy. Tę broń zdobywał właśnie jego Marciniak. Jeśli przyjdzie kiedyś znów walczyć, jego intencje będą czyste. Poczucie własnej wartości każe mu bronić się przed prawdziwą krzywdą.

- O czym myślicie? - spytał cicho traser.

Piotr ocknął się i skwapliwie schylił się nad zeszytem.

— Myślę, że to potrzebne.

— Co, co jest potrzebne?

— Żebyście się uczyli. Będziemy pewniejsi własności, nie biorąc nic za darmo.

— Co jeszcze? - Marciniak zawiesił na jego twarzy nieruchomy wzrok.

— Klasa robotnicza, my - poprawił się, bo fałszywie zabrzmiał mu w uszach tyle razy na wiecach powtarzany zwrot - my musimy być mądrzy! W walce wystarczała wiara i pewność:

swój człowiek. W rządzeniu potrzebna jest także i wiedza. Nic po głupiej żarliwości, byle szczeniak podstawi wam nogę. Krajem nie można rządzić tylko dlatego, że za sanacji siedziło się w więzieniu. Trzeba jeszcze umieć rządzić. Więzienie to nie uniwersytet. Więzienie i uniwersytet - to co innego.

— Wy siedzieliście? - spytał Marciniak.

— Krótko - mruknął Piotr. - Jeszcze na studiach. Za Niemców też krótko. Oświęcim.

— Zwolnili was?

— Kogo zwalniali? Miałem trochę szczęścia - uciekłem.

— A mnie ze Stutthofu nie udało się. - Marciniak wyciągnął do Piotra pudełko z papierosami i sam zapalił. - Wiecie, bałem się. Kiedy człowiek jest tak blisko śmierci, jeszcze bardziej chce żyć. Stchórzyłem. Powiedziałem sobie, jeśli mnie zabiją, stanie się to bez mego udziału, bez mojej prowokacji. Byłem już wtedy żonaty, nawet Czesiek już się urodził, wiedziałem, że muszę żyć. No i przeżyłem - uśmiechnął się szeroko.

Zadumali się przez chwilę. W pokoju znów zapłakało dziecko.

- Chce jeść - powiedział Marciniak, dumny z żarłoczności syna.

Piotr powrócił znów do książek. Traser pochylił się nad nimi z pokorną gorliwością. Ale spokój trwał niedługo. Drzwi od Marciniaków uchyliły się i na progu stanęła mała osoba, której kusa koszulina ukazywała niewątpliwą płeć męską.

- Tata, kupę! - zawołał chłopczyk zachrypłym od snu głosem. Żarliwość tej informacji świadczyła o konieczności pośpiechu.

Marciniak zerwał się i posadził malca na nocnik pod zlewem.

- Masz ci los! - zawołał smętnie.

Mały załatwiał się z całą świadomością doniosłości wydarzenia.

- Już? - spytał ojciec.

Odpowiedziało mu rozżalone spojrzenie.

— I ucz się tutaj - jęknął traser. - Nawet w nocy nie dadzą spokoju. Albo jeść, albo kupę - mogą tak przez dwadzieścia cztery godziny.

— Już - przerwał mu mały. Trzeba go było poddać jeszcze dość skomplikowanemu zabiegowi, z którym ojciec nie bardzo umiał sobie poradzić. Puścił go wreszcie i chwyciwszy nocnik wybiegł z kuchni.

Chłopczyk zbliżył się do Piotra.

— Co to? - spytał, wskazując cyrkiel.

— Idź spać! - powiedział Piotr.

— Nie! - mruknął mały.

— Idź, mówię ci, w nocy trzeba spać.

— A nie!

— Idź, bo tata cię zbije.

— Ja tatę też zbiję - wyseplenił mały.

Skończyło się rzeczywiście na małym laniu, po którym Marciniak mógł znowu zabrać się do nauki. Po kolejnym zadaniu mruknął z pretensją:

- A ustęp znowu zatkany!

Piotr spojrział na niego, nie rozumiejąc.

- Ustęp zatkany - powtórzył. - Cierpliwości człowiekowi brak. Żeby tak jakieś inne mieszkanie.

Piotr wstał. Wiedział, że z nauki teraz już nic nie będzie. Mieszkanie było dla Marciniaka niewyczerpanym tematem. Piotr nie chciał przyznać się przed nim, że to jemu robiono w komitecie nadzieję na samodzielne mieszkanie, w dodatku w Sopocie, co było marzeniem Magdaleny. Jeśli naprawdę do tego dojdzie i wyprowadzą się stąd, Marciniakom będzie lżej, bo będą mieli całe mieszkanie dla siebie, ale nie rozwiąże to problemu łazienki, stale psującej się ubikacji i braku skrawka zieleni, na którym mogłyby się bawić dzieci. Piotr pomyślał o ostatnim pokoleniu Polaków, wychowanym bez łazienek, o brudnym i ciemnym podwórku swego dzieciństwa, którego kurz zmywała z niego matka, każąc mu klęczeć w dużej blaszanej miednicy.

Chwycił go za gardło strach, że nic się nie dzieje, że stoją w miejscu.

Marciniak wstał również. Przeciągnął się.

— Jezu! - jęknął. - Jak ja się wyśpię w wakacje! Piotr roztargnionym ruchem poklepał go po plecach.

— Wyśpicie się, wyśpicie - powiedział. Myślał, czy Magdalena już zasnęła i czy nie będzie musiał jednak z nią rozmawiać. Chciał tylko przytulić twarz do jej pleców i milczeć. Byli daleko.- Nie należy zadawać pytań po drodze. Cel podróży nie wydaje się przez to ani łatwiejszy, ani bliższy.

Nacisnął klamkę jak mógł najciszej. Rozebrał się przy progu, składając rzeczy na krześle.

Magdalena nie poruszyła się, słyszał jej cichy, równy oddech. Ostrożnie wsunął się pod kołdrę. Leżała twarzą do ściany z kolanami pod brodą, zwinięta w okrągły ciepły kłębek. Ostrożnie przysunął twarz i oparł czoło na jej karku. Nie poruszyła się, spała. Oddychał przez chwilę zapachem jej skóry, czekając na sen, który nie przychodził. Bał się, że zacznie go pytać, a ona spała i nie chciała nic wiedzieć. Spała osobno, bez niego, wyłączona z jego mrocznych wędrówek między nadzieją i smutkiem, między smutkiem i nadzieją. Spała i nie chciała nic wiedzieć. Był sam. I nie potrafił być już sam.

Przybliżył się i przytuli! gwałtownie do jej pleców.

- Mój biedaku - powiedziała nagle wyraźnym, przytomnym szeptem. - Mój biedaku!

XI

- Pan profesor w domu nie przyjmuje! - powtórzyła dziewczyna, nie ustępując z progu, aby wpuścić go cio środka.

Jej obojętna stanowczość zezłościła Floriana.

- Wcale nie jestem chory - krzyknął. - Chcę tylko porozmawiać z panem profesorem. Proszę powiedzieć, że mam do niego ważną sprawę.

Dziewczyna zniknęła, szczelnie zamykając drzwi za sobą.

Florian został przed połyskliwą ich płaszczyną, ozdobioną mosiężną tabliczką z nazwiskiem profesora. Mały daszek nad wejściem chronił go od zmoknięcia. Deszcz szumiał w ogrodzie: Florian przymknął na chwilę oczy, zawsze lubił ten dźwięk.

Dziewczyna wróciła z triumfującą miną.

- Pan profesor bardzo przeprasza, ale jest zajęty i nie może pana przyjąć. Może pan przyjdzie jutro do szpitala.

- Ale ja nie jestem chory! - krzyknął znów Florian. - Przychodzę od syna pana profesora i muszę z nim rozmawiać.

Dziewczyna stała na progu nieporuszona. Wiadomość o synu musiała ją zastanowić. Nigdy nie słyszała, żeby profesor miał syna. Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Niechże pani idzie i to powie - Florian napierał na nią, ale i tak, cofając się, zdołała zamknąć mu drzwi przed nosem. - Wróciła jednak niebawem z pośpiechem, którego u niej nie podejrzewał. Musiała mieć o ten pośpiech dużą do niego pretensję, bo powiedziała prawie z goryczą:

- Pani prosi.

Domyślił się, że profesor nie był wcale powiadomiony o jego przybyciu. Przyjęły go dwie panie, starsza i młodsza. Było coś takiego w ich wyglądzie, że poczuł się naraz sobą skrępowany, zawstydzony nie wyczyszczonymi butami, spodniami, które zagubiły kanty, dłońmi powleczonymi czarnymi śladami blizn, naciekłych smarem od motoru. Wsunął nogi pod krzesło, ręce zaplótł z tyłu.

Panie przyglądały mu się podniecone, ale nieufne.

—Więc pan był przyjacielem Zygmunta? - spytała starsza, zapewne babka. Florian znał rodzinę kolegi z jego opowiadań.

—Tak - skinął głową i uświadomił sobie, jak bardzo musiał nie pasować do tego chłopaczka, którego zachowały w pamięci. Nieobecnym nie przybywa lat ani skaz - łatwo jest ich kochać, bardzo łatwo. Zdziwienie pań wydało mu się usprawiedliwione. Och, on nawet ty Roseshade nie bardzo pasował do Zygmunta, choć wtedy nosił jeszcze swój mundur II

Korpusu z kolorową baretką bojowych odznaczeń. Teraz zaś... - głębiej wsunął nogi pod krzesło. Sytuacja wymagała wyjaśnień. - Mieszkaliśmy przez rok na jednej fermie w Angin - dodał - Zygmunt, ja i jeszcze jeden z Rio de Janeiro.

—Chyba po wojnie? - zapytała gwałtownie matka. - O ile nam wiadomo, podczas wojny Zygmunt się bił.

—Ja też się biłem, proszę pani - powiedział Florian i spojrział na nią. - A na fermie byliśmy po wojnie. Na rekonwalescencji - starannie wymówił trudne słowo. - Wszyscy trzej długo tłukliśmy się po różnych szpitalach. Trzeba było odpocząć. On jeszcze teraz tam jest.

—Kto?

—No, syn pani. Został na tej fermie.

—Przecież studiuje?

—Ano, chyba tak. - Florian połapał się, że może powiedział za wiele. - Miał zacząć, kiedy stamtąd wyjeżdżałem.

—A kiedy, kiedy pan wyjechał?

—Już dawno, przeszło rok temu.

- I dopiero teraz pan do nas przyszedł? - Obie panie patrzyły na niego obrażone i jeszcze bardziej podejrzliwe.

- Nie przychodziłem - bąknął Florian - bo mnie o to nie prosił. Sam przyszedłem. - Spojrział na zamknięte drzwi, wiodące w głąb mieszkania. - Ja bym jednak chciał rozmawiać z panem profesorem.

Młodsza z kobiet wyprostowała się na krześle.

- Mój mąż jest bardzo zajęty. Przeprowadza ostatnią korektę swojej książki, naukowej książki, pan rozumie, każde przeoczenie...

Florian zamrugał powiekami.

- To jest jednak tak samo ważne jak ta naukowa książka - upierał się. - Pan profesor mógłby się gniewać, gdyby się dowiedział, że tu byłem, a nie mogłem z nim rozmawiać.

Starsza pani spojrzała z perswazją na córkę.

- Idźże, poproś go. Pół godziny go nie zbawi.

Profesorowa wstała posłusznie i wyszła z pokoju.

Babka podsunęła Florianowi pudełko z papierosami. Zapalili obydwójce i zaciągnęli się głęboko dymem.

— Jak on teraz wygląda? - zapytała półgłosem.

— Zygmunt? Kiedy wyjeżdżałem, wyglądał jak byk. Przepraszam panią.

— Nie szkodzi, nie szkodzi - starsza pani machnęła ręką.
- A mieliście wy chociaż w tej Anglii co jeść?

— W Anglii to nie wiem, ale w Roseshade jedzenia było wyżej uszu. Jajek to ile kto zapragnął. Bo pani nie wie, że ona hoduje kury.

— Kto: ona?

— Pani Townfield, To jej ferma.

Babka wstała z fotela i z zastanawiającą w jej wieku żwawością podeszła do kredensu. Lustra otwartego baru olśniły Floriana, zmrużył powieki. Kolorowe flaszki odbijały się i mnożyły w lustrzanych ścianach. Starsza pani napełniła szybko pękatą czarękę jakimś trunkiem i postawiła ją przed gościem.

- Ale już! - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Duszkciem! Sama wypiła także i otarła usta wierzchem przeładowanej pierścionkami

dłoni. Po chwili bar był znów zamknięty, a ona sama siedziała w fotelu, jakby nie opuszczała go, przygarbiona nieco, zapatrzona w tlejący papieros.

— Ona... panna czy mężatka? - zapytała po chwili. Florian chrząknął.

— Właściwie mężatka.

— Dlaczego właściwie?

— Bo mąż jest w Londynie, a ona w Roseshade.

— Nie żyje z nim?

— Ano chyba nie.

— Dlaczego? Wzruszył ramionami.

— Przez Zygmunta?

- E, co to, to nie. Nie żyli już ze sobą, zanim myśmy przyjechali na fermę.

Starsza pani odetchnęła z ulgą.

— Ładna?

— O, ładna! - ożywił się Florian. - Istne cacko! Życie nie umierać, powiadam pani. Ja jeden umiałem ją ocenić, znam się na tym.

— O! - uśmiechnęła się babka. - Naprawdę?

— Naprawdę! Zygmunt nie miał do niej smaku ani Dawid. Miastowi ludzie. Ja jeden urodziłem się na wsi. Ale wieś i wieś! Nasza i tamta! Chciałbym, żeby pani mogła zobaczyć tę fermę pani Townfield.

— Ale ja pytałam o nią samą.

— O Betsy? Rany Boga! - Florian roześmiał się głośno. Wódka, którą wypił, miała co najmniej sześćdziesiąt procent. Czuł miłe ciepło w całym ciele i wypieki na policzkach. - Betsy to najfajniejsza dziewczyna, jaką znam. Trzeba ją zobaczyć na koniu w tych porteczkach - znowu roześmiał się - takich porteczek to nie widziałem, jak żyję. Długie, w górze szerokie, w dole wąskie i wyrzucone na kamasze. A kamasze z lakieru.

— I jak to tak w tym Roseshade - zmartwiła się starsza pani - tylko Zygmunt i ona?

- O, co się tego tyczy, proszę pani - Florian uniósł się nieco na krześle - to jest jeszcze kucharka, ogrodnik, stajenny, znaczy się w ogóle służba.

- Służba? - powtórzyła, oparłszy starannie uczesaną głowę o poręcz fotela. Milczała przez chwilę w tej pozie, a potem odwracając ku niemu twarz, powiedziała z małym uśmiechem. - Służba nie przeszkadza państwu w takich sprawach.

Kiedy profesor stanął w drzwiach, teściowa zrozumiała, jak trudno było namówić go do opuszczenia gabinetu. Patrzył nieprzychylnie na przybysza, a gdy ten zerwał się z krzesła, z nieukrywaną przykrością podał mu rękę i zapytał:

- O co chodzi?

Na tak postawione pytanie Florian nie był przygotowany. Piękny, siwy pan o czarnych jak skrzydła kruka brwiach onieśmiał go. Z kobietami rozmowa szła łatwiej, szczególnie z tą starszą. Nie dlatego, że dała mu się napić - ona była go ciekawa, do takich ludzi zawsze łatwiejszy jest dostęp. Tymczasem to pytanie, które teraz usłyszał, dotyczyło innej ciekawości. Może trzeba było odpowiedzieć krótko: kłuje mnie w płucach, rwie mnie w boku, boli mnie brzuch, panie doktorze. A Floriana bolała dusza, cała dusza - to wszystko, co człowiek czuje i myśli, bolało go i piekło. Ale tego nie można było

wyrazić jednym zdaniem i dlatego Florian milczał.

— No, słucham pana - powiedział profesor z naciskiem.

— Pan mieszkał razem z Zygmuntem przez rok na jednej fermie. W Anglii - odezwała się babka.

Florian zrozumiał, że pragnie przyjść mu z pomocą, spojrzał na nią z wdzięcznością, ale wciąż nie mógł przemówić.

- Ma pan może jakieś wspólne zdjęcie z moim synem? - zapytał nie dbale profesor.

Florian zaczerwienił się. Wyszarpnął z kieszeni portfel i zaczął grzebać w nim niezgrabnymi palcami. Powinien był się domyślić, że zechcą go wylegitymować, powinien był się tego domyślić! Wreszcie znalazł jakieś małe zdjęcie, zrobione przez Dawida przed frontem domu w Roseshade. Był na nim

Zygmunt i on, i pani Townfield w środku, taka właśnie, jaką lubili ją najbardziej, w jasnych bryczesach i białej bluzce, wysmukły chłopak o krótko przystrzyżonych włosach. Zdjęcie krążyło z rąk do rąk.

— To ta Angielka? - spytała starsza pani. Córka spojrzała na nią z naganą.

— Tak - potwierdził Florian.

— No więc? - zapytał znowu profesor. Zdjęcie wróciło teraz do niego i przyglądał mu się po raz drugi, jednakże bez zbytniego zainteresowania.

— Ja - zaczął ciężko Florian - obiecałem Zygmunutowi, że do niego napiszę. On może czeka na ten list...

— Dawno pan tu przyjechał? - przerwał mu profesor.

— Rok temu.

— Rok?. To długo się pan namyślał z napisaniem, tego listu. - Profesor nawet się uśmiechnął i przyjrzał mu się ciekawie.

— Długo się namyślałem - potwierdził Florian, opuszczając głowę. - Bo ja miałem mu napisać, czy warto tutaj wracać.

Teraz tamci milczeli, a on patrzył na nich wyczekująco.

- Ja miałem mu to napisać, ponieważ pan nigdy mu tego nie napisał. - Utkwił ciężki wzrok w twarzy profesora i domagał się od niego odpowiedzi.

Łuminiński sięgnął po papierosa, zapalał go długo, a potem starannie gasił zapalną w popielniczce.

— I z tym pan przyszedł do mnie? - zapytał cicho.

— Tak.

— Dlaczego?.

— Bo nie mogę sam napisać tego listu. Pan musi mi pomóc. -
Ja?

— A kto?

Profesor odsunął się od stołu.

— Czy Zygmunt oczekuje naszego wspólnego listu? Chyba nie, prawda? - zapytał spokojnie.

— Nie! - krzyknął Florian. - Nie! On oczekuje listu ode mnie. Ale ja... ja muszę przecież z kimś porozmawiać, kogoś się poradzić, zanim mu to napiszę. Ktoś musi mi powiedzieć, że mam rację, że tak trzeba postąpić, tak właśnie, a nie inaczej. Można napisać to bardzo krótko: Pielęgnuj róże u pani Townfield! Albo: Lepiej trzymać się kurzych jaj! On to zrozumie. Ale jak napisać mu, żeby zrozumiał, dlaczego tak napisałem?

Spoglądał rozgorączkowanymi oczyma na troje ludzi, którzy siedzieli przed nim w skrzepowanych pozach, zażenowani prawic tym, co mówił. Może nie tak trzeba było im o tym powiedzieć? Może źle zaczął? Źle zaczął i pokpił wszystko? Otworzył zatłuszczony portfel i zaczął im podtykać pod nos jakieś papiery, w których wszystko było o nim napisane. O Tobruku i o Monte Cassino, i o tych szpitalach, w których leżał, nawet rachunek za noclegi w Domu Żołnierza przy Devon Road był tam także.

— Po co nam pan to pokazuje? - spytał profesor.

— Ze spółdzielni mnie wyrzucili! - wybuchnął Florian. - Jak przyjechałem, ojciec był już w spółdzielni. Gdzie miałem iść? Ojca ziemia, to i moja. Zapisali mnie. Nawet się ucieszyli, bo nie mieli traktorzysty, a ja znałem się z wojny na motorach. Ale jak powiedziałem przewodniczącemu, żeby swego bydła na spółdzielczym nie pasł, to mi od razu Monte Cassino przypomniał i ani się obejrzałem, jak mnie wysiudali ze spółdzielni. I tak już potem było wszędzie. W Krośniewicach w warsztatach kolejowych, gdzie

pracowałem, magazynierowi przeszkadzałem kraść. We Włocławku w fabryce pokłóciłem się z jednym o dziewczynę. W Toruniu dyrektor chciał, żebym mu cegły z budowy na lewo woził. A jak tylko się sprzeciwiałem, to mi od razu do tej mojej „przeszłości” sięgali. Odwoływałem się do różnych władz. Są tacy, co mnie bronią, ale... - zacerpnał na chwilę tchu, a profesor wykorzystał ten moment, zebrał szybko ze stołu jego papiery i podał mu je bez słowa.

— I co pan teraz zrobi? - spytała pośpiesznie starsza pani.

— Do PGR-ów jadę na Żuławy. Tam o nic się nie pytają. Ludzi do roboty nie ma. Zboże na polu gnije.

Profesor wstał i starannie zapinał marynarkę. Florian zrozumiał, że powinien wstać także, że rozmowa jest skończona.

- Więc co mam napisać Zygmuntowi? - wykrztusił. Siwy pan przesunął palcami po włosach.

- To zależy wyłącznie od pana. Co do mnie, nie miałem nigdy zwyczaju wpływać na jakiegokolwiek decyzje moich dzieci. Moich dorosłych dzieci - powtórzył i podał Florianowi rękę z równym niesmakiem jak przy powitaniu.

Florian krztusząc się i kłaniając, wycofywał się do drzwi. Starsza pani podążyła za nim.

- Może potrzebuje pan pieniędzy? - spytała cicho.

Potrząsnął głową. Nie mógł znaleźć słowa, żeby jej podziękować. Zrozumiał: oni mu nie ufali. Potrząsnął jeszcze raz głową, otworzył drzwi i wypadł w ciemny deszcz za progiem.

Starsza pani podniosła ręce do ust i stała przez chwilę w głębokiej zadumie. Z pokoju dobiegła ją ostra wymiana zdań między córką i zięciem. Wróciła do nich, zawsze wstydzili się klócić przy niej. Ponieważ wiele lat temu sprzeciwiała się ich małżeństwu - uważali, że wobec niej przede wszystkim obowiązuje ich niezmacone szczęście.

Jakoż głosy obojga przycichły, gdy tylko zjawiała się na progu. Profesor zaczął natychmiast domagać się od niej przyznania mu racji, nigdy nie odmawiała mu tej drobnej grzeczności. Teraz jednak słuchała go milcząco i pozwalała mu podniecać się tym przedłużającym się wyczekiwaniem na jej słowo.

—Potrzebny jest mi spokój, przede wszystkim spokój! - mówił. - Chcę pracować i nie wiedzieć o niczym więcej.

—Dlaczego mu nie uwierzyłeś? Dlaczego odprawiłeś go jak bandytę? - krzyczała żona.

—Bo może nim jest. Miałem prawo go tak potraktować, jeśli istnieje najmniejsze choćby prawdopodobieństwo, że nim jest. Prowokatorów uważam za najniższy gatunek ludzi.

—Pokazywał ci zdjęcie z Zygmuntem.

—I cóż z tego? Czy ty masz wyobrażenie, co mogło się z nim stać w ciągu tego roku? Ludzie się bronią. Czasem bronią się i w ten sposób.

—Akurat ciebie by sobie wybrał?

—No, właśnie! Wymarzona okoliczność. Przyjaciel mego syna, odznaczony pod Monte Cassino - tylko duszę przed takim otwierać. A ja chcę pracować! - podniósł znów głos. - Pracować i nie słyszeć o niczym, co się wokoło dzieje. Wydali mi książkę, może uzyskam pieniądze na badania, nie dam sobie popsuć tego wszystkiego.

—Zawsze mówiłam, że cię tą książką kupili - powiedziała cicho żona. - Przed wojną nie mogłeś jej wydać, więc jeśli teraz ci się udało...

—Ach, Boże! Jakaż ty jesteś głupia! - westchnęła starsza pani z niesmakiem.

Profesorowa zaczęła płakać.

—Tobie ani mamie oni w ogóle nie są potrzebni.

—Kto? O kogo ci znowu chodzi?

Zięć i teściowa spojrzeli na siebie pytająco.

—Wy dobrze wiecie, o kogo mi chodzi. Mama zadowolona, że cisza w domu, że nikt nie gwizdże i nie otwiera radia, ty także nos wsadzisz w książkę i można dach nad tobą rozebrać, a nie zauważysz. Ale co się ze mną dzieje, co ja czuję, to ani mamę, ani ciebie nie obchodzi.

—Joasiu! - powiedział profesor, rumieniąc się. Nie umiał nigdy zachować obojętności wobec kobiet, które płakały przy nim, przez niego i dla niego. Czuł się już na zapas winien, a każda nowa

łza pogłębiała w nim gotowość odpokutowania nawet najbardziej zdecydowanie nie popełnionych grzechów. Podeszedł do żony i pocałował ją w rękę.

Odebrała mu ją ostrożnie, ale wystarczająco szorstko, aby to odczuł.

— To ty! Ty jesteś wszystkiemu winien! - mówiła, wycierając twarz chustką. - Ani razu nie napisałeś Zygmuntowi, żeby wracał, choć teraz, teraz... - szukała odpowiedniego słowa - kiedy na nowo masz stosunki, kiedy wszyscy z tobą się liczą, może mógłbyś go sobą osłonić.

— Joasiu! - powtórzył znów profesor bezradnie.

— A Magdalena? Co zrobiłeś z Magdaleną? Dlaczego ja mam wyrzec się dziecka? Przecież nawet gdyby popełniła przestępstwo, władze więzienne łagodziłyby wymiar kary wobec nienagannego sprawowania się w ciągu tych dwóch lat.

— Skąd wiesz, że sprawowała się nienagannie? - spytał profesor cicho. Żona odjęła chustkę od oczu.

— Była tu. Przychodzi, ilekroć jest w Warszawie.

Starsza pani ukryła twarz w dłoniach. Żałowała, że weszła do pokoju, trzeba było pozwolić im wyklócić się w cztery oczy, rzetelnie, do spodu wszelkich uraz. Czekala teraz z przymkniętymi oczyma na straszne jakieś wydarzenie, ale ono nie następowało.

Profesor mówił zmieszonym szeptem:

— Jak wygląda? Nie zmizerniała?.

— Nie.

— Czy ten człowiek jest dobry dla niej?

— Kocha ją. I ona go kocha. Babka podniosła głowę.

— One obie są takie same. Kiedy kochają, są szczęśliwe. Joanna także nigdy nie skarżyła się na ciebie.

— Nie miała chyba powodu? - profesor wyprostował się i patrzył na obydwie panie z miną chłopaka bardzo pewnego, że nic nie przeszkrobał w ubiegłym tygodniu.

Żona uśmiechnęła się drżącymi jeszcze ustami.

— Nie, nie miałam powodu.

— No, widzisz!

— Ale teraz mam - dodała, nie zniżając spojrzenia. - Musisz mi ich sprowadzić do domu.

— W jaki sposób? Co ty mówisz, w jaki sposób mogę to zrobić?

— Nie wiem.

— Ty „nie wiesz, skąd ja mam wiedzieć?

— Z Magdaleną prostsza sprawa - starsza pani poprosiła zięcia o ogień. - Po prostu napiszesz do niej list i zaprosisz ją do domu.

— Przecież nie razem z nim?

— A dlaczego? - profesorowa patrzyła mężowi ostro w oczy. - Dlaczego?

— Chciałabyś, żeby ten człowiek wszedł do naszego domu?

— Ja? To przecież tobie powinno na nim zależeć. On jest na pewno w twoim guście, w twoim ostatnim guście. Brałeś udział w Kongresie Intelktualistów, zamieszczasz od czasu do czasu w prasie podpisywane przez siebie enuncjacje, przemawiasz na akademiach - nie wyobrażam sobie, żebyś mógł mieć bardziej odpowiedniego zięcia.

— Przestań! - powiedziała matka.

— Nie, nie - profesor machnął ręką. - Niech mama pozwoli jej się wygadać. Widocznie od dawna dusiła to w sobie. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Trzeba to potraktować jako zabieg higieny psychicznej.

— Nie wiedziałam, że zmieniłeś specjalność.

— Moja droga, kardiochirurgia to nie ginekologia - jednak coś z tej subtelności organu udziela się lekarzowi.

— Nie zgadzam się z tobą - powiedziała teściowa.

— Przynajmniej raz! - córka uśmiechnęła się cierpko.

— Nie zgadzam się z twoją pogardą dla ginekologii. Jeśli już mówimy o subtelności...

— Tylko nie wyobrażajcie sobie, że uda wam się mnie zagadać - przerwała jej profesorowa. - Nic mnie nie obchodzi to, o czym mówicie. Chcę wiedzieć, kiedy Magdalena będzie mogła przyjechać do domu. Jawnie, bez skradania się. Chcę jej podać śniadanie do łóżka, ugotować dobry obiad, chcę jej zrobić kąpiel.

— Jezus Maria! - jęknął profesor. - Czyżby nie miała łazienki?

— Nie wiem, może ma. Wspominała coś, że ma dostać nowe mieszkanie. Ale to i tak nie to, co w domu. Boże mój, żeby dziecko gdzieś po świecie mi się tułało.

Profesor chwycił dłoń żony, bo znów szukała chusteczki dla gotowych łez.

— Dobrze -; powiedział szybko. - Dobrze. Daj mi adres, napiszę. Albo nie. Będę, w przyszłym miesiącu w Gdańsku. Wstąpię do niej.

— I zaprosisz ich obydwójce do domu?

— Pozwolisz chyba, abym przedtem przyjrzał mu się z bliska?

— Nie wyobrażasz sobie chyba, że Magdalena mogłaby kochać durnia i bandytę?

— Moja droga, pomysłowość kobiet jest niewyczerpana w tym zakresie.

- A Zygmunt? - spytała babka. - Co będzie z Zygmuntem?

Profesor dyskretnie spojrzął na zegarek.

— Tę sprawę musimy jeszcze rozważyć. Przede wszystkim nie wydaje mi się, aby on chciał wracać.

— Myślisz o tej kobiecie?

— Nie. Ona jest tylko pretekstem. Ona jest dla niego

tylko pretekstem.

— Skąd wiesz? A może ją kocha?

— Zaraz kocha! Boże, co za romantyczna rodzina! Kocha i kocha! Nie wiedziałem, że wychowam dzieci na takich idiotów.

— To dziedziczne! - powiedziała starsza pani i roześmieli się wszyscy razem, po raz pierwszy pogodnie tego wieczora.

— Mam nadzieję, że na wiosnę wyślą mnie do Londynu. Zobaczę się z nim i uczciwie porozmawiam.

— Powiesz mu, że chcę, żeby wrócił?

— Powiem.

- Nad tym trzeba będzie jeszcze pomyśleć - mruknęła babka.

Spojrzeli na nią. Paliła papierosa, głęboko zaciągając się dymem.

XII

Magdalena kąpała małych Marciniaków.

Jej nowe mieszkanie posiadało wspaniałą kaflową łazienkę z niską wanną, w której pływał teraz żaglowy statek z czerwonym napisem „Jaś”. Co soboty wczesnym popołudniem Marciniakowa przywoziła całą czwórkę i wyzbywszy się na ten czas macierzyńskich uczuć oddawała dzieciaki w energiczne ręce Magdaleny. Starając się nie słyszeć rozpaczliwych wrzasków dochodzących z łazienki, tarła zapamiętałe babkę na podwieczorek. Święto miało być zupełne: po rozkoszach kąpieli dzieci dostawały kakao z pianką i kawałek babki.

Magdalena lubiła w domu zapach wanilii, rumowego olejku, a potem tę woń dopiekającego się ciasta, gdy przyrumienione odstaje od formy. Odnosząc po kolei do kuchni doszorowane do promiennej czerwoności dzieciaki, przystawała na chwilę, niby to dla rozprostowania grzbietu, zbyt długo zgiętego nad wanną. Podglądała przy tej okazji Marciniakowa, którą podejrzewała o jakieś sekrety przy pieczeniu ciasta. Jej babki były zawsze wyższe i pulchniejsze, co doprowadzało Magdaleny w obliczu własnych niepowodzeń do namiętnej zazdrości.

Babka „dochodziła” w piecyku. Był to moment najbardziej niebezpieczny, mogło się bowiem okazać, że mimo pozorów właściwego przyrumienienia, kłapnie po wyjęciu. Magdalena nigdy w życiu nie doznawała tak doraźnych rozczarowań, jak w tych właśnie dramatycznych chwilach, gdy ciasto - okazałe i wychylające się z formy puszystym wyrośnięciem - siadało w jej oczach do poziomu niskiego zakalca. Nie żał straty czasu i pieniędzy, ale ta bezsilność wobec klęski była nie do zniesienia. Stan podniecającego pogotowia był jednak u Marciniakowej raczej dodającą ważności chwili inscenizacją niepokoju niż istotną obawą o udanie się ciasta. Jej babka, wyjęta z pieca, stygła z taką denerwującą pewnością, że

nawet potrząsanie nie zmusiłoby jej do opadnięcia.

Dwóch wykąpanych już Marciniaków wpatrywało się w nią z zachwytem. Magdalena odwróciła się i wyszła do łazienki. Dwoje młodszych dzieci siedziało w wannie i bawiło się żaglówką.

— A teraz zrobimy potop - powiedziała do nich wyciągając rękę, żeby otworzyć tusz.

— Co to jest potop? - spytał starszy chłopczyk.

— To jest o wiele więcej wody, niż człowiek może znieść.

— To morze też jest potop?

— Morze nic. Potop musi być z dołu i z góry. Zresztą nie wiem - roześmiała się. Strumień ciepłej wody zalał dalsze pytania. Żaglówka chwiała się, rzucana wielkim sztormem. Na włosach Marciniaków wykwitły białe czuby z piany. Zamknęła tusz i zabrała się do mycia głów. Tylko w ten sposób znosili tę operację, wzajemnie bawiąc się swoim wyglądem. Myła ich prawie równocześnie, przerzucając rękę z jednej głowy na drugą. Obrzuciła pianą żaglówkę, gumowej małpce, która pływała obok niej, namydliła także głowę. Chłopcy zaśmiewali się. Tylko przy myciu uszu wynikły pewne nieporozumienia.

Magdalena postawiła chłopców na stołku przy wannie i owinęła razem we włochate prześcieradło. Unosząc ich - zawahała się. Spojrzała przelotnie na odbicie swojej twarzy z lustrze. Była zaczerwieniona od ciepła i wysiłku. Rozłączyła malców i zawinęła ich osobno w duże ręczniki. Obróciła dwa razy, przenosząc dzieci pojedynczo z łazienki do kuchni. Wolą uważać.

Marciniakowa lukrowała już babkę. Uszło to uwagi malców, bo akurat na gałęzi rosnącego przed domem kanadyjskiego dębu ukazały się dwie wiewiórki. Jedna czarna, a druga ruda. Obie miały kity porośnięte obfitym zimowym futrem. Jaskrawe liście zaścieniały ulicę. Była to jakby rzeka, którą spływała jesień.

— One zbierają orzeszki - powiedział najstarszy

Marciniak.

— Po co?

— Na zimę.

— Po co na zimę?

— Żeby miały co jeść.

— A nie mogą sobie kupić w sklepie tych orzeszków?

— Nie mogą. W sklepie nie ma orzeszków.

— Właśnie że są. W sklepie wszystko jest. Mama mnie też w sklepie kupiła.

— Głupi jesteście!

Magdalena trzymała dłonie na brzuchu. Był to jakiś pospolity, kobiecy gest spokoju i oczekiwania. Zawstydziała się gotowości poddania się tym odruchom. Była zadowolona, że Marciniakowa nie zwraca na nią uwagi. Zastanowiła się, czy powiedzieć o tym Piotrowi, czy jeszcze lepiej się upewnić. Starła się wyobrazić sobie jego twarz, gdy mu powie. Na pewno się zaczerwieni. Zdawało jej się, że w sieni rozległy się jakieś kroki, nadstawiła uszu. Zwykle w soboty wracał wcześniej. Przymknęła oczy, złudzenie kroków rozwiało się. Przynajmniej dziś powinien być o tej porze w domu.

— Już wystygła! - powiedział jeden ze średnich Marciniaków, dotykając ostrożnie palcem babki. Reszta rodzeństwa popierała go roziskrzonym wzrokiem.

— Zaraz dostaniecie, zaraz! Tylko zrobię kakao. - Magdalena dźwignęła się z krzesła. Czowała trochę w krzyżu tę sobotnią toaletę swoich małych gości. Z dziecinnym uporem pragnęła, żeby Piotr był zaraz w domu. Kochała go więcej niż kiedykolwiek w ciągu ich pożycia. Musiała o tym komuś powiedzieć, a ponieważ Marciniakowa, doczekawszy się swojej kolejki, okupowała teraz łazienkę, chwyciła najmłodszego z chłopców i potrząsając nim zawołała:

- On jest także wspaniały chłopak, prawda?

— Kto? - spytało dziecko.

— Któż by? Wujek Piotr!

Profesor Łuminiecki żegnał się z kolegami.

Obrady zjazdu przeciągnęły się poza planowaną godzinę. Spieszył się, żeby zdążyć przed zmrokiem do Sopotu. Nie lubił błądzenia w ciemności po nieznanymi ulicach, w dodatku nie wziął latarki.

Usiłowano go zatrzymać. Oficjalna konferencja nie wyczerpywała tematu. Każde spotkanie tego rodzaju kończyło się zwykle długimi rozmowami po kolacji, gdy późna godzina nocy doprowadzała myśli do najostrzejszej precyzji. Ale profesor nie dał się namówić. Tłumaczył się koniecznością odwiedzenia kogoś w Sopocie, a minę miał przy tym tak tajemniczą, że panowie zaczynali już snuć żartobliwe domysły. Profesor, zarumieniony jak panna, żegnał się pośpiesznie.

- Podwiozę pana - usłyszał za sobą, gdy odbierał płaszcz z szatni.

Był to młody człowiek, który witał zjazd z ramienia partii, a potem raz czy dwa zabrał głos, przyrzekając poparcie dla jakiejś sprawy.

- Jestem tutaj naszym wozem i jeśli pan profesor pozwoli...

Profesor zgodził się chętnie. Przyzwyczyił się ostatnio, że w Warszawie

„podrucano” go przy każdej okazji. Jeśli się nie ma własnego samochodu - myślał - należy przynajmniej umieć budzić szacunek w tych, którzy samochodami dysponują.

Łuminiecki opadł na siedzenie wygodnego szewroletu i wyciągnął pudełko waweli. Partyjniak przyjął papierosa i podał profesorowi ognia. Kierowca również otrzymał wawela i po chwili ogarnęła ich woń dobrego tytoniu i intymna prawie cisza. Samochód skręcił w szeroką aleję lipową. Liście szeleściły pod kołami, jakby wóz jechał przez szemrzący strumień. Przez opuszczoną szybę wpadał powiew, zaprawiony już aromatem jesieni jak korzenną przyprawą.

Profesor odchylił głowę do tyłu i starał się ułożyć pierwsze zdanie, jakie powie do Magdaleny, gdy otworzy mu drzwi. Dopiero teraz pozwolił sobie na uświadomienie strachu, jaki przez cały dzień czuł przed tą chwilą. Żeby chociaż ten człowiek, z którym żyła, nie utrudnił mu sytuacji. Żeby nie okazał się jaskrawszy, niż sobie to wyobrażał. Zerknął kątem oka na swego towarzysza. Palił, milcząc. Lubił ludzi, którzy umieli milczeć w odpowiednich momentach. Gdyby to chociaż był ktoś taki jak ten - pomyślał. Bał się, że będzie musiał pokonywać zbyt wiele przeszkód, żeby dotrzeć do tego nowego członka ich rodziny.

— Dokąd jedziemy? - spytał kierowca.

— Do Sopotu.

— Do was?

- Nie - głos partyjniaka zawisł na chwilę. - Pan profesor poda wam adres.

Łumieniecki szperał w portfelu, wreszcie znalazł złożoną we dwoje kartkę. Poprosił o zapalenie światła.

— Mickiewicza dziesięć - odczytał.

— Gdzie? - zdziwił się kierowca.

— Mickiewicza dziesięć - powtórzył profesor.

Kierowca lekko przyhamował i odwrócił się, żeby spojrzeć na swego zwierzchnika, ale ten - pochylony do przodu - gasił uważnie papierosa w popielniczce. Mruknął więc coś pod nosem i nacisnął pedał.

— Zmęczeni jesteście? - spytał profesor swego milczącego towarzysza.

— Nie - odpowiedział tamten. - Skądże?

— Co dnia tak późno wracacie do domu?

— Czasami uda się wcześniej.

— Żona się dąsa?

— Trochę.

— Nieszczęśliwe są te wasze żony! - profesor westchnął żartobliwie. - Ani męża w domu, ani pieniędzy. Zarabiacie mało? - spytał po chwili.

— Nie mniej niż inni.

Profesor zamilkł. Wiedział, że już nic więcej z niego nie wydobędzie. A jeśli nawet mu się to uda, usłyszy tylko uparte wyznanie wiary, którym tyle razy go częstowano w podobnych okolicznościach. Doświadczał zawsze jakiegoś zawstydzającego smutku, ilekroć przyglądał się z bliska tej nie opłaconej niczym żarliwości. Nie dojadali, nie dosypiali, mieszkali byle jak, chorowali na gruźlicę, marnowali swoje rodziny, czasem nie brali nawet za to wszystko najtańszej zapłaty, jaką mogło im dać ich państwo: poczucia władzy. Brnęli przez kałuże i zaspasy, instruktorzy z bardzo niskich szczebli, delegaci pomniejszych komórek, łącznicy odsuniętego od głównych traktów terenu. Myślał o nich nieraz z niewiadomego dla siebie powodu, gdy wzywano go do lśniących czystością klinik, w których panie ze szczebli centralnych - żony wysokich urzędników i po tychże - leczyły skrupulatnie swoje różnorakie dolegliwości.

— Zdrowi jesteście? - spytał mimo woli.

— Zupełnie.

Nie, ten człowiek stanowczo niczego, od niego nie potrzebował. Profesor walczył przez chwilę z pokusą, aby powiedzieć mu o klinice, w której niekiedy bywał, i o talonach do specjalnych sklepów, które otrzymywał niejako w zamian. Nie uczynił jednak tego. Zresztą może oni mieli tutaj także takie sklepy? Przymknął oczy i starał się myśleć znów o Magdalenie i pierwszym zdaniu, które do niej powie.

Samochód jechał już wąskimi ulicami Sopotu. Stary człowiek zapalał właśnie gazową latarnię, potem wsiadł na rower i jechał do następnej, która stała opodal jeszcze ciemna, czekająca w mroku na swoją kolej. Wyminęli go, Samochód zatrzymał się przed domem wśród drzew, cofniętym nieco od drogi.

— To tu? - spytał profesor.

— Tak.

Wyciągnął rękę, aby pożegnać się ze swoim towarzyszem i podziękować za podwiezienie, ale w tej samej chwili kierowca podsunął tamtemu otwarty zeszyt.

- Podpiszcie mi kontrolkę - mruknął.

Młody człowiek złożył szybko swój podpis w wyznaczonym miejscu i otworzył drzwi przed profesorem.

— Wsiadam także.

— Mieszkacie tu gdzieś blisko? - zdziwił się profesor. Kierowca wychyliwszy głowę z wozu przyglądał się im z ciekawością.

— Mieszkam w tym samym domu.

— No, no - cmoknął profesor. - A to dopiero historia!

- Prawda? - uśmiechnął się niepewnie, a gdy profesor wciąż niedowierzająco patrzył na niego, dodał cicho: - Przecież to ja jestem mężem Magdaleny.

Stali przed furtką, obydwaj szczęśliwi, że niezbyt dokładnie widzą swoje twarze.

— To dobrze! - powiedział profesor. Były to pierwsze słowa, które mu się nasunęły. - To dobrze! - powtórzył. Ruszył naprzód, a Piotr postępował za nim, z nawyku omijając kałużę, aby brudnym obuwem nie zniszczyć lśniącej podłogi Magdaleny.

— Mieszkacie na parterze?

— Tak.

Dopiero przed drzwiami profesor odwrócił się i postawiwszy swoją teczkę przy ścianie, objął Piotra przez plecy:

- Wolę, że jesteś taki niż inny - rzekł cicho.

Piotr nie wiedział, czy ma go pocałować w rękę, w końcu ani się spostrzegł, jak zaczął oddawać profesorowi siarczyste pocałunki w policzki.

Magdalena zobaczyła ich tak, całujących się na progu, gdy zwabiona odgłosem kroków otworzyła drzwi.

Ojciec odezwał się pierwszy.

- Wejźmy do środka, przecież ona się zaziębi.

Miała na sobie tylko swój kuchenny fartuszek bez rękawów. Wybiegła do przedpokoju, rozgrzana ciepłem, zaczerwieniona od ognia i bardzo stęskniona za Piotrem, którego spodziewała się powitać. Ojciec niby nie patrzył na nią, niby nie był wcale wzruszony, a przecież dech mu prawie zapierało w piersiach na jej widok. Włosy opadały jej na czoło, a brwi

zrośnięte prawie nad nosem, jak u niego, były wciąż o wiele za szerokie, niż to nakazywała moda. To była jego córka - tak mówiło się zwykle w domu przy wybuchach rodzinnych wzruszeń i tropieniu wad, których pochodzenie należało komuś przypisać. Nie można było nie kochać jej; ten młody człowiek, który zamykał teraz za nim drzwi, musiał chyba wiedzieć coś o tym.

- Moje dziecko! - szepnął, przygarniając ją do siebie.

Czworo Marciniaków wyległo do przedpokoju, aby podziwiać tę scenę. Profesor przestraszył się nie na żarty.

— To wszystko wasze?

— Ani jedno - roześmiał się Piotr.

Sprawa sobotnich gości została szybko wyjaśniona i Marciniakowa - orientując się w sytuacji - zaczęła ubierać dzieciaki do wyjścia. Kakao było już wypite, porcje babki zjedzone, a płowe fryzury wyschły w ciepłe kuchni.

Magdalena wprowadziła ojca do pokoju i wybierała najbardziej wygodne miejsce, żeby go posadzić. Profesor opowiadał - już po raz drugi - rozmowę z Piotrem po wyjściu z samochodu.

- Dopiero teraz rozumiem, dlaczego kierowca tak się dziwił. Wiedział, że wy tu mieszkacie.

Piotr objął Magdaleny.

- Tak czy owak - powiedział - byłby pan dzisiaj tutaj. Kręciłem się przecież koło pana przez cały dzień. Gdyby pan nie podał tego adresu, wymyśliłbym jakąś historyjkę o obłożnie chorym, na pewno by mi pan nie odmówił. Dałem sobie słowo, że przywiozę dziś pana Magdalenie.

Profesor śmiał się.

Marciniakowa wsunęła głowę przez uchylone drzwi, żeby powiedzieć dobranoc. Piotr wyszedł pomóc jej sprowadzić dzieci ze schodów. Ojciec wziął Magdaleny pod brodę i podniósł jej twarz ku sobie.

— A teraz mów prędko: szczęśliwa? Zacisnęła powieki na znak, że bardzo.

— No to wszystko w porządku - powiedział siwy pan z

ulgą.

— A teraz dostaniesz kakao z babką, jak Marciniakowie.

— Jacy znowu Marciniakowie?

— Ta dzieciarnia, którą kąpałam. Tobie też zrobię zaraz kąpiel.

— Jednym słowem, przybył ci jeszcze jeden Marciniak! - Znowu się śmiali, głośno i szczęśliwie, aż Piotr słyszał ich na schodach. Pośpieszył się, aby nie uronić ani chwili z tej wesołości.

— Ty też dostaniesz kakao! - zawołała Magdalena, gdy stanął na progu kuchni. Krzątała się przy stole, ustawiając na tacy filiżanki.

Dotknął dłonią jej rozpromienionej twarzy.

- Tego ci było brak? - zapytał.

— O, tak!- westchnęła. Profesor zachwycił się babką.

— Sama piekłaś?

— Sama - Magdalena zdecydowała się szybko na niewinne kłamstwo.

Zmieniła jednak zaraz temat, niezbyt pewna inteligencji Piotra w tak delikatnych sprawach.

— Gdzie my tatusia położymy spać? - zastanowiła się. - Chyba u Jasia..

— Ależ moi drodzy, ja mam pokój w Grand Hotelu!

— Też coś takiego! - Magdalena wzruszyła ramionami. - Ja bym tatusiowi pozwoliła spać w hotelu. Zaraz otworzę pokój Jasia, zostawił mi klucz i wyraźnie pozwolił korzystać z pokoju, gdyby zaszła potrzeba.

— Musisz przede wszystkim wyjaśnić panu - wtrącił Piotr - kto to jest Jaś.

— Właśnie - uśmiechnął się profesor - trzeba wiedzieć coś o osobach, u których się śpi.

— Raczej o takich, z którymi się śpi - poprawiła Magdalena. Odnaleźli ton dawnych rozmów i znów śmiali się jak sztubacy, którym udał się pyszny dowcip. Piotr nie mógł oczu oderwać od Magdaleny, wydawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy.

— Jaś jest naszym sublokatozem - wyjaśniła, poważniejąc. - Obiecywali Piotrowi mieszkanie samodzielne, ale w Sopocie nie ma małych mieszkań. W niektórych gnieździ się kilka rodzin. Dobrze więc, że u nas skończyło się na jednym Jasiu, którego i tak prawie nigdy nie ma w domu, bo pływa.

— Co robi?

— Pływa. Marynarz. Zjawia się w domu trzy, cztery razy w roku.

— To bardzo dla was wygodne.

— Szczególnie dla mnie - odezwał się Piotr - bo trzeba panu wiedzieć, że ten Jaś podkochuje się w mojej żonie. Więc kiedy jest w domu, muszę brać urlop, żeby go pilnować. Przywozi jej pomarańcze, francuskie perfumy, jakieś kiecki amerykańskie. I ona to przyjmuje!

— Raz mi się to zdarzyło, musisz dodać. I to ze straszną awanturą. Przedtem była UNRRA i zachwycaliście się każdym łachem, a teraz to są amerykańskie kiecki. Ale niech tatuś powie

- otworzyła szafę - czy można było nie przyjąć takiej sukienki? Miałam pozwolić, żeby Jaś dał ją jakiejś dziwce?

— Magdaleno! - upomniął Piotr ze względu na profesora. Ale ten był zachwycony wszystkim, co mówiła.

— Przecież tak powiedział. Że da ją jakiejś dziwce, jeślnie przyjmę jej od niego. Przymierzę - powiedziała, spoglądając na ojca prosząco.

— Ależ oczywiście przymierz!

Skoczyła do kuchni i wróciła po chwili w zielonej jedwabnej sukience, bardzo obcisłej w biuście i szerokiej na biodrach. Była może trochę przyciasna, ale Magdalena lubiła przyciasne sukienki.

- Prześliczna! - powiedział ojciec.

Piotr spojrzał na niego z podziwem. Stary pan umiał kochać kobiety. Znał się na tej trudnej sztuce, której on nigdy nie opanuje w należyty sposób.

- Prześliczna! - powtórzył za profesorem, ale Magdalena nie zwróciła na to uwagi.

Otworzyła właśnie pokój sublokatora i wyjąwszy z szafy czystą pościel, plaskała dłońmi w poduszki, wygładzała prześcieradła, wzbijała pierze w pękatych jaśkach. Ojciec chodził za nią, przysiadł na krzesłach w jej pobliżu, rozmawiali o domu, śmiali się, wspominali dawne lata. Piotr starał się nie narzucać w tej rozmowie, ale był zawsze pod ręką, gdy Magdalena wzywała go na świadka w jakiejś sprawie, gdy trzeba było jej coś potrzymać lub pomóc.

Był pewien, że profesor obserwuje go, nawet nie patrząc na niego, może właśnie bardziej wtedy, gdy tylko czuł jego obecność. Nie indagował go, nie pytał o nic, a przecież Piotr wiedział, że każda chwila jego pobytu w ich domu jest pytaniem, na które on udziela odpowiedzi. Intuicja mówiła mu, że powinien - nie żądając zbyt wiele - czuć się raczej zadowolony z przebiegu tej pierwszej rodzinnej inspekcji..

O późnej godzinie, gdy Magdalenie przyszło do głowy telefonować do Warszawy, pochwycił w rozmowie profesora z

żoną małe słowo „owszem” - wyrzeczone po jakimś namyśle. To była aprobata, której mu udzielano. Może w innych warunkach należałoby uznać ją za obrazę, ale Piotr miał przed sobą szczęśliwą twarz Magdaleny i nie czuł się na siłach myśleć o czymkolwiek innym.

Gdy starszy pan, wykąpany i nakarmiony, leżał już otulony przez córkę wykrochmaloną pościelą, Magdalena zabrała się do sprząwania łazienki. Piotr wszedł za nią, aby ją wyręczyć. Odebrał z jej rąk moką ścierkę, a ona oparła się o niego...

— Jak myślisz - spytała cicho - czy powiedzieć ojcu, że będę miała dziecko?

— Jezus Maria! - szepnął. - Przecież mnie jeszcze tego nie powiedziałaś.

— Właśnie ci mówię.

Zaczerwienił się. Zaczerwienił się naprawdę tak, jak to sobie wyobrażała, od kołnierzyka aż po nasadę włosów.

- Co ty robisz - zawołała. - Przecież posadzka jest mokra! Wstań!

Zamoczysz spodnie i ja je potem będę musiała prasować.

Kłócili się do późnej nocy, bo Piotr uparł się spać na chodniku przed tapczanem, żeby pozwolić jej należycie wypocząć.

— Nie bądź głupi! - mówiła, schylając się nad nim. - Chodź tu zaraz!

— Nie, zostanę tutaj.

— Chodź, bo obudzę ojca!

Dał się wreszcie namówić na zajęcie miejsca w dole tapczanu, gdzie położył się z twarzą przy jej stopach. Myślał, jak zachował się w podobnej sytuacji siwy pan, który spał w sąsiednim pokoju. W jaki sposób okazywał miłość kobiecie, która była szczęśliwa, że ma urodzić jego dziecko.

XIII

Magdalena nie przeczuwała, że ta dziewczyna zajmie tyle

miejsca w jej życiu.

Kiedy zjawiała się w biurze w asyście samego sekretarza, Magdalena poczuła tylko niemiłe zdziwienie. Potem w pokorze ducha musiała uznać, że jej pogląd na powierzchowność pracowników oświatowych musiał być mylny. Szeroki dopływ kadr obejmował zapewne i takie warianty, jak Izabela Ptak.

Magdalena zajmowała od kilku miesięcy kierownicze stanowisko w dziale dużej instytucji i nauczyła się opanowywać odruchy niewygodnego zdziwienia. Później stan, w jakim się znajdowała, nakazał jej pobłażliwość dla wszelkich zjawisk. Nie przejmowała się więc też i Izabelą Ptak. Miała nadzieję scedować ją na cudze sumienie. Postanowiła nie wracać po porodzie do pracy i zająć się wychowaniem dziecka. Piotr twierdził wprawdzie uparcie, że ich dziecko będzie musiało żyć życiem przypisanym swemu pokoleniu, a więc: żłobek, przedszkole, świetlica - te wszystkie lokale, które z oseska robią dość na razie uciążliwego członka społeczeństwa - musiał jednak ustąpić przed zdecydowanym uporem przyszłej matki. Wiedziała, że nie pokona go troska o dziecko. To, co miało być dobre dla innych, musiało być dobre i dla niego. To obawa o nią, o jej siły zbyt małe, aby je dzielić między dom i pracę zawodową, skłoniły Piotra do ustąpienia. Dom na Saskiej Kę-: pie, postawiony na nogi nadzieją macierzyństwa Magdaleny, zdecydował z ochotą wypłacać jej równowartość dotychczasowych zarobków, aby spokojnie, bez uszczuplania domowego budżetu, mogła się oddać wychowaniu wnuka i prawnuka. Piotra trzeba było oczywiście przygotować na tę pomoc. Na razie nic mu nie mówiła. Sądziła, że tkliwość ojcowska sama dokona tej perswazji.

W tym wszystkim początkowa działalność Izabeli Ptak bądź uszła uwagi Magdaleny, bądź też została przez nią zlekceważona. Kiedy konieczność nakazała zwrócić na nią pilniejszą uwagę, Izabela Ptak obrosła już w niebyle jakie kontakty i zaszczyty. Została wybrana przewodniczącą Koła Ligi Kobiet, delegatem do Zarządu Okręgu Związku Zawodowego, nabyła szereg tytułów, upoważniających ją do lekceważenia

pracy własnej, a kontrolowania cudzej, Magdalena zrozumiała, nie dość szybko, że jest wobec niej bez silna.

Wydawało się jej, że nic nie jest w stanie zaprzeczyć prawdziwości wysuwanych przez nią argumentów. Izabela Ptak posiadała tak dalece nie uporządkowane życie erotyczne, że najsilniejsze pokusy napadały ją zwykle podczas podróży służbowych. Dochodziła do takiej żarliwości w namawianiu młodych nauczycieli do zawiązywania kół dobrego czytania, że kładła się wreszcie z nimi do łóżka, co może przyczyniało się do ożywienia stosunków reprezentowanej przez nią instytucji z terenem, ale z czytaniem nie miało nic wspólnego. Nauczyciele, kierownicy PGR-ów, do których także docierała ze swoją misją, samotni leśniczowie wśród kościerskich lasów chwalili sobie ten rodzaj szerzenia kultury. Odrzuceni o wiele kilometrów od miast, pędzili nudne, wiejskie żywoty. Izabela Ptak była dla nich teatrem i kinem, kawiarnią, bilardem i barem, była nagłą, olśniewającą przygodą. Może w jej działalności były nawet elementy pożytecznej funkcji społecznej, ale Magdalena stała na stanowisku, że wobec tego należało zmienić tytuł jej wyjazdów w teren i że powinna ją tam wysyłać jakaś inna - nie powołana na razie do życia - instytucja. Postanowiła ją zwolnić.

Izabela Ptak posiadała jednak tyle godności społecznych, że nie można było się jej pozbyć jak zwykłego człowieka. Zwykłego człowieka kompromitowało niezawodnie wiele rzeczy. Izabeli Ptak nic kompromitowało nic. Miała na przykład brzydki zwyczaj rozmijania się z datami, a jej awersja do dokładności w liczeniu przejawiała się nader często w wypełnianiu delegacji służbowych. Idąc do fryzjera, wpisywała w delegacji pobyt w Żelistrzowie czy w Żukowie, co miało jeszcze i tę dodatnią stronę, że przynosiło zwrot kosztów nie odbytej podróży. Magdalena spisywała długie zestawienia grzechów i przewinień Izabeli Ptak. Wysyłała je do Warszawy, wręczała miejscowym zwierzchnikom, przedstawiała na wszystkich szczeblach partyjnej i związkowej drabiny. Izabela Ptak była nietykalna.

Najniespodziewaniej sprawa chwyciła w Warszawie.

Zarząd główny zdecydował się pozbyć kompromitującego pracownika. Otrzymawszy odpowiednie zlecenie, Magdalena dokonała z ulgą upragnionej przez nią formalności.

Miał to być dzień triumfu, a okazał się demaskującą zamiary klęską. Izabela Ptak oświadczyła, że jest w ciąży, co oczywiście unieważniało wypowiedzenie. Magdalena poczuła zażenowanie. Własny stan, ukrywany jeszcze wprawdzie przed otoczeniem, musiał narzucić jej jakiś stosunek do tej sprawy. Na wszelki wypadek zażądała zaświadczenia lekarskiego. Po trzech tygodniach otrzymała je, wypowiedzenie anulowano. Po pięciu Izabela Ptak przyniosła nowe zaświadczenie, że poroniła.

Magdalena nie miała już siły. Trzeba było całą sprawę zaczynać znów od początku. Tymczasem jednak w prowadzonym przez nią biurze nastąpiły dwa aresztowania. Mogła dać sobie uciąć rękę za niewinność tych ludzi. Sekretarka, starsza osoba, przestraszona światem i zmianą jego kolorów, nie dawała się wciągnąć nawet w taki rodzaj życia społecznego, jakim są zwierzenia. Instruktor, obarczony rodziną, myślał jedynie o zabezpieczeniu jej bytu. Sprawy służbowe nie mogły być powodem aresztowania - musiałyby coś o tym wiedzieć.

Usiłowała interweniować. Najtrudniej było się dowiedzieć u kogo. Człowiek stawał się szpilką rzuconą w ogromny stóg siana. Piotr, któremu opowiedziała o wszystkim, zabronił jej zajmować się tą sprawą. Nie wierzył w bezpodstawność aresztowania. Podejmowała z nim namiętne dyskusje, podczas których słowa zamierały jej na ustach, gdy uświadomiła sobie, że przecież lepiej było pozwolić Piotrowi, aby zachował swoją wiarę. Milkła. Zaczynała się bać.

Każda noc czaiła się cichymi krokami na ścieżce, odgłosem zatrzymujących się przed domem aut, obcymi głosami przy furtce.

Piotra budziła jej bezsenność.

- Co ci jest? - pytał.

- Nie, nic - mówiła, przywierając do niego.

Ale nawet jego obecność nie dawała poczucia

bezpieczeństwa. Gorzej: przywodziła na myśl możliwość utraty.

— Powiedz, czego się boisz? Może dałaś się w coś wciągnąć?

— Nic - odpowiadała. - Nie mam się czego bać.

Piotr; trzymając ją w ramionach, czuł, że drży. Jeszcze nie mógł zrozumieć, jak wielki jest strach ludzi niewinnych.

Aresztowano ją na ulicy, gdy szła z biura na dworzec.

Niska „cytryna” podjechała cicho i zatrzymała się przy krawężniku chodnika nieco przed nią. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn. Stojąc przy wozie zapalili papierosy. Patrzyli na nią, gdy się zbliżała, ale to jej nic ostrzegło. Była przyzwyczajona do wzroku mężczyzn. Ulica, tramwaj, foyer w teatrze dostarczały jej zawsze błahej, ale napęniającej optymizmem przyjemności: czuła, że patrzą na nią. (idy mijała samochód, tych dwóch zastąpiło jej drogę. To była śmiałość zbyt obcesowa i Magdalena otworzyła już usta, żeby pozbyć się natrętów. W tej samej chwili zrozumiała. Skurczyła się, jakby nagle otrzymała cios w żołądek. Jeden z mężczyzn krótkim gestem zaprosił ją do wnętrza samochodu. Myśl jej zatrzymała się na tym gościu - pamięć powtórzyła go wiernie jak fotografia.

Ostry błysk świadomości otrzeźwił ją tylko na chwilę, gdy szła długim, piwnicznym korytarzem, a prowadzący ją człowiek zadzwonił pękiem kluczy.

Zatrzymała się.

- Proszę zawiadomić mego męża.

- Dobrze, dobrze - powiedział.

W celi znajdowała się już jedna lokatorka. Była to niemłoda kobieta, sądząc z wyglądu, chłopka. Ucieszyła się przybyciem Magdaleny. Jej radość była pierwszym zaprzeczeniem nadziei na rychłe wyjście. Piotr! Usiłowała wierzyć, że nie pozwoli, żeby długo ją tu trzymano. Ale równocześnie bała się myśleć, co zrobi dowiedziawszy się o jej aresztowaniu. To było najgorsze ze wszystkiego. Między paplaniną kobiety, która chciała wiedzieć, jaka jest pogoda, czy nic nie podrożało i w jaki dzień przypada Boże Narodzenie -

przedzierały się ostre ukłucia niepokoju. Wiedziała, że jest impulsywny i nie potrafi rozsądnie znosić rozpaczy. Jej stan był dodatkową udręką dla niej i dla niego. Usiadła na brzegu pryczy i złożyła ręce na brzuchu. Dopiero teraz zauważyła, że są puste, że zabrano jej torebkę, nie pozostawiając nawet chustki do nosa. Poczwała nagłą chęć płaczu. Dawno nie płakałam - pomyślała. Wydało się jej to dziwne, prawie nierzeczywiste. Musiało naprawdę być coś nie w porządku, skoro przez tak długi czas była zwolniona od łez. Podniosła spódnicę i osuszyła twarz halką. Stara kobieta podeszła do niej.

- Będzie sąd - powiedziała. - Na sądzie wszystko się okaże.- Niech panienska nie płacze. Bez sądu nie mogą nas trzymać.

Rano wezwano Magdalenę na śledztwo.

Ucieszyła się prawie, bo sądziła, że dowie się, o co ją posadzają. Ale pytania dotyczyły spraw odległych. Chodziło im o pochodzenie społeczne, o przedwojenne studia. Rozparcelowana Stawówka babki urosła w wyobraźni przesłuchującego do rozmiarów potężnych włości. W krótkiej ciszy między jednym a drugim pytaniem zastanowiła się nad tym, jak różne intencje mogą doprowadzić do tych samych wyobrażeń. Babka i matka, zafascynowane swoją martyrologią, również dodawały Stawówce z dnia na dzień po ileś tam hektarów. Może nawet, gdyby - nie daj Boże - przyszło im zeznawać w podobnych okolicznościach, uznałyby za naturalne potwierdzić rozległy obszar Stawówki, zarysowujący się w aktach personalnych byłych ich właścicieli. Ona jednak nie miała tych ambicji, walczyła zażarcie o każdą włókę, którą chciano dodać do pamięci po rozparcelowanej resztówce. Chodziło jej o Piotra. Wiedziała, że jej zeznania zostaną przeniesione do jego papierów. Minęły czasy, kiedy mezalianse miały znaczenie tylko towarzyskie.

Przesłuchanie trwało kilka godzin. Gdy wróciła do celi, z ulgą wyciągnęła się na pryczy. Jej towarzyszki nie było. Może ją wypuścili? - pomyślała i przestraszyła się tej myśli. Samotność byłaby gorsza od wszelkich represji.

Już zmierzchało, gdy babina wróciła. Była spłoszona i zmięta, oczy biegały jej niespokojnie. Gdy w korytarzu umilkły kroki strażnika, zbliżyła się do Magdaleny.

— Czy panienka wie, co to jest skrzynka śpiegowska?

Magdalena uniosła się na pryczy.

— Co takiego?

— Skrzynka śpiegowska.

— Po co wam to wiedzieć?

— Bo to ja.

— Jak to wy?

- Ano oni tak mówią. Że ja jestem skrzynka śpiegowska.

Magdalena wyciągnęła się znów na pryczy. Pomyślała, że baba udaje naiwną i usiłuje z niej coś wyciągnąć. Wiedziała, że w więzieniach są kapusie, którzy otrzymują takie zadania.

Oczy starej kobiety patrzyły spomiędzy zmarszczek z rozpaczliwą, udręczoną ciekawością.

- Skrzynka śpiegowska - powtórzyła. - I nic, tylko żebym się przyznała! Ja bym się może już i przyznała, niechby było na ich, ale jak mogę się przyznać, kiedy nie wiem, co to takiego? Może jeszcze na gorsze się obróci?

Magdalena milczała. Czuła wstyd za swoją nieufność, za oblepiającą jak maź podejrzliwość do całego świata. Ale rozsądek kazał mieć się na baczności.

Kobieta, nie doczekawszy się odpowiedzi, skuliła się na swojej pryczy. Zaczęło dochodzić stamtąd ciche pociąganie nosem.

Dzień przechodził za dniem, podobny do poprzedniego jak dwa ziarna piasku. Tylko odmienna treść śledztwa różniła je od siebie, ale z czasem zabrakło tematu i na tę różnaitość. Magdalena przywykła już do pytań o stosunki rodzinne, wśród których osoba babci i brata w Londynie ustaliły się jako zdecydowane przysmaczki funkcjonariuszy śledczych, o swoją przeszłość - zbyt krótką, aby mogła zaciekawiać na dłuższy przeciąg czasu. Śledztwo przeobrażało się w nudną wymianę zdań, które nie zaskakiwały żadnej ze stron.

Wszakże jeden z następnych dni przyniósł jej niespodziankę. Kiedy sądziła, że codzienna powtórka dobiega już końca, mały porucznik, który tego dnia występował w mundurze, zagadnął ją o szczegóły dotyczące jej pobytu w Niemczech. Mówiąc o pobycie na gestapo musiała opowiedzieć o wysadzeniu przez Piotra mostu wiodącego do Altóting. To zastanowiło małego porucznika.

— Do jakiej należał organizacji?

— Nie należał do żadnej organizacji.

— Więc w jaki sposób wysadził most?

— Sam.

— Sam?

— Jeszcze z tym drugim. Przecież mówiłam - z Francuzem Gastonem Assement.

— Pytam o organizację.

— Nie należał do żadnej organizacji.

— Dlaczego więc wysadził most?

— Bo chciał utrudnić dowóz broni na front wschodni. W Altóting była fabryka amunicji.

— Więc nie należał do żadnej organizacji?

— Nie.

— I sam to zrobił?

— Sam nie. Z tym Francuzem. Z Gastonem Assemcent.

— Gdzie on teraz jest?

— Kto?

— Ten Francuz.

— Nie wiem. Nie wiem - powtórzyła. Mdłości, które odczuwała ze względu na swój stan, spotęgowały się. - Niedobrze mi - szepnęła.

— Odpowiadajcie na pytanie.

— Niedobrze mi, będę zaraz wymiotować.

Kiedy sprowadzono ją z powrotem na śledztwo, mały porucznik powtórzył to samo pytanie:

— Gdzie on teraz jest?

— Kto?

— Ten Francuz.

— Nie wiem.

— Nie utrzymujecie z nim żadnego kontaktu?

— Nie. Nawet nie wiem, czy żyje.

— A on nie należał do żadnej organizacji?

— Nie wiem.

Następne pytania znów dotyczyły babki, Stawówki i Zygmunta. Raz tylko mały porucznik zaczepił o sprawy biurowe, a jakieś zdanie, które miała powiedzieć do kogoś podczas pracy. Magdalena nabierała pewności: Izabela Ptak! Tylko od czasu do czasu prowadzący śledztwo potraçał o Piotra i Gastona. Magdalena zaczynała bać się, że niepotrzebnie o nim wspomniała. Może tym zaszkodziła Piotrowi?

Myślała o tym po powrocie do celi, uporcezywie, z wzrastającym niepokojem. Chodziła od drzwi do okna, kilkoma krokami przemierzając małą przestrzeń.

- Nie, nie będę żałować - powiedziała sobie wreszcie. - Nie będę tego żałować! - Most był dumą Piotra i Gastona, był dumą ich wszystkich. Trzeba było o nim powiedzieć, dlaczego miałyby to przemilczeć? Ale znów chwycił ją za gardło żal za utraconym spokojem, za doprowadzoną do przyzwoitego poziomu egzystencją,

za wszystkim, co czekało ją z Piotrem... Usiadła na brzegu pryczy i ukryła twarz w dłoniach. Może Piotr był także aresztowany?

Zobaczyła prawie przed sobą ich nowe mieszkanie, o tej porze pełne słońca. Na jednej z półek w szafie gromadziła małe rzeczy dziecięce, miękkie i lekkie jak puch. Wydawało jej się, że słyszy dźwięk telefonu, długo brzmiący w pustym pokoju. Rodzice, wyzbywszy się urazy, co kilka dni dzwonili do niej z Warszawy. Nie chciała myśleć o ich rozpaczy, gdy się dowiedzą. Równocześnie pragnęła, żeby dowiedzieli się jak najprędzej. Liczyła na to, że milczenie telefonu zmusi ojca do przyjazdu. Mały czarny aparat był teraz jedynym sprzymierzeńcem, który mógł im pomóc. Myśl o ojcu uspokajała ją. Wierzyła, że potrafi wyciągnąć ją i Piotra z tej opresji. Jeśli sam w nią nie wpadnie.

- Tylko nie żałować! - zaczęła znów powtarzać żarliwie. Czowała, że jak długo zdoła się obronić przed własnym gniewem na siebie, tak długo może mieć pewność, że właściwie nic złego się nie stało.

Podniosła oczy. Przez małe zakratowane okienko widać było wieczorne niebo.

- Nic się nie stało - pomyślała. - Wszystko jest w porządku. Nie żałuję.

XIV

- Pomogę wam - powiedziała Bronka półgłosem.

Weszła, gdy Piotr siedział sam w swoim pokoju, na chwilę pozbywszy się interesantów. Podniósł głowę i obrzucił ją niezupełnie przytomnym spojrzeniem. Po wyrazie jego oczu poznała, że myśli o swoim zmartwieniu, że wciąż o nim myśli, do zupełnej udreki wciąż myśli o tym samym.

Powtórzyła, siadając naprzeciwko niego:

- Pomogę wam. Dlaczego wcześniej nie przyszliście z tym do mnie?

Piotr patrzył na nią bez ruchu. Wciąż miała wrażenie, że nie rozumie tego, co do niego powiedziała. Wyciągnęła rękę po

papierosa, żeby uchronić się od powtórzenia raz jeszcze słów, które nie przychodziły jej łatwo. Teraz dopiero dźwignął się z krzesła i podał jej ognia.

- Trzeba mieć zaufanie do przyjaciół - szepnęła, szukając jego spojrzenia.

Zapalał także papierosa i nie patrzył na nią.

— Bronka - powiedział po chwili - stało się coś bardzo złego. Nie wiem, czy uda mi się odrobić ten incydent w moim życiu.

— Będziecie musieli o nim zapomnieć - powiedziała łagodnie.

— Mam zbyt dobrą pamięć. Cała moja siła, którą szczyciłem się dotąd, polegała na tym, że miałem dobrą pamięć.

Wstała, przeszła się po pokoju.

- Musimy zachowywać czujność - powiedziała twardo. – Członkowie partii są najmniej powołani do tego, aby dąsać się o to na, władzę. – Chciała, żeby pojął, że nie powinni dłużej rozmawiać na ten temat. Miał oczywiście prawo do rozgoryczenia. Wszyscy ludzie nieszczęśliwi mają prawo uważać swoje nieszczęście za niesprawiedliwość - jest to jedno z najbardziej demokratycznych zjawisk, równie nie pocieszających człowieka jak śmierć.

- Rozmawiałam z kim trzeba - zaczęła mówić szybko. -
Musicie zaraz pojechać do Gdyni.

Podniósł głowę.

— Do Gdyni? Po co?

— Po nią. Obiecali mi, że dziś ją zwolnią.

Piotr nieraz czuł ubogi wstyd, że nie potrafi należytą wdzięcznością odpłacić za dobroć tej dziewczyny. Podszedł i krótko uściskał jej rękę.

— Do kogo mam się tam zgłosić?

— Do oficera śledczego. Do tego, który prowadził tę sprawę. Powiedzą wam.

- A tamci?

- Jacy tamci?

— Ci ludzie, których aresztowano przed nią. Przecież oni także są niewinni.

— Słuchajcie, towarzyszu Kwaśniewski - Bronka chciała wesołością pokryć zniecierpliwienie. - Nie myślicie chyba, że uda wam się wpakować mi na głowę jeszcze i tę sprawę?

— A kto się nimi zajmie?

— Ja?

- A dlaczego nie wy?

Spuściła głowę.

- Ona was o nich zapyta, tak? Zapyta was i wy musicie jej odpowiedzieć, że i ich staraliście się uwolnić... Dobrze. Będziecie mogli jej to powiedzieć.

Stał bezradnie pośrodku pokoju, bojąc się odetchnąć.

- A teraz jedźcie tam - powiedziała. - Czasu szkoda.

Chwycił z wieszaka płaszcz i czapkę i wybiegł z pokoju. W Gdyni wziął z dworca taksówkę na Kamienną Górę. Spodziewano się go tutaj. Bez większych trudności dotarł do małego oficera, który prowadził śledztwo w sprawie Magdaleny. Wyszedł zza biurka na jego spotkanie i serdecznie uściskał mu dłoń.

Piotr usiadł i od razu zagaił sprawę. Czuł radosną niecierpliwość, liczył sekundy dzielące go od zobaczenia

Magdaleny.

Mały porucznik podniósł do góry obie dłonie.

— Wiem, wiem - zawołał. - Wszystko się wyjaśniło. Wszystko. Nie możecie nam brać za złe, towarzyszu, że musimy poważnie się odnosić do każdego doniesienia.

— Oczywiście - mruknął Piotr.

— Ale, jak widzicie, nie popełniamy omyłek w toku śledztwa i ludzie niewinni bez trudu oczyszczają się z zarzutów.

— Oczywiście - powtórzył Piotr.

— Wróg nie daje nam chwili wytchnienia i dlatego musimy być czujni, tropić każdy jego ślad - choćby nawet nieraz zdarzało się mylić.

— Tak.

— Mam nadzieję, że jako towarzysz partyjny doceniacie w sposób właściwy te niemiłe momenty naszej działalności. W wypadku waszej żony...

— Czy nakaz zwolnienia jest gotowy? - przerwał mu Piotr. Czuł, że nie wytrzyma dłużej. Oczywiście mały oficer miał rację. Musieli, musieli być czujni, ale być może tuż za ścianą czy pod podłogą więziono Magdalenę, nie przeczuwała, że on tu jest, że za chwilę otworzą się drzwi i zabierze ją stąd, zabierze do domu. Nie chciał dodawać ani minuty do swego i jej czekania. - Nakaz zwolnienia! - powtórzył.

Oficer zmieszał się nieco. Piotr przyłapał jego rozbiegany wzrok i poczuł zimny pot na skroni.

- Tak - zatrzepotał się naraz tamten. - Ależ tak, oczywiście. Wszystko jest gotowe. Wszystko! - otworzył teczkę i podał Piotrowi papier.

Wziął go w dwa palce i szybko wsunął do kieszeni. Oficer spostrzegł ten pośpieszny ruch, patrzył kątem oka na jego palce, rozprostowujące klapę kieszeni marynarki. Kiedy Piotr wstał, podniósł się także. Był niższy od niego o głowę, nie wyrośnięty jakiś ani wzwyż, ani wszerek, zakalcowaty jak nieudane ciasto. Nie lubił stać naprzeciwko ludzi pogłębiających w nim kompleks własnego ciała. Wyciągnął rękę na pożegnanie i powiedział pośpiesznie:

— Będziecie musieli pojechać po nią do Wejherowa.

— Nie ma jej tutaj? - wyjąkał Piotr.

— Nie, jest w Wejherowie.

— Przecież w Wejherowie siedzą tylko po wyrokach.

Mały oficer spojrział w bok, gdzieś na ośnieżony okap okna.

— Ale ona jest w szpitalu. W więziennym szpitalu.

— W szpitalu? - powtórzył, oblizując suche wargi.

- Tak, widzicie, wasza żona nie powiedziała nam, że jest w ciąży. Ale nie martwcie się, towarzyszu, jesteście obydwoje młodzi, będziecie mieli jeszcze dużo dzieci.

Piotr stał chwilę bez ruchu, a potem przechylił się przez

biurko i wyciągnął ramiona. Mruczał coś, czego sam nie rozumiał. Oficer chciał cofnąć się, ale ciężki fotel, z którego powstał, przywierał tyłem do ściany, Piotr dosięgnął jego ramion i zatrzęsł nim raz, drugi i trzeci. Wciąż mówił coś cicho i powoli. Zatrzęsł jeszcze raz małym porucznikiem i rzucił go na fotel. Potem wypadł z pokoju.

Prowadzono go długim korytarzem, dziwnym korytarzem, który nie zatraciwszy cech więzienia, drażnił nozdrza szpitalną wonią. Już od furtki, którą po okazaniu papierów przed nim otwarto, pytał o Magdalenę. Ale więzienny szpital pełen był chorych kobiet, a strażnicy i pielęgniarce nie pamiętali ich nazwisk.

Towarzysząca im funkcjonariuszka zatrzymała się wreszcie przed jakimiś drzwiami.

— Leży sama - powiedziała.

— Czy... czy jest tak źle? - zapytał. Spojrzała na niego bystro.

- Czy jest źle?

Nie wiem. Ale chore będące w śledztwie nie mogą się z nikim stykać.

- Przywiozłem nakaz zwolnienia. Czy będę mógł ją zabrać?

Zawahała się.

- Nie wiem, czy lekarz pozwoli. Musicie z nim porozmawiać. - Uchyliła drzwi i wpuściła go do środka.

Spała, a może nie chciała otwierać oczu. Obcięto jej krótko włosy, nie miał ich tu kto pielęgnować. Szpitalna płócienna koszula czyniła ją obcą, niewiarygodnie żalosną i godną opłakiwania. Piotr czuł w gardle wzbierające wycie, gdy patrzył na jej małą, wymizerowaną twarz i chude ręce złożone na kocu. Bał się, że ją przestraszy, że może jej zaszkodzić wzruszenie, nawet radosne, nawet tak szczęśliwe.

Zbliżył się na palcach i ukląkł przy łóżku. Położył twarz w miejscu, gdzie pod kocem rysowały się jej stopy. Modlił się, po raz pierwszy od długiego czasu się modlił. Nie wiedział do kogo, nie do Boga ani Świętych Pańskich, ale do tej łaski, którą czuł nad sobą, do tej jakiejś dobroci i pociechy, która tak rzadka w losach ludzkich - zawsze wydaje się czymś nadprzyrodzonym.

Magdalena nie poruszyła się ani nie drgnęła. Przestraszył się. Wsunął rękę pod koc, nogi miała ciepłe.

- Magdaleno! - szepnął. - Skarbie! Jestem przy tobie. Przyszedłem po ciebie.

Uniosła powieki. Zobaczył w smudze między rzęsami budzący się uśmiech.

Już był przy niej, już trzymał ją w ramionach, lekką, przeraźliwie lekką i drobną jak pisklę. Płakali obydwój, płakali i całowali swoje mokre twarze obejmowali się łakomie, do utraty

tchu.

Wreszcie Piotr złożył ją ostrożnie na poduszce.

— Wypuścili cię? - szepnęła.

— Mnie?

— Tak się o ciebie martwiłam.

— Skąd mieli mnie wypuścić?

— Z więzienia. Nie byłeś w więzieniu?

— Ja? Skąd ci to przyszło do głowy? - Zrozumiał. Spuścił oczy przed jej spojrzeniem. Długo szukał słów, jakie powinien był powiedzieć, ale nie znalazł ich. Nieszczęście było większe, niż dotąd sądził.

— Ale teraz mnie zabierzesz? - zapytała po chwili.

— Tak - odpowiedział ze ściśniętym gardłem.

— Nie dasz mi tam wrócić?

— Nie. Zapomnij o tym. Pokręciła głową.

— To się tak szybko nie da. Trzeba, żeby tatuś przyjechał.

— Był dwa razy.

— Zawiadomiłeś go?

— Tak.

— Nie mógł nic pomóc?

— Nie.

— Ty też nie?

— Ja też nie.

— A kto teraz pomógł.

— Bronka.

Magdalena umilkła. Pogładził jej dłoń.

— Mam wyrzuty sumienia, że nie zwróciłem się do niej, że wcześniej nie zwróciłem się do niej.

- Nie zrobiłeś tego?

- Nie. Ona sama się tym zajęła.

— A tamtych dwoje?

— Nimi też się zajmie. Przyrzekła mi to. Wiedziałem, że o nich zapytasz.

— Czy wiesz, przez kogo to się stało?

— Nie.

— Ale domyślasz się?

— Tak. Porozmawiamy o tym w domu.

— Pytali mnie o takie różne rzeczy...

— Porozmawiamy o tym w domu, skarbie. Dotknęła dłońią włosów.

— Obcięli mi. Pewnie żebym nie dostała wszy. Muszę śmiesznie wyglądać. Nie mam lusterka.

— I tak jesteś ładna.

— Chcesz mnie pocieszyć. Nie będę mogła wyjść na ulicę.

— Nim wyzdrowiejesz, odrosną. Zasmuciła się.

— Prawda. To będzie długo trwało.

Kobieta, która przyprowadziła Piotra, wsunęła głowę przez drzwi.

— Karetkę będziecie musieli sprowadzić z Gdańska. Nasza się nie nadaje, a w ogóle lekarz uważa, że powinna tu zostać jeszcze kilka dni.

— Nie! - krzyknęła Magdalena. - Chcę do domu. Zaraz chcę do domu!

— Tak, skarbie - powiedział Piotr. - Tak!

XV

Była znowu wiosna.

Trzcina, obrastająca brzeg jeziora, gięła się pod wiatrem jak łan pszenicy. Powierzchnia wody migotała w słońcu, łowiąc promienie we wszystkie załamania fali. Z ziemi bił zapach rozgrzanej, soczystej zieleni.

Leżeli na rozpostartym kocu pod kępą tarnin obsypanych obfitą bielą. Pszczoły unosiły się nad krzakiem, ich monotonne brzęczenie kołysało Magdalenę przypomnieniem jakichś odległych wakacji w Stawówce, a może gdzie indziej, dziecinne wspomnienia nie mają dokładnej geografii. Chciała powiedzieć o tym Piotrowi, ale przypomniała sobie, że on nie miał żadnych zielonych wakacji. Wieś znał tylko z okresu wojny, wieś niemiecką. Zamyśliła się. Jeśli cokolwiek trzeba było przed nim przemilczać, to właśnie przeszłość. Nie lubił jej. Może trochę się bał?

Opodal, na wysuniętym w jezioro cyplu, siedział stary rybak. W wypłowiałej kapocie i kapeluszu był prawie białą plamą w tym zalewie triumfującej zieleni. Siedział przygarbiony, wpatrując się w wodę przed sobą, doskonale izolowany od świata, odległy o kilka epok od tego, co się wokół działo.

Piotr wpatrywał się w niego uważnie.

- Jeśli tylko coś złapie, zaraz kupię od niego. Będziemy mieli wspaniały obiad.

Magdalena oparła policzek o jego plecy.

— Ja już jestem głodna.

— Masz przecież jeszcze w torbie jakieś kanapki.

— A ty nie będziesz jadł?

— Nie jestem głodny.

Wracała do zdrowia. Patrzył z radością, jak je, trochę łakoma, zaróżowiona od słońca, pogodna i wypoczęta. Włosy odrosły jej. Miała teraz krótką czuprynkę, odsłaniającą szczupły karczek. Cieszył się, że dobrze zniosła powrót do pracy, choć

początkowo nie chciała o tym słyszeć. Ale taktyka wymagała, aby wróciła na swoje stanowisko i podjęła przerwane obowiązki. Zetknięcie z Izabelą Ptak musiało wypaść jak najbardziej poprawnie. Magdalena zagrała tę sztuczkę. Czuła w sobie tak chłodną pogardę, że nawet bez pomocy perswazji potrafiłaby się zachować równie spokojnie. Przyszło jej to tym łatwiej, że Izabela Ptak przechodziła teraz złą passę.

W przewidywaniu, że Magdalena znalazłszy się na wolności, nie zaprzestanie usiłowań zwolnienia jej, postarała się znów o ciążę. Tym razem prawdziwą. Straciła jednak głowę i zaczęła szukać ojca. Szczęśliwym wybrańcem okazał się młodzian oficer marynarki wojennej, który jednak o niczym nie chciał wiedzieć. Przyznawał się wprawdzie do uwiedzenia przez Izabelę Ptak podczas jakiejś zabawy, ale uważał, że sam do ojcostwa nie ma prawa.

Sprawa z rozmów towarzyskich przeniosła się na szerokie płaszczyzny urzędowe. Izabela nie była aż tak postępową, aby przyjąć z godnością panieńskie macierzyństwo. Instancje i szczeble zaczęły działać. Nieszczęsny podporucznik został wezwany do dowództwa marynarki. I tu okazało się, że posiada dość hartu ducha, żeby powiedzieć: nie.

Spór oparł się o kancelarię marszałka. Ale i tu dzielny marynarz, zagrany odparciem pierwszego ataku, nie poddał się wojskowej dyscyplinie.

- Zastrzelę się, towarzysze - powiedział, stając na baczność.

Dano mu spokój. Izabela Ptak zaczęła rozglądać się za innymi kandydatami do swojej ręki. Niestety bezskutecznie.

Magdalena powinna uważać się za pomszczoną, ale nie odpowiadał jej rodzaj okoliczności, które dokonały tego przypadkowego rewanzu. Gdy opowiedziano jej w biurze o niepowodzeniach Izabeli, skwitowała to milczeniem. Wolałaby, aby awansowała wysoko. Nie musiałyby patrzeć na nią dzień w dzień z perspektywą długich miesięcy zagwarantowanych ustawą o ochronie macierzyństwa.

— Wzięła! - powiedział Piotr.

— Co takiego? - Magdalena, wytrącona z wątku swoich myśli, nie wiedziała, o co chodzić

— Ryba wzięła. Ale poczekamy jeszcze na więcej.

— A gdzie je usmażymy?

— Może rybak zaprosi nas do siebie. Wygląda na to, że nas zaprosi.

— Tak z daleka to widzisz?

— Takie rzeczy czuje się u ludzi niezależnie od odległości. Mieszkając na tym pustkowiu rad będzie z gości.

— A może właśnie ceni swoją samotność i wcale nie pragnie towarzystwa?

— Potrafisz to sobie wyobrazić, co?

— O, tak. Przysunęła się do niego.

— Piotrze! Tak dobrze jest nam razem. Po co mamy wracać do nich?

— Do kogo?

— Do nich wszystkich. Piotr pogładził ją po głowie.

— Mój biedaku, zrobili ci krzywdę. Musisz się starać o tym zapomnieć. Będiesz miała jeszcze wiele szczęśliwych, spokojnych dni.

— Nie, spokojnych już nie. Wiem o tym dobrze.

— Druga! - powiedział Piotr. Wiedział, że popełnia nietakt przerywając jej w ten sposób. Ale chciał jej przerwać. Rybak wyciągał z wody trzepoczącą się rybę. - Druga! - powtórzył Piotr. - Poczekamy do trzech.

— A jeśli nas nie zaprosi? - Magdalena również z ulgą zrezygnowała z poprzedniego tematu.

— Rozpalimy ognisko i uwędzimy ryby w dymie. Będiesz miała prawdziwą wycieczkę, z której przynosi się dym we włosach.

- To po pieczeniu ziemniaków. Robiliśmy czasem z Zygmuntem w ogrodzie ognisko z zeschniętych liści i badyli. Wykradaliśmy z kuchni masło i ser - ach, to była uczta!

Pobliską szosą przejechało auto pełne niedzielnych

wycieczkowiczów. Domorosły baryton zawodził przy akompaniamencie harmonii „Tiomnaja noc”. Dziewczęta wtórowały mu chórem. Nad karoserią ciężarówki furkotały kolorowe wstążki.

— Najważniejsze jest to, że oni są szczęśliwi - rzekł cicho Piotr.

— Myślisz, że są?

Przymknęła oczy i czekała, co powie.

Rybak powinien był w tej chwili złapać trzecią rybę, aby uwolnić go od odpowiedzi. Ale siedział nieruchomo i nic nie wskazywało na to, żeby ratunek miał nadejść z tamtej strony.

— Myślę, że są nimi - powiedział wreszcie. - Mają poczucie ważności, to ludziom na długo wystarcza.

— Powiedziałeś „na długo”, to znaczy „nie na zawsze”.

Piotrowi wydało się, że rybak drgnął, że pochylił się w oczekiwaniu, ale było to tylko złudzenie.

- Oni byli zawsze bardzo biedni - zaczął powoli. - Jeśli ma się choćby odrobinę nadziei, że można uczynić ich los lepszym, łżejszym, sprawiedliwszym, już należy uważać, że stawka warta jest wielkich wysiłków.

Objęła go przez plecy.

— Wiesz, że gdy tak mówisz, pozyskasz we mnie zawsze sprzymierzeńca.

— Trzecia! - zawołał Piotr z radością.

Magdalena zerwała się. Zwinęli koc i ruszyli w kierunku starego rybaka.

Aby dostać się do niego, musieli zatoczyć łuk wzdłuż brzegu jeziora. Niskie olszyny tworzyły tu gęszcz ciasny i wilgotny. Ścieżka wśród nich była wąwozem o zielonych ścianach. Jakiś ptak wyciągał wysoki trel. Spłoszony ich krokami, odleciał dalej i milczał przez chwilę. Potem znów odezwał się nutą jasną jak promień światła. W gęszczu otworzyło się nagle okno na szklistą powierzchnię jeziora, przysypaną słonecznym blaskiem. Dochodzili do brzegu. Fala cicho oblizywała nawisłą nad wodą darń. Ptasi śpiew, przelot wiatru

wśród trzcin i to łagodne szemranie wody były jedynymi odgłosami przerywającymi wielką ciszę jeziora.

— Tu jest tak pięknie! - szepnęła Magdalena. Piotr zatrzymał się i odetchnął pełną piersią.

— Tak, tu jest miejsce na odpoczynek. Może nawet na śmierć? Pociągnęła go za sobą.

— Co też ty gadasz - burknęła!

— Czy możesz sobie wyobrazić, jak pięknie byłoby umrzeć tutaj?

— Piotrze, nie lubię, gdy mówisz o takich rzeczach.

— Przecież to musi przyjść. Ludzie nie kończą się inaczej. Lekarz, pigułki na nocnym stoliku, termometr i powolne, upodlone do kresu rezygnacji oczekiwanie śmierci. Nie może być nic gorszego. Nie może być nic smutniejszego niż śmierć w łóżku. Prawdziwy mężczyzna umiera leżąc na ziemi.

— Proszę cię, nie mów o tym.

— Prawdziwy mężczyzna musi czuć, że pod jego milknącym sercem bije wytrwałe serce ziemi. Musi mu przekazać swój rytm, swoją nie dokończoną walkę, nie docierpiane cierpienie. Ziemia wyposaży nimi następne pokolenie i tak walka będzie trwać wiecznie.

- Przestań! Boję się!

Położył dłoń na jej głowie.

- Czego się boisz? Nie trzeba się bać. Czy może być coś bardziej uspokajającego niż myśl o śmierci?

Nie mówili już nic. Ptak znów zaśpiewał. Fala uderzyła o brzeg. Stary rybak nie okazał ani zdziwienia, ani radości z ich przyjścia. Siedział nieporuszony na niskim stołeczku, a jego kapelusz i kapota były naprawdę tak spłowiałe od słońca, jak to wydawało się z daleka.

Na propozycję sprzedania ryb odpowiedział wzruszeniem ramion.

— Ja tam niczego nie sprzedaję, chcecie, to bierzcie.

— Ale za fatygę coś się wam należy - powiedziała Magdalena.

— Za jaką fatygę?

— Za rozpalenie ognia pod kuchnią i użyczenie nam patelni. Przecież gdzieś musimy te ryby usmażyć.

Stary patrzył na nią, mrugając powiekami. Potem uśmiechnął się szeroko. W różowych dziąsłach tkwił na przedzie jeden wspaniały ząb.

- A ma się rozumieć, że tak - powiedział, podnosząc się ze stołka.

Piotr pomógł mu pozbierać blaszanki z robakami i inne rybackie drobiazgi. Magdalena chwyciła siatkę ze złowioną rybą.

— A stołek? - zapytała.

— Stołka nikt tu nie ruszy. Jak go po wojnie postawiłem, tak stoi. - Rybak ruszył przodem. Postępowali za nim gęsiego, choć z tej strony brzeg przechodził poza pasmem trzciny w płaskie, szerokie pastwisko. Przy zakręcie drogi stał mały, czysto pobielony dom między drzewami ubogiego sadu. Kwadrat podwórza zamykały skromne zabudowania gospodarcze.

— Od razu wiedziałem, że tu mieszkacie.

— Ano, domyślić się nietrudno. Do Jeziorzan nie ma ani jednej chałupy.

— Jeziorzany to PGR?

— Nie, wieś.

— Indywidualna?

— Ano jeszcze, chwalić Boga, spółdzielni w naszej okolicy nie ma. Magdalena zerknęła ku Piotrowi. Wchodzili do małej sionki zawieszanej sprzętem rybackim. Udał, że nie widzi jej spojrzenia, choć uśmiechnął się kątem ust. Rybak otworzył drzwi do izby i wpuścił ich do środka.

Nad dwoma łózkami, stojącymi wzdłuż ściany, wisiał rząd świętych obrazów. Przed Matką Boską paliła się lampka oliwna. Na stole leżało czyste płótno, na podłodze wyszorowanej do rodzzonego koloru drzewa - pasiasty, chodnik.

Magdalena rozejrzała się po izbie.

— Żona w kościele? - spytała. Rybak machnął ręką.

— Na cmentarzu ona - powiedział. - Rok czasu już będzie.

— Przepraszam. W izbie macie tak czysto, jakby dopiero co kobieta stąd wyszła.

— A pilnuję porządku tak, jak nieboszczka lubiła. Zawsze mówiła, że sobie bez niej nie dam rady, to swój honor muszę mieć.

— Ożenicie się jeszcze - powiedział Piotr wesoło. Wyjął scyzoryk i przysunąwszy sobie miskę z wodą zabrał się do czyszczenia ryb. Spod ławki wyszedł, przeciągając się, bury kot i przysiadł opodal w oczekiwaniu swojej części.

— Iii tam - stary wzruszył ramionami. Wyciągał drzewo zza komina, rozsuwał fajerki. - A gdzie ja bym taką drugą znalazł? Żeby tak zrzędziła przez cały dzień, żeby tak gadała od świtu do wieczora, a zła, a skrzywiona, a gderliwa i do bicia prędką! Gdzie ja bym taką drugą znalazł? Jeszcze by mi się trafiła jaka milczka słodziutka i z chałupy przyszłoby uciekać na starość.

Magdalena wciąż zerkąła ku Piotrowi.

— Dobrze, żeście mu to powiedzieli. On wciąż uważa, że kobieta powinna być cicha.

— A to zależy! - stary przytknął zapałkę do papierów i suchego drzewa. Buchnął wesoły ogień, aż zagrało w kominie. - To zależy. Na wszystko musi być swój czas i swoje miejsce. Takie baby, co miały ozorami na zebraniach, co chłopów chcą przegadać i chłopów potrafią zastraszyć, to bym pasem lał i wodą zlewał. Moja kobieta była inna. Na swego chłopą pogderać nie grzech, ale żeby na zebrania chodzić, tego jeszcze nikt nie widział.

— A gdzie to tak kobiety na zebrania latają? - spytała Magdalena.

— Gdzie? Ano wszędzie. W mieście nie latają? Teraz baby bardziej od chłopów zażarte. W Kładkach to przez baby spółdzielnię założyli.

— Wam to chyba nie grozi - mruknęła. - Starzy jesteście, ziemi macie pewnie niewiele.

— Chwalić Boga - powiedział stary. - Nigdy nie wiadomo, co na dobre człowiekowi się obróci.

- Piotr wrzucił wypatroszone ryby do wody. Dalszym ich losem zajęła się Magdalena. Wnętrznosci i głowy zgarnął w gazetę i wyniósł na podwórze. Kot, miauczając, wybiegł za nim.

Gdy wrócił, na patelni trzeszczał już roztopiony olej. Magdalena obsypywała ryby mąką i kładła na wrzący tłuszcz. Izba napelniła się drażniącym nozdrza zapachem.

— Pozwolicie nam tu jeszcze kiedyś przyjechać? - zapytał.

— Ano, chata otwarta. - Stary uśmiechnął się. Biały ząb

błysnął w otwartych ustach. - Miło ludzi pod swoim dachem przyjąć. - Podeszedł do szafy i wyjął okrągły bochen chleba. Zanim zaczął go kroić, uczynił nożem na jego obsypanym mąką spodzie szeroki znak krzyża.

Tak została zawarta znajomość między Magdaleną i Piotrem a Klemensem Płonką, rybakiem.

XVI

Profesor spojrział uważnie w lustro.

Golił się w hotelowej łazience pozbawionej dziennego światła. Neon, który obrzeżał lustro od góry, rzucał na jego twarz nieco fioletowy blask. Nie był zadowolony ze swego wyglądu. Jeszcze raz namydlił brodę i przejechał po niej żyłką. Dopiero teraz pojął, że właściwie ma tremę przed tym spotkaniem. Jeszcze większą niż przed spotkaniem z Magdaleną. Żałował, że nie doprowadził do niego zaraz po przyjeździe do Londynu. Teraz byłoby już po wszystkim. Ale wtedy - przed kilkoma dniami - chciał zachować spokój i świeżość umysłu na konferencję z angielskimi kardiochirurgami. Wiele pokładał nadziei w osobistych kontaktach, w wymianie doświadczeń - przyjechał przede wszystkim po to, prywatne sprawy trzeba było odłożyć na później.

Teraz jednak przyszła ta chwila, chwila prawie ostatnia. Jutro miał opuścić Londyn. Chciał w pośpiechu ułożyć sobie jakąś formułę, najbardziej pewny siebie ogólnik, który by za niego dokonał niewdzięcznej roli perswazji, ostrożnej perswazji. Ale zamiast szukać tych niełatwych słów, zastanowił się, ile Zygmunt ma teraz lat. Ze wstydem złapał się na tym, że nie wie. Jeśli w 39 miał dwadzieścia, to teraz powinien mieć trzydzieści jeden. To by się zgadzało, on sam miał teraz pięćdziesiąt siedem.

Te obliczenia nie dodały mu pewności siebie. Miał rozmawiać z dorosłym mężczyzną, a wciąż widział przed sobą chłopca o słabym podbródku i źle układających się nad czołem włosach. Argumenty, których użyłby w stosunku do tego

wyrostka, byłyby proste. Jak miał rozmawiać z tym obcym, dorosłym mężczyzną, który za chwilę miał zjawić się w jego pokoju?

Przetarł zadraśnięte miejsca ałunem, nalał na dłoń wody kolońskiej i odświeżył twarz. Jeszcze raz przyjrzał się sobie krytycznie. Na pewno się postarzałem - pomyślał. - Najlepiej zobaczę to w jego oczach, nie widział mnie przeszło dziesięć lat. Już spojrzenie Magdaleny po wojennej tylko rozłące powiedziało mu o tym. Nie starzeją się tylko ci, którzy starzeją się razem z nami.

Wrócił do pokoju, wyciągnął z szafy czystą koszulę, długo wybierał krawat. Myślał, czy nie wyda się synowi prowincjonalny. Nie odczuł tego podczas obcowania ze swoimi angielskimi kolegami. Sam zresztą też nie zwrócił uwagi na to, jak byli ubrani, ale zdolność widzenia Zygmunta na pewno była innego gatunku. Zdecydował się na wiśniowy krawat do granatowego ubrania. Koszule zawsze nosił białe.

Był gotów o wpół do dwunastej. O dwunastej Zygmunt miał się zjawić u niego. Zadzwoił do syna poprzedniego dnia wieczorem. Sam czuł się zawstydzony jego zażenowaniem, że w przeddzień opuszczenia Londynu ojciec zawiadamia go o swoim przyjeździe. Trzy minuty rozmowy wypełnione były okrzykami radości i milczeniem.

Podszedł do okna i patrzył na ulicę ruchliwego, obcego miasta. Zastanowił się, czy chciałby tu mieszkać. Nie. Na pewno nie. Oczywiście nie dlatego, że mgła. W Polsce nie bywa też zbyt wiele dni słonecznych. Ale dlatego, że Polacy noszą w sobie od pokoleń podświadomą tęsknotę za wsią. A Warszawa jest nią, jest dużą wiochą, rozłożoną na nadwiślańskich pastwiskach. Trzeba mieć we krwi jakiś wielki własny spokój, żeby znieść zgiełk, bezustanny zmotoryzowany wrzask wielkiego miasta. Wieczna słowiańska rozterka wymagała ciszy. Przeniósł się myślą na ulice Saskiej Kępy, na obandażowaną jeszcze rusztowaniami Starówkę... Zastanowił się, czy Zygmunt ucieszy się, gdy mu powie, że jest odbudowana. Nie widział jej

zniszczonej. Nie zrozumie ani trudu, ani radości.

Zadzwieczał telefon. Portier donosił mu, że w hallu czekają na niego goście

— Goście? - zdziwił się.

— Tak. Pani i pan!

— Zaraz schodzę - powiedział pośpiesznie. Czuł niemiłe zdziwienie. A więc jest i ta kobieta, której fotografię pokazywał kolega Zygmunta, gdy był u nich w domu. Dlaczego przyszła razem z nim? Żeby go bronić? Czy musiał wziąć ją z sobą? Czy tak bardzo czuł się niepewny?

Pierwsze chwile powitania z synem odsunęły ją w cień. Stała, cofnięta dyskretnie, gdy tymczasem Polacy całowali się z głośnym wzruszeniem. Zobaczył ją dobrze dopiero w windzie, która wiozła ich do jego pokoju. Była to - w przeciwieństwie do jego wyobrażenia o urodzie Angielek - osóbką raczej dość drobna, przedziwnie jakoś pięknie zbudowana, nie za chuda ani za tęga, ale o kościach na tyle powleczonej sprężystymi mięśniami, aby skromny ciemny kostium, który nosiła, leżał na niej jak na wzorze manekinów. Ciemne włosy miała obcięte krótko, wystawały spod nich różowe koniuszki uszu. Owal twarzy przypominał nieco rysy Magdaleny. Miała tak samo prześlicznie sklezione czoło, wysokie policzki, zwężające się nieco w kierunku uszu. W tej małej wklęsłości gromadził się cień, rozjaśniający się przy uśmiechu.

Patrzyła na niego prosto, nie zniżając spojrzenia. Powie mi, że go kocha - pomyślał. - Powie mi to na pewno. To dzięki niej był tak dobrze odżywiony, ubrany, zdrowy, pewny siebie. Ma jej dużo do zawdzięczenia, tego nie da się zaprzeczyć. Ale nie powinna była tu przyjść. Powinna pozwolić, żeby mógł mu o niej opowiedzieć. Tylko opowiedzieć - to miało szanse większego efektu. Ale ona bała się. O, rozumiał dobrze tę małą drapieżną kobietkę. Ale mimo to, a może właśnie dlatego, że uczucia jej były jego własnymi uczuciami, postanowił zadać jej ból.

Gdy weszli i usadowili się w wygodnych fotelach, gdy

zapalili papierosy i podano im kawę, przeprosił, że będzie rozmawiał z synem po polsku. Zygmunt drgnął, ale ona nie wyraziła zdziwienia. Profesor wytłumaczył tę konieczność - bez zbytej zresztą gorliwości - nieprzetłumaczalnością pewnych spraw, które chciał poruszyć z synem, tak polskich, że trudno mówić o nich winnym języku. Zygmunt się czerwienił, ale ona powiedziała, że go rozumie, że nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej. Odsunęła się pod okno ze swym fotelem, zabierając ze stolika filiżankę z kawą.

Profesor w tej samej chwili pożałował swego kroku. Jej uczestnictwo w rozmowie ratowało go przed obowiązkiem pytań, których się bał, i konsekwencją odpowiedzi, których konieczność przeczuwał. Przy niej mogli rozmawiać o rzeczach błahych i gładkich, nie stwarzających niebezpieczeństwa potknięcia. Bez niej trzeba było mówić o najważniejszym.

— No więc co ty właściwie tutaj robisz? - spytał syna znużonym głosem.

— Hoduję kury.

— Co? - starszy pan pochylił się, nie rozumiejąc.

— Kury! - krzyknął Zygmunt. - Hoduję kury, jeśli ojciec chce koniecznie wiedzieć.

— I po cóż ci to, te kury?

— Po co? Kurza ferma to majątek! Niech ojciec zapyta kogo chce w Londynie, ile można zarobić na kurach. Betsy i ja...

Profesor mimo woli zerknął na nią, ciekaw, jak zareaguje na dźwięk swego imienia w powodzi niezrozumiałych dla niej słów. Ale siedziała w fotelu spokojnie, paląc papierosa. Patrzyła w okno na mleczną mgłę, leżącą na szybie jak zewnętrzna firanka. Czekwała bez żadnego podniecenia, aż skończy się ta rozmowa, w której nie uczestniczyła formalnie, ale którą ona przecież prowadziła od początku do końca. Wciąż była pewna, że ten polski chłopak nie potrafi zasnąć inaczej, jak wtulony w jej ciepłe uda. Kiedyś nie bał się śmierci. Ale teraz bał się życia,

— Czy to jest w końcu twoja żona? - spytał profesor.

— Prawie - bąknął syn.

— Co to znaczy „prawie”?

— Ona ma męża. Nie żyje z nim od dawna. Ale on nie chce jej dać rozwodu.

— To jej są te kury, które hodujesz?

— Jej. I cóż z tego?

- Długo tak myślisz babrać się w tym łajnie?

Zygmunt zerwał się z krzesła i począł biegać po pokoju.

Betsy patrzyła nieruchomo w okno. I tego także była pewna. Nie mogło być inaczej. Każda miłość upomina się drapieżnie o swoje. Ziemia, ludzie. Ale ona także miała pazury, choć teraz jeszcze było może za wcześnie, aby je pokazać.

- A co ja właściwie mogę innego robić?! - krzyknął Zygmunt, zatrzymując się przed ojcem.

Profesor znał własne dzieci. I Magdalena, i Zygmunt wyrzaskiwali zawsze swoje gwałtowne uczucia. Cieszyli się, jak dzicy, i - jak dzicy - przeżywali swoje klęski.

— Co ja mogę innego robić? Niczego nie umiem. Próbowałem studiować prawo, brak mi tam jeszcze jakichś egzaminów. Ale właściwie na co mi się to przyda? Ojcu to dobrze, ojciec zawsze rozpruwa polskie brzuchy i może to czynić w każdym reżimie z pełnym, uspokajającym poczuciem patriotyzmu. Każdy uleczony polski brzuch jest uleczonym polskim brzuchem, niezależnie od panowania Bieruta czy Andersa. Ale ja? Ja umiem zrzucać tylko bomby. Niech ojciec poczeka, jeśli nadejdzie czas, usłyszycie jeszcze o mnie.

— Cicho bądź, gówniarzu! - powiedział starszy pan bez zdenerwowania. Była to łagodna nagana, bardziej pełna żalu niż złości. Nie mieli sobie więcej nic do powiedzenia. Ogarnął go smutek i zniechęcenie tak głębokie, że pomyślał z radością o Betsy, której obecność mogła w każdej chwili przerwać kontynuowanie tej rozmowy. Powinien był zapytać go o wojnę, o noce nad obszarem wroga, o te dni, które przeżył w ruinach niemieckiej fabryki. Powinien był opowiedzieć mu o okupacji w Polsce, o ich losie, o przejściach Magdaleny, o jej małżeństwie. Może także o wizycie tego dziwnego człowieka, który miał być

jego przyjacielem. W listach nie wszystko przecież można było pisać. Ale i teraz jakoś nie wszystko można było mówić. Nie chciało się. Albo po prostu nie było potrzeby. Patrzył na głowę Zygmunta, którą teraz przed nim pochylił, na głowę swego dziecka, na najdroższy kształt, który kiedykolwiek czuł pod ręką. Pomyślał o żonie, o tym, że będzie musiał jej powiedzieć o swoim milczeniu, o braku odwagi. Poczuł, że obydwójce są już bardzo starzy. Kazać mu wracać? - zastanowił się z rozpaczą. I z ulgą prawie uświadomił sobie, że przecież gdyby nawet to uczynił, to syn i tak nie posłucha.

— Tatusiu! - szepnął nagle Zygmunt.

Profesor drgnął, Betsy także. Dopiero teraz zbliżało się niebezpieczeństwo.

— Ty nie możesz sobie nawet tego wyobrazić.

— Czego nie mogę sobie wyobrazić? - powoli zapytał ojciec. Zygmunt ukrył twarz w dłoniach szybkim, bardzo wstydlwym ruchem.

— Jak bardzo czasem tęskni się za wami.

— Dlaczego więc?... - spytał starszy pan ostrożnie.

- A bo ja wiem, jak tam u was jest? - wybuchnął. - Kolega wrócił jeszcze w czterdziestym siódmym roku. Przyrzekł mi, że napisze, czy warto wracać. I nie napisał ani słowa, ani słowa do dzisiejszego dnia.

Profesor odwrócił szybko wzrok, bał się, że syn spojrzy mu w oczy.

— Niełatwo jest wziąć na siebie taką odpowiedzialność - rzekł bezbarwnie - Magdalena przesiedziała się dwa miesiące. Poroniła.

— Za co ją zamknęli?

— Za szeptankę. Pod zarzutem szeptanki - poprawił się. - Niczego jej nie udowodniono.

— Co to jest szeptanka? Profesor zarumienił się.

— To uprawianie wrogiej propagandy - rzekł cicho.

— No, no, jak na żonę komunisty to zarzut nielichy.

Profesor nie podjął zaczepki. Nie chciał mówić o Piotrze. Nie lubił definiować ludzi, których nie znał do głębi.

- Więc co ojciec każe mi robić? - spytał Zygmunt z rozpaczą.

Profesor poczuł niepokój.

- Moje dziecko - zaczął jak student na egzaminie, szukając ratunku w pierwszych słowach, w pełni świadomości, że nie będzie po nich dalszego ciągu. - Moje dziecko... - powtórzył.

I wtedy Zygmunt, czując jego słabość, zaatakował:

— Musi ojciec wziąć pod uwagę, że mnie nie będzie tak łatwo przestawić się jak ojcu.

— Przestawić się? - spytał profesor.

— Dostosować się do nowych warunków, jeśli ojciec woli. Po ojcu to wszystko spłynęło jak woda. Książkę ojcu

wydali, wysyłają na zjazdy jak przed wojną. Sielanka!

Ojciec poczuł się dotknięty.

- Mój drogi, ja pracuję dla ludzi. Mówię: dla ludzi, bo na pewno raziłoby cię, gdybym powiedział: dla ludzkości. Zagadnienia ustrojowe są formą organizacyjną życia. Człowiek jest zawsze ten sam. Powinieneś się tylko cieszyć, że i oni uznają moje zasługi.

Zygmunt zwiesił głowę, usta mu drżały.

—Nie cieszę się.

—Dlaczego?

—Bo to wam mydli oczy, uspokaja, usypia. Godzicie się z tą roślinnością, na którą wam pozwalają, zaniechaliście jakiegokolwiek walki.

Profesor dotknął powiek, czuł się znużony.

—Ty wiesz, że mnie interesuje tylko jedna walka: walka ze śmiercią.

—Ojciec jest właściwie bardzo wygodny - powiedział syn cierpko.

—Tak myślisz? - zapytał cicho stary pan. Betsy poruszyła się niespokojnie.

—Tak, masz rację, całe moje życie było bardzo wygodne.

—Przepraszam.

- Ale jeśli chcesz wiedzieć, to naprawdę dopiero teraz mogę sobie trochę odpocząć.

Syn spojrział na niego z niedowierzaniem. Na ustach profesora błąkał się żartobliwy uśmiech.

- Dopiero oni uwolnili mnie od Stawówki. Już za to samo powinienem być całym sercem po stronie reżimu.

Zygmunt roześmiał się hałaśliwie, rad, że ojciec znalazł sposób złagodzenia tonu rozmowy. Reszty dokonała Betsy. Wstała z fotela i podeszła do stołu. Postawiła pustą filiżankę po kawie. Jej spojrzenie ze zbyt akcentowanym taktem omijało twarze ojca i syna. Pragnęła wytrwać w swej roli, choć czuła, że cierpliwość zaczyna ją opuszczać. Nagle dostrzegła prawie laszący się uśmiech starszego pana. Przyjęła go - była ciekawa,

co teraz nastąpi. Nie przewidziała takiego obrotu sprawy, to była niespodzianka, a Betsy lubiła niespodzianki.

—Pani pewnie się nudzi - zmartwił się profesor z czułą prawie intonacją głosu. - Jesteśmy obydwaj złymi towarzyszami pięknych pań.

—Przynajmniej teraz wiem, po kim on to odziedziczył - powiedziała wyciągając rękę po nowego papierosa. Profesor zerwał się i podał jej ognia. Przelotnie spojrział przy tym w jej oczy, bał się, by go nie odgadła. Pani Townfield miała jednak naprawdę wiele taktu.

—Nie nudziłam się ani trochę - powiedziała uprzejmie. - Wasz język jest tak ciekawy w brzmieniu, że słucham go zawsze z przyjemnością, choć - zawahała się - myślę, że on także oddala was od Europy.

- Dlaczego także? - podchwycił Zygmunt. A profesor przerwał mu:

- To są sprawy w gruncie rzeczy zupełnie bez znaczenia. Ludzie nie mogą się porozumieć również przy pomocy słów.

Pani Townfield roześmiała się. Nie był pewien, czy jego intencji nie przyjęła tylko za żart. Szybko zaproponował zjedzenie śniadania na mieście; chciał otoczyć się ludźmi i przedmiotami, które uniemożliwiają powrót do poprzedniego tematu, zanim nie zbierze myśli i nie ułoży ich w wyposażone jak najmniej odpowiedzialnością sformułowania.

Betsy przyjęła propozycję z radością. Powiedziała, że czuje się tu gospodynią i uważa za swój obowiązek pokazanie profesorowi najlepszej w tej chwili w Londynie restauracji. Wymieniła nazwę lokalu i przelotnie spojrziała na Zygmunta. Sądziła, że się ucieszy. Lubił, gdy tam chodzili. Ale nie patrzył na nią, nie patrzył w ogóle na nikogo ani na nic. Poczła strach przed pustym spojrzeniem jego oczu. Zaczęła szybko zbierać swoje drobiazgi, cygarniczkę, torebkę, rękawiczki, nie przestając polecać profesorowi dań, z których słynęła restauracja.

Wynieśli się z pokoju w pośpiechu, jakby groziło im tu nieszczęście, zawalenie się sufitu lub inna równie groźna

katastrofa.

Profesor na ulicy odzyskał humor. Pani Townfield okazała się wspaniałą towarzyszką. Orientowała się nie tylko, jakie restauracje można polecić bez obawy niemiłej niespodzianki, ale znała również smak swego miasta. Wiedziała, że niektóre ulice podaje się w pełnym świetle dnia, a inne należy podsunąć gościowi o zmroku, że małe bary nad Tamizą można strawić tylko we mgle, we własnej mgle - londyńska była nawet na najbardziej reprezentacyjnych placach. Znała właściwą porę rzeczy i ludzi, każda godzina z nią była odkryciem. Można było jej zaufać i zrzec się ambicji własnego myślenia..

Około północy wylądowali w Roseshade. Profesor słabo protestował przeciwko tej wycieczce, pani Townfield pałała jednak chęcią pokazania mu swojej posiadłości. Niestety, o tej godzinie niewiele dało się zobaczyć. Postanowiono więc czekać do świtu, choć profesor chętnie przyłożyłby głowę do jakiejś poduszki. Młodość jest bezlitosna - myślał, paląc papierosa w gabinecie, podczas gdy Betsy przy pomocy niezupełnie rozbudzonej pokojówki nakrywała w jadalni stół do spóźnionej kolacji.

Zygmunt opowiadał mu, ile zarabiają na jajach. Był podniecony alkoholem, jego głos brzmiał nienaturalnie głośno. Ojciec wolałby, aby te informacje nie brzmiały tak donośnie. W nim wypity alkohol rozlewał się falą łagodnego spokoju. Ach, trzy, cztery godziny snu! - myślał ze smutkiem. - Dlaczego oni nie dadzą mi się przespać? Czuł, że nic na świecie nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż położenie się do własnego łóżka w domu na Saskiej Kępie.

Zygmunt dowodził, że kury karmione racjonalnie mogą prawie przez cały rok nieść się codziennie.

—Oczywiście nie wtedy, gdy czują się matkami - bąknął profesor.

—Matkami? - Zygmunt przerwał swój fachowy wywód.

—Kiedy przesiadują na gnieździe i chcą mieć kurczęta. U nas na wsi wybija im się z głowy te ciągoty macierzyńskie

sposobem bardzo drastycznym. Ściąga się biedną kurę z gniazda i moczy ją w wodzie. Barbarzyństwo!

—Tutaj kurczęta przychodzą na świat w sztucznej wylęgarni - powiedział Zygmunt z godnością.

Za ten ton profesor miałby ochotę dać mu po karku. Zamilkł mściwie. Czuł potrzebę bronienia swoich wspomnień.

- Przyniosę ojcu kawy - powiedział Zygmunt. Wydało mu się, że ojciec zasypia.

Nie zaoponował. Myślał, że kawa naprawdę dobrze mu zrobi. Poza tym wciąż bał się zostawać z synem sam na sam. Wprawdzie Zygmunt o nic już nie pytał, ale on sam czuł się wciąż obowiązany do odpowiedzi.

Kawę przyniosła Betsy.

Miała teraz na sobie jakąś jasną wieczorową suknię ze śmiałym dekoltem, ukazującym piękne ramiona i tę, działającą na wszystkich mężczyzn, pionową linijkę między piersiami. Chciała olśnić swego nieformalnego teścia i profesor potwierdził skwapliwym spojrzeniem, że się jej to udało.

Sen odszedł go, zanim dotknął ustami brzegu filiżanki. Zygmunt, uśmiechnięty niedbale, spoglądał na ojca spod oka. Obydwaj znali się na kobietach. Betsy posiadała te zalety, które starszy pan uważał za nieodzowne. Przestał myśleć o łóżku na Saskiej JK.ępie. Boże, ileż lat będę miał tylko do spania - pomyślał.

Stół przedstawiał się imponująco. Profesor poczuł miły głód. W Londynie pod te wszystkie whisky i cocktaile jedli rzeczywiście niewiele. Po zakąskach, których gatunek i różnorodność obudziły w profesorze podejrzenie, że Betsy wzięła go za smakosza, miały nastąpić kurczęta. Piekły się już na dole w elektrycznym piecyku i choć wiele zamkniętych drzwi broniło wstępu kuchennym woniom, podniecający zapach docierał aż do jadalni.

Zygmunt nastawił adapter. Pokazał przedtem ojcu mechanizm zmieniający płyty. Poznał po jego oczach, że nie widział nic takiego. Ale jeszcze było mu mało; zapytał, czy w

Polsce są podobne rzeczy. Profesora ogarnął smutny wstyd, wciąż jednak nie za Polskę, tylko za syna. Prawie z dumą powiedział, że nie. Betsy oświadczyła, że adapter powędruje z profesorem do Warszawy. Starszy pan bronił się stanowczo. Potem nastąpił inny atak. Chodziło o jakieś fatalaszki kobiece: futro, obuwie i suknie dla żony czy dla Magdaleny.

—Nie, nie - upierał się. - One niczego nie potrzebują.

—Co ojciec opowiada? - przerwał mu Zygmunt. - Niczego nie potrzebują! Dobrze sobie. Ten patriotyzm niech ojciec zachowa na jakieś oficjalne przemówienie. Na pewno po powrocie będą ojcu patrzyły na ręce. Wiem, jak Magdalena lubi kiecki.

—Nie będzie mogła ich włożyć.

—Dlaczego? Ma przecież podobną figurę jak Betsy. Nie miała chyba z czego się roztyć.

—Zresztą jeszcze jutro przed pana wyjazdem możemy kupić nowe rzeczy w Londynie - wmieszała się pani Townfield.

—Nie, nie, to nie dlatego.

—Dlaczego więc, u Boga Ojca? - zawołał Zygmunt.

Czy miał powiedzieć im, że Magdalena musi ubierać się według norm obowiązujących w jej nowym środowisku? Czy byliby w stanie to zrozumieć? Jak im opisać wygląd i życie ludzi, którzy rządzą Polską, a to rządzenie pociąga za sobą nie tylko trud, ale i pozę obyczajową, chwilami heroiczną, chwilami śmieszna? Nie, to wszystko nie dało się zmieścić w krótkiej odpowiedzi, trzeba było na to albo lapidarnej złośliwości, albo kłamstwa. Nie mógł zdecydować się na dokonanie wyboru.

Pani Townfield przyszła mu z pomocą. Chciała, żeby jej gość miał możliwość poznania wszystkich jej zalet. I tej także: intuicji w likwidowaniu kłopotliwych sytuacji. Wyciągnęła przez stół nagie ramię z kieliszkiem.

- O tym wszystkim możemy porozmawiać jeszcze jutro - powiedziała. - Dziś chcę się trochę napić, zjeść coś dobrego, śmiać się i tańczyć.

Zygmunt zerwał się z krzesła, gotów spełnić jej ostatnie

życzenie. Adapter prezentował teraz sambę w wykonaniu jakiejś amerykańskiej orkiestry.

- Z tobą? - roześmiała się Betsy. Miała już trochę w czubie. - Ja dzisiaj tańczę tylko z papą.

Nazwała go tak po raz pierwszy. Profesor nie zdziwił się i uznał, że to ładnie brzmi. Wstał i z przyjemnością wziął ją w ramiona. Oczywiście nie umiał tańczyć tej jakiejś piekielnej melodii, ale ona była cierpliwa. Za to w tangu zabłysnął całym kunsztem nabytym przed trzydziestu pięciu laty na balach uniwersyteckich. Zygmunt, podśmiewający się z niego przy sambie, umilkł teraz. Profesora drażniła niepewność tego milczenia. Czyżby był aż tak żałośnie śmieszny? Raz ukradkiem z bardzo bliskiej odległości spojrzał w twarz Betsy, ale jej wyraz nie potwierdził jego obaw. Tańczyła zamyślona, poddana jego rytmowi, związana każdym krokiem, który jej narzucał.

— Teraz jest dobrze - powiedziała, przyłapawszy jego spojrzenie. Wiedziała, że ten starszy pan się jej boi. Nie, Zygmunt nie w każdej sytuacji był brany pod uwagę. W tej chwili na przykład bał się jej tylko ze względu na siebie. Podejrzewał, że trzymając ją w objęciu poczuje między nimi przepaść dzielącą dwa pokolenia. Ciężej oparła nagie ramię o jego plecy. Dłonią, rozchylonymi palcami, dotykała lekko karku mężczyzny. Chciała, żeby się nim czuł przy niej. Nic tak nie zjednuje sympatii, jak budzenie w partnerze świadomości jego płci. Starszy pan nie był w gruncie rzeczy jeszcze starszym panem. Betsy patrzyła z odległości rzęs na mały wycinek jego skóry między uchem a kołnierzykiem koszuli, skóry napiętej na twardym mięśniu, soczystej i gładkiej. Zygmunt odziedziczył po nim ten piękny słowiański kark, mocny jak pień sosny. Betsy ceniła sobie bardzo ten szczegół urody męskiej. Przypomniała sobie teraz wszystkich chłopców z dywizjonu lotniczego, którzy odwiedzali ją podczas wojny. I tego jednego także. Tego, którego opłakiwała tak długo i tak łatwo zapomniała. Uśmiechnęła się do Zygmunta, ale nie zauważył tego, zajęty przyrządzaniem cocktailu.

— Musicie tego spróbować! - zawołał, krążąc za nimi z

dwiema czarkami w dłoniach.

Pili nie przerywając tańca, wracali do stołu, aby odpocząć i przełknąć jakiś kęs, śmiali się, opowiadali coś krzykliwie i znów tańczyli tango, wyszukane przez Zygmunta wśród powodzi nowoczesnych szlagierów.

O którejś godzinie nad ranem, gdy koguty w kurzej fermie pani Townfield piały jak najęte, choć na szybach leżała jeszcze gęsta ciemność, profesor przypomniał sobie czekający go wyjazd, podróż powrotną, o której wiedział, że nie zapewnił sobie na nią spokoju, tak jak nieraz w braku czasu lub pieniędzy nie zapewnił sypialnego miejsca. Czuł się tak, jakby miał stać przez całą drogę, stać na korytarzu w niewygodnej pozie, w tłoku i upale.

I nagle znalazł rozwiązanie na wszystkie swoje udręki, rozwiązanie tak proste, że nie mógł pohamować uśmiechu. Betsy patrzyła na niego mile zaciekawiona. Tańczyli, a Zygmunt podśpiewywał rozparty w fotelu.

Profesor pozwolił sobie na delikatny uścisk.

— Jesteś tak urocza - powiedział do pani Townfield. - Tak urocza! Nie mogłabyś z Zygmuntem mieszkać w Polsce?

— Ja w Polsce? - zdziwiła się Betsy tak szczerze, że profesor poczuł przejmujący smutek.

Uwolnił ją z objęcia.

- Przepraszam - powiedział.

Zygmunt poderwał się z fotela i otoczył ją ramieniem. Tańczyli dalej, a ojciec chwiejąc się nieco wyszedł do hallu. Rozejrzał się, trzasnął dla zmylenia pogoni drzwiami toalety, a potem zdjął z wieszaka swój płaszcz i kapelusz i cicho, jak złodziej, wysunął się na dwór.

Na wschodzie rysowało się czerwone pasmo brzasku. Profesor ruszył szparko wyżwirowaną aleją, zastanawiając się, jak daleko zdąży odejść, zanim tamci zorientują się, że ich opuścił. Wyszedł wreszcie na asfaltową szosę, która - jak sobie przypominał - wiodła na dworzec. Skręcił na ścieżkę ciągnącą się wzdłuż niej poza pasmem wysokich krzaków, czuł się za nimi bezpieczny. Ilekroć na drodze ukazywały się światła

samochodowych reflektorów, wgarniał się w jakiś krzak, w zieloną kryjówkę liści. Ostre gałęzie raniły mu twarz. Odchyłał je nieco i patrzył na szosę. Jechały ciężarówki z mlekiem, z jarzynami, ze skrzynkami, w których mogły być również jaja z Roseshade.

Na drugim czy trzecim kilometrze minęło go sportowe auto pani Townfield. Zygmunt prowadził, a ona siedziała przy nim, owinięta szalem, pochylona nieco naprzód, niespokojna. Auto jechało wolno na pełnych światłach. Profesor skulił się pod swoim krzaczkiem. Gdy przejechali, wyszedł na drogę i zatrzymał pierwszą ciężarówkę. Jechała do Londynu. Gramoląc się na wysoki stopień, promieniał złośliwą uciechą. Wyobrażał sobie twarze Zygmunta i Betsy, rozpytujących o niego na dworcu.

Kierowca nie wyraził żadnego zdziwienia. Sprawdziwszy, czy drzwi zostały dobrze zatrzasknięte, przestał się zajmować swoim towarzyszem, tak jakby co dnia zdarzało mu się przewozić nad ranem do Londynu siwowłosych dżentelmenów mówiących obcym akcentem.

Profesor wdzięczny mu był za milczenie. Znowu zapiekła go tęsknota do własnego łóżka na Saskiej Kępie, do Polski bez luksusowych adapterów i wolnoobrotowych płyt, do ludzi w wytartych marynarkach, do własnej, ojczystej, ambitnej nędzy. Pomyślał, że zaraz po powrocie zaprosi Piotra, aby przyjechał z Magdaleną do domu. To go trochę uspokoiło. Odetchnął. Przymknął oczy i mimo warkotu ciężarówki zdrzemnął się na jakąś godzinę.

Gdy się ocknął, szarzało.

Jechali teraz wolniej, posuwając się w długim szeregu innych aut, dowożących o świcie żywność do stolicy. Po obydwu stronach drogi ciągnęły się już domy, szare, pogrążone jeszcze we śnie ich mieszkańców.

Profesor przeciągnął się. Pomyślał z radością, że za chwilę zanurzy się w Londyn.

Piotr otworzył obite skórą drzwi.

Siedzący za biurkiem człowiek czyścił szklaną cygarniczkę. Podniósł na chwilę wzrok.

— Usiądźcie, towarzyszu Kwaśniewski - powiedział wskazując mu krzesło.

— Mam zamówioną rozmowę ze Sztumem - rzekł Piotr z wahaniem.

— Nie szkodzi - mruknął tamten. - Zadzwońcie drugi raz.

Piotr dopiero teraz zauważył, że człowiek, którego znał od kilku lat, jakoś dziwnie unika jego wzroku.

— O co chodzi? - zapytał szybko.

— Usiądźcie! - powtórzył znów gospodarz. Podsunął Piotrowi papierosy. - Nie zapalicie?

— Dziękuję, skończyłem przed chwilą. - Piotr poczuł zniecierpliwienie. Znowu pomyślał o swojej rozmowie ze Sztumem, miał kupę roboty, a wizyta w kontroli partyjnej nie zapowiadała się na krótką. - Co macie do mnie? - rzekł prawie niegrzecznie.

— Dajcie spokój! - gospodarz powoli zapalał papierosa. - Co wam tak spieszno? Sztum nie zajac, nie ucieknie.

— Ach, to nie tylko o Sztum chodzi - przerwał mu Piotr. - W ogóle mam masę pilnych spraw...

— Poczekają. Muszą poczekać. Są inne rzeczy, ważniejsze...

— Ważniejsze? - Piotr przesunął językiem po zaschniętych wargach. Poczuł w palcach niemiły chłód. Co mogło być ważniejszego od roboty. Może znowu coś z Magdaleną? - Ważniejsze? - powtórzył i usłyszał ze zdumieniem, że głos ma zachrypnięty.

— Towarzyszu Kwaśniewski! - siedzący naprzeciwko niego człowiek przechylił się przez biurko. Nie uciekał już teraz ze spojrzeniem, i Piotr widział dobrze jego szare oczy zasmucone szczerą troską. - Znamy się kawałek czasu, to obowiązuję. Powiedzcie mi prawdę: kto to jest ten Francuz?

- Jaki Francuz? - zapytał Piotr ze zdumieniem.

Gospodarz cofnął się na krzesło i patrzył na niego w milczeniu przez długą chwilę.

— Pan Assement - powiedział dobitnie, a gdy Piotr wciąż spoglądał na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma, dorzucił: - Pan Gaston Assement.

— A, Gaston! - zawołał Piotr prawie z ulgą, ale zaraz umilkł, bo uświadomił sobie, skąd mogły tu dotrzeć wieści o Gastonie. Niepokój o Magdalенę odezwał się znów ze zdwojoną siłą. - Dlaczego pytacie o niego? - rzekł cicho.

— Kto to jest?

— Raczej kto to był - znałem go podczas wojny.

— Gdzie?

— W Niemczech. Byliśmy razem na robotach w Bawarii.

— Przyjaźniliście się?

Piotr zawahał się. Dawne uczucie zazdrości o Magdalенę dało znać o sobie. Ale i most, most także był między nimi.

- Chyba tak - odrzekł wolno. - Przyjaźniliśmy się. - I powtórzył: - Dlaczego pytacie o niego?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Towarzysz z kontroli, wciąż przechylony przez biurko, nie przestawał pytać.

— Wyszadziście razem most?

— Tak.

— Tylko we dwóch?

— Tak.

— I tak wam to uszło?

— Tylko mnie - rzekł Piotr spuszczać głowę. - Ja uciekłem..

— A tamten?

— Dostał się w ręce gestapo. Moja żona tu - dodał po chwili, ale nie zapytano go o Magdalенę.

— I co dalej?

— Nie wiem, co dalej - powiedział, czując dziwne zmęczenie. - Przypuszczam, że nie żyje.

Towarzysz z kontroli cofnął się. Patrzył długo na swego

papierosa, a potem podniósł głowę i rzekł bardziej stwierdzając fakt niż stawiając pytanie:

- Tak przypuszczacie?

Piotr zobaczył prawie przed sobą chłopięcą postać Gastona, gdy postępując przed eskortującym go gestapowcem opuszczał o świcie żandarmerię w Edelheim. Opowiadała mu o tym Magdalena, powtarzając relację Hochmeierki, która stojąc na progu swego hotelu widziała tę scenę. Gaston był zбитy i poraniony, ale niósł pod pachą zawiniątko z bielizną, co mogło stwarzać nadzieję, że odsyłają go do obozu. Nigdy jednak” nie dał znaku życia o sobie. Ale i on także go nie szukał...

- Tak przypuszczacie - powtórzył człowiek za biurkiem.

Piotr patrzył na niego nie widzącymi oczyma. Wciąż miał przed sobą skurczoną postać Gastona, gdy z małym zawiniątkiem pod pachą przemykał pod eskortą pustymi o tej porze dnia ulicami niemieckiego miasta. Podniósł zapewne do góry kołnierz od munduru, co zwykł czynić zawsze, gdy było mu zimno lub gdy czuł się bezdomny i pokonany...

- Towarzyszu Kwaśniewski - odezwał się gospodarz. Gasił papierosa w popielniczce. - To znaczy, że nie widzieliście tego człowieka od tamtego czasu?

— Nie - rzekł Piotr, budząc się z zamyślenia. - Przecież jest we Francji - Więc wiecie, że żyje?

— Nie, nie wiem.

— Dlaczego więc powiedzieliście, że jest we Francji?

— Gdyby żył, byłby we Francji. Jest Francuzem.

— Przecież mógłby być też poza granicami swego kraju. Na przykład w Polsce. Nie przypuszczacie takiej ewentualności?

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— No tak - gospodarz zabębnił palcami po biurku. - To właściwie byłoby wszystko. Dziękuję wam. Dogadaliśmy się. - Piotr patrzył na niego nieruchomo. - Dogadaliśmy się - powtórzył. - To byłoby naprawdę już wszystko. Dziękuję wam, towarzyszu Kwaśniewski.

Piotr wyszedł na korytarz. Na schodach spotkał Bronkę. -

Gdzie wy się podziewacie? - zapytała zniecierpliwiona. - Sekretarz was szuka. - Mnie?,

- Tak. Chce, żebyście zagaili jutrzejszą naradę. Da wam wskazówki. - Uśmiechnęła się. - Bardzo się cieszę.

Spojrzał w jej pogodne oczy.

— Z czego?

— Z tego, że będziecie mówić. Wy to najlepiej zrobicie, wiem o tym. Gdzie byliście tak długo? - spytała nagle. - W waszym pokoju telefon dzwonił jak oszalały.

— W kontroli.

Przystanęła...

- O co im chodzi? - zapytała po długiej chwili. Piotr machnął ręką.

- Ach, o jakieś głupstwa. Szkoda, że nie przyjęliście tego telefonu. Zamówiłem Sztum.

XVIII

- Babciu! - mówiła Magdalena. - Niechże babcia spojrzy na moje ręce. Przecież nie są wcale zniszczone. - Siedziała na małym stołeczku przed fotelem babki i opierając się o jej kolana pokazywała swoje dłonie o paznokciach starannie polakierowanych na tę warszawską wizytę.

Starsza pani przyglądała się im przez szkła.

— Od czasu do czasu Piotr pomaga mi w zmywaniu. - Niewinne kłamstewko nie znalazło jednak aprobaty.

— Ja bym na twoim miejscu mimo wszystko nie robiła z mężczyzny baby. Niech on będzie sobie nawet partyjny, ale zawsze mąż.

— No, tak często to go znowu do tej roboty nie zaganiam. - Magdalena próbowała się wycofać.

Babka przyglądała się jej „uważnie. Zawsze pod tym spojrzeniem traciła przytomność.

— Piotr zresztą sam rozumie, że skoro pracujemy obydwoje zawodowo, prowadzenie domu nie może obciążać tylko mnie. Musi cenić mnie jako równorzędnego partnera. Mam już jakieś stanowisko...

— Moja droga - przerwała jej babka. - Nawet kobietom tak znakomitym, jak Kleopatra i George Sand, potrzebna była świadomość, że mężczyźni, którzy z nimi żyją, widzą w nich tylko zwykłe kobiety. Daruj, ale zastrzeżyłabym się z rozpaczy, gdybym miała choć cień podejrzenia, że jakiś mężczyzna pragnie inspektora „kao”, którym jestem, a nie mnie, gołej, bosej kobiety, bez stanowiska, bez miesięcznej pensji, bez tego, co „reprezentuję”. Kobieta musi reprezentować tylko płęć, jeśli już nie chcemy nazwać tego prościej.

Magdalena mrugała powiekami.

— Nie jestem pewna, czy Piotrowi w gruncie rzeczy na tym wszystkim tak bardzo zależy - szepnęła pokornie.

— Mój Boże - westchnęła babka - wciąż jesteś tak strasznie głupia! O czym ten twój Piotr w ogóle z tobą

rozmawia?

— O czymś tam jednak ze mną od czasu do czasu mówi -
Magdalena zaczęła odzyskiwać kontenans.

— Chociaż?... - babka nie słuchała jej. - Mężczyźni lubią
głupie kobiety. Ale tylko dopóki są młode. Strzeż się,
Magdaleno! Kobiętę po trzydziestce obowiązuje coś więcej niż
zgrabne wskakiwanie do łóżka.

— Na tapczan, babciu, na tapczan! - Magdalena
przyswoiła sobie wreszcie ton babki. - Rozumuje babcia tak
współcześnie, że i realia tych wywodów powinny być
uwspółcześnione.

— Łóżko jest tylko przerośnię, ty wiesz dobrze, że łóżko
jest tylko przerośnię - wyjaśniła z godnością babka.

— Poza tym nie mam jeszcze trzydziestu lat. Nie
rozumiem, dlaczego babcia mnie postarza.

— Wiedziałam, że tylko to do ciebie dotrze z tego, co powiedziałam. W gruncie rzeczy jesteś małą mieszczką, niczym więcej.

— Babci chodzi o to, że nie dorosłam do proletariatu czy do arystokracji?

Babka uśmiechnęła się kącikiem ust.

— Pierwsza ewentualność nie byłaby dla babci zmartwieniem, druga nie jest zmartwieniem dla mnie.

— No, brawo! Brawo! Co dalej? - Starsza pani przechyliła się na oparcie fotela. Zapaliła papierosa. Mrużąc oczy przed dymem, patrzyła na Magdalenę.

— Jestem przekonana, że babcia mówi do mnie tym tonem tylko dlatego, że jestem żoną Piotra. Przed wojną grywano w teatrach sztuki z tak zwanych wyższych sfer. Kubek w kubek to samo! Czy może mi babcia powiedzieć, co na przykład dzieje się z mamą? Czy mama kiedykolwiek zachowywała się w ten sposób? Przed wojną lubiła sobie pójść na rynek, potargować się z babami o masło i jaja, sama nieraz pracowała w ogrodzie, prała swoją bieliznę. A teraz? Teraz mama obnosi się wszędzie ze swoim drzewem genealogicznym. Zrobiła sobie jakiś szyld z męczeństwa, którego nigdy nie doznawała. A babcia wie, że gdyby nie klinika ojca, Stawówkę Żydzi dawno zabraliby na długi. Nie trzeba było do tego wcale bolszewików.

— Milcz! - powiedziała babka bez gniewu.

— Babcia mi nagadała tyle niesłusznych impertynencji, że mam chyba prawo odpowiedzieć na nie prawdziwymi argumentami. Babcia zapewne pamięta, że ojciec - żartem oczywiście - preliminował zawsze pewną ilość ślepych kiszek na Stawówkę. Od dawna więc już weszliście w jakiś stosunek współzależności z proletariuszami.

— Myślisz o proletariackich ślepych kiszkach?

— Nie, cóż znowu? W klinice ojca nie wycinało się ślepych kiszek byle komu. Myślę o ręce ojca, która dokonywała tych operacji.

— Brniesz trochę za daleko, moja mała. Twój ojciec nie

pochodził wprawdzie z naszej sfery i jego ojciec był tylko rządcą, ale posiadał wyższe wykształcenie rolnicze i gdy jeździł do Warszawy, na pewno wybierał sobie lepszego szewca niż Suchanówka na ulicy Browarnej.

— Suchanówka już nie żyje, babciu. Przynajmniej to powinno wyłączyć go z tej rozmowy. Żałuję, że ci o nim opowiedziałam.

— Nie bądź znów taka subtelna - starsza pani wzruszyła nieznacznie ramionami. - Twój dziadek Alfred też nie żyje, a nie pomijam go w dość dosadnych wspomnieniach.

— No, cóż - wobec tego babcia zgadza się jota w jotę z tymi, którzy układali ośmiostronicówkę.

— Co takiego?

— „Ankietę” personalną, jeśli babci łatwiej to zrozumieć. Tam jest właśnie takie określenie: „inteligencja pracująca” - coś lepszego od kapitalistów i obszarników, ale coś znacznie gorszego od prawdziwych proletariuszy. To chyba babcia miała na myśli?

— Co ty pleciesz?

— Między mną a Piotrem jest więc tylko ta różnica, że ja jestem inteligencją pracującą już w trzecim pokoleniu, a on jest tak zwaną inteligencją z pierwszej ręki.

— To nawet ładnie brzmi - powiedziała babka. Patrzyła na nią z uśmiechem. - Gdzież jest ten twój inteligent z pierwszej ręki?

— Przecież babcia wie, że poszedł do KC.

— Nie mógł przynajmniej dziś zrezygnować z tej wizyty?

— Jakże mógł zrezygnować? - obruszyła się Magdalena. - Przyjechał służbowo. Babcia wie, że Piotr jest obowiązkowy. A w ogóle jest mi przykro, że babcia już znalazła coś niestosownego w jego zachowaniu.

Babka wyciągnęła rękę i potargała jej włosy.

— Czego ty ode mnie chcesz, mała idiotko? Przecież sprzeczasz się z tobą od godziny tylko po to, żeby się przekonać, czy go jeszcze kochasz. Mam dla was wielką niespodziankę.

—Niespodziankę? - Magdalena uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Chcę was obydwójce zaprosić na miesiąc do Zakopanego. Postanowiłam sprzedać to i owo i jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć góry. Myślałam, że może zechcielibyście mi towarzyszyć?

Magdalena zerwała się ze swego stołka i skoczyła całować babkę.

— Zawsze sądziłam, że jesteś cudowna! Zakopane! Boże, przecież ja prawie wcale nie pamiętam Zakopanego! Kiedy pojedziemy?

— Oczywiście na wiosnę. Koniec lutego - początek marca. Przynajmniej za moich czasów o tej porze jeździło się do Zakopanego.

— Musiałabym mieć spodnie i buty - zmartwiła się Magdalena.

— O tym także się pomyśli. Trzeba cię w ogóle trochę ubrać. Kiedy ty masz zamiar podobać się ludziom, po pięćdziesiątce?

Magdalena spuściła głowę.

— A teraz się nie podobam?

— No, no, tylko mnie nie kokietuj. Zostaw sobie te sztuczki na kogo innego. Kobieta musi umieć się oprawić. Książki też sprzedają w okładkach. Nigdy tego nie zrozumiesz?

— Przecież rozumiem to bardzo dobrze - szepnęła Magdalena z żalem.

— No więc co? Pieniądze. No niby tak - pieniądze są na to potrzebne. A nie możesz namówić Piotra, żeby wrócił do swego zawodu? Jako chemik mógłby dobrze zarabiać. Mój Boże, nawet gdyby otworzył pralnię chemiczną albo wytwórnię kosmetyków.

— Ba! - mruknęła Magdalena.

— Nie zgodzi się?

- Przypuszczam, że nie.

— Próbowalaś już kiedy rozmawiać z nim na ten temat?

— Bardzo dawno, zaraz na początku. - Na początku, a teraz - to zasadnicza różnica. Czy ty myślisz, że im się oczy też nie otwierają?

— Otwierają, tylko chyba od razu nie aż na pralnię chemiczną.

— Tobie, widzę, to też nie odpowiada.

— Sama babcia nieraz mówiła, że jak spaść, to z dobrego konia. Aktywista partyjny to jest jednak coś! To ma przynajmniej jakiś charakter. A pralnia chemiczna - wstyd by się było przyznać.

— Ech, dobraliście się jak w korcu maku - powiedziała babka z udanym niezadowoleniem.

U drzwi zadźwięczał dzwonek.

— Piotr! - zawołała Magdalena.

— I wciąż wybiegasz mu naprzeciw? - uśmiechnęła się starsza pani w ślad za nią.

Był to istotnie Piotr. Tak, witając go wciąż miała uczucie, że wraca z dalekiej podróży, że nie było go bardzo długo. Tym razem jednak powitaniu towarzyszył niepokój. Nie była pewna, jak Piotr przyjmie propozycję babki. Czy zgodzi się, aby finansowała ich pobyt w górach. Wciąż nie odstępował od swych zasad i poza drobiazgami nie pozwalał jej przyjmować niczego od rodziny. Weszła za nim do łazienki i towarzysząc mu przy myciu rąk, opowiedziała o projektowanym spędzeniu urlopu. Nie kryła entuzjazmu dla zaproszenia babki, aby tym trudniej było mu odmówić.

Piotr jednak zgodził się od razu. Dostrzegła nawet błysk radości, jaki na chwilę rozjaśnił jego przygaszone spojrzenie. zaproponował tylko, aby babkę zaprosić na lato do Sopotu - rewanż był mu jednak potrzebny.

Magdalena pogłaskała go po plecach. Potulność Piotra wydała się jej żalosa. Nie potrzebowała zwierzeń, aby zrozumieć, skąd pochodzi ten jego nastrój. Nie myliła się prawie nigdy. Cztery lata małżeństwa wyrobiły w niej intuicję właściwą

dobrym żonom, które już po krokach na schodach poznają humor męża.

- Babciu, Piotr się zgadza! - zawołała, wchodząc do pokoju. Dopiero zdziwione spojrzenie starszej pani uprzytomniło jej, że przedtem nie uzależniała przyjęcia zaproszenia od zgody Piotra. Zaczerwieniła się. Babka udała, że tego nie widzi.

Obiad zaczął się pogodnie.

Profesor przyniósł bilety do opery na „Straszny dwór”. Indyk, którego starsza pani druga osobiście doglądała od rana w kuchni, udał się znakomicie. Z baru w kredensie wyciągnięto butelkę włoskiego wermutu. Magdalena promieniała, patrząc, jak Piotr „przyjmuje się” w jej rodzinie. Nawet matka, która w stosunku do niego tajała najwolniej, nie mogła mu mieć nic do zarzucenia. Ciemne ubranie, które dzięki różnym sztuczkom gospodarskim Magdaleny udało się wreszcie przepchnąć przez budżet domowy, leżało na nim doskonale. Szył je dobry krawiec. Magdalena wiedziała, że na krawca nie należy żałować pieniędzy. Przyszło jej na myśl, że może to ubranie wywołało złe wrażenie w KC. Towarzysze z „terenu” powinni wyglądać inaczej. Wciąż widziała w spojrzeniu Piotra jakąś oddalającą go nieobecność: rozmawiał, śmiał się, odpowiadał dowcipnie na zaczepki babki, a cień w oczach nie rozpogadzał się ani na chwilę. Musiało go coś spotkać. Ogarnął ją gniew lwicy, której ktoś skrzywdził małe. Poczula prawie, jak skóra pręży się jej na grzbiecie, a dłonie złożone grzecznie po obydwu stronach talerza kurczą się powoli, sunąc paznokciami po obrusie. Och, dosyć tego! - pomyślała. - Dosyć tej udręki, tej wyczulonej strachem uwagi na to, co ktoś powie, jak się skrzywi, czy nie dostrzeże czegoś, czego riie powinien był dostrzec.

— Pralnia chemiczna - powiedziała naraz głośno. Wszyscy umilkli i patrzyli na nią.

— Co ty mówisz? - zapytała matka.

— Nie, nic - tak sobie pomyślałam coś na głos.

— Może miałaś oddać coś do czyszczenia? - powiedziała powoli babka. Magdalena nie lubiła prowokacji. Rzuciła jej

ukośne spojrzenie.

- Nie, myślałam po prostu, że dobrze by było mieć pralnię chemiczną.

Piotr nie musiałby się zadrećzać głupstwami, które mu psują humor, a ja...

- Oszalałaś - przerwał jej ojciec.

Piotr patrzył na nią bez słowa.

— A więc wytwórnię kosmetyków, kremów, perfum, lakierów do paznokci, jeśli wam pralnia chemiczna nie odpowiada. Na samych kremach można zrobić majątek. Ja komponowałabym nazwy - na przykład: krem przeciwko zmarszczkom „Jutrzenka”.

— Przestań! - powiedział profesor. Był wyraźnie niezadowolony.

— Dlaczego? - rzekł cicho Piotr. - Ona ma rację. Mów, Magdaleno. - Patrzyła na niego niepewnie. - Mów, Magdaleno - powtórzył.

— Dobrze - wyprostowała się - będę mówić. To nie jest wcale mój pomysł, to jest pomysł babci. Ty jesteś chemik, masz swój zawód i powinieneś się nim zająć. Nie musisz być od razu prywatną inicjatywą - to są oczywiste żarty. Ale jest tyle fabryk państwowych, w których na pewno byś się przydał. I zapewniam cię, że to by była praca o wiele bardziej patriotyczna. Wiesz, ilu niefachowców kieruje naszym przemysłem. - Odetchnęła i patrzyła na niego z pokorą.

Piotr był blady. Profesor, nie patrząc na niego, nalewał wino. Matka bardzo starannie obierała z mięsa indycze udo. Tylko babka patrzyła na nich uważnie, zaciekawiona, co dalej nastąpi.

— Masz rację - powiedział Piotr. - Trzeba będzie o tym pomyśleć. Magdalena wyciągnęła do niego rękę przez stół.

— Nie gniewasz się?

Pogładził ją po palcach.

- Skądże znowu?

Starsza pani pierwsza patrzyła triumfująco. Profesor podniósł kieliszek. Czuł się wciąż zmieszany.

- Napijmy się! - powiedział z nieszczerym zapałem.

Magdalena wypła duszkiem. Dawno nie miała w ustach tak dobrego wina. Próbowwała schwytać spojrzenie Piotra i uśmiechnąć się do niego. Ale nie patrzył na nią. Dłubał coś na talerzu.

- Twój mąż nic nie je - powiedziała matka.

Starsza pani pierwsza podsunęła mu półmisek.

- Piotr nic nie je - powiedziała i podając mu do pocałowania upierścienioną rękę dodała: - Mów mi „babciu”.

Potem rozpoczęły się uściski z pokoleniem drugiego stopnia, a w końcu i Magdalena znalazła się w ramionach Piotra.

— Przecież my od dawna jesteśmy „na ty”! - zawołał.

— Prawda! Ale i tak możesz mnie pocałować.

Nastrój zrobił się tak rodzinny, że trzeba było otworzyć jeszcze jedną butelkę wina. Babcia z rumieńcami na twarzy kroila na okrągłej tacy pachnące skórka cytrynową ciasto.

Gdy nadeszła jego kolej, Piotr podsunął swój talerzyk. Starsza pani popatrzawszy na niego przelotnie, nałożyła mu podwójną porcję.

— I po coś ty, capie jeden - powiedziała z westchnieniem - narobił tej całej historii? Już cztery lata temu moglibyśmy siedzieć tak przy tym stole. Trzeba było przyjść i powiedzieć: Spójrzcie na mnie, jaki jestem wspaniały chłopak. Jakie mam ramiona, piersi, ślepie i zęby, jaki mam brązowy łeb i w tym łbie też nie najgorzej. Zobaczycie, że potrafię uczynić szczęśliwą tę waszą głupią dziewczynę, która świata poza mną nie widzi. Dajcie mi ją - nie będziecie żałować. Tak trzeba było powiedzieć.

— Przepraszam - szepnął Piotr.

— Teraz już nie ma za co przepraszać. Tylko tych czterech lat szkoda. Mnie, najbardziej mnie, bo ja jestem stara.

— Za to teraz będzie nas babcia miała wyżej uszu -

zawołała Magdalena. - Miesiąc w Zakopanem, a potem lato u nas.

— Myślę, że powinniście w ogóle przenieść się do Warszawy - rzekł powoli ojciec. Magdalena już była przy nim. Całowała go i ścisnęła. Wreszcie padło słowo, którego tak pragnęła. Wiedziała, że Piotr także. Profesora, jak zwykle przy tych czułościach przerażała pomadka na wargach Magdaleny. Nie był to już Max Factor, ale nie myślała o tym.

W nocy, gdy po powrocie z opery zasypiali na tapczanie w jadalni, długo patrzyła w okno. Obsypana świeżym śniegiem gałązka jaśminu dotykała prawie szyby. Magdalena westchnęła z ulgą. Wszystko było tak jak dawniej i Piotr był przy niej.

Poruszył się.

— Nie śpisz? - spytała cicho.

— Nie.

— O czym myślisz? Odpowiedział nie od razu.

— Myślę o dzisiejszym dniu.

Podniosła się i gwałtownie przywarła twarzą do jego piersi.

— Och, tylko mi go nie zepsuj, tylko mi go nie zepsuj! Nie trzeba już o niczym myśleć, nie trzeba się niczego bać. Od tak dawna marzyłam o takiej chwili, żeby w tym domu zasypiać razem z tobą. Żeby tutaj z tobą leżeć i patrzeć w okno. Kochaj mnie! Trzymaj mnie blisko przy sobie! Nie chcę o niczym wiedzieć. Za oknem jest świat, tego nie da się zmienić, ale dziś jesteśmy tutaj i bądźmy tutaj i nigdzie więcej, nigdzie więcej poza tym domem.

— Dobrze - szepnął Piotr. - Dobrze.

XIX

Czekała spakowana. Za godzinę mieli pociąg do Warszawy, skąd - zabrawszy babkę - udawali się wprost do Zakopanego. Piotr musiał jeszcze tego dnia pojechać do Gdańska, ale powinien zjawić się lada chwila, aby przed podróżą zdążyć coś zjeść, ogolić się i przebrać.

Magdalena nie mogła opanować podniecenia. Pierwszy prawdziwy urlop z Piotrem! Poprzednie urlopy spędzali w domu, nie wyjeżdżając nigdzie, najwyżej do Jastrzębiej Góry lub Jastarni, nie licząc wypadów do Jeziorzan. Ale morze było na lato, w zimie zapominało się w ogóle, że jest. Plaże stały puste, czasem jakiś młody malarz, przysiadłszy na oblodzonej wydmie, usiłował zatrzymać bieg poganianych sztormem fal, sam - za swą wytrwałość najbardziej godny uwiecznienia na płótnie. Na molo pojawiały się tylko zakochane pary, szukające samotności. Pod nogami skrzypiał zamrznięty śnieg. Marzec sprowadzał nad morze prawdziwą zimę, bardziej białą i szczypiącą w uszy niż w styczniu.

Magdalena jeszcze raz sprawdziła swój narciarski ekwipunek. Przez szereg niedziel uprawiała na sopockiej Łysej przedzakopiański trening. Odruchowo dotknęła potłuczonych miejsc, umiejętność jeżdżenia na nartach była dziedziną potwierdzającą najdobitniej, że w życiu nie dochodzi się do niczego bez bólu.

Spojrzała na zegarek - Piotr powinien już być. Przeczynała od rana, że czekanie na niego ją zadręczy. Ta jego obowiązkowość, odkładanie spraw osobistych zawsze na drugi plan były chwilami nie do zniesienia. Starła się nie myśleć o tym, chciała uniknąć sprzeczki - zawsze kłócili się w najmniej odpowiednich momentach. Weszła do kuchni i sprawdziła, czy obiad dla Piotra jest jeszcze ciepły. Patrzyła przez chwilę na czarny krzak bzu kołyszący się na wietrze. Na podwórzu owinięte szalami dzieci grały w klasy. Zadzwiezczał telefon. Podbiegła i podniosła słuchawkę.» Mówił Piotr. Nie pozwoliła mu dojść do słowa.

— Gdzie ty się podziewasz? - krzyknęła. - Nie wiesz, która godzina?

— Posłuchaj, Magdaleno - zaczął.

— Nie ma teraz czasu na rozmowy. Na litość boską, dlaczego nie jesteś jeszcze w domu?

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem usłyszała jego głos:

— Nie możemy dziś jechać.

— Co takiego?

— Nie możemy dziś jechać. Egzekutywa się przedłuża, zatrzymują mnie.

— Ty chyba żartujesz..

— Wcale nie żartuję. Wszystko ci w domu wytłumaczę. Muszę zostać.

— Piotrze! - zawołała - Piotrze, ty oszalałeś! Mamy już bilety, babka czeka, pensjonat zapłacony, a ty mi nagle mówisz, że nie możemy jechać.

— Nie możemy jechać.

— Przecież dostałeś urlop.

— Cofnęli mi. Zrozum, nie mogę ci wszystkiego mówić przez telefon, są pewne rzeczy, z którymi muszę się liczyć.

— Tylko ze mną nie, prawda?

— Magdaleno!

— Ze mną nie potrzebujesz się liczyć, to jasne. Więc dobrze, pojedę sama.

— Magdaleno!

— Pojadę sama. Jeśli zechcesz i puszczą cię, przyjedziesz później.

— Nie zrobisz tego!

— Dlaczego mam tego nie zrobić? Myślisz, że mogę wystawić babkę na dudka tylko dlatego, że ty nie potrafisz zachować się jak mężczyzna i pozwalasz sobą kręcić?

- W słuchawce zaległo milczenie.

— Słyszysz mnie?! - krzyknęła.

— Słyszę.

— Więc przyjedziesz, gdy będziesz mógł? - spytała z obojętnością zbyt jaskrawą, aby mogła być prawdziwa.

— Proszę cię, nie jedź!

— A ja proszę cię, jedź ze mną. Dziś! Zaraz!

— Nie mogę.

— No więc jeśli nie możesz, to po co tracimy czas? Muszę jeszcze rozpakować walizki i oddzielić swoje rzeczy od twoich. Do widzenia, Piotrze.

- Magdaleno!

- Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Przez chwilę stała bez ruchu. Wściekłość szumiała jej w uszach. Rzuciła się do walizek i wysypała na tapczan całą ich zawartość.

Telefon zadzwieczał jeszcze raz. Nie zbliżyła się do niego. Dzwonił bez przerwy, a ona krztusząc się łzami pakowała do walizki swoje rzeczy. Starła się nie patrzeć na porzucone koszule i skarpetki Piotra. Wreszcie walizka była zamknięta. Telefon wciąż dzwonił. Podeszła do niego, podniosła słuchawkę, ale tylko po to, aby uzyskać możliwość zadzwonienia po taksówkę.

Uzyskawszy połączenie z postojem, rzuciła się do przedpokoju po płaszcz. - Telefon znów się odezwał. Wytarła chustką oczy, przypudrowała twarz. Gdy zatrzaśniwała drzwi, telefon wciąż jeszcze dzwonił. Pomyślała z mściwą satysfakcją, że będzie tak bezsilnie dzwonił nawet wtedy, gdy ona wsiądzie już do pociągu i koła potoczą się po szynach.

Dojeżdżając do Gdańska była jednak prawie pewna, że Piotr czeka na nią na peronie, że wyciągnie ją z pociągu i po długim przeproszaniu wróci razem do domu. Zastanawiała się, czy od razu pozwolić się przeprosić i wysiąść z pociągu, czy też napędzić Piotrowi strachu i przeciągnąć dąsy przynajmniej do Tczewa. Żeby miał nauczkę raz na zawsze, na wszystkie ewentualności małżeńskiego pożycia.

Piotra jednak na peronie nie było. Otworzyła okno, aby mógł ją dojrzeć, zimny wiatr ciął w policzki. Wpatrywała się w wyjście na peron przez cały czas postoju, łzy dusiły ją w gardle. Wysiąść i wrócić do domu to było jednak niepodobieństwo. Gdy pociąg ruszył, zatrzasnęła okno i wtuliła twarz w podszewkę wiszącego płaszcza. Starła się zebrać myśli. Na domiar złego czekało ją zdziwienie rodziców i babki - trzeba było przez drogę znaleźć wytłumaczenie nieobecności Piotra.

Babka jednak od razu domyśliła się wszystkiego.

— Nie puścili go? - zawołała, gdy Magdalena nadrabiając miną zjawiała się sama na Saskiej Kępie.

— No! - powiedziała tylko, stawiając walizkę na ziemi.

Zdołała jednak ukryć formę rozstania, zapowiedziawszy, że Piotr zjawi się w Zakopanem, gdy tylko będzie mógł. Przez cały wieczór i noc spędzoną w domu nasłuchiwała telefonu, rano tkwiła w oknie, wyglądając listonosza. Spodziewała się przynajmniej depechy. Babka obserwowała ją spod oka. Czekanie nie leżało w naturze Magdaleny. Ogarniała ją wtedy bezsilna rozpacz, upokarzająca bierność. Miotła się po domu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Na szczęście matka nie zwracała na nią uwagi. Dopakowywała do walizki rzeczy, które przygotowała dla niej na Zakopane, przede wszystkim wspaniałe

narciarski sweter. Ten sweter, zdobyty przez matkę na „ciuchach” - różowy, niebywale gruby i puszysty - to było „coś”, co musiało zrobić wrażenie nawet w Zakopanem. Magdalena zdawała sobie z tego sprawę, gdy przymierzała go rano pod zachwyconymi spojrzeniami dwóch pań starszych i ojca. Różowy kolor wydobywał rudawą barwę jej włosów i podkreślał czystość karnacji. Przyglądając się sobie w lustrze, czuła wzrastającą wściekłość na Piotra: nie mogła się cieszyć nawet tym swetrem, nie mogła się cieszyć w ogóle niczym.

Podróż przyniosła jej kilka godzin względnego odprężenia. Pociąg uwalniał ją przynajmniej od oczekiwania telefonu i listonosza. Również pierwsze dwa dni w Zakopanem - zanim mogła spodziewać się wiadomości od Piotra po wysłaniu mu adresu i numeru telefonu pensjonatu - wolne były od tej udręki. Jeździła z babką kolejką na Gubałówkę i ułożywszy starszą panią na leżaku, próbowała swoich narciarskich możliwości. Potem znów zaczęło się czekanie! Wyczerpujące, ostre i zupełnie żałosne. Wiezorami nie chciała wychodzić z pensjonatu, bo w tym czasie Piotr mógł zadzwonić. Po powrocie z nart biegła do wnęki w hallu, gdzie zostawiano pocztę. Piotr nie dawał znaku życia. Z rozpaczą myślała o natychmiastowym powrocie. Gdyby była sama, uczyniłaby to bez namysłu, ale konieczność wyjaśnienia wszystkiego babce powstrzymywała ją od tej decyzji.

Postanowiła sama do niego napisać. Wyzaczyła sobie dzień, kiedy to zrobi, jeśli do tego czasu Piotr się nie odezwie.

Nie odezwał się. Przerzuciła całą pocztę nadeszła do pensjonatu i zaklęła z bezsilnej, zadławiającej ją rozpacz.

Prócz niej jeszcze ktoś był w hallu: wysoki mężczyzna w białym swetrze i niebieskich spodniach. Odwrócony do okna czytał swoją pocztę.

- Madeleine - powiedział nagle po francusku. - Kto to słyszał, żeby tak brzydtko kląć?

Zastygła bez ruchu. Wolno odwróciła ku niemu oczy - stał wciąż twarzą ku oknu. Usłyszała krótki znajomy śmiech.

— Gaston? - powiedziała z wahaniem. Odwrócił się szybko i już był przy niej.

— Żyjesz? - zawołała z radością. Pokazał w uśmiechu zęby.

- Och, ani przez chwilę nie miałem zamiaru umierać. - Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Wydawał się jeszcze piękniejszy niż wtedy, gdy nosił wciąż ten sam podniszczony mundur jeńca, którego braki nieraz pomagała mu usuwać. Był wypielegnowany, wypoczęty, opalony i tak w tej chwili promienny, że nie znalazła w sobie dość siły, aby się opierać, gdy chwycił ją w ramiona i wycałował do utraty tchu.

— Nareszcie! - westchnął. - Nareszcie cię znalazłem! Pociągnął ją w stronę foteli.

— Co tu robisz? - zdołała wreszcie zapytać.

- Wprawdzie uważałaś, że nie - mam odpowiednich kwalifikacji, żeby pełnić jakiegokolwiek funkcje dyplomatyczne w waszym kraju, ale od tego czasu uzupełniłem nieco swoje wiadomości. Poza tym trzyletni pobyt w waszym towarzystwie w Edelheim też mnie czegoś nauczył. Wiem, na przykład, co czują Polacy, gdy mówią „do diabła”, jak ty przed chwilą. Roześmiała się nieszczerze.

— Jesteś sama, bez Piotra? - zapytał Gaston.

— Więc wiesz, że my?...

— Wiem - mruknął. - Drogo mnie to kosztowało! Tego Piotra Marszałka przekląłem we wszystkich wstępnych i zstępnych pokoleniach. Odnalazłem wreszcie jakiegoś chłopka o tym nazwisku gdzieś pod Krakowem, po to, żeby się przekonać, że to nie Piotr.

— To nie było prawdziwe nazwisko Piotra. Uciekł z Oświęcimia...

— Wiem, wszystko wiem - przerwał jej. - Ale dla ciebie jest wciąż Piotrem? - Pochylił się ku niej, oparł ramię o jej fotel.

Wiedziała, o co pyta. Nie patrząc na niego odpowiedziała cicho:

— Nie potrafię inaczej go nazywać. Gaston cofnął się.

Wyciągnął papierosy.

— Przyjedzie tutaj? - zapytał niedbale. Drgnęła.

— Prawdopodobnie. Prawdopodobnie przyjedzie, o ile mu czas pozwoli. Jestem tu z babką - dodała i zmieszała się, gdy Gaston podniósł na nią oczy, zdziwiony jakąś specjalną intencją tej informacji.

— Nie pytasz, czy ja jestem sam? - powiedział powoli i czekał na odpowiedź, nie zapalając papierosa, z zapalką w uniesionej dłoni.

Milczała.

— Ani czy się ożeniłem? Nie jesteś tego ciekawa?

— Owszem - bąknęła Magdalena. - Chciałabym wiedzieć, jak sobie urządziłeś życie.

Gaston wyciągnął się w fotelu. Jego spodnie z jaśniutkiej gabardyny miały niepokalany kant.

— No cóż, jak widzisz, Niemcy nie dali mi rady. Czasem odzywa mi się ten Buchenwald gdzieś w nerkach czy krzyżu, ale to niegroźne. Nigdy w życiu nie byłem takim optymistą jak w tamtych latach. Skończyłem dyplomację i włóczę się po świecie. Sam. Wciąż jeszcze sam.

— Przy twoim trybie życia to wygodne - zauważyła Magdalena.

— Bardzo - przyznał.

— Jesteś chyba szczęśliwy? - zawołała prawie z rozczarowaniem.

— A czy ja tobie zadałem to pytanie? - patrzył na nią z poważną pretensją i nie mogła odgadnąć, czy żartuje, czy też naprawdę uważa za nietakt jej pytanie. Dopiero gdy się roześmiał, zawtórowała mu głośno, z ulgą.

Na pierwszym piętrze skrzypnęły drzwi i zniecierpliwiony, ale też i trochę ciekawy głos zapytał:

— Z kim ty się tam tak śmiejesz?

— Babcia! - szepnęła Magdalena.

— Przedstaw mnie. - Gaston zerwał się z fotela i podał jej rękę.

- Wiesz, kto to jest? - wołała Magdalena już od schodów.
- Gaston! Wyobraź sobie, prawdziwy Gaston!

Fakt, że prezentacja nie wymagała dłuższych komentarzy, sprawił mu dodającą pewności siebie przyjemność. Starsza pani, która wyciągnęła do niego rękę z prawdziwie serdecznym uśmiechem, musiała wiedzieć wszystko o wspólnym wojennym losie jego i jej wnuczki. Wszystko - Gaston przyjrzał się jej spod oka. Tak, trochę niepokoju, mimo uśmiechu, kryło się w jej twarzy.

XX

Dziesiątego dnia pobytu w górach babka napisała krótki list do Piotra.

Poczuwała się do obowiązku sprowadzenia go do Zakopanego. Co najmniej przez piętnaście godzin w ciągu doby Gaston patrzył na Magdalenę. Patrzył na nią, gdy jadła śniadanie i krzywiła się na kozuchy w kawie, gdy malowała usta, naciągała sweter i czesała włosy, gdy zjeżdżała na nartach i przystawała zdyszana tuż przy nim, opierając się o niego ramieniem; patrzył na nią, gdy łyżeczką wybierała z talerzyka resztki deseru, zawsze łakoma na słodycze, a potem senna i leniwa zasypiała prawie, słuchając tego, co mówił; patrzył na nią, trzymając ją w ramionach, blisko, o wiele za blisko, gdy tańczyli ze sobą podczas codziennego dansingu; patrzył, gdy śmiała się lub złościła, gdy mówiła coś lub milczała i wtedy, gdy była smutna albo zamyślona i zupełnie nieobecna; patrzył, patrzył na nią, a w starszej pani zamierało serce ze strachu, podniecenia i radości.

Strach jednak zwyciężył na razie wszystkie inne uczucia. Może było też w nim trochę sympatii dla tego ponurego bolszewika, który wolał swoje niewesołe sprawy od górskiego słońca i młodej żony - starsza pani nie zastanawiała się nad tym. Na poczcie, w zgiełku rozkrzyczanych wczasowiczów, napisała na arkuszu papieru kilka zdań: że w Zakopanem jest pięknie, sucho i słonecznie, po cóż więc siedzieć w zadeszczonym

Gdańsku. Że przez dwa tygodnie trudno dokonać czegokolwiek, więc i on nie dokona w tym czasie niczego dla socjalizmu. Że wreszcie dobrze by było, aby z bliska obejrzał sobie ten socjalizm w Zakopanem. Ten rodzaj konfrontacji powinien być nawet w pragmatyce służbowej każdego aktywisty. A w końcu bardzo drobnymi literami: Zakopane jest pełne młodych ludzi, którzy dokładnie wiedzą, po co tu przyjechali. A jeśli się kogoś kocha, lepiej raczej nie dopuszczać do tego, aby było mu co wybaczać.

Napisawszy to zdanie, starsza pani odetchnęła. Nie wiedziała, czy list odniesie skutek, ale lubiła mieć czyste sumienie. Ostatecznie to ona wyciągnęła Magdalenę do Zakopanego, była więc niejako odpowiedzialna za wszelkie skutki tej eskapady. Czowała się już ponadto zmęczona towarzyszeniem przez cały dzień młodym. Francuz wydawał się do wszystkiego zdolny. Spłoszyła ją myśl, że nie wie, gdzie Magdalena teraz się obraca. Zostawiła ją pod pretekstem spotkania z jakąś starą znajomą. Tę chwilę mogli oczywiście wykorzystać. Starsza pani wrzuciła list do skrzynki i pośpieszyła do pensjonatu. Miała ochotę na kawę w „Europie”, ale obowiązek okazał się silniejszy. O Boże! Niechby już przyjechał - myślała, brnąc przez śnieg - niechby przyjechał i sam warował przy niej.

Tymczasem Magdalena i Gaston siedzieli w małej kawiarence tak ciasnej, jak to jest potrzebne zakochanym. W takich warunkach lokalowych nogi przypadkowo mieszają się ze sobą, kolana w napiętych narciarskich spodniach lgną do siebie, a ramiona muszą się o siebie opierać. Małe lampki na niskich stolikach oświetlały tylko brody i usta pochylonych ku sobie twarzy. Białe zęby lśniły między wilgotnymi wargami.

Gaston czuł na twarzy oddech Magdaleny. Mówili do siebie cicho - w tym brzmieniu nawet obojętne słowa nabierały intymnej pieśczoły. Od czasu do czasu wyciągał rękę i poprawiał jakiś kosmyk jej włosów na karku lub skroni. Pozwalała mu się dotykać, wciąż udawała, że nie wie, do czego to prowadzi. Pili kawę i koniak. Magdalena zawsze czuła się śmielsza nawet po kropli alkoholu.

- W Buchenwaldzie - mówił Gaston - siedziałem w jednym baraku ze starym Niemcem, nauczycielem francuskiego z Dusseldorfu. Posądzony był o sympatie profrancuskie, bo zamknęli go przed marszem na Francję w czterdziestym roku. Umiał na pamięć wiele wierszy Jeana Cocteau. Deklamował je, a ja przymykałem oczy i zdawało mi się, że wącham róże, widzę wschody i zachody słońca, a wiatr znad dojrzewających winnic Roz wiewa mi włosy. To były piękne chwile. Wierzyliśmy wtedy, że wojna, która obnażyła całe oblicze człowieka, będzie ostatnią.

- Po co mi to mówisz, Gaston? - szepnęła z żalem. Dotknął jej ręki.

- Bo ty, tak samo jak ja, chciałabyś zapomnieć, że wojna trwa. Chciała byś zapomnieć o bezustannym pogotowiu, o uzbrojeniu duszy w podejrzliwość i strach. Nikt nie pomógł ci, żebyś o tym zapomniała. Wszyscy każą ci wciąż o tym pamiętać. Wszyscy mówią ci wciąż o jakiejś twojej smutnej odpowiedzialności za losy świata. Żeby cię nią spętać i okłamać, i zrobić potulną wobec wszelkich katastrof. Nie wierz w tę odpowiedzialność. Nie ma jej. Skoro człowiek nie jest odpowiedzialny za własne narodziny i własną śmierć, jakże można wymagać od niego, aby był odpowiedzialny za sprawy, które muszą mu się wydać mniej ważne, jak cudze narodziny i cudza śmierć? Pozwoliliśmy uwikłać się znowu w pytania, na które nie odpowiedziało żadne z pokoleń. A tymczasem na ziemi są wschody i zachody słońca i wiatr wieje znad dojrzewających winnic. Czym można wynagrodzić człowiekowi jeden stracony wieczór?

— Po co mi to mówisz, Gaston? - powtórzyła.

— Bo chcę, żebyś zrozumiała, że życie nas mija. Że nie możemy na to pozwolić wbrew wszystkiemu, co się dzieje na świecie. Madeleine, pozory życia są żalosne, choć u was i u nas ludzie z innych powodów doświadczają uczucia niepokoju. Wy poszukujecie wciąż sposobów realizacji wielkich formuł, które wam zostawili znakomici fizycy waszej ideologii - my nie lubimy

fizyki i nie splamiliśmy się nigdy rozmyślaniami nad przyszłością. Wiemy, że to do niczego nie prowadzi. Znamy się za to doskonale na sprawach tak praktycznych i potrzebnych człowiekowi, jak miłość, wino, piosenka. Znamy recepty niezawodne na przyrządzanie nastrojów i trunków i wiele narodów uczyło się od nas tego kunsztu.

— Po co mi to mówisz? - powtórzyła znów Magdalena. Opuściła głowę, żeby nie widzieć jego oczu. Poddawała się wszystkiemu, co mówił, jakby wygłaszał jej własne słowa, które od dawna chciał komuś powiedzieć. Byli ulepieni z tych samych pragnień i z tych samych wyobrażeń o ludzkim szczęściu. Czuli potrzebę piękna i radości, jak czuje się potrzebę oddechu i światła. Rozumieli - wbrew okrutnym prawom swego czasu - że nie jest godny pogardy ten, kto nawet w chwili walki chciałby pochylić się nad różą i przymierzyć świat do wydobytej z pamięci miarki wiersza, ponieważ serce człowieka łaknie odpoczynku.

— Gaston - powiedziała - musimy wracać do domu.

— Nie - położył gorącą dłoń na jej kolanie. - Nie! Znowu się mnie boisz. Powiniennem być z tego dumny, a nie jestem - to także jest żalosne. Nie odsuwaj się, musisz się do mnie przyzwyczaić; wiem, że zawsze, po każdym rozczarowaniu, które cię spotykało, tęskniłaś tylko do mnie. Tylko do mnie - odpowiedz!

— Tak, Gaston. Tak!

— Wiedziałem o tym. Chcę, żebyś była choć trochę szczęśliwa.

Ktoś nucił obok jakąś piosenkę, był to zaledwie szept melodii przekazywany na ucho dziewczynie, ale Magdalena słyszała ją i podkradała dla siebie. Kelnerka przyniosła dwa kieliszki likieru. Gaston poprosił Magdaleny, żeby wypła. Patrzyła na jego palce obejmujące szkło, na smagłą skórę ręki wychylającej się z czarnego rękawa swetra. Drugie ramię Gastona spoczywało za jej plecami, czuła jego bliskie, nieruchome ciepło. Wypiła lepki alkohol i wsunęła się głębiej w

tę przystań. Życie wydawało się łatwe i proste. Przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Do kawiarenki wchodzili ludzie obsypani śniegiem. Śmiali się, strzepując przy drzwiach topniejącą biel z włosów i płaszczy.

- Chodźmy na śnieg! - powiedziała Magdalena. Chciała ochłodzić twarz, zanurzyć ją w zimnych, mokrych płatkach, nabrać ich w usta, trzymać aż do roztopienia w gorących dłoniach.

Wyszli, wsparci o siebie, jakby w każdej chwili groził im upadek lub rozstanie. Przechodzili obok nich ludzie w kolorowych czapkach, roześmiani i krzykliwi, śpiewały dzwonki u sań. Z mijanych właśnie drzwi buchnął gwar i rozkołysana samba. Weszli i tańczyli w mokrych wiatrówkach, głośno wystukując takt ciężkimi butami. Potem pili przy bufecie nieprawdopodobne cocktaile z lemoniady i wódki, z polskiej wódki, którą Gaston się zachwycił. Wciąż jednak byli przytomni, bardzo przytomni i nawet bruderszaft, który Gaston wypił z jakimś przedstawicielem prywatnej inicjatywy z Bielska, był raczej dowodem kurtuazji dla narodu gospodarzy niż nadużycia alkoholu.

Gdy wrócili do pensjonatu, starsza pani czekała na nich w hallu.

Zeszła tu niespokojna, oblegana przez złe przeczucia i wspomnienia własnej młodości. Chciała przynajmniej przyłapać ich na progu, zanim zdążą odmienić twarze, jak złodzieje schować uśmiechy i spojrzenia. Ileż to razy sama wracała tak z ogrodu z którymś z młodych sąsiadów, wycelowana do utraty przytomności, a już na progu salonu, gdy matka nie zdołała jeszcze podnieść na nią uważnych oczu, przybierała minę niewiniątka. Zawsze twierdziła, że policjantami powinni być emerytowani złodzieje. Przyjęła pozycję frontalną do drzwi wejściowych i okrywszy nogi szalem, zagłębiła się w wysiedzianym fotelu.

Magdalena przeraziła się, gdy ją tu spostrzegła.

— Babciu! - krzyknęła. - Jakże można, babciu!,,

— Poczekaj, poczekaj! - powiedziała do wnuczki po polsku, a do Gastona wyciągnęła rękę. - Nie miałam papierosów, chciałam pana prosić o pożyczenie kilku, zanim zniknie pan w swoim pokoju.

Francuz wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów. Palce mu drżały, gdy ją otwierał. Starsza pani patrzyła spod oka na jego usta, czerwone, wilgotne, jakby trochę obrzmiałe. Jezus Maria! - pomyślała. - Całował ją! Na pewno ją całował! Oblało ją gorącym bliskie nagle wspomnienie pana Vivancho, który zalecał się do niej w Rzymie podczas jej panińskiego jeszcze wojażu za granicę. Rodzice, wciąż niesyci starożytności, wciągali w nozdrza antyczny kurz Colosseum, a Włoch łąził za nią i wypatrywał oczy za jej blond głową. Kiedy wreszcie udało mu się zostać przedstawionym, spostrzegła nagle w jego twarzy tylko usta, czerwone, wilgotne, lekko obrzmiałe. Ach, jakże rozkosznie, jak rozkosznie się go bała!

- Proszę - powiedział Gaston, wyciągając rękę z papierosami. Patrzył na babcię pokornie i słodko.

Starsza pani odwróciła wzrok od jego oczu. Nieznośny żal pozbawił ją możliwości uśmiechu. Wszystkie cnoty świata są jednym wielkim głupstwem - myślała. - Życie trwa za krótko, żeby człowiek zdążył być i porządny, i szczęśliwy. Niechby wreszcie przyjechał ten uparty bolszewik i sam na nich popatrzył.

Piotr jednak nie przyjeżdżał.

Piątego dnia od daty wysłania listu nadeszła lakoniczna odpowiedź. Dziękował za pamięć i powtórne zaproszenie, z którego jednak nie mógł skorzystać ze względu na absorbujące go zajęcia. Prosił, żeby pozdrowić Magdalenę i życzyć jej dobrej zabawy.

Starsza pani opuściła dłoń z listem na kolana. Ten człowiek był bardziej obcy, niż sobie wyobrażała. Nie знаła dotąd mężczyzny, który zlekceważyłby sobie takie wezwanie. Kocha ją za bardzo - pomyślała ze smutkiem. - Duma nie jest nigdy dobrym towarzyszem miłości. O ileż więcej szczęścia przysparzają pokorne kapitulacje.

Od tego dnia przestała zbyt stanowczo towarzyszyć Magdalenie i Gastonowi. W dodatku przyplątał się jakiś złośliwy katar i trzeba było pozostać w łóżku. Magdalena z bohaterskim uporem w oczach usiłowała ją pielęgnować. Leczyła ją niecierpliwie. Starszej pani wciąż się wydawało, że słyszy kroki Gastona na korytarzu.

- Idźże do niego, moje dziecko - mówiła. - Niczego mi już nie potrzeba.

Magdalena czerwieniała i siadała z książką przy jej łóżku. Tego już najbardziej nie można było znieść.

— Idź do niego! - powtarzała babka. - Nie siedź tutaj, jeszcze nie umieram. Pamiętaj, kiedy będę naprawdę chora, nie siedź tak przy mnie. Leżenie w łóżku i czekanie na śmierć nie jest zajęciem towarzyskim. Dlaczego właściwie nie dobija się ludzi na starość? Potrafią wy mordo wy wać milionami co silniejszych i młodszych, a litość wobec bezsensownego już istnienia uważają za antyhumanitarną.

— Przestań, babciu - szepnęła Magdalena łagodnie.

— Idź do niego, mówię ci. Młodzi należą do młodych. Starzy swoje już przeżyli, powinny wystarczyć im wspomnienia. Jeśli je mają naturalnie. Idź po swoje wspomnienia, żeby ci się nie nudziło, gdy będziesz kiedyś tak jak ja leżeć w łóżku. To jest właściwie jedyny kapitał, który jest coś wart. Idźże, proszę.

— Nie - Magdalena zarumieniła się jeszcze gwałtowniej.
- Dzisiaj już tu zostanę. Ale może jutro poszłabym na narty. Na pewno będzie pogoda.

— Na pewno będzie pogoda - uśmiechnęła się babka. - Naturalnie, dlaczego miałabyś tracić taki piękny dzień? Powiedz mu zaraz, że pójdziesz i niech przestanie chodzić pod drzwiami, bo mi serce pęknie.

Było więc wiele dni pogodnych, po zakopiańsku szczęśliwych, wyodrębnionych z geografii życia i kraju.

Był dzień w schronisku na Miętusiej, gdzie jedli razowy chleb i pili owcze mleko, i dzień wycieczki do Morskiego Oka, saniami, w kozuchach, w których osobliwym zapachu mieszały się wonie baranie i perfumy poprzednich podróży, i wyprawa do Doliny Kościeliskiej, bez nart, spacerkiem wolnym i pozwalającym na niebezpieczne zbliżenia, gdy mówiło się coś bardzo ważnego lub gdy podziwianie jakiegoś widoku skłaniało ku sobie głowy. I wreszcie był dzień pod Kasprowym Wierchem, gdzie Gaston po raz pierwszy pocałował Magdalene.

Właściwie po raz pierwszy pocałował ją wiele lat przedtem. Żwawa górską rzeczką biegła po kamieniach wśród zielonych brzegów. W zaroślach dziewczęta z hotelu Frau Hochmeier i chłopcy z jenieckich baraków uprawiali swoją bezdomną miłość. Trzeba było spieszyć się z kochaniem. Jutro mógł być koniec świata lub - przeniesienie oddziału jeńców do innego miasta. Dlatego też pocałował ją w godzinę potem, kiedy ją poznał i zanim zdążył pokochać. Kiedy ją kochał, nigdy już nie nadarzyła mu się taka okazja.

Teraz pochylił się nad leżącą w słońcu, pochylił się i pocałował w usta. Otworzyła oczy i przez chwilę patrzyła na niego bez słowa i bez ruchu, zdumiona.

- Madeleine - zapytał cicho. - Czy to bardzo źle, że cię wciąż kocham?

Długo patrzyła mu w oczy.

— Źle - odpowiedziała po chwili.

— Ale na to nie ma rady. Chciałem o tobie zapomnieć.

Wszystkie kobiety, które zbliżały się do mnie, witałem z nadzieją: bardzo starałem się je kochać. I nie pokochałem żadnej.

— Źle, Gaston - powtórzyła. Pocałował ją po raz drugi.

— Musimy sobie przynajmniej uprzyjemnić jakoś to nieszczęście. Roześmiała się, ale naciągnęła sweter i poczęła się ubierać, choć słońce

przygrzewało. Uznała osłonięte skałą miejsce za zbyt niebezpieczne. Oczywiście dla Gastona. O siebie była jeszcze spokojna. Sprawił jej zawód swoim wyznaniem. Sądziła, że uda się spędzić z nim resztę urlopu bez tej komplikacji.

Gdy Gaston założył jej narty, zjechała w dół nie czekając na niego. Dogonił ją jednak bez trudu. Przez resztę dnia patrzył na nią niespokojnie.

- Pokłóciliście się? - spytała babka, gdy poszedł na chwilę do swojego pokoju.

Magdalena wzruszyła ramionami.

— Skądże?

— Mnie nie oszukasz.

— Ech, babciu, w babci romantycznych wspomnieniach kłótnie oznaczają coś zupełnie innego niż za naszych bezwstydnie prozaicznych czasów. Nie, nie pokłóciłam się z Gastonem, nic takiego nie może się zdarzyć między nami.

Aby zmylić czujność babki poszła z nim - jak co dnia - potańczyć. Gaston usiłował zajrzeć jej w oczy, unikała jego spojrzenia z wytrwałością mniszki. Ale taniec, sentymentalne melodie, wzajemna bliskość działały na nią niepokojąco. Pogardzała sobą za łatwą błogość, którą czuła w sobie kołysząc się i podskakując w takt modnych szlagierów. Nuciała cicho śpiewane przez zapijaczonego refrenistę tango „Gdy tańczę z tobą” i jak wszystkie kobiety na sali, przytulała skroń do szyi swego partnera.

Było przyjemnie, duszno, gwarno i beztrosko, jakby wcale nie miało być jutra. Przeraziła ją nagle stadna radość, której zaczęła się poddawać. Nie chciała wypić już ani kropli alkoholu i poprosiła, żeby pójść do domu.

Gaston zgodził się. Ale na ulicy pocałował ją i nie znalazła już siły, żeby nie oddać mu pocałunku. Poczł ten nieznaczny, skwapliwy, zachwycony ruch jej warg, z jakim przyjęła jego usta. Rozchylił płaszcz i przyciągnął ją do siebie. Całował ją długo, oczy, brwi, czoło i nos, mały nos, zimny jak u zdrowego psa. Czuł też na twarzy, szyi i brodzie jej szybkie, krótkie pocałunki - przerywał je, zatrzymując jej wargi pod swymi.

Wciąż ktoś przechodził obok nich, jacyś przechodnie tak samo zajęci sobą, ktoś się śmiał, ktoś gwizdał dopiero co zostawioną w zgiełku instrumentów melodię. Roziskrzzone niebo opierało się o ciemny masyw Giewontu. Wiał lekki wiatr, pachnący igliwim i wiosną. Odrywali się od siebie i szli kilka kroków, aby znów przystanąć w cieniu jakiegoś domu, wśród gałęzi świerku albo pod najjaśniejszą latarnią, gdzie z daleka było widać ich złączone ze sobą głowy.

W pensjonacie było już ciemno, tylko w jadalni, gdzie zwykle późno w noc grano w brydża, jeszcze się świeciło. Zaspana pokojówka otworzyła im drzwi. Zgasila światło, zanim zdążyli wejść na schody. Gaston wsunął dłoń we włosy Magdaleny. Były zimne i wilgotne od wiatru, tylko nad karkiem odnalazł ciepłe, suche miejsce. Prowadząc ją korytarzem, zatrzymał się przed swoim pokojem. Otworzył drzwi. Bał się, że usłyszy, jak łomocze mu serce, czuł je w sobie niby uderzenia kowalskiego młota.

Zawahała się. Rozwarł i zacisnął palce w jej włosach. Stała nieruchomo, a potem przekroczyła próg lekko i bezszelestnie. Wszedł za nią i zamknął ją w gwałtownym uścisku, w którym na razie nie było ani pragnienia, ani szczęścia, tylko ulga, obezwładniająca ulga. Znów zaczął ją całować, wspartą o drzwi, unieruchomioną jego ciałem. Przesunął dłonią po jej bluzce, znalazł guziki, małe, wymykające się złośliwie spod palców. Odpinał je powoli, nie zdejmując warg z jej ust, jeden po drugim, jeden po drugim, bez końca. Poczł naraz na szyi jej dłonie, niecierpliwie rozwiązujące mu krawat. Zrzucił

błyskawicznie z siebie wszystko i wyciągnawszy ramiona znalazł ją czekającą na niego.

Kiedy wydało mu się, że usnęła, ostrożnie wyciągnął rękę i zapalił lampkę na nocnym stoliku. Leżała owinięta wokół niego, przytulona policzkiem do jego nagiej piersi. Położył dłoń na jej głowie i trwał tak bezmyślnie szczęśliwy. Tyle lat marzył o tej chwili, a kiedy nadeszła, czuł pragnienie modlitwy zamiast nowej rozkoszy. Odgarnął włosy z jej czoła i patrzył z bliska w jej uśpioną twarz, w małą uśpioną twarz, należącą teraz do niego. Wciąż był ciekaw jej rzęs, brwi, skóry i małej blizny nad skronią. To było wtedy, gdy wyła z bólu w sąsiedniej celi, a on nie mógł jej pomóc, jeśli sam chciał żyć. Czwartego dnia postanowił, że przyzna się, gdy gestapowcy jeszcze raz wejdą do jej celi. Podjąwszy tę decyzję, po raz pierwszy przeżył swoją śmierć, powolne, świadome rozstanie z ludźmi, ze światem, który naraz miał tyle uroku, z własną młodością, która nigdy nie wydała mu się tak bogata we wszelkie możliwości szczęścia. To okropne wspomnienie wydało mu się najcenniejsze z całego życia. Nie mógłby teraz trzymać jej w ramionach, gdyby wtedy nie postanowił umrzeć dla niej. Pochylił głowę i ostrożnie, żeby jej nie zbudzić, dotknął wargami małej blizny.

Czy w polskim więzieniu też ją bili? - Nie miał odwagi o to ją zapytać. Dlaczego zataiła przed nim fakt aresztowania? Może się wstydziła? Może jednak się go bała? Na pewno nakazano jej milczenie. Nie przypuszczała, że wiedział o niej wszystko od chwili, gdy znalazł się w Polsce. Nie starał się z nią spotkać, była żoną Piotra - postanowił oboje zostawić w spokoju. Ale nie mógł zakazać sobie śledzenia jej życia. Donoszono mu od czasu do czasu, co się z nią dzieje. Nie były to, wiadomości o olśniewającym szczęściu. Gdyby był chociaż trochę optymistą, powinien był wciąż mieć nadzieję, że miejsce dla niego w jej życiu niejako robi się z dnia na dzień. Nie czyhał jednak na klęskę Piotra, pamiętał o moście, który razem wysadzili, i o wszystkich dniach, które spędzili w kraju wroga. Aresztowanie Magdaleny wstrząsnęło nim. Wstrząsnęła nim własna bezsilność.

Tu nawet nie mógł umrzeć dla niej. Na nic by się to nie zdało. Żałował, że przyjechał do tego ponurego kraju, że tak bardzo naraził swój spokój, przyglądając się z bliska wydarzeniom i ludziom. Przez kilka dni prawie wierzył, że w jego ojczyźnie nie ma więzień i nikt nikogo nie bije. Potem - gdy dowiedział się o zwolnieniu Magdaleny - pamięć zaczęła znów działać, ale wciąż jeszcze z patriotyczną stronniczością. W końcu pod wpływem aktualnej prasy z Francji musiał się poddać pogładowi, że jednak wszędzie dysponowanie cierpieniem jest nieodzownym elementem rządu. Dziwił się tylko, że człowiekowi nie przestało być obojętne, za co go biją.

Magdalena poruszyła się. Patrzył, jak się budzi, jak mruży oczy przed światłem, jak rodzi się w nich niepokój.

Podniósł ją ku sobie.

- Jesteś przy mnie - szepnął.

Milczała.

- Od tak dawna czekałem. Nie mogłem już dłużej czekać.

Muszę ci się do czegoś przyznać, Madeleine.

Przyglądała mu się sennie..

- Muszę ci się do czegoś przyznać. Wiedziałem, że jesteś tu sama, że Piotr nie przyjechał z tobą. Nie zbliżałem się do ciebie tak długo, ale teraz uważałem, że mogę się rozgrzeszyć z wszelkich skrupułów.

Nie poruszyła się, nie drgnęła nawet.

Znów przytulił usta do jej skroni. Leżeli przy sobie cicho, przez korytarz ktoś szedł, ktoś zamykał i otwierał drzwi, ktoś kogoś wołał ściszym głosem.

— Dobrze? - spytał Gaston.

— Dobrze, ale muszę chyba już iść. Babcia może się obudzić - zobaczy, że mnie jeszcze nie ma.

— Niech zobaczy, i tak jutro powiem jej o wszystkim.

— O czym? O czym jej powiesz? - zapytała bez tchu, dopiero teraz naprawdę rozbudzona.

— Że cię Kocham i że rozwiodę cię z Piotrem.

Całował ją; jej milczenie w ciasnym uścisku wydało mu się naturalne. Kiedy jednak upierała się przy powrocie do swego pokoju, wstał i podał jej rzeczy. Naciągnęła je szybko, bardzo tą funkcją zawstydzona, nie mająca odwagi podnieść na niego oczu. Sam zapiął małe, złośliwie śliskie guziczki u jej bluzki.

- Przyjdę do ciebie rano - powiedział odprowadzając ją do drzwi. Pocałowała go w roztargnieniu i pobiegła przez korytarz. Babka spała.

Obudziła się dopiero wtedy, gdy Magdalena z hałasem ściągnęła walizkę z szafy.

Usiadła na łóżku przerażona.

— Co ty robisz? - krzyknęła.

— Pakuję się.

— Po co?

— Muszę zaraz wyjechać.

— Czyś ty oszalała? Wyjechać? Dokąd?

— Do domu. Nie mogę tu zostać ani minuty. Gaston chce mnie rozwieść z Piotrem.

— Co ty mówisz, moje dziecko? - starsza pani patrzyła na nią podejrzliwie. - Powiedział ci to?

— Tak, przed chwilą mi to powiedział. Muszę zaraz stąd wyjechać, bo on chce rano tu przyjść i porozmawiać z babcią.

— Ze mną?

— Właśnie. Więc babcia mu już to wszystko wytłumaczy.

— Co mam mu wytłumaczyć, na litość boską?

- Nie wiem, może babcia coś wymyśli.

Starsza pani chwyciła się za głowę.

- Cóżes ty narobiła, biedna idiotko! Od razu wiedziałam, że jesteś na to za głupia. Masz dwóch tak wspaniałych mężczyzn i nie wiesz, co z nimi zrobić.

Magdalena przysiadła obok niej na brzegu łóżka.

- Babcia znajduje zawsze doskonałe definicje dla wszystkich sytuacji - powiedziała ze smutkiem. - Tylko wyjścia nie może babcia znaleźć. Cóż z tego, że ich mam - tych dwóch wspaniałych mężczyzn? Może babcia potrafiłaby mieć ich obydwu naraz?

Babka położyła dłoń na jej ramieniu.

- Wracaj do domu, moje dziecko - powiedziała poważnie.

Gdy Gaston zapukał rano do pokoju Magdaleny, starsza pani miała zamiar przyjąć go z surową godnością. Francuz, promienny jak poranek, rozejrzał się po pokoju.

— Madeleine już wyszła?

— Wyjechała - babcia lubiła sytuacje jasne i wyraźne. - Wyjechała! Pierwszym pociągiem nad ranem.

Pożałowała jednak zaraz swoje szorstkości. Twarz młodego człowieka oblała się rumieńcem.

- Czy coś się stało? - zapytał cicho.

Starsza pani wskazała mu pudełko z papierosami.

— Proszę, niech pan zapali i usiądzie. Tego nie da się powiedzieć w trzech słowach. Myślę, że należy oszczędzić panu zmyślonej historii o depeszy, nagłej czyjejś chorobie czy cofnięciu urlopu. Są sytuacje w życiu - nieliczne zresztą - kiedy lepiej jest znać prawdę. Powinnam być dumna z mojej wnuczki, że nie potrafi mieć kochanka, ale kiedy tak na pana patrzę, Bóg mi świadkiem, że nią nie jestem.

— Dziękuję pani - powiedział Gaston z lekkim ukłonem.

— Pozostaje panu ponadto smutny obowiązek odwiezienia mnie do Warszawy. Czuję się ostatnio trochę niedobrze i trudno by mi było samej odważyć się na tę podróż.

Gaston skłonił się jeszcze raz.

- Mam nadzieję - powiedział - że zechce pani zostać w Zakopanem pod moją opieką do końca miesiąca, tak jak pani poprzednio zamierzała.

Sprawi mi to prawdziwą przyjemność.

Starsza pani uśmiechnęła się w zamyśleniu.

- Pan i ja jesteśmy wymierającym gatunkiem ludzi. Świat nas nie potrzebuje. Ale my czujemy ulgę spotkawszy się gdzieś po drodze.

XXI

- Przedzwońcie - powiedziała młoda osoba w okienku.

Magdalena traciła cierpliwość.

- Ale ja jestem jego żoną, rozumiecie? - krzyknęła, stawiając na ziemi walizkę. - Zona! Na pewno mnie przyjmie.

- Nie wiem, czy was przyjmie. Przedzwoncie -
powtórzyła tamta apatycznie.

Ludzie w kolejce do okienka biura przepustek zaczęli szemrać. Magdalena chwyciła walizkę i stanęła przed budką telefoniczną. Tu takie trzeba było czekać. Z trudem panowała nad sobą. Znów nie wiedziała, co powie Piotrowi, gdy go zobaczy. Pomyślała, czy jednak nie lepiej było czekać na niego w domu, wśród znajomych ścian i sprzętów. W takich chwilach jak ta, która miała nastąpić, martwe przedmioty posiadały moc wstawiania się za ludźmi. To one, nie słowa, przypominały wszystkie dobre godziny, które przeżyło się w ich poczciwej obecności. Postanowiła jednak zobaczyć się z Piotrem zaraz po wyjściu z pociągu. Chciała być przy nim, dotknąć jego ręki. Chciała zapłakać i powiedzieć mu, że nie może żyć bez niego, że naprawdę nie może żyć bez niego - wszystko było głupstwem i nieporozumieniem, ta jedna myśl była prawdziwa.

Ktoś krzychał do telefonu w budce:

- Towarzyszu Osiński! Tu mówi Kasprzak. Jestem tu na dole. Nie przypominacie mnie sobie? Jak możecie mnie sobie nie przypominać?

Przecież mieszkaliśmy obok siebie w Krasnym Stawie. Małośmy to razy... Jutro? Nie mogę jutro. Jestem wzywany do Warszawy i właśnie chciałem przedtem z wami się zobaczyć. Dobrze, przyjdę przed czwartą. Tylko załatwcie już tę przepustkę. Mam jeszcze raz przedzwonić? Dobrze, przedzwonie.

Magdalena rozejrzała się po małym hallu. Na ścianie wisiały kolorowe plakaty z zeszłorocznego 1 Maja. Posuwała się z walizką w kierunku budki. Teraz ogarnęła ją panika. Miała za chwilę usłyszeć głos Piotra. Pierwsze słowo! Pierwsze słowo, które należało powiedzieć. Nie mogąc opanować drżenia rąk, nakreśliła numer wewnętrznego aparatu w pokoju Piotra.

Odezwał się obcy głos.

— Chciałam mówić z towarzyszem Kwaśniewskim -
wyjąkała.

— Towarzysz Kwaśniewski już tu nie siedzi.

— A gdzie siedzi?

— U siebie.

— Gdzie?

— U siebie. W swoim gabinecie.

— Jaki tam jest numer, w tym gabinecie?

— A kto mówi?

Powoli odwiesiła słuchawkę. Wstydziła się przyznać, że jest żoną Piotra i nie wie, jaki jest jego nowy numer telefonu. Wyszła z budki i wróciła, wciąż wlokąc za sobą walizę, pod okienko. Nie chciano jej przepuścić bez kolejki.

- Już tu byłam - powiedziała groźnie. - Nie mogę się dodzwonić.

- Przedzwońcie jeszcze raz - mruknęła osoba w okienku.

Magdalena spojrzała na nią złym spojrzeniem.

— Może numer jest niedobry? Jaki numer ma telefon w tym pokoju?

— Sto czterdzieści trzy. Przedzwońcie na sto czterdzieści trzy. Wróciła znów pod budkę telefoniczną.

— Już tu byłam - uprzedziła protesty. Musiała jednak i tak czekać, telefon był zajęty. Tym razem głos rozmawiającego brzmiał dramatycznie.

— Musicie mnie przyjąć - wołał. - Zwolniłem się na jeden dzień, żeby tu przyjechać. Dwanaście kilometrów do kolei na piechotę, o drugiej w nocy musiałem wyjść z domu, a wy mnie nie możecie przyjąć?

Człowiek w budce zamilkł, a po chwili wybuchnął z jeszcze większą goryczą:

- Towarzyszu Kwaśniewski, ja wiem, że wy jesteście zajęci. Wszyscy w Polsce są zajęci, wszędzie, gdziekolwiek by zapukać. Ale gdzie ma iść człowiek, który szuka sprawiedliwości? Pytam się was, gdzie człowiek ma szukać sprawiedliwości?

Magdalena wstrzymała oddech. Odpowiedź Piotra nie trwała długo.

- Ja pracuję na dniówkę, towarzyszu Kwaśniewski - zaczął znowu człowiek w budce. - Powinniście o tym wiedzieć. Jak się człowiek zwalnia, to nie zarabia. Nie mogę przyjść do was w przyszłym tygodniu. Musicie mnie przyjąć dzisiaj.

Magdalena dałaby wiele, żeby Piotr natychmiast przyjął tego człowieka. Zapomniała, dlaczego sama tu stoi, tamta nie znana jej sprawa była w tej chwili najpilniejsza.

- Towarzysze z KC też by mogli ze mną porozmawiać - odezwał się znów człowiek w budce.

Zaległa chwila ciszy, a potem wolno i już bez zdenerwowania wypowiedziane słowa:

- Pod Monte Cassino, towarzyszu Kwaśniewski, nikt nam nie kazał czekać. Wtedy nikt nam nie kazał czekać. Mogliśmy być natychmiast przyjęci przez Pana Boga bez biura przepustek i telefonowania.

Magdalena wpiła paznokcie w dłonie. Czekający przed budką spuścili głowy.

- Towarzyszu Kwaśniewski, nie możecie pozwolić mi odejść! Jeśli pozwolicie mi odejść... Towarzyszu Kwaśniewski! Towarzyszu! – Człowiek krzyczał w słuchawkę, uderzał dłonią w widelki, jeszcze raz nakręcał numer.

Magdalena czuła na twarzy piekący rumieniec.

— Poczekajcie - powiedziała, gdy wyszedł z budki. Był to młody robotnik w waciaku i wypłowiałej czapce w rękę. Zaschnięte na butach błoto świadczyło, że mówił prawdę o dwunastu kilometrach, które przebrnął, aby dostać się do stacji. Patrzył na nią zdziwiony.

— On was musi przyjąć - powiedziała szybko. - Zobaczycie, on was zaraz przyjmie. Zadzwoń do niego i zaraz was przyjmie.

Tymczasem w budce był już ktoś inny. Magdalena stanęła przy samych drzwiach, żeby już nikomu nie pozwolić się ubiec. Tym razem rozmowa trwała krótko. Jeszcze raz wsunęła walizkę do budki. - Sto czterdzieści trzy - powtarzała w duchu. - Sto czterdzieści trzy. - Telefon nie odpowiadał. Widocznie Piotr,

zdeenerwowany natręctwem poprzedniego rozmówcy, nie podnosił słuchawki. Nakręcała numer raz po raz, wściekła, bliska łez. Trwało to dość długo. Ktoś zniecierpliwiony zapukał do drzwi budki. Odwróciła się do niego plecami i jeszcze raz nakręciła numer. Sygnał brzmiał czysto i donośnie. Nie odrywała słuchawki od ucha. Dygotała cała ze zdenerwowania i gniewu.

Kiedy wreszcie w słuchawce odezwał się głos Piotra, była tak zdumiona, że nie mogła wykrztusić słowa.

— Kto mówi? - krzyknął Piotr.

— Magdalena - odpowiedziała cicho.

— Kto? - spytał z niedowierzaniem.

— Magdalena.

— Skąd dzwonisz?

— Z dołu. Tu jest właśnie do ciebie jeden człowiek, którego musisz przyjąć.

— Rozmawiał już ze mną. Powiedziałem mu, że nie mogę go przyjąć. Kiedy przyjechałaś?

— Przed godziną. Ale on szedł dwanaście kilometrów do stacji. I wstał o drugiej w nocy - musisz to zrozumieć.

— Są u mnie towarzysze z KC, nie mam czasu. - Głos Piotra brzmiał oficjalnie, naprawdę jakieś obce osoby musiały siedzieć w jego pokoju.

— Więc i mnie nie przyjmiesz?! - krzyknęła.

— Przepraszam cię, nie mogę. Jedź do domu. Zadzwoń, gdy tylko będę mógł.

— Ale ten człowiek, ten człowiek, Piotrze!

— Proszę cię, jedź do domu - powtórzył i odwiesił słuchawkę. Naprawdę odwiesił słuchawkę. Magdalena nie mogła w to uwierzyć, ale w słuchawce brzmiał przeciągły sygnał wolnego przewodu. Ktoś znów zapukał do drzwi. Wyszła, ciągnąc za sobą walizkę. Robotnik patrzył na nią oczekująco.

Przywołała go ruchem ręki.

- Pójdzie pan ze mną - powiedziała, gdy się zbliżył.

Otworzyła torebkę, żeby wyjąć chusteczkę. Czuła wilgoć w oczach i w nosie.

- Pojedzie pan ze mną do Sopotu - dodała. - W domu poczeka panna towarzysza Kwaśniewskiego. Teraz nie może pana przyjąć, bo ma ważną konferencję z przedstawicielami KC, ale w domu będzie mógł z panem spokojnie porozmawiać. To jest mój mąż - wyjaśniła.

Robotnik zaczerwienił się. Schylił się i podniósł z ziemi jej walizkę.

- Pomogę pani - rzekł, unikając jej spojrzenia.

Milczał przez całą drogę, którą odbyli autobusem. Magdalena także nie miała ochoty na rozmowę. Apatycznie patrzyła na mijane ulice - Gdańsk, Wrzeszcz, Oliwa, Sopot - znała każdy dom na tej trasie.

W mieszkaniu najniespodziewaniej zastała Jasia. Obydwoje byli sobą zaskoczeni. Jaś może nawet trochę nieprzyjemnie. W przedpokoju wisiały buchające zapachem Soir de Paris popielice. W obłoku tych perfum gość Magdaleny rozbierał się powoli ze swego waciaka,

— Mężulek nie spodziewał się pani tak prędko. - Jaś krążył koło niej, proponując świeżo zaparzoną herbatę, kanapkę z sardynką i kieliszek wermutu.

— O mężulka mniejsza - powiedziała, patrząc na niego z ukosa. - To zdaje się dla pana wróciłam trochę za wcześnie.

Jaś uśmiechnął się półgębkiem.

- Zaraz zrobi się porządek - powiedział.

Miał czterdzieści lat i dziewięćdziesiąt kilo wagi. Jako sublokator posiadał wiele zalet, z których najważniejszą była ta, że w domu przebywał krótko, między dalekimi rejsami, a stęskniony do rodzinnej atmosfery, zachowywał się potulnie, jak jagnię, w dodatku jagnię obładowane pomarańczami i dakr tylami, zaopatrzone w dobre trunki i papierosy, znajdujące się na damskich nylonach i innych fataląszkach.

Właścicielka popielic szybko znalazła się w swoim futrze. Jaś, czuły i wzdychający, odprowadził ją do bramy. Po chwili już był z powrotem. Magdalena kończyła nalewać herbatę.

— Więc zaprasza pan na śniadanie mnie i mego gościa?

— Kto to jest?

— Nie wiem. Chce rozmawiać z Piotrem. Był w KW, ale Piotr go nie przyjął. Musi tu poczekać na niego.

— Ale on o tym wie?

— Nie

— No, no - mruknął Jaś. - U kogo będziemy jeść?

— U nas nie pościelony tapczan.

— U mnie też - szepnął Jaś.

— Wobec tego nakryjemy w kuchni. Będę musiała powiedzieć temu człowiekowi, że pan jest marynarzem i do pana należą te przysmaki, żeby nie pomyślał, że aktywiści partyjni i ich rodziny co dnia jedzą takie śniadania. Strasznie krzyczał na Piotra przez telefon.

— Piotr awansował. Wie pani o tym?

— Nie! - krzyknęła.

— Od razu byłem tego pewny. Cóż to zja mąż! Nic nie napisał?

— Nie.

— Powinna go pani przynajmniej zdradzić w tym Zakopanem. Zasłużył na to.

— Czymże on teraz jest? - spytała szybko.

— Kierownik wydziału - figura!

Magdalena przysiadła na brzegu krzesła.

— To dlatego nie pojechał ze mną.

— Tego już nie wiem - roześmiał się Jaś. - Pracuje bardzo dużo. Wiosna się zbliża, trzeba zaorać jak najwięcej miedz. Szału dostali z tymi spółdzielniami..

— Piotr też?

- Kierownik wydziału! - odpowiedział, rozkładając ręce.

Skrzypnęły drzwi od łazienki, gość Magdaleny skończył mycie. Stała na progu i poprosiła go do kuchni. Nie chciał jeść. Jaś musiał przemocą posadzić go przy stole.

- Nie jestem głodny - upierał się.

Magdalena nałożyła mu na talerzyk sardynkę. Sądziła, że to brak obycia powstrzymuje go od jedzenia. Jaś przyniósł ze swego pokoju butelkę whisky..

— Napije się pan jednego i od razu przyjdzie panu apetyt. Zobacz pan, jakie to dobre.

— Owszem, lubię whisky - powiedział młody człowiek.

Jaś zamrugał powiekami, ręka z butelką zawisała mu nad kieliszkiem.

- Lubi pan whisky? - powtórzył.

Gość uśmiechnął się nieznacznie.

- Wojnę spędziłem na Zachodzie - wyjaśnił, gdy wciąż patrzyli na nie go natarczywie zaciekawieni. - Potem półtora roku spędziłem w samej Anglii na rekonwalescencji.

Magdalena podsunęła mu cytrynę. Wziął ćwiartkę i wydusił na sardynkę.

- Pan był pod Monte Cassino - powiedziała do Jasia.

Marynarza ogarnął nastrój patriotyczny. Skoczył do swego pokoju po jeszcze jakąś butelkę, oliwki, pasztet i anchois.

- Prześladują pana? - zawołał z rozrzewnieniem. - Na pewno pana prześladują. To jasne! Ale dobrze panu tak, po co pan tu wracał?

Młody człowiek milczał. Jadł i milczał, nie był skory do zwierzeń.

Magdalena patrzyła na niego z zadowoleniem. Nie uznawała szczerości w większym gronie. Dbała, żeby miał coś zawsze na

talerzu. Sama jadła niewiele, miała ochotę się upić, zamroczyć się i zapomnieć o wszystkim. Jaś zrobił jej cocktail z soku pomarańczowego, dżinu i wermutu. Po każdym łyku oczekiwał komplementów. Wciąż dopytywał się, dlaczego wróciła z Zakopanego na kilka dni przed końcem urlopu.

— Wielbiciele mi się znudzili - powiedziała, wstając. - Niech pan uważa, wielbiciele nudzą mi się dość szybko. Wtedy prawem kontrastu tęskni się do męża - nawet do takiego, który nie napisał ani jednego listu.

— Powinna go pani zdradzić! Powinna go pani zdradzić! - upierał się Jaś. - To jedyna rada na zapracowanych mężów.

— Na razie muszę się położyć. Jestem bardzo zmęczona. Mam nadzieję, że pan dotrzyma towarzystwa mojemu gościowi. - Przystanęła na progu. - Tylko, już nie pijcie. Pan musi rozmawiać z Piotrem.

- Do tego czasu zdąży wytrzeźwieć, może pani być spokojna. Piotr nigdy nie zjawia się przed wieczorem. A jeszcze dziś, kiedy są ci z KC, dobrze będzie, jeśli zawita tu na dziesiątą.

- Wie przecież, że na niego czekam - powiedziała Magdalena ze zniecierpliwieniem.

Jaś nic nie odrzekł.

Wzięła tusz i wyciągnęła się na tapczanie. Żeby nie słyszeć głosów dobiegających z kuchni, nakryła głowę poduszką. Ale sen nie przychodził. Pościel przesycona była zapachem Piotra. Czuła jakby przy nozdrzach jego skórę, włosy, palce przypalone zawsze papierosami. Gaston pachniał inaczej. Wycofała się w popłochu z tych porównań. Od chwili wyjazdu z Zakopanego starała się nie myśleć o nim. Wolałaby, żeby mogła o nim myśleć. Ten brak odwagi nadawał niepotrzebnego znaczenia jej zakopiańskiej przygodzie. Przypomniła sobie przedwojenne przyjaciółki matki, o których się mówiło, że jeżdżą do Zakopanego, żeby się wyszumieć. Po każdym sezonie wracały w świetnych humorach i przez cały rok były wzorowymi żonami.

Zadzwieczał telefon. Odrzuciła poduszkę i w sekundę była przy nim. Zamiast głosu Piotra usłyszała jednak damski sopran, dopominający się o Jasia.

— Wyjechał - powiedziała z prawdziwym smutkiem.

— Już? - przeraził się sopran.

— Już.

— A kiedy wróci?

— Za cztery miesiące.

— Dopiero za cztery miesiące?

— Może jeszcze później.

— To przepraszam.

— Proszę.

„W kuchni Jaś z nieznanym osobnikiem śpiewali „Czerwone maki pod Monte Cassino”. Wróciła na tapczan i przykryła głowę poduszką. Poczula potrzebę pocieszającego płaczu, który nieraz przywracał jej straconą równowagę.

Wyplakawszy się do woli, zasnęła. Śniło się jej ośnieżone

wzgórzu i ostry zjazd na nartach, Piotr i Gaston w slipach nad rzeką w Edelheim, wreszcie budka telefoniczna w KW. Obudziła się, jakby ją ktoś uderzył. Odrzuciła poduszkę i usiadła na tapczanie. Telefon milczał. Mimo to podeszła i podniosła słuchawkę. Równy, spokojny sygnał kpił z jej nadziei. Z kuchni dobiegał stłumiony męski szept, donosniejszy niż głośna rozmowa. Spojrzała na zegarek: dochodziła piąta. Jaś miał rację, znał dobrze ostatnie obyczaje Piotra. Ubrała się i wyszła po zakupy. Kredens był pusty, Piotr musiał w ogóle prawie wcale nie jadać w domu. Znajome sklepy, ekspedientki, witające ją po powrocie, miłe uwagi na temat jej wypoczętego wyglądu - to wszystko podziało na nią pocrzepiająco. Z radością niosła do domu chleb, dziesięć jaj, kawałek kielbasy i kostkę masła. Postanowiła zaraz zabrać się do sprzątnięcia, mycia i wietrzenia - mieszkanie było zaniedbane.

Jaś z gościem urzędowali w kuchni. Marynarz miał potężnie w czubie, ale człowiek czekający na Piotra był trzeźwy. Wstał, gdy weszła.

— Chyba się nie doczekam - powiedział. - Jutro muszę być w robocie.

— Przykro mi - Magdalena usiłowała wyglądać na zmartwioną. W gruncie rzeczy cieszyło ją takie zakończenie tej niespodziewanej wizyty. Nie miała pewności, czy Piotr byłby z niej zadowolony. - Niech pan przynajmniej mnie powie, o co chodzi - zagadnęła - może będę mogła panu pomóc.

Potrząsnął głową.

- Nie. Pani mąż musi to sam usłyszeć. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Dziękuję za dobre chęci.

W tej chwili w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz. Magdalena wybiegła do przedpokoju.

Piotr był mizerny, oczy mu się zapadły, czoło przecinała pionowa zmarszczka. Uśmiechnął się na jej widok i pocałował w policzek,

— Ślicznie wyglądasz - powiedział. Wzrok jego znieruchomiał; dostrzegł w kuchni obcego mężczyznę.

— Kto to jest?

— To jest ten człowiek, którego nie chciałeś przyjąć. Zabrałam go ze sobą do domu. Musisz z nim porozmawiać.

- Magdaleno! - jęknął z wyrzutem. - Jestem taki zmęczony. Schyliła głowę.

- To chyba nie potrwa długo. Musiałam to zrobić, Piotrze, musiałam.

Ze względu na ciebie.

Piotr otworzył drzwi do pokoju.

— Wejdźcie! - powiedział. Zobaczył nie zasłany tapczan i zatrzymał się.

— Skorzystajcie z mego pokoju - wmieszał się Jaś. - Zaraz wrzucę pościel do tapczanu. Ja i tak wychodzę.

— Jesteś głodny? - zapytała szybko Piotra.

— O, tak! - westchnął, - W ogóle mało ostatnio jadłem.

— To widać - powiedziała, dotykając jego ramienia.

Na razie więc wszystko poszło dobrze. Magdalena stała w kuchni, podniósłszy do ust splecione dłonie. Okazało się, że mogło być i tak - zwykłe powitanie, trochę serdeczności, tak jakby rozstali się rano. Czuła do siebie nieomal żal, że jednak będzie musiała mu powiedzieć. Kapali się razem w bawarskiej rzece, potem razem wysadzili most, a jednak będzie musiała mu o nim powiedzieć. Nie potrafi żyć obok niego z tą tajemnicą.

Wyjęła z siatki zakupy, masło przełożyła do maselniczki, dokładnie ubijając łyżką. Postanowiła usmażyć mu jajecznicę, porządną jajecznicę z pięciu jaj na kielbasie. Mizerny wygląd Piotra przeraził ją. Może jest chory? Poważnie chory, a ona w tym czasie odpoczywała i bawiła się w Zakopanem. W dodatku będzie musiała go zmartwić - to było nieuniknione. A jeśli Piotr jej nie przebaczy? Nie myślała dotąd wcale o tej ewentualności. Strach chwycił ją za gardło. Postawiła patelnię na kuchence i usiadła na brzegu krzesła.

Rozmowa się przeciągała. Po godzinie nie myślała już o niczym, tylko o tym, że Piotr jest głodny. Weszła do pokoju Jasia.

- Może ci jednak teraz dać coś do jedzenia? - zapytała.

Piotr skinął tylko głową. Na stole leżały rozrzucone papiery. Młody człowiek oskarżał jakichś ludzi, podawał nazwiska, miejscowości, daty.

- Ja mu mówię: nie kradnij zboża, a on mi od razu od Andersa! To samo było w Nowym Dworze, jak zadarłem z Mielczarkiem...

Magdalena spojrzała na niego z wyrzutem. Nie zauważył tego.

Zaniosła Piotrowi jedzenie. Potem czekała na niego chwyciwszy jakąś książkę, żeby czytając uwolnić się od niepokoju. Wreszcie rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Stłumiona rozmowa dochodziła z drugiego pokoju jak szmer wody. Usnęła.

Obudziła się w nocy. Piotr spał przy niej. Czowała na sobie jego ciężkie ramię. Trzymał ją tak samo jak pierwszej nocy i tak samo jak pierwszej nocy poczuła, że jest jej ciasno i niewygodnie. Nie poruszyła się jednak, słuchając jego oddechu. Spał głęboko, znużony śmiertelnie, powalony snem jak spracowane zwierzę. Nie chciał o niczym wiedzieć, o nic pytać, nie chciał całować ani kochać, chciał spać. Ostrożnie poszukała jego dłoni i pocałowała woniejące nikotyną palce. Nie trzeba było go niepokoić. Była przy nim, kochała go - wszystko inne nie miało żadnego znaczenia.

XXII

— Nie mogła trzasnąć w bardziej odpowiednim miejscu - rzekł Piotr wesoło do zmartwionego kierowcy. Ten, pochylony nad kołem, podniósł na niego pytający wzrok. - Mam tu niedaleko za zakrętem znajomego rybaka - wyjaśnił. Otworzył drzwiczki samochodu i wyciągnął rękę do Bronki. - Wsiadamy! To się nie da tak szybko naprawić. A poza tym mam dla was niespodziankę. Powiedźcie, czy znacie ładniejszy zakątek?

— Nie zamierzacie chyba sprzedać mi tego jeziora? - Patrzyła bez uśmiechu na wklęsłe gniazdo połyskliwego błękitu

między pokrytymi lasem pagórkami. Słońce przypiekało. Pomyślała, że on rozbierze się zaraz i skoczy w wodę, nie myśląc jaką jej sprawi tym przykrość. Poczwała gwałtowne pragnienie, aby także zanurzyć się w wodzie, popłynąć na wznak, widząc niebo nad sobą. A potem leżeć na brzegu i pozwalać suszyć się słońcu. Przypomniała się jej Wisła, Prypeć, Berezyna i Wołga, rzeki, rzeczki i strumienie, nad którymi leżała beztrosko mimo wojny, niedostatku i niebezpieczeństwa, ogłuszona młodością i nadzieją na wszystko: na miłość, szczęście, na spokojną przyszłość świata.

- Przyjeżdżam tu zawsze na ryby podczas urlopu - ciągnął dalej Piotr, przyzwyczajony do jej nieoczekiwanych reakcji. - Nie macie pojęcia, jak tu się wypoczywa. Żadnych ludzi prócz starego rybaka, który nie odzywa się nie pytany. Och, jak łatwo można zaprzyjaźnić się z ludźmi, którzy milczą.

Zerknęła ku niemu z ukosa ro także ucieczka, towarzyszu Kwaśniewski.

Nie wiedział, czy żartuje przedłużając ich rozmowę w samochodzie. Uznał, że przyjemniej jest to sobie wyobrazić.

- Za każde „towarzyszu Kwaśniewski” płacicie złotówkę na dzieci koreańskie. Mamy godzinę urlopu, zapomnijcie o Gdańsku, komitecie, zebraniu, z którego wracamy, a które bardzo nam się nie udało, o jutrzejszej egzekutywie, na której będziemy musieli się tłumaczyć. Jest lato, ziemia pachnie sianem, wieczorem jesteśmy zaproszeni do Marciniaka, który oblewa dyplom, a przedtem mój przyjaciel rybak poczęstuje nas na pewno dobrym obiadem.

Bronka rozchmurzyła się.

— Dobrze. Chodźmy do niego.

— Tylko - Piotr dotknął jej ramienia - muszę was uprzedzić, że on nie zawsze jest taki milczący, czasem, gdy ma coś na wątrobie, nie szczędzi nam komplementów.

— Aha!

— Oczywiście, nie wie, kim jestem. I dlatego chciałem prosić was, żebyście także...

- ...nie przyznawali się do siebie, czy tak?

Piotr uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Nie tylko to - żebyście w ogóle nie reagowali na to, co mówi. Jeśli będzie mówił. Może dziś akurat nie okaże się rozmowny.

— Wiem więc teraz, jakiego rodzaju jest też jego milczenie. Ale mimo to obiecuję wam, że go nie zasypię.

— Bronka!

— To przecież mieliście na myśli?

Wziął ją pod ramię i poszli drogą. Za zakrętem wyłonił się dom rybaka. Gospodarza nie było w obejściu. Piotr zajrzał do izby i wyszedł po chwili z dwoma kubkami mleka.

— Pijcie! Gospodarz tego domu jest gościnny nawet podczas nieobecności. Pewnie jest nad jeziorem. Pójdziemy do niego.

— Nie zamyka domu?

— Tylko ludzie bogaci boją się złodziei. Kto by tu zresztą mógł go okraść?

— Przybysze z miasta, tacy jak my.

Mleko, wyniesione z chłodu, było zimne i orzeźwiające. Bronka piła z przyjemnością, przysiadłszy na ławce przy progu.

- Dobrze, co? - zapytał Piotr, biorąc z jej rąk pusty kubek.

Uśmiechnęła się wilgotnymi jeszcze ustami. Białe jej zęby błysnęły na

chwile, twarz stała się dziewczęca i śliczna. Patrzył na nią - nie mogła opanować rumieńca pod wpływem tego spojrzenia. Tak mało jej było potrzeba; trochę dobroci, trochę męskiej uwagi, a rozkwitała wewnątrz, otwierała się cała ze szczęścia.

Piotr odwrócił się powoli, Odniósł kubki, a ona sama, zmieszana trochę, wyszła na drogę.

- Cholera! - klął kierowca przy wozie.

- Może wam pomóc? - zapytał Piotr nadchodząc.

— Dam sam radę. Tylko mnie diabli biorą. Nawaliła w trzech miejscach.

— Nie macie zapasowej?

— Skąd? A bo to dadzą zapasową? - Wzruszył ramionami i pochylił się nad dętką.

— Dwie godziny urlopu - powiedział Piotr do Bronki. Zeszli nad jezioro. Od wody zawiewał lekki wiatr i łożyszeleściły cicho.

Rybaka nie było na jego zwykłym miejscu. Piotr krzyknął raz i drugi. Nikt nie odpowiadał.

- Widocznie poszedł do wsi; wybiera się czasem po zakupy, gdy zabraknie mu soli albo zapalek.

Bronka usiadła na trawie.

— Ładnie tu - szepnęła.

— A nie mówiłem? A tak broniliście się przed przyznaniem mi racji.

— Kapituluję. Jest lato i ziemia naprawdę pachnie sianem. Pozwalam wam mówić o tych wszystkich głupstwach.

Wyciągnął się obok niej na ziemi. Miał ochotę zdjąć

koszulę, ale rozpiął ją tylko na piersiach.

Zauważyła ten ruch. Słońce przypiekało. Zrobiło się jej żal, że smaży się przy niej w ubraniu, zamiast wykorzystać należycie ten niespodziewany postój nad jeziorem.

- Właściwie powinniście się wykąpać - powiedziała, odwracając głowę.

Nie odpowiadał. Czują, jaką ma na to ochotę.

- Naprawdę powinniście się wykąpać - nalegała. - A ja będę opalać sobie nogi. Podniosła spódnicę nad kolana i obnażyła wysmukłe, silne uda.

Zdjęła ze zdrowej nogi pantofel i zanurzyła ją w wodzie. Chciała, żeby widział, jaka jest zgrabna, jaka prosta, wąska w kostce, zakończona małą stopą o różowych palcach.

Ale Piotr stał odwrócony do niej plecami i rozbierał się w milczeniu. Nosił zawsze ze sobą slipy, wracając z komitetu do domu schodził nad morze na wieczorną, samotną kąpiel. Teraz czuł się dziwnie skrępowany ich skąpym rozmiarem. Stał przez długą chwilę nie wiedząc, co począć. Jezioro pociągało chłodem, szkoda było rezygnować z kąpieli.

— Co się tam z wami dzieje? - zapytała. - Mogę się już obejrzeć?

— Proszę.

Ale nie odwróciła głowy. To zmieszało go jeszcze bardziej. Rozpędził się i skoczył do wody. Wynurzył się dopiero po chwili i wyszedł na brzeg, odgarniając mokre włosy z czoła. Nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie, że teraz jest mniej nagi.

- Woda jest wspaniała! Popłynę teraz na środek jeziora, a wy krzykniecie mi, gdy będę już na wprost tego cypla pod olchami.

Nie płyńcie tak daleko.,,

Zarumieniła się. Wydało jej się, że nie ma prawa bać się o niego. Piotr roześmiał się.

- Pływam dobrze. Przepląnąłem Wisłę po powstaniu. — Uśmiechnął się do niej. - Krzyknijcie do mnie od czasu do czasu.

Skinęła głową. Patrzyła za nim, jak schodził do wody,

wysoki i silny, brązowy od słońca, a krople wody lśniły na jego nagich plecach.

Przymknęła oczy. O, to było niepotrzebne. To było zupełnie niepotrzebne! Po co kazała mu się kąpać? Po co kazała mu się rozbierać? Po co w ogóle przyszła nad to jezioro? Ukryła twarz w dłoniach, ale wesoly okrzyk Piotra z jeziora zmusił ją do podniesienia głowy i pokiwania mu ręką. Płynął czałkiem; raz po raz jego ramiona wynurzały się z wody, wyrzucane nad głowę pięknym strzelistym ruchem. Zapragnęła nagle płynąć obok niego, widzieć z bliska jego twarz, poczuć choć przez sekundę przy sobie jego ciało.

Skoczyła w łozy i zaczęła się błyskawicznie rozbierać. Nie miała kostiumu, ale za to jak piękna była naga! Spoglądała ze zdumieniem na swoje piersi, przykryła je dłońmi, ale odsłoniła znowu” żeby móc na nie patrzeć. Przyłapała się na tym, że przeczuwa już jego spojrzenie. Przesunęła dłońmi po biodrach, po ich łagodnym, twardym łuku, powleczonym mleczną skórą. Serce biło jej w gardle. Pochyliła się i odpięła but protezy. Piotr krzyknął z jeziora. Nie odpowiedziała mu. Za chwilę będzie przy nim. Zanurzy się w wodzie i niczego nie będzie widać. Popłynie wyrzucając nad głowę ramiona. Szarpała z nienawiścią skórzany rzemień, noga uwolniona z ciężaru stała się swobodna i lekka. Powoli zdjęła skarpetkę z owiniętego nią kikuta. I natychmiast naciągnęła ją z powrotem. Znieruchomiała. Dusił ją strach. Patrzyła przed siebie przerażonymi oczyma. Sięgnęła po protezę. Nakładała ją, ciężko dysząc, w rozpaczliwym pośpiechu. Zasznurowała but. Kalecząc sobie palce, dopięła rzemień. I padła twarzą na trawę.

Piotr był daleko na jeziorze, gdy zaniepokoiło go jej milczenie. Nie odpowiadała na jego okrzyki, nie widział jej w tym miejscu, gdzie ją zostawił. Zawrócił. Wyszedł zdyszany na brzeg i rozejrzał się dokoła.

- Bronka - zawołał.

Nie odpowiadała.

- Bronka! - powtórzył niespokojnie. Rozchylił krzaki łoży i zatrzymał się przerażony.

Zobaczył nagie plecy dziewczyny, wstrząsane łkaniem. Ukląkł przy niej.

— Co się stało? Co się stało, Bronka?

— Idźcie! Idźcie stąd!

— Ale dlaczego? Dlaczego? Co się stało? Czy był tu ktoś? Powiedział wam co złego? - gładził jej nagie ramiona ruchem, jakim się uspokaja dziecko.

— Idźcie.

Podniósł sukienkę i okrył ją. Potem położył dłoń na jej głowie.

- No, już cicho, cicho - powiedział. - Sza! Nie trzeba płakać. Ryby uciekną z jeziora.

Podniosła twarz i spojrzała na niego błyszczącymi gniewem oczyma.

- Nienawidzę was! - szepnęła namiętnie. - Nienawidzę!

Mimo to nie przestawał gładzić jej włosów i przemawiać pieszczotliwie. Uspokajała się powoli.

- Chcę się ubrać - szepnęła wreszcie w trawę.

Odszedł. Obsuszył się na słońcu i pośpiesznie naciągnął koszulę i spodnie. Zapaliwszy papierosa, czekał na nią. Gwizdał od czasu do czasu jakąś melodyjkę. Chciał, żeby zrozumiała, że nic się nie stało. Że on tak uważa i ona nie ma powodu, aby sądzić inaczej.

— Bronka! - krzyknął. - Cóż wy tak długo tam robicie?

— Zaraz - odpowiedziała spokojnie. - Zaraz będę gotowa.

Odetchnął z ulgą.

- Mam przecucie, że nasz rybak jest już w domu. Och, dobrze mówię: dym idzie z komina. Na pewno dostaniemy coś do jedzenia. Pośpieszcie się.

Wyszła z zarośli dopinając ostatnie guziki bluzki. Na twarzy znać jeszcze było niedawne łzy, ale usta usiłowały się

uśmiechać.

Piotr zbliżył się i szybko pocałował ją w rękę. Bez słowa ruszyli w stronę domu rybaka.

Piotr miał rację, staruszek przygotowywał się do obiadu.

— Głodnego nakarmić, spragnieni sami się napoili - zaczął od progu. - Zauważyliście, że mleko wam ktoś wypił?

— Co miałem nie zauważyć? - stary pokazał swój jedyny ząb. - Od razu zauważyłem. Ale pomyślałem sobie, widać ktoś zdrożony koło domu szedł, ochłody szukał - to i na zdrowie!

— Wprawdzie nie byliśmy zdrożeni, ale ochłody szukaliśmy. Pyszne mleko! Tylko ma jedną wadę.

— Moje mleko? - oburzył się staruszek.

— A wasze. Dodaje apetytu. Macie co na obiad?

— Ryby u mnie zawsze dosyć. A jak zabraknie, to i dołapać można.

- Dajcie, oczyszczę.

Płonka otworzył klapę w podłodze i wyciągnął z piwnicy sito z rybami.

- Ja to zrobię - odezwała się Bronka.

Rybak dopiero teraz spojrzął na nią. Potem na Piotra, potem znów na nią, uważnie i surowo. Bronka zarumieniła się. Piotr udał, że tego nie widzi.

— A gdzieście to tak spacerowali do południa? - zagadnął. - Może byliście na jakim zebraniu?

— Ja tam na zebrania nie chodzę. Namawiają tam ino i namawiają, a na mój rozum do dobrego nie trzeba ludzi namawiać. Do Gminnej Spółdzielni w Jeziorzanach chodziłem. Nafta miała przyjść.

— I nie przyszła?

— Może i przyszła. Ja nie dostałem.

— Dlaczego?

— A bo jak dadzą czego mało, to im aby dla swoich starczy. A ja z kierownikiem nie mam żadnych interesów. Taka sprawa.

— Nie mówiliście o tym nikomu?

— Komu powiem? Pójdę do gminy, a w gminie tacy sami. Wszyscy się znają jak łyse konie.

Piotr zawzięcie skrobał rybę. Bronka wzięła na kolana kota i gładziła jego lśniąca sierść. Oboje milczeli.

- Ale co - ciągnął dalej stary - złodzieje u nas niczego się nie boją.

Mają swoje sposoby, żeby do więzienia się nie dostać.

Uderzyło go w końcu milczenie jego gości. Chwilę czekał, że podniosą głowy, a gdy to nie następowało, dorzucił:

— Nasłuchałem się różności, jakżem stał za tą naftą. Wszyscy ludzie tak mówią. Wszyscy!

— Złodzieje też! - powiedział Piotr.

— Jak to złodzieje?

— Złodzieje też. Dlatego u nas nie ma uczciwości, że każdy widzi tylko cudze złodziejstwo. A własne sobie przebacza. Albo je usprawiedliwia. Ludzie z PGR przychodzą po naftę, a gdy jej nie

dostaną, to narzekają, że kierownik spółdzielni złodziej. Ale nie mówią o tym, że sami kradną zboże, mleko, że na państwowym hodują własny inwentarz. A kierownik spółdzielni mówi znowu o nich, że złodzieje. I tak w kółko.

— I nie ma na to rady? - spytał stary.

— Jest. Wychowywać ludzi i uczyć.

— Iii tam - Płonka ruszył ramionami. - Czekaj tatka latka. Na mój rozum to inaczej trzeba by tym pokierować. Jak córka widzi, że matka - przepraszam panią - się kurwi, to i ona taka sama.

— A czasem matka do kościoła lata, a córka psy pasie - odezwała się wreszcie Bronka. - Tak się też zdarza, prawda?

— Ano zdarza się, ale rzadziej. - Stary nie dał się przekonać. Uznał jednak, że dosyć tej rozmowy i dołożył szczap do ognia. Piotr był gotów z rybami i za chwilę olej zaśpiewał na patelni.

— Kiedy wreszcie ja będę mógł zrewanżować się wam za gościnę? - zapytał, gdy zasiedli do stołu. - Wybieracie się już od roku.

— A jakoś mi do miasta niespieszne

— To... do nacierania jeszcze macie?

Stary zaczerwienił się, niepewnie zerknął na Bronkę.

— Aby trochę.

— Może w przyszłym tygodniu przyjadę na ryby, to wam przywiozę.

— Tylko z prawdziwą żoną przyjedź - mruknął stary, gdy się żegnali, a Bronka poszła przodem.

Piotr zatrzymał się zmieszany.

— To koleżanka.

— Mnie tam wszystko jedno, a dziewczynie taka sprawa niepotrzebna. Tobie też. Ot co. Przyjeżdżaj tylko z żoną.

Mimo wspaniałomyślnego ukazania zęba w uśmiechu Piotr czuł, że stary pożegnał go mniej serdecznie niż zwykle. Bronka siedziała już w wozie.

— Na brak tematów do myślenia nie możemy się dziś uskarżać - powiedziała.

— Mimo to nie będziemy o nich myśleć? Przypuszczalnie Marciniak ma coś rozweselającego do wypicia.

— Dlaczego powiedzieliście „rozweselającego”?

— Byłby z was dobry psychoanalityk!

— To jest, niestety, cecha, której nikt u mnie nie lubi. Ludzie dzisiaj nie znoszą, gdy się ktoś dobiera do ich podświadomości.

— Teraz ja was złapałem: powiedzieliście „dzisiaj”.

— Wobec tego: jeden jeden.

Piotr przymknął oczy. Do Marciniaków byli zaproszeni na piątą. Przyjadą co najmniej z godzinnym opóźnieniem. Przeczynał, jak Magdalena czeka na niego. Nie lubiła, gdy jeździł w teren. Wyobrażenia podsuwała jej najtragiczniejsze przypuszczenia. Pragnął być już z nią, tylko z nią, po przyjęciu u Marciniaków, po rozmowach z ludźmi, z dziesiątkami ludzi, którzy tłoczą się zewsząd - tylko z nią, z nią w ich małym mieszkaniu.

Gdy wstąpił do domu, okazało się jednak, że Magdaleny już nie ma. Umówił się z nią wprawdzie, że gdyby się spóźnił, sama pojedzie do Marciniaków, ale jej nieobecność w domu uderzyła go nieprzyjemnie. Przyzwyczajony był, że zawsze czekała na niego.

Powitała go na progu mieszkania Marciniaków. Usłyszała warkot samochodu i wybiegła mu naprzeciw. Na widok Bronki uśmiech jej zgasł. Piotr nie mógł tego zrozumieć; wiedziała przecież, że Bronka jest także zaproszona. Nie znały się dotąd. Dokonał prezentacji i czekał, że Magdalena wyrazi Bronce w jakiś sposób swoją wdzięczność za zainteresowanie się jej sprawą podczas śledztwa w UB. Uczyniła to. Nie był nigdy kobietą i nie mógł wiedzieć, ile ją to kosztowało. Pochyliła się i pocałowała Bronkę w zarumieniony od słońca policzek. Ale w tej samej chwili poczuł jej paznokcie wpijające się w jego dłoń. Trzymała go tak, gdy wchodzili do pokoju i gdy chciano posadzić ich daleko od siebie, a ona warknęła, że chce choć godzinę w ciągu dnia być razem z mężem. Siedzieli więc przy sobie, z racji ciasnoty mieszkania blisko swoich nóg i ramion, prawie w ciepłe swoich ciał.

Wznoszono toasty. Czerwony ze szczęścia gospodarz krążył wokół stołu i napelniał kieliszki, a Piotr myślał tylko o jednym: żeby wszystko wreszcie się skończyło i żeby szli już duszną od kwitnących lip uliczką Sopotu, sami, sami, sami do domu.

I on w końcu musiał wstać i powiedzieć coś na temat inżynierskiego dyplomu Marciniaka. Długo nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Bronka wpatrywała się w niego z natężeniem. Jej spojrzenie przypomniało mu myśl od dawna chowaną na tę uroczystość.

- Ty, Marciniak - powiedział - jesteś niezaprzeczalnym sukcesem naszych czasów. Ciebie trzeba pokazywać wrogom, żeby tracili nadzieję, a naszym towarzyszom, żeby nadzieja w nich rosła. Jestem pewny, że to nie ty mnie powinienesz dziękować za pomoc, ale ja tobie; że dokonałeś tego, że w ogóle jesteś.

Koledzy Marciniaka ze stoczni hałaśliwie tręcali się kieliszkami. Magdalena znów wpiła paznokcie w dłoń Piotra. Przymknął oczy pod wpływem tego słodkiego bólu.

- Lody! - krzyknęła nagle Marciniakowa.

Magdalena poderwała się z krzesła. W ciasnej spizarce, gdzie było najchłodniej, kręciła lody w pożyczonej maszynie. Po chwili powróciła i położyła dłoń na ramieniu Piotra.

- Musisz mi pomóc.

Spizarnia znajdowała się za kuchnią. Magdalena starannie zamknęła drzwi.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ona jest taka ładna? - wybuchnęła. Zanim zdążył odpowiedzieć cokolwiek, poczuł na ręce jej zęby. Ugryzła go dotkliwie, do krwi. Krzyknął cicho, ale w tej samej chwili objęła go za szyję i zaczęła gwałtownie całować.

XXIII

- Od kogo ten list? - spytała.

Piotr wahał się. Zauważyła, że miał zamiar nie powiedzieć jej prawdy, ale czekała zbyt natarczywie.

- Od tego człowieka, którego przyprowadziłaś tu z KW po powrocie z Zakopanego. Pamiętasz? Ile to? Z półtora roku temu. Jest w Prabutach w sanatorium - dodał cicho - odezwała mu się w płucach rana spod Monte Cassino. - I nagle krzyknął: - Nie mogłem mu

pomóc. Chciałem, ale nie mogłem!

Patrzyła na niego zdumiona.

— Uspokój się! Jaś pomyśli, że się kłócimy.

— Przepraszam cię. - Piotr dotknął palcami czoła.- Po co ten człowiek napisał do mnie?

Magdalena podeszła do niego i objęła go.

— Może jednak mu odpiszesz?

— Po co? Nie potrafiłem go uratować.

- Ale w końcu jest w sanatorium. Może go wyleczą?

Machnął ręką.

— To przecież nie o chorobę chodzi. Choroba jest tylko przypadkowym zakończeniem tej historii. Zadręczyli go ludzie, dla których był niewygodny. Mali i podli ludzie, załatwiający porachunki osobiste pod płaszczykiem czujności klasowej. A my wciąż musimy być czujni! On tego nie rozumie. On to uważa za krzywdę. - Złożył list i wsunął go do kieszeni. - Ludzie zrozpaczeni mają skłonność do patetycznych sformułowań. To ozdabia ich cierpienie blaskiem tragedii. I pomyśleć, że antyczność zostawiła nam prawie gotowe formuły na wszystkie odmiany ludzkich katastrof.

— Przynajmniej ten powód zarozumiałstwa odpada waszej epoce. Ubieraj się, bo się spóźnimy. - Magdalena nie znajdowała zrozumienia dla refleksji Piotra. Doraźność jej własnego zmartwienia odsuwała na dalszy plan wszystkie inne sprawy. Za godzinę mieli jechać na pogrzeb babki do Warszawy.

Starsza pani umarła na serce nagle, pośród nocy, nie pozwalając się oglądać nikomu podczas tej kłopotliwej chwili. Zawsze dbająca o estetyczny wygląd, chciała go zachować nawet we wspomnieniach o sobie. Magdalena wyłakawszy się już po otrzymaniu telefonu od ojca, przypominała sobie teraz wszystko, co babka ostatnio do niej mówiła, jakby śmierć miała nadać jej słowom nową treść. Lekkie, niespodziewane odejście było pocieszeniem. Starsza pani umarła tak, jak sobie tego życzyła: bez wyczekiwania w łóżku na ostatni moment, bez strapionych oczu wokół siebie. Rozstała się ze sobą sama, dyskretnie i prawie elegancko. Magdalena podziwiała ją w duchu; śmierć była jeszcze jedną niespodzianką, jaką

babka sprawiła swoim bliskim.

- Weź dwie białe koszule do walizki - powiedziała do Piotra.

Zastanawiała się, czy Gaston będzie miał na tyle taktu, aby nie zjawić się na pogrzebie. Nie przypuszcza chyba, że przyjedzie bez Piotra. Po incydencie zakopiańskim zaprzyjaźnił się z babką i bywał na Saskiej Kępie. Widywała go od czasu do czasu, ale nigdy za pośrednictwem babki - miał dobre informacje o wyjazdach i konferencjach Piotra i zjawiał się wtedy, zawsze usprawiedliwiony odpowiednio doniosłym interesem służbowym na Wybrzeżu. Nie żywił do niej urazy za rozstanie po jedynej nocy, jaką razem spędzili. Nie mogła zresztą wiedzieć tego na pewno, nigdy na ten temat nie rozmawiali. Spędzali ze sobą kilka godzin w kawiarni lub na spacerze, rozmawiając o sprawach tak odległych od miłości, aż chwilami Magdalena czuła się tym dotknięta. Piotr oczywiście nie mógł o niczym wiedzieć, tego wyraźnie żądała. Gaston nie podzielał jej zdania; skoro ich stosunek był już tylko przyjaźnią, dlaczego Piotr miałby o tym nie wiedzieć? Nie dawała się jednak przekonać.

Piotr wszedł do łazienki po przybory toaletowe. Do pokoju wśliznął się Jaś.

- Chciałem się pożegnać - powiedział. - Jutro odpływam.

Magdalena z roztargnieniem podała mu rękę.

- Wszystkiego najlepszego - szepnął. - Niech się pani niczym nie przejmuję.

Szczególny sposób składania kondolencji - pomyślała. Jaś patrzył jej w oczy ze smutną serdecznością.

— Kiedy pan wraca? - spytała, żeby coś powiedzieć.

— Jak zwykle. Za trzy miesiące.

Wszedł Piotr, wymienili uścisk ręki. Jaś chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zaniechał tej myśli. Cicho zamknął drzwi za sobą.

Pogrzeb starszej pani odbywał się w południe wczesnego jesiennego dnia. Żółte liście zaścielały już alejki cmentarza, słońce świeciło jednak ostro. Magdalena przymknęła oczy i pozwoliła się prowadzić Piotrowi, ciężko oparłszy się o jego ramię. Chciała tym fizycznym ciężarem zmusić go do tego, żeby zajmował się tylko nią, żeby nie przyszło mu do głowy rozglądać się i obserwować

uczestników pogrzebu. Zdawało się jej, że zauważyła przed bramą cmentarza popielaty samochód Gastona. Wśród kwiatów pokrywających trumnę w oszklonym karawanie wyróżniała się jaskrawo ogromna wiązanka płomiennych róż. Starsza pani nawet po śmierci miała wielbicieli. Przy układaniu kwiatów Magdalena zauważyła na wąskiej wstążce złoty napis „Mojej czcigodnej przyjaciółce - GA.” Bała się, że będzie tak nieostrożny i narazi się na spotkanie z Piotrem. Może chciał tego? Po Gastonie można było wszystkiego się spodziewać.

Te myśli w znakomity sposób odwoziły ją od żalobnej rozpacz. Stała nad otwartym grobem z twarzą tak roztargnioną, że ojciec, podtrzymujący matkę, spojrzał na nią karcąco. Spuściła oczy, żal za babką znowu targnął jej sercem, oparła się ciężej na ramieniu Piotra.

Dla niego pogrzeb babki Magdaleny był niespodziewanym przeglądem osób, których nigdy z bliska nie widział, zetknięciem z ginącą rasą, uczestnictwem jakby w drugim zbiorowym pogrzebie. Aby odprowadzić na miejsce, wiecznego spoczynku zwłoki tak dobrze urodzonej zmarłej, ściągnęli z całej Warszawy potomkowie rodów, nie pomijanych w herbarzach, dziedziczki i dziedzice włości i nazwisk, które niedawno jeszcze wiele znaczyły w stolicy. Piotr usiłował sobie wyobrazić w blasku i chwale tych ludzi, tak teraz wypłowiałych i pomiętych, jakby ich ktoś na tę smutną uroczystość wyciągnął z przechowalni rzeczy zagubionych. Ubrani ze smutną fantazją, wyodrębniającą ich od reszty uczestników pogrzebu jakimś myśliwskim kapeluszem, furażerką czy kostiumem ze zgrzebnego płótna, dawali się z dumą rozpoznawać i na ciekawe spojrzenia odpowiadali zamyślonym, nieobecnym patrzaniem, skierowanym gdzieś ponad głowy napierających na nich zewsząd fernali. Ich zewnętrzna powłoka, tak jednoznacznie wyrażająca klęskę, nie budziła w Piotrze litości. Po pierwsze - niezupełnie wierzył w ich nędzę. Prawdopodobnie, jak u babci Magdaleny, jakiś brylancik rodzinny mógł długo jeszcze ocierać łyzy poparcelacyjne. Po drugie - oni właśnie stanowili najoczywistszą zdobycz rewolucji. Tak jak tu stali, w swoich zielonych kapeluszach z piórkami, żałośnie

zadzierzyci, działali pokrzepiająco. Przyglądał im się długo i z satysfakcją, aż Magdalena w obawie, żeby nie dostrzegł gdzie Gastona - dotknęła łokciem jego boku, zwracając mu uwagę na niestosowność jego zachowania.

- Nigdy ich nie widziałem - powiedział szczerze.

Nie rozumiała, o co mu chodzi. Patrzyła na wąski stożek ziemi, który czterech ludzi usypywało pośpiesznie na trumnie babki. Pogrzeb dobiegał końca. Starsza pani druga płakała rozdzierająco. Oto była chwila, kiedy przestała być małą dziewczynką, robiącą głupstwa i zawsze zasługującą na naganę. Dopiero teraz zaczynało się poważne, surowe życie, prawdziwa samotność i odpowiedzialność za wszystko, co się czyni bez odwołania do najprzychylniejszej z łask. Podtrzymało ją ramię kochającego męża, ale to był obcy człowiek ten pan, z którym spędzała życie. Córka? Już odeszła od matki i jeszcze do niej nie wróciła. Teraz była tylko namiętną kotką, łaszącą się do swego samca.

Po pogrzebie nastąpiła część najbardziej przykra: kondolencje, ukłony, uściski rąk. Jak to dobrze - myślała Magdalena.- że babka sama nie musi tego znosić. Zdenerwowałyby się pewnie tą gadaniną i zdziwiła, że ma tylu przyjaciół. Rozpamiętywanie zalet zmarłej nie skończyło się na cmentarzu. Kilka osób z dalszej rodziny, przybyłych na pogrzeb spoza Warszawy, kontynuowało niezmordowanie ten temat podczas obiadu, który ciągnął się w nieskończoność. Po kawie miało nastąpić otwarcie testamentu. Kuzynki spod Radomia, a raczej teraz z Radomia, czekały na to jak na otwarcie butelki szampana. Magdalena marzyła, żeby się położyć. Zdrzemnęła się na chwilę w pokoju służbowym, ale ściągnięto ją na tę uroczystość.

Testament sporządzony był rok przed śmiercią, jak najformalniej, wobec notariusza, do którego starsza pani udała się spacerkiem w pełni zdrowia i humoru. Treść miał też, stosownie do tych okoliczności, prawie pogodną i nie pozbawioną błyskotliwego sarkazmu, który był jednym z wdzięków zmarłej. Profesor, odczytujący ten dokument, przekonał się, że wciąż musi ją podziwiać - może dopiero teraz po raz pierwszy bez uczucia zazdrości.

Starsza pani nie dopuszczała nikogo do swoich tajemnic

finansowych. Nazywało się, że nie ma nic, nawet, albo raczej zwłaszcza wtedy, gdy trzeba było wciąż dopłacać do Stawówki, ale od czasu do czasu sięgała do sakiewki i wyjmowała z niej najmniej spodziewaną sumę. Posiadała biżuterię, której broniła zażarcie przed utopieniem w Stawówce, a która wciąż ratowała ją w drobnych kłopotach. Teraz biżuterię tę otrzymywała córka. Starsza pani zaopatrzyła ten zapis w dokładną listę pierścionków, kolczyków, broszek i bransolet oraz w uwagę, żeby spadkobierczyni, którą zawsze cechowała lekkomyślność i roztargnienie, nie dysponowała otrzymanymi przedmiotami bez zastanowienia, a w razie konieczności sprzedaży, nie dała się oszukać, zasięgnąwszy przedtem opinii nie zainteresowanych rzeczoznawców.

„Memu drogiemu zięciowi - czytał dalej profesor, zająknąwszy się nieco - który nigdy przed ani po ślubie nie zapytał o posag swojej żony, co mnie zawsze napępniało szczerym zdumieniem, zapisuję brylantowe spinki i szpilkę do krawata po moim ojcu z serdeczną prośbą, aby je nosił albo spieniężył i raz w życiu kupił sobie coś, na co ma ochotę, bez oglądania się na inne, ważniejsze wydatki.

Wnuczce mojej, Magdalenie, nie mogę zapisać nic z biżuterii, ponieważ nie ma okazji, żeby ją nosić. I tak o brylancie, który ma na palcu, musi mówić, że to szkło czeskie, aby uniknąć przykrych konsekwencji dla siebie i swego męża. Zapisuję jej natomiast pamiętniki mego stryja Eustachego, który walczył pod Łukasiewiczem w powstaniu styczniowym, przyczyniając naszej rodzinie wiele nieszczęść i honoru. Niech je wieczorami czyta przy rodzinnym stole. A dobitnie i na głos.”

Magdalena poruszyła się niespokojnie. Piotr wyszukał pod zwisającą ze stołu serwetą jej ręce złożone na kolanach.

„Memu wnukowi Zygmuntowi zapisuję list stryjecznego dziada Eustachego, jaki z wygnania napisał do swego brata. Gdyby wrócił a potrzebował pomocy, matka ze spadku po mnie zaopatrzy go odpowiednio.

Piotrowi, mężowi mojej wnuczki Magdaleny, zapisuje Stawówkę. Jeśli oczywiście okoliczności pozwolą ją odzyskać. W

tym wypadku sytuacja Piotra nie będzie łatwa i dlatego pragnę, aby ta skromna posiadłość ułatwiła mu powrót do normalnego życia. Mam nadzieję, że przedwojenni wierzyciele już się nie zgłoszą i że życie jego w tym majątku będzie łatwiejsze niż moje.”

Piotr mocniej zacisnął palce na dłoni Magdaleny. Czuł, że czerwieni się cały aż po uszy i kark i że wszyscy to widzą. Ale to nie był koniec niespodzianek. Następne słowo testamentu uderzyło go jak ostroga.

„Panu Gastonowi Assement zapisuję sygnet po moim ojcu i moje panięskie zdjęcie z Rzymu, pochodzące z okresu, kiedy mnie ktoś adorował bardzo niebezpiecznie.”

Poczuł, jak dłoń Magdaleny zadrżała w jego dłoni, ale kiedy podniósł na nią oczy, spoglądała już na niego z niewinnym zdumieniem.

„Moim pozostałym bliższym i dalszym krewnym zapisuję mnóstwo dobrych rad, którymi raczyłam ich za życia, a które teraz może zechcą sobie przypomnieć. W rezultacie wielkich różnic majątkowych, jakie nas przed wojną dzieliły, staliśmy się pocieszająco jednakowo gołi, tak jak dusze rozebrane z ziemskości, stawiające się na sąd boski. Jak więc widzicie, w rewolucji jest coś ze sprawiedliwości bożej. Niestety, ja zawsze byłam niedowiarkiem.”

Profesor skończył czytać i nie podnosząc oczu na nikogo, zapalił papierosa. Matka zerwała się z fotela i chwyciwszy pusty dzbanek po kawie, wybiegła do kuchni. W pokoju wisiała cisza, dławiąca jak czad. Trzeba coś powiedzieć, za wszelką cenę trzeba coś powiedzieć! - myślała Magdalena. - O, tylko babka umiałaby się właściwie znaleźć w podobnej sytuacji. Poczula jeszcze raz prawdziwy podziw dla niej i prawdziwy żal, że jej nie ma. Piotr uwolnił jej dłoń ze swoich palców, on także nie mógł znaleźć żadnego słowa.

— Pada deszcz - powiedział nagle któryś z dalszych krewnych. Wszyscy spojrzeli na niego z wdzięcznością. Panny podbiegły do okna. Żółte liście lśniły wilgocią.

— Pada! - powtarzały z nutą radosnej rewelacji.

Pomocnica domowa, spłoszona liczbą gości, wniosła kawę.

Matka zaczęła napełniać filiżanki, podawano sobie cukier i ciastka, profesor obchodził stół z butelką likieru w ręce. Wszyscy zaczęli naraz mówić - na różne tematy, głośno i z ulgą.

Piotr pochylił się do ucha Magdaleny.

- Gdybyś się pośpieszyła, moglibyśmy jeszcze zdążyć na pociąg o osiemnastej.

Spojrzała na zegarek i posłusznie wstała z krzesła. Dopiero przed Gdańskiem zapytał:

- Skąd babka znała Gastona?

- Z moich opowiadań - odrzekła Magdalena.

XXIV

Magdalena patrzyła bez cienia satysfakcji na Izabelę Ptak, siedzącą na ławie oskarżonych.

Uczucie zdumienia, jakiego doświadczyła Otrzymawszy wezwanie na rozprawę w charakterze świadka, ustąpiło rozczarowaniu. Izabela Ptak miała być sądzona o przestępstwa pospolite. Dopuściła się ich w ciągu dwóch lat w kilku instytucjach, w których pracowała po reorganizacji placówki kierowanej przez Magdaleny. Jako kasjerka w redakcji przywłaszczyła sobie datki wpływające na rzecz dzieci koreańskich. W związkach zawodowych wystawiała rachunki za nie dokonane zakupy sprzętu świetlicowego. W obydwu wypadkach zwolnienie było jedyną karą, jaka ją spotkała - cedowano ją beztrąsko na sumienie następnego pracodawcy.

Ale nagle szczęście opuściło Izabelę Ptak. Buchalter przedsiębiorstwa rybnego, dokąd trafiła znów w charakterze kasjerki, okazał się osobą żyjącą w zimnym świecie cyfr, w absolutnej izolacji od społeczeństwa. Nimb zasług, który otaczał Izabelę, prawie widoczny nad jej głową, jak aureola nad głowami świętych, nie został przez niego zauważony. Po stwierdzeniu, że Ptakówna dopisuje pracownikom nie mającym do tego prawa dodatki rodzinne i pobiera je w ich imieniu, złożył - nie pytając nikogo o zdanie - bardzo formalne doniesienie do prokuratur.

I oto Izabela Ptak siedziała na ławie oskarżonych, a jej

zwierzchników poproszono, aby zechcieli wyrazić opinię o zachowaniu się oskarżonej w poprzednich miejscach pracy.

Magdalena mówiła o fałszowaniu delegacji służbowych, o podawaniu w nich kosztów wyjazdów niezgodnych z prawdą. Mówiła z trudem, prawie niechętnie. Sędzia patrzył na nią podejrzliwie, może myślał, że chce ukryć przewinienia oskarżonej. Zapytał wreszcie:

— Czy świadek nie ma już nic więcej do powiedzenia w tej sprawie? Milczała. Patrzyła w oczy oskarżonej. Rozumiała się.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie - odrzekła cicho. Po ustach Izabeli Ptak przemknął krótki uśmiezek.

Teraz mówił świadek z redakcji. Magdalena nie słuchała go. Nagle cała sprawa przestała ją interesować. Ile mogła dostać oskarżona? Dwa albo trzy miesiące. Z zawieszeniem. Może już nigdzie nie dostanie posady kasjerki? Ale wciąż przecież ma szansę powrócić na stanowisko pracownika kulturalno-oświatowego albo pełnić inną funkcję - sposobów udawania pracy było wiele. Magdalena spojrzała na zegarek. W nocy Piotr wyjeżdżał do NRD. Miał zwiedzić szereg ośrodków wiejskich, a następnie uczestniczyć w konferencji na tematy polityki rolnej w Berlinie. Przygotowywała go od kilku dni do tego wyjazdu. Jej narodowa ambicja wyrażała się w nieskazitelnym wyprasowaniu koszul, w wypraniu reniferowych rękawiczek i wypożyczeniu od sąsiadów reprezentacyjnej walizki ze świńskiej skóry, która miała uczynić z Piotra bywałego w Europie turystę. Piotr bronił się słabo przed tymi akcesoriami mieszczańskiej zamożności. Magdalena tłumaczyła mu, że za granicą pojęcie demokracji nie kłóci się z pojęciami estetycznymi. Mówiła to złośliwie, wciąż nie przestawała mu dawać domowych doraźnych lekcji. Teraz zadrżała na myśl, czy Piotr pod jej nieobecność nie zrezygnuje z zapakowania do walizki któregoś z przygotowanych drobiazgów.

Rozprawa przeciągała się. Sędzia przejął zniecierpliwione spojrzenie Magdaleny. Sam ostrożnie zerknął na zegarek. Tłumił ziewanie. Sprawa Izabeli Ptak była naprawdę pospolita.

Zgodnie z przewidywaniem wyrok opiewał na trzy miesiące aresztu z zawieszeniem. Oskarżona przyjęła go pogodnie. Po wyjściu sądu wyjęła puderniczkę z torebki i starannie poprawiała twarz. Magdalena patrzyła przez chwilę, nie mogąc oderwać od niej oczu, jak rysuje pomadką brzeg ust, chcąc nadać im kształt serca.

Gdy wróciła do domu, Piotr był już spakowany. Zapinał właśnie walizkę.

— Ile? - spytał, podnosząc głowę.

— Trzy miesiące z zawieszeniem - powiedziała, rzucając się na tapczan. - Za fałszowanie listy płac i przywłaszczenie pieniędzy. - Czekala, żeby podał jej domowe pantofle, po takim dniu miała prawo być zmęczona.

Piotr stał jednak przy walizce, nie ruszając się z miejsca.

— Jest jeszcze jedna nowina - rzekł bezbarwnie.

— Jaka? - wyjąkała, czując że krew odpływa jej z twarzy. Zawsze oblegało ją tyle niepokojów.

— Jaś odmówił powrotu.

— Skąd wiesz?

— Wiem - powiedział z naciskiem. - Powinno ci wystarczyć, że wiem. - Denerwowała go zawsze jej dociekliwość w ustalaniu źródła jego informacji.

— Czy statek już wrócił?

— Jeszcze nie, ale już wiadomo, że on nie płynie na jego pokładzie. Został w Rio.

Magdalena milczała.

— Bydlę! - rzekł Piotr.

— Dlaczego zaraz bydlę? - spytała gwałtownie. Piotr spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Chciałabyś, żebym go pochwalił? Źle mu tutaj było? Magdalena uśmiechnęła się smutno.

— Mój drogi, u ciebie wciąż ucisk człowieka przez

człowieka to sprawa ekonomiczna. A on może po prostu miał swoją Izabelę Ptak.

— Magdaleno?

— Może miał pięć, dziesięć, piętnaście takich Ptakówien, które krążyły wokół niego, które go tropiły i nękały, których obecność wciąż czuł i nigdy nie był od nich wolny. Może nie uciekł od kraju, nie uciekł od ustroju - tylko od ludzi, którzy mu obrzydzili życie, a których nikt nie potępia i nie zabrania im działać...

- Magdaleno! - krzyknął znów Piotr.

Zerwała się z tapczanu i przyskoczyła do niego.

- Nie, nie będę milczeć. Ja ją dziś widziałam, rozumiesz? Siedziała na ławie oskarżonych i uśmiechała się do mnie, gdy składałam zeznania. Oskarżyli ją o przywłaszczenie kilkuset złotych, a ja stałam tam i słuchałam, i nie mogłam nic powiedzieć, ani słowa z prawdziwego oskarżenia, ani słowa!

Piotr przyciągnął ją do siebie, ogarnął ramieniem. Broniła się oparłszy obie dłonie o jego piersi.

— Nie pozwolisz mi o tym nawet mówić! - zawołała. - Tylko myśleć mi wolno i płakać w nocy, kiedy ty śpisz obok, jak kłoda, zapomniawszy o całym świecie. Ciebie to nic nie obchodzi. Wciąż potrafisz mieć minę, jakby właściwie nic się nie stało. - Wybuchnęła płaczem i wciąż broniła się zaciekle przed uściskiem.

— Trzeba o tym zapomnieć - rzekł łagodnie.

— Ty to potrafisz. Tobie to się udaje bardzo łatwo.

Puścił ją. Zatoczyła się lekko i upadła na tapczan. Był błądy, szczęki mu drgały. Magdalena przestraszyła się wyrazu jego twarzy.

- Przepraszam - bąknęła.

Pochylił się znów nad walizką, choć już nie było przy niej nic do roboty.

- Przepraszam - powtórzyła. - Jestem zdenerwowana. Spotkanie z Ptakówną i nowina o Jasiu to za dużo na jeden dzień.

Podeszła do niego i przywarła policzkiem do jego

ramienia. Trwał bez ruchu, wydawało się jej nawet, że przestał oddychać.

— Najgorszy jest ten lęk przed ludźmi - szepnęła. - Nie umiem tego znieść.

— Jeśli nawet masz trochę racji - powiedział łagodnie - nie wydaje mi się, żeby to wszystko tyczyło się akurat Jasia. Każdy ma chwile zwątpienia - na pewno, ale nie wolno angażować w nie opinii o całym narodzie.

— Piotrze - szepnęła. - Człowiek żyje tak krótko.

Drgnął. Uderzył go żalony prawie ton jej głosu. Wiedział, ile własnej udręki włożyła w to wyznanie. Jeszcze raz pochylił się nad walizką i sprawdził, czy trzymają zamki.

— Czy wszystko zapakowałeś? - spytała, korzystając z pretekstu.

— Wszystko. - Poczł nagłą sympatię do neseseru i skórzanej walizki, która go przedtem tak przerażała. - Wszystko - powtórzył z radością.

Ale Magdalena nie na długo zatrzymała się przy tym temacie..

— Wiesz - zaczęła z namysłem - wydaje mi się, że powinieneś wykorzystać swój pobyt w NRD, aby się dowiedzieć, co słychać w Edelheim.

— W jaki sposób? Edelheim jest w NRF.

— W bardzo prosty - wszystko już sobie obmyślałam. Napiszesz z Berlina do Erny.

— Do Erny? - zająknął się.

— Tak. I poprosisz ją w moim imieniu, żeby przyjechała zobaczyć się z tobą. Przejście z Berlina Zachodniego do Wschodniego nie będzie przedstawiało dla niej większej trudności, ludzie jeżdżą metrem bez żadnych przepustek. Bardzo chciałabym wiedzieć, co się stało z nimi wszystkimi.

— Z kim?

— No, z Erną, z Frau Hochmeier, z księdzem Wetterem. Ze Steinhebem - dodała ciszej. - Nie masz pojęcia, jak mnie czasem dręczy, że nie wiem, co się z nim dzieje.

— Co się ma dziać? - odezwał się szorstko. - Wrócił z niewoli i robi swoje buty.

— Jesteś tego taki pewny? - spytała z naciskiem.

— Dobrze, jak chcesz - zgodził się pośpiesznie. - Napiszę do niej, jeśli masz nadzieję, że przyjedzie na moje wezwanie.

— Na pewno przyjedzie. Ty chyba wiesz najlepiej, że na Ernie można polegać.

Piotr skinął głową, wołał nie roztrząsać tego tematu.

— Ona na pewno nieraz myśli o nas. Wyobraża sobie, że obydwójce zginęliśmy, trudniej by było jej przypuszczać, że zapomnieliśmy o niej.

— Dobrze, napiszę do niej - powtórzył Piotr. Spojrzał na zegarek, choć miał jeszcze wiele czasu do odejścia pociągu.

Magdalena podeszła do szafy.

— Może byś wziął sweter?

— Dajże spokój - Piotr z ożywieniem powrócił do zwykłych spraw. - Marzec, ani stopnia mrozu. Będzie mi za ciepło.

— Zawsze tak mówisz, a potem kaszlesz.

— Kaszlę od papierosów. Za dużo palę.

- To po co za dużo palisz?

Roześmiał się.

- Głównym urokiem żon jest to, że z biegiem czasu zaczynają przypominać nam nasze matki. To samo moja matka przez całe życie mówiła do ojca.

Niespodziewanie objęli się i milczeli, ogarnięci głębokim wzruszeniem. Uważaj tam na siebie - szepnęła Magdalena. Pocałował ją w czoło.

- Nie bój się, będę uważał.

XXV

Piotr siedział w małej kawiarni przy Alexanderplatz, niedaleko wejścia do metra. Podał ten adres Ernie, wysyłając do niej list zaraz po przyjeździe do Berlina. Czekał teraz bez

większej nadziei na jej przyjście, trochę zły na Magdalene, że uległ jej prośbie.

Głośnik radiowy na placu huczał wszystkimi syrenami Moskwy. Piotr starał się zrozumieć, co oznacza dla świata śmierć Stalina. Nagła wieść o niej zaskoczyła go w mieście zaledwie podnoszącym się z klęczek, na które je rzuciła Armia Czerwona. Nie można było nie ulec temu skojarzeniu. Pamiętał stuk własnych kroków, gdy szedł z pepeszą na brzuchu przez Unter den Linden. W ten mglisty poranek marcowy żadna myśl Piotra nie zdołała wydostać się z cienia strzaskanej Brandenburskiej Bramy. Patos historii odurzał go jak czad.

Wydało mu się zupełnie bezsensowne, że czekał teraz na kobietę.

W zgiełku żałobnych syren przypomnienie jedynej nocy, jaką z nią spędził, rysowało się jak nikły, nierealny prawie obraz. Leżał z twarzą wtuloną w jej nagie piersi, gdy powietrzem targnął potężny wybuch. Nie przypuszczała, czego dokonał, przed czym się u niej schronił. A gdy się dowiedziała, cena tej jednej nocy okazała się godna ceny mostu, który zniszczył. Pomogła mu uciec - sądził, że zawsze będzie o tym pamiętał.

Berlińczycy przemykali przez plac zamglony marcową mżawką. Syreny ucichły. Z głośnika płynął teraz marsz, dostojny marsz żałobny. Piotr dopił kawy i spojrzał na zegarek. Siedział tu dopiero dziesięć minut, a wydawało mu się, że minął jakiś niewymierny okres czasu. Uzmysłowił sobie, że szaleństwem jest czekać na Ernę. Mogła nie mieszkać już w Edenheim i nie otrzymać listu, mogła nie móc albo nie chcieć przyjechać. Prawdopodobnie trudno było jej zrozumieć, dlaczego tak długo nie dawali znaku życia o sobie.

Odwrócił się, żeby przywołać kelnera - w tej samej chwili kotara przy drzwiach rozchyliła się i ukazała się w nich Erna.

Powinien był zerwać się i podbiec do niej, ale siedział jak przymurowany do krzesła i pozwolił jej rozglądać się bezradnie po zadymionej sali. Widział ją zawsze w kolorowym bawarskim stroju, odsłaniającym głęboko ramiona i piersi. Teraz miała na

sobie zielony płaszcz sukienny z rogowymi guzami, a pod nim biały golf o wysokim kołnierzu. Włóczkowe pompony jej białych pończoch wzbudziły sensację wśród gości w kawiarni. Piotr pomyślał, że na tę nielegalną wycieczkę do Wschodniego Berlina mogła zrezygnować ze swego regionalnego stroju. Jeszcze ją tu zamkną! - zdenerwował się.

Goście przy stolikach nie przestali się jej przyglądać. Była wciąż tak piękna jak dawniej. Ogromne włosy otaczały jej głowę i spadały na plecy jak czarne puszyste futro. Twarz zachowała olśniewającą biel i czysty owal, a oczy przypominały dojrzałe, połyskliwe śliwki. Rozglądała się niespokojnie. Widział, że prześliznęła się po nim wzrokiem i nie poznała go. Przygryzła usta z rozczarowania. Pochyliła się i powiedziała coś do małego chłopca, który wynurzył się z fałd kotary za jej plecami. Chłopiec mógł mieć około ośmiu lat i był tak samo ubrany w zieloną kurtkę z bawarskimi guzami i białe pończochy. Bardziej zdecydowany niż ona - podbiegł do najbliższego wolnego stolika, wgramolił się na krzesło i energicznym ruchem przysunął do siebie cukiernicę.

Piotr wstał pośpiesznie i podszedł do Erny.

Nie poznała go nawet wtedy, gdy już szedł ku niej przez całą szerokość sali, dopiero gdy stanął przed nią, oczy jej zabłyśły. I ona pamiętała go innego. Odczytując jej spojrzenie nie mógł oprzeć się uczuciu, że wołała go w pokrwawionej i podartej koszuli, w której do niej przyszedł, niż w tym bardzo solidnym garniturze z prawdziwej polskiej setki, mającym demonstrować zamożność jego kraju. Zmieszał się, wraz z Erną patrzyła na niego sala ciekawych berlińczyków.

- Siedzę pod oknem - powiedział, jakby rozstali się wczoraj.

Przywołała chłopca i ruszyła przodem we wskazanym kierunku. Piotr

idąc za nią porządkował myśli.

- Dziękuję ci, że przyjechałaś - powiedział, gdy usiedli.

- To ja, ja dziękuję ci, że chciałaś mnie zobaczyć -

wybuchnęła gorącym szeptem. Patrzyła na niego intensywnie, na jego twarz, szyję, barki i ręce.

Zdał sobie sprawę z tego, że dopiero teraz ma możliwość obejrzenia go dokładnie bez zdenerwowania i lęku. Uśmiechnął się do niej i postanowił zachować na później informację, że Magdalena życzyła sobie, żeby się z nią spotkał.

— Jesteś wciąż tak samo piękna - powiedział. Uzmysłowił sobie, że mówi jej to po raz pierwszy.

— Ty też - odpowiedziała z przekonaniem.

Roześmiał się, chłopiec zawtórował mu głośno, matka skarciła go spojrzeniem. Przywołał kelnera, zamówił kawę dla Erny i krem dla malca.

— Dlaczego nie odzywaliście się tak długo? - zaczęła Erna z wyrzutem. - Myślałam, że obydwoje nie żyjecie. - Wiedziała, że jest mężem Magdaleny, napisał jej o tym w liście.

— Sądziliśmy, że możesz mieć z tego tytułu przykrości. - Unikał jej spojrzenia; spodziewał się, że go o to zapyta.

— Ja? - zdziwiła się.

— Myślałem, że nie zapomniano o mnie zbyt szybko w Edelheim.

— To prawda - Erna schyliła głowę. - Opowiadała ci chyba Magdalena, co się działo po twojej ucieczce. Ale mnie się nie czepiali i nikt o niczym nie wie - zająknęła się i splotła dłonie na kolanach, aż zatrzeszczały stawy.

— Powiedz Magdalenie - dodała szybko - że wyszłam za mąż za Waltera. Opowiadałam jej o nim.

— A twój pierwszy mąż?

— Rozwiódł się ze mną.

Siedzieli przez chwilę milcząc. Dziecko mlaskało językiem, zachwycone kremem. Piotr spojrział ukradkiem na malca. Był podobny do Erny, jak mała kropla do dużej kropli wody. Długie rzęsy kładły mu się na policzkach, gdy przymykał oczy z łakomego szczęścia. Powoli odwrócił od niego wzrok.

- Co słyhać w Edelheim, Erno? Będę musiał zdać Magdalenie dokładne sprawozdanie. Kazała mi o wszystkich się

wypytać.

- Frau Hochmeier nie żyje - zawołała Erna z nadmiernym ożywieniem. Rada była ze zmiany tematu. - Umarła rok temu na serce. Stara już była.

— Kto prowadzi teraz hotel?

— Nie ma tam już hotelu, kto by chciał mieszkać w takiej budzie? Lenz wybudował nowy hotel niedaleko dworca.

— Ten Lenz, księgarz, który sam wybijał szybę w swojej księgarni, a nas za to zamykano?

— Ten sam. Jak weszli Amerykanie, zamknął księgarnię i otworzył sklep z galanterią. Skupował od żołnierzy wszystko, co dostawali w paczkach z USA. Zrobił pieniądze i wybudował hotel.

— A synek?

— Bernard wyjechał. Od śmierci małego Polaka ludzie go u nas nie lubili. Studiował w Monachium, potem przeniósł się na północ. Podobno jest w wojsku.

— Ksiądz Wetter jest jeszcze w Edelheim? - zapytał ostrożnie.

— Tak, wrócił zaraz po wojnie..

— Skąd wrócił?

— Z Dachau.

— Kiedy go tam wzięli?

— Na jesieni,

— Za co? Spuściła głowę.

— Nie, nie za tamto. Chyba bezpośrednio nie za tamto. - Umilkła. Zrozumiał, jak musiała się wtedy bać.

— Erno! - zawołał cicho.

Uśmiechnęła się do niego oczyma, gdy podniosła głowę.

- Minęło, żyjemy.

— Powiedz mu - Piotr szukał słów - że choć nie w ten sposób, jak on to sobie wyobraża, staram się być uczciwym człowiekiem. Uczciwym człowiekiem w każdej sytuacji.

— Dlaczego w tym jest jakiś smutek? - spytała. - Dlaczego zawsze smutek jest w tym, gdy człowiek chce być w porządku wobec siebie?

Nie spodziewał się po niej tego pytania. Patrzył na nią bez słowa, a ona wciąż przyglądała mu się w zadumie.

— To nie dzieje się bezkarnie - odezwała się znów. - Zawsze trzeba za to zapłacić. Uważaj!

— Przed czym mnie przestrzegasz? - zapytał zaskoczony.

— Przed tobą samym. - Odwróciła od niego głowę i poprawiała kołnierzyk przy ubranku chłopca. Piotr patrzył na jej palce wygładzające zagięcie materiału.

- Wydaje mi się - dodała nie patrząc na niego - że wciąż sam sobie zagrażasz.

Milczał, a ona nie czekała, żeby się odezwał.

— Doktor Heusler nie wrócił do naszego miasta - powiedziała szybko bez związku.

— Ten dentysta? - spytał leniwie.

— Tak. Może zginął w obozie, a może nie chce widzieć Edelheim na oczy.

Piotr zdecydował, że należy wreszcie spytać o Steinlieba.

— Co się dzieje z fabryką, w której pracowała Magdalena? Czy Steinlieb w dalszym ciągu robi buty?

— On nie żyje - powiedziała Erna.

— Nie żyje? Co mu się stało?

— Zginął na wojnie. On i jego młodszy brat.

— Nie zginął - szepnął Piotr, nie mogąc dobrać z siebie głosu. - Magdalena spotkała go w czterdziestym siódmym w Warszawie. Był w niewoli.

— Musiało jej się zdawać - Erna upierała się przy swoim. - Wszyscy wiedzą, że Ernst Waldemar zginął. Sam nadstawił głowę, zgłosił się na ochotnika - całe miasto mówiło, że zwariował. Fabrykę prowadzi najstarszy syn Frau Konsul, ale nie bardzo mu idzie, bo się na tym nie zna. Czasem przyjeżdża córka. Jej mąż wrócił z wojny i jest wysokim urzędnikiem w Monachium.

Piotr słuchał z roztargnieniem dalszych informacji Erny o rodzinie Steinliebów. Myślał, w jaki sposób przekazać Magdalenie tę nowinę.

— Nie pytasz o Hanneckera? - zdziwiła się Erna. Drgnął.

— Żyje jeszcze? - zapytał z udaną swobodą.

— Och, on będzie żył sto lat. Jeszcze teraz, kiedy dostaje takie paczki z Ameryki! Jego córka wyszła za mąż za jankesa i wyjechała do Stanów. Zabrał ją razem z dzieckiem Stolzberga.

— A Stolzberg się nie znalazł? - spytał, oblizując suche wargi.

— Nie.

Chłopiec wydrapawszy łyżeczką do czysta krem z czarki, rozglądał się znudzony po sali. W końcu wyjął z kieszeni blaszany rewolwer i długo celował w lampę. Gdy pistolet nie wypalił, położył go z rozczarowaną miną na stole i pochylił się nad nim strapiony.

— Zaciął się - szepnął. Matka zwróciła ku niemu roztargnioną twarz.

— Zaciął się - powtórzył chłopiec, patrząc wymownie na Piotra.

— Walter ci naprawi - powiedziała matka ze zniecierpliwieniem.

— Walter nie naprawi. Niech on mi naprawi. On ma dwie ręce.

— Cicho bądź! - krzyknęła.

Piotr ominął ją wzrokiem i wziął zabawkę z rąk dziecka. Oparł ją o stół i zaczął badać nieskomplikowany mechanizm. Chłopiec, zerkając niepewnie ku matce, przysunął się do niego i śledził w napięciu jego palce.

Patrzyła na dwie ciemne głowy pochylone ku sobie. Za gardło chwycił ją nagle płacz. Podniosła dłonie do ust, - żaden dźwięk nie pokonał ich zwarcia.

- Teraz jest dobrze - powiedział Piotr prostując się.

Chłopczyk wziął pistolet z jego rąk i pociągnął za cyngiel. Rozległ się suchy trzask.

— Co się mówi? - spytała matka.

— Dziękuję - rzucił, celując znowu w lampę. Piotr wolno odwrócił głowę ku kobiecie.

— Erno? - zapytał miękko.

— Tak - odpowiedziała szybko, z ogromną ulgą. - Tak.

— Było ci ciężko? Potrząsnęła głową.

— Nie - szepnęła. - Kochałam cię. Byłam bardzo szczęśliwa.

— Ludzie ci nie dokuczali?

- Trochę. Najbardziej gniewało ich to, że nie mogli się domyślić, z kim to się stało. - Roześmiała się cicho, przymknąwszy oczy.

Zadrżał. Poczul, że wciąż jeszcze nosiła w sobie gorące wspomnienie tej nocy.

- Nieraz myślałem o tym - rzekł cicho - że nie byłem wart, abyś ty...

— Kochałam cię - przerwała mu Erna. - Zrobiłam to tylko dlatego. Milczeli przez długą chwilę. Wreszcie Piotr zapytał:

— Czy on nigdy nie usiłuje się dowiedzieć?... Wzruszyła ramionami.

— Mój mąż? Wie o wszystkim.

— Powiedziałaś mu?

— Tak. Mógłby się domyślać czegoś gorszego.

— Pogodził się z tym?

— Jemu jest dobrze ze mną - powiedziała, rumieniąc się.

- Ale Magdalenie nic nie mów! - krzyknęła nagle.

— Nie, nie powiem jej.

— Ona by nie zrozumiała tak łatwo. Macie dzieci?

— Nie - rzekł cicho.

Nie pytała o nic więcej. Zobaczył w jej oczach kobiecą triumfującą dumę.

- Dałam mu twoje imię.

Piotr podniósł oczy i opanowując wzruszenie patrzył na dziecko. Chłopiec celował teraz po kolei w sąsiadów przy najbliższych stolikach. Mrużył oko i przy trzaśnięciu spustu wydawał głośne cmoknięcie. Ciemne włosy wicherzyły mu się na głowie w lśniące, kołyszące się przy każdym ruchu pukle. Piotr zapragnął zanurzyć w nich palce, poczuć ich miękkość i ciepło.

- Zrób to - powiedziała Erna.

Zaczerwienił się, przyłapany.

- Zrób to - powtórzyła. Przechyliła się przez stół i zbliżyła ku niemu zapłonioną twarz.

Podniósł dłoń, ale zamiast położyć ją na głowie dziecka, dotknął policzka Erny. Przygarnęła się do niej gwałtownie i wtuliła ustami w jej wnętrze.

Trwało to krótko, dwie, trzy sekundy - obydwójce cofnęli się i patrzyli na siebie pociemniałymi oczyma.

— Erno - szepnął.

— Pamiętaj, nie żałowałam nigdy, że tak się stało. Nigdy, ani przez jeden dzień. Przysięgam ci! Nie wyobrażałam sobie nawet, że mogę być tak szczęśliwa. Każdego ranka, kiedy widzę, jak on się budzi... Co ci jest?... - spytała cicho.

— Nic, mów dalej, Erno.

— Kiedy widzę, jak on się budzi, otwiera oczy i uśmiecha się do mnie, czuję, że dopiero teraz żyję naprawdę, że dopiero teraz ma to jakiś sens.

Piotr zwrócił znów głowę ku dziecku. Pierwszy skurcz żalu, który go chwycił przy słowach Erny, minął. Pozostał po nim smutek, dławiący jak brak oddechu. Chłopiec zajęty był swoją zabawą - nie słuchał rozmowy dorosłych. Prawdopodobnie

niewiele z niej rozumiał: przyzwyczajony do bawarskiego dialektu, nie słyszał nigdy poprawnej, chropowatej rozmowy, jaką posługiwała się teraz matka, rozmawiając z obcym.

Piotr chciał przemówić do niego, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Nie to było najważniejsze, że nie należał do niego, że nie miał radości z jego dzieciństwa, nie widział go, gdy spał, jadł, biegał, siedział nagi w waniencie, bawiąc się gumowym okręcikiem. To bolało, ale nie było najważniejsze.

Erna znów odgadła jego myśli.

— Czy mam mu powiedzieć, gdy dorośnie? - spytała cicho. Spojrzał jej w oczy.

— Nie - rzekł po drugim namyśle.

— Nie? Dlaczego?

Piotr dopiero teraz dotknął syna. Położył mu ramię na plecach i przyciągnął do siebie.

- Chcę, żeby był szczęśliwy. Prawda utrudni mu życie. Chyba, że znów - zatrzymacie - że znów mielibyśmy walczyć ze sobą. Wtedy musisz mu powiedzieć.

Chłopiec po swojemu zrozumiał treść pieszczoty. Otarł się policzkiem o jego marynarkę i wymownie spojrzął na pustą czarzkę po kremie. Piotr przywołał kelnera.

— Rozchoruje się - oponowała słabo Erna.

— Nie! - wrzasnął mały. - Wcale nie!

— Na pewno masz niewiele tutejszych pieniędzy - szepnęła. - Ja także. Walter dopiero poszedł wymienić marki.

— Przyjechał z tobą? - spytał zaskoczony.

— Tak. - I dodała szybko, jakby z usprawiedliwieniem: -
Mamy krewnych w Zachodnim Berlinie.

— Przyjdzie tutaj?

— Nie, ma czekać na mnie na placu.

— Wie, że przyjechałaś, aby spotkać się ze mną? Skinęła
skwapliwie głową.

— Jesteś z nim szczęśliwa?

Patrzyła na niego długo, zanim odpowiedziała.

— Jemu jest ze mną dobrze - powtórzyła swoje
zwierzenie sprzed chwili. - To bardzo ważne, to najważniejsze w
naszym małżeństwie. Wrócił z niewoli okaleczony, stracił rękę.
Przed wojną był przewodnikiem w Alpach. Bardzo kochał swój
zawód, a teraz musiał przestać chodzić w góry i wziąć się do
czego innego. Pracuje w browarze u księcia w Dorn. Ja muszę mu
zastąpić wszystko, co miał dawniej, wszystko - zamyśliła się. -
Chyba jestem szczęśliwa.

— Może - zawahał się - masz jakieś trudności
finansowe... Ja powinienem... - urwał, zdając sobie sprawę, ile
wynosi jego pensja.

— Ach, nie - roześmiała się. - O czym ty myślisz? Mamy
dosyć pieniędzy. Rozszerzyłam sklep, mam teraz srebro stołowe,
kryształy - myślę, że może zrezygnuję w ogóle z tych garnków i
czerepów i otworzę porządny skład jubilerski. Walter także nieźle
zarabia, jest kierownikiem browaru.

Piotr uśmiechnął się.

- Czy wszyscy twoi mężowie muszą pracować u księcia?

Zaczerwieniła się po białka oczu.

— Dopiero drugi. Gdzie w Edelheim można znaleźć
pracę? A księżę dobrze płaci.

— I wciąż ma z czego? Przecież fabryka jego na północy
została zniszczona podczas wojny.

— Już ją odbudował.

— Nie jest więc tak źle z jego klepkami, jak mówili ludzie
w Edelheim.

— Mówili tak wtedy, kiedy zapisał zameczek w Dorn Sepowi, temu chłopcu, przez którego zginęła Philomena. Ta Belgijka, z którą przyjaźniła się Magdalena, pamiętasz?

— Pamiętam. I Sep mieszka w zamku? Pewnie się ożenił?

— On tu w ogóle nie wrócił. Jedni mówią, że zginął, ale jego ojciec, Johannes, kamerdyner księcia, dostaje podobno listy od niego z Hamburga. I księżę po dawnemu, gdy przyjeżdża, mieszka w zamku.

— I zaleca się do ciebie?

— Nie - roześmiała się. - Już nie, nie ma odwagi.

Zjawił się kelner i chłopiec głośno westchnąwszy pograżył się znów w zachwycie nad berlińskim kremem.

- Powiedz Magdalenie - zaczęła Erna - że bardzo chciałabym ją zobaczyć.

Obydwoje spostrzegli ze zmieszaniem, że zapomnieli o niej podczas tej rozmowy.

- Powiem jej - skinął skwapliwie głową.

Głośnik na placu ucichły na chwilę, huczał znów jakaś szeroka, rozlewną melodią. Do Piotra powróciły myśli sprzed godziny, kiedy czekał na Ernę, czując nieomal przy nozdrzach pył cegieł pokonanego Berlina. W tym krajobrazie rzeczywistość wydała mu się tak nieprawdziwa, że przez krótki moment nie mógł zrozumieć, co robi tu przy stoliku naprzeciw jakiejś ślicznej kobiety i sapiącego z zadowolenia dziecka.

Erna położyła nieśmiało dłoń na jego ręce.

— Za chwilę cię już nie będzie - westchnęła. - Nigdy cię już nie zobaczę.

— Nie mów „nigdy”, Erno - rzekł bezmyślnie.

— Przyjedziesz jeszcze?

— Nie wiem. Może będę mógł. Chcesz tego?

— Tak.

— Pragnąłbym pojechać do Edenheim. Nieraz śni mi się okno, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy. Wtedy, kiedy ksiądz Wetter potrzebował pomocy, pamiętasz?

— Pamiętam.

— I po raz drugi, kiedy ja sam jej potrzebowałem.

— Pamiętam.

Palce jej zaplotły się wokół jego dłoni, aż poczuł ból.

Za szerokim wystawowym oknem ukazał się człowiek w zielonym płaszczu. Płomiennie rude włosy nie mieściły się pod małym tyrolskim kapeluszem. Erna, siedząca tyłem do okna, nic nie widziała go. Tylko Piotr miał go przed sobą, jak na ekranie, na białym tle podświetlonego mżawką okna, gdy pojawiał się i znikał z pola widzenia, cierpliwie w swoim spokojnym czekaniu. Wiatr kołysał pustym rękawem jego płaszcza.. - Idź już, Erno - szepnął Piotr. - Musisz już iść.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Musisz już iść. Nie powinnaś dłużej zostawać ze mną. Przeżyliśmy piękną godzinę. To bardzo wiele.

Nie poruszyła się. Mały hałaśliwie odsunął pustą czarukę. Patrzył teraz na matkę sennymi oczyma.

- Idź i bądź dobra dla tego człowieka, który czeka na ciebie.

Cofnęła rękę i chwyciła płaszczyk dziecka. Obserwował czując ból w sercu, jak je ubiera, zapina i obwiązuje szalem.

- Pożegnaj się z panem - powiedziała.

Piotr pochylił się i szybko dotknął ustami gładkiego czółka.

- Warum weint ihr? - spytał chłopczyk, spoglądając na nich ze zdumieniem.

XXVI

Stali na trybunie B, naprzeciwko trybuny zagranicznych dyplomatów. Magdalena miała z tego więcej uciechy niż z całej defilady.

Musieli się tu stawić na godzinę przed rozpoczęciem pochodu, popędzani przez kierowników grup. Tamci zjawiali się dopiero teraz, na pięć minut przed dziesiątą, wystrojeni jak na Wimbledon na tę lubelską uroczystość. Panie miały jasne suknie i

kostiumy o króciutkich żakietach, kapelusze z kwiatów, rękawiczki i torby olśniewającej bieli. Panowie - letnie ubrania we wszystkich odcieniach błękitu. Wcięte marynarki i wąskie spodnie czyniły młodzieniaszków z najbardziej czcigodnych osobistości.

Magdalena przeniosła wzrok na trybunę rządową. Ucieszyła się prawie, że Bierut i Cyrankiewicz włożyli na ten dzień wprawdzie spokojniejsze w kroju, ale równie piękne letnie ubrania.

Powiedziała o tym Piotrowi. Roześmiał się.

- Spójrz lepiej, jakie oni mają aparaty - powiedział wskazując brodą trybunę dyplomatów.

Istotnie, kobiety i mężczyźni, nawet dzieci, których nie brakowało na trybunie, zaopatrzone były w małe aparaty filmowe, wycelowane w tej chwili obiektywami na środek jezdni.

— Ten przystojniaczek przy barierze ma aparat jak nasza kronika filmowa. Podobny trochę do Gastona, co?

— Tak - szepnęła Magdalena ostrożnie. - Trochę.

To był Gaston. Stał pochylony nieco, czyhając na utrwalenie czołówki defilady. Miał na sobie nieprawdopodobnie błękitne ubranko z lekkiego jakiegoś materiału, białą koszulę o wysokim kołnierzyku, spiętym spinką, i wąski, różowy krawat. Nie zauważyła go, gdy wchodził na trybunę - zyskałaby wtedy czas na ocenę sytuacji i Piotr nie mógłby jej zaskoczyć. Teraz jednak czuła się zupełnie bezbronna i przez długą chwilę patrzyła na czarną głowę Gastona, starając się zebrać myśli. Na szczęście Piotr zapomniał już, o czyni mówili przed chwilą, pochłonięty obserwowaniem defilady.

Otwierało ją wojsko. Jezdnią z potężnym chrzęstem gąsienic toczyły się czołgi. Żołnierz we włązie, wyprężony jak struna - salutował trybuny. Był to piękny chłopiec i Magdalena, zapominając na razie o Gastonie, poczuła nagłą dumę. Na płycie czołgu leżały kwiaty, białe i czerwone piwonie, rzucone przez kogoś na długim szlaku pochodu przez zatłoczone ludźmi ulice Lublina. Potem jechały działa artyleryjskie i przeciwlotnicze,

żołnierze trzymali przy czapkach dłonie w nieskazitelnych rękawiczkach. Kwiaty leżały na wyczyszczonych haubicach. Gościom zagranicznym mdlały dłonie od filmowania. Gaston oddał aparat stojącej przy nim młodej damie i ocierał chustką spocone czoło. Chwile wytchnienia dawały maszerujące grupy regionalne. Aparaty opadały wtedy na brzuchy, ten odpoczynek należał się pracowitym obserwatorom.

Magdalena sądziła, że raczej te fragmenty defilady powinny być utrwalone na taśmie przez przedstawicieli placówek dyplomatycznych. Najpiękniejsze kostiumy ludowe z całej Polski: krakowskie, góralskie, łowickie, kaszubskie i warmińskie, spódnice, fartuszki i gorsety, sukmany, kamizele i bluzy, krochmalone koszule i halki, wstążki powiewające na wietrze, buty o wyglansowanych jak lustro cholewach i kwiaty, kwiaty w dłoniach, we włosach i dekoltach, za pasami, w cholewach i przy kapeluszach. Kolorowe lato polskie szło w tym dniu ulicami Lublina. Orkiestra uciniała krakowiaka to mazura - od pochodu odrywały się grupy taneczne i wolno posuwając się naprzód, prezentowały trybunom ludową elegancję tańców narodu, który nie mając wprawdzie zbyt wiele po temu powodów, umiał się cieszyć skoczniej i ładniej niż inne.

Wzdłuż ulicy śmigały trójki odrzutowców. Dostawało się zawrotu głowy, usiłując śledzić ich przelot nad trasą defilady. Magdalena trzymała się ramienia Piotra - srebrny błysk przelatywał przez niebo w gwizdzącym szumie. Mrużyła oczy, czuła się już zmęczona. Nieoficjalne towarzyszenie oficjalnej delegacji Gdańska na uroczystość dziesięciolecia okazało się jednak dosyć ryzykowne. Piotr jechał do Warszawy w wagonie sypialnym, gdzie oczywiście dla niej nie było miejsca. Musiała więc zadowolić się drugą klasą wypełnioną po dach. Nie tylko uczucia patriotyczne były powodem tego tłoku. Zaraz po defiladzie otwierano w Lublinie wystawę, a raczej targi, gdyż niektóre eksponaty miały być sprzedawane zwiedzającym. Cała pokątna prywatna inicjatywa, „podhalanie” z Gdyni i Gdańska śpieszyli na ten dzień do Lublina. W Warszawie Piotr przemógł

swą praworządność i przemycił żonę do wagonu zarezerwowanego dla delegacji. Sam stał na korytarzu, choć w przedziale było jeszcze miejsce. Magdalenę denerwowało to, ale na Piotra nie było rady. Droga powrotna przedstawiała się równie uciążliwie. Magdalena z rozkoszą wróciłaby na kwaterę, żeby odespać wszystkie przeszłe i przyszłe trudy. Piotr jednak nie mógł odłączyć się od grupy.

- Usiądź - poradził jej, gdy skarżyła się, że bołą ją nogi.

Większość członków delegacji wypoczywała w ten sposób. Podłożywszy szerokie szpalty gazet pod udekorowane odświętną odzieżą siedzenia, biwakowali obok siebie na deskach trybuny intelektualisci, robotnicy, chłopci ze spółdzielni produkcyjnych, kapitanowie statków, górnicy, profesorowie uniwersytetów, znakomite tancerki i indywidualni hodowcy trzody chlewnej odznaczeni złotymi medalami, rybacy dalekomorscy, aktywistki Ligi Kobiet, poeci, nauczyciele, gospodynie domowe, lekarze, konstruktorzy samolotów i hafciarki ludowych haftów - wybrańcy uczczeni tym zaszczytnym zaproszeniem. Znużenie zbratało ich łatwiej i szybciej niż wszystkie hasła wypisane na transparentach.

Magdalena przestępowała z nogi na nogę, walcząc z pokusą. W innym wypadku nie namyślałaby się ani chwili; siedziałaby już od dawna na brzegu trybuny, kołysząc wesoło w powietrzu nogami. Naprzeciw był jednak Gaston, uzbrojony nie tylko w aparat filmowy, ale i lornetkę. Brakowało tylko tego, żeby ją zobaczył, siedzącą jak na odpuście, i Piotra w ciemnym garniturze z kamizelką, Piotra, od którego dziś znów na kilometr zawiewało partią i prowincją. Prowincją na skalę europejską.

Wybrała więc coś pośredniego między samobójstwem ze zmęczenia a ostateczną rezygnacją na rzecz ciała - poręcz na tylnej części trybuny, która poza chwilowym ukojeniem stwarzała jednak niebezpieczeństwo chybnięcia się do tyłu przy pierwszym zamyśleniu. Przy tym Piotr zachowywał się jak kat. Zwykle jej nieporadność fizyczna wzruszała go, teraz stał nieczuły na wszystkie jej wzdychania i skargi, zapatrzony w ulicę, chłonący

barwę i woń tego dnia z zachwyconą uwagą, z jaką psy łowią w nozdrza tylko im coś mówiący wiatr.

Magdalena postanowiła go ukarać. Przysięgała sobie, że raczej umrze ze zmęczenia niż piśnie na ten temat choćby słowo. Wciąż siedząc na barierze, trzymała się rybaka dalekomorskiego, chroniącego ją przed upadkiem. Po lewej ręce miała marynarza, który wrócił z Tajwanu, ale jego zostawiła sobie na później.

Zaczął padać deszcz. Członkowie delegacji powyciągali spod siedzeń gazety i okryli nimi głowy. Dyplomaci naprzeciw mokli mężnie, niezmiennie elegancy i wytrwali. Magdalena zauważyła, że Gaston zrobił ruch, jakby chciał podnieść do góry kołnierz marynarki, ale rozejrzawszy się dokoła zrezygnował z tego zamiaru. Może przypomniał mu się Dominique, chroniący się w ten sposób przed zimnem i deszczem, może Grześ, który podczas każdej wojennej zimy nie miał płaszcza. Środkiem ulicy szły zgrabne dziewczyny w białych sportowych spodenkach. Nagie ramiona wyrzucały w górę kolorowe obręcze, a Dominique nie żył. Grześ nie żył, nie żyła Philomena i Marysia. Jeśli myśl o nich była już tylko daremnym żalem, czym powinna być myśl o tych, którzy maszerowali tu młodzi, zdrowi i piękni i tak bardzo mało znaczący w żarłocznej historii świata? Przymknęła oczy, a rybak dalekomorski, sądząc, że drzemie, tkliwiej przygarmał się do jej ramienia.

Prawie dziesięć lat trwał pokój, nie na tyle spokojny, żeby ludzie nie czuli jego fałszywości. Grześ i Dominique nie żyli, nie żyła Marysia i Philomena. Lepiej nie znać imion zbyt wielu ludzi - obciążają pamięć, nie można się od nich uwolnić.

Marynarz, który wrócił z Tajwanu, po raz osiemnasty opowiadał komuś o niewoli u Czang Kajszeke. Musiał mówić prawdę, inaczej dawno by mu się wszystko pomieszało. Piotr stał wciąż wyprostowany i patrzył przed siebie. Magdalena zaczynała go prawie nienawidzić za wytrwałość i niezmiennie zainteresowanie, jakie wykazywał dla pochodów. W sposób równie namiętny jak miłość napadała ją uraza i niechęć. Wciąż powtarzała sobie, że nie odezwie się do niego ani słowem, choćby

miała umrzeć ze zmęczenia. Ale defilada właśnie się skończyła, trybuny pustoszały, a Piotr odwrócił się wreszcie i wyciągnął do niej rękę. Pozwoliła pomóc sobie w zejściu z wysokiej bariery, ale nie patrzyła na niego, z udanym roztargnieniem rozglądając się dokoła.

— Musimy się śpieszyć - rzucił Piotr. - Autobusy czekają. Pojedziemy na obiad, może będzie nawet trochę czasu, żeby odpocząć, a o trzeciej jest otwarcie wystawy.

— Nie jadę żadnym autobusem - warknęła Magdalena.

— Przecież cała delegacja udaje się na obiad.

— No właśnie, a ja nie. Mam ochotę wstąpić gdzieś na lody, wyłączyć się z tłumu, zobaczyć coś wreszcie na własną rękę.. - Należę do delegacji.

— I do mnie. Do mnie też należysz. Chyba nie utną ci głowy, jeśli nie zjesz obiadu w wyznaczonym punkcie. Zwolnij się - powiedziała z przekąsem.

Piotr wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, ale zobaczysz, że w całym Lublinie nie dostaniesz obiadu.

- To będziemy raz bez obiadu.

Piotr oddalił się na kilka kroków, żeby powiadomić kogoś, że nie jedzie na kwaterę i rezygnuje z obiadu. Magdalena patrzyła na ostatnie wozy,- którymi odjeżdżali dyplomaci. Gastona nie dostrzegła. Musiał odjechać wcześniej.

Piotr wrócił w nie najlepszym humorze.

— Dokąd więc chcesz iść?

— Nie wiem.

— Chciałaś przecież lodów.

— Tak.

— No więc chodźmy, może się gdzieś dopchamy.

Po godzinnym chodzeniu zatłoczonymi ulicami znaleźli wolny stolik w jakiejś małej kawiarence. Piotr zamówił jedną porcję lodów i wodę z sokiem dla siebie. Magdalena, już rozpogodzona, ponieważ postawiła na swoim, kilkakrotnie usiłowała nawiązać rozmowę. Odpowiadał najkrótszymi słowami,

jakie istniały w języku polskim. Wsparty o stół patrzył nieruchomo na mokry od zimnej rosy metalowy puchar, z którego wybierała lody. Czekał na błysk żalu w oczach, gdy ukazało się dno. Zwykle lubił jej małe łakomstwo, z którego nigdy nie mogła wyrosnąć, teraz jednak nie było miejsca na roztkliwienie.

— Posłuchaj, Magdaleno - zaczął nagle. - Musisz iść i przyprowadzić go tutaj.

— Kogo? - wyjąkała, tracąc oddech.

— Gastona, oczywiście.

— Więc... więc jesteś pewien, że to jednak on?

— Jestem tego tak samo pewien jak i ty - rzekł powoli. -
Idź i przyprowadź go tutaj.

— Gdzie go mam szukać? To niemożliwe, żeby dzisiaj
znaleźć kogoś w tym mieście.

— Dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych. Daję ci
godzinę na sprowadzenie go tutaj.

Nie patrzył na nią, jego głos brzmiał spokojnie, a jednak
wstała i wzięła ze stołu torebkę.

— Dobrze - powiedziała posłusznie. - Postaram się.

— Twoje „postaram się” brzmi wykrętnie. Wiem, jak
łatwo potrafisz się rozgrzeszać. Musisz go przyprowadzić.

Podniosła teraz głowę, jego oczy miały wyraz, jakiego nie
znała. Czując, że się rumieni, odwróciła się i wyszła, na ulicę..

Nie znała Lublina, ale nietrudno było się domyślić, że
goście zagraniczni obiadują w jednym z najbardziej
reprezentacyjnych lokali w mieście. Mogła zwrócić się o
dokładną informację do któregoś z licznych milicjantów, ale bała
się, że posądzi ją Bóg wie o co. Sprawa zresztą okazała się prosta
- sznur imponujących wozów przed jedną z restauracji i tłum
gapiów utwierdziły ją w przekonaniu, że tu należy szukać
Gastona.

Przekraczając próg odremontowanej, upalnionej i
udywanionej na ten dzień restauracji, Magdalena - jak głodny
włóczęga - wciągnęła w nozdrza zapach kuchni. Dopiero teraz
poczuła, jaką ma ochotę na dobry befsztyk, i natychmiast
zrozumiała, że żądanie Piotra nie wróży nic dobrego, a więc
przede wszystkim trzeba pożegnać się z nadzieją na obiad. Sama
zresztą z niego zrezygnowała.

Czujny portier zapytał, kogo szuka. Odpowiedziała mu po
francusku, wymieniając nazwisko Gastona. Nie rozumiał, ale w
tym kraju obce języki robiły zawsze olśniewające wrażenie.
Portier rozkwitł w jednej chwili i nader eleganckim, na stosunki
międzynarodowe przeznaczonym gestem wskazał jej drzwi na
salę.

W restauracji nie było tłoku ani kibiców czyhających za plecami na ostatni kęs konsumującego szczęśliwca. Tu każdy z gości miał swoje z góry wyznaczone miejsce, przy którym właśnie posilał się w spokoju ciała i ducha. Wejście Magdaleny zostało więc zauważone. Było prawie tak niemożliwe do przeoczenia, jak wejście aktora na scenę teatru..

W takich chwilach Magdalena miała do siebie zaufanie. Więcej - lubiła siebie, przeszła ładnie między stolikami, nie uciekając oczyma od spojrzeń, które się na nią zwróciły. Przybrała minę zamyślonego łagodnie jagnięcia, które wie, że wszyscy mają ochotę je pogłaskać - wewnątrz była sprężona jak ryś. W tej krótkiej, natchnionej prawie, chwili świat zewnętrzny docierał do niej tylko na tyle, aby utwierdzić ją w przekonaniu, że jej biały kostiumik zrobił właściwe wrażenie nawet w tym środowisku. Szył go kra wiec matki, przedwojenny krawiec matki, artysta - każde jego dzieło było tworem natchnienia. Był nim także kostiumik Magdaleny: skromny, skromny aż do przerafinowania. Jego jedyną ozdobą były granatowe wyłogi. Kilka Angielek zaszeptało między sobą. Kobiety ubierają się właściwie dla kobiet. Najbardziej zachwycone męskie spojrzenie nie jest w stanie dać im tyle zadośćuczynienia.

Magdalena zapomniała prawie, po co tu przyszła. Wydarzenie było samo w sobie zupełne, skończone, zamknięte najwłaściwszym efektem. Zatrzymała się u kresu przejścia, przyłapawszy się na kojącej pustce w mózgu, na jakimś wielkim zapomnieniu. I wtedy zobaczyła, że Gaston idzie ku niej, przeciskając się między stolikami.

- Madeleine! - wołał. - Jakże się cieszę!

Widzieli się właściwie niedawno: w ostatnich dniach czerwca. Zaprzyjaźniona z Gastonem rodzina konsula w Gdyni obchodziła podejrzanie częste urodziny. Magdalena została także na nie zaproszona z racji znajomości języka, sławy ojca, no i radości, jaką Gastonowi dawała jej obecność. Piotr oczywiście o niczym nie wiedział.

Twarz Gastona starała się pogodzić uroczy uśmiech z niepokojem w oczach.

- Nie jestem sam - zaczął.

Ale Magdalena mu przerwała:

— Piotr widział cię na trybunie. Chce się z tobą zobaczyć. Mam wrażenie, że podejrzewał coś od chwili odczytania testamentu babci. Nosisz ten pierścionek?

— Tak, oczywiście.

— Schowaj go zaraz.

— Chyba nie tutaj, wszyscy patrzą na nas. Pozwól do stolika. Jestem ze znajomą, to miła dziewczyna - urwał. Cóż więcej było do powiedzenia?

Magdalena skierowała się ku wskazanemu stolikowi.

— Musimy się pośpieszyć - mówiła przez ramię, ponieważ postępował za nią. - On dał mi tylko godzinę na znalezienie i przyprowadzenie ciebie.

— To brzmi groźnie.

— Co zrobimy?

— Musimy chwilę się namyślić.

Towarzyszka Gastona była kruczowłosym, drapieżnym stworzeniem. Magdalenę zbyt absorbowало polecenie Piotra, aby mogła poświęcić jej więcej uwagi, ale pobieżne spojrzenie wystarczyło, aby ocenić ją dostatecznie. Zresztą nigdy nie darzyła zaufaniem ładnych kobiet, obracających się w kręgu mężczyzn, którzy ją obchodzili.

Gaston nie miał najłatwiejszego zadania. Zapoznawszy ze sobą panie, skinął na kelnera, aby zamówić coś dla Magdaleny, ale zaprotestowała - nie było na to czasu.

- Wyobraź sobie - zwrócił się do dziewczyny - spotkałem przyjaciela, którego nie widziałem... - zastanowił się. - Ależ tak! Przecież to już dziesięć lat!

— Gdzież on jest? - spytała z niedowierzaniem.

— Jest tu, w Lublinie. Muszę wyskoczyć, żeby się z nim zobaczyć.

— Na długo?

— No, nie wiem. Juanito, nie widziałem go dziesięć lat.

— Dlaczego sam tu nie przyszedł?

— Ja jestem jego żoną - wtrąciła niezbyt grzecznym tonem Magdalena. - Teraz dopiero oceniła wygląd tamtej, biżuterię, uczesanie, skórę. Uniosła w górę dłoń w dobrze zaimprovizowanym geście, nicejski brylant babki sygnął światłem. - Chodźmy! - powiedziała do Gastona.

— Poczekaj tu na mnie, a gdybym... gdybym się spóźnił, to przyłącz się do Dunantów.

— Zabierasz wóz?

— Tak. Nie wiem, gdzie mój przyjaciel na mnie czeka.

— Bardzo daleko stąd - wtrąciła Magdalena. - Musisz się przed nią tłumaczyć? - zapytała cierpko, gdy wyszli.

Gaston milczał. O, chciał, żeby była zazdrosna! Ale Magdalena nie czekała na jego odpowiedź.

— Co mu powiemy? - W jej oczach był niepokój.

— Powiemy mu prawdę.

— Jak to prawdę? - przestraszyła się.

— Że jestem w naszej ambasadzie w Warszawie.

— Od kiedy? Nie powiesz mu chyba, od kiedy tu jesteś?

Wtedy trzeba by mu powiedzieć wszystko.

— A ty wciąż tego nie chcesz?

— Gaston!

Stali na ulicy przed restauracją.

— Chodź, poszukam swego wozu - rzekł, ujmując ją za łokieć.

— Nie postanowiliśmy jeszcze niczego.

— Owszem, powiem mu tylko to, na co masz ochotę. Że jestem w Warszawie od wczoraj.

— No, to może przesada. Powiedz, że przyjechałeś w zimie. Że szukałeś nas, ale ponieważ nie znałeś jego nazwiska...

— Dobrze, jak sobie życzysz.

— Że bardzo się cieszysz ze spotkania...

— Wszystko, co jest prawdą, potrafię już sam wymyślić.

Samochód Gastona był otwartym wozem sportowym.

Jasnopopielaty, obicia miał z niebieskiej skóry.

— Nowy? - spytała Magdalena.

— Niezupełnie, odkupiłem go od przyjaciela po pięciu tysiącach kilometrów.

— Tamten sprzedałeś?

— Nie. Kabriolet na zimę w waszych warunkach się nie nadaje, tu potrzebny jest drugi wóz.

— Przepraszam cię, nam jest nawet trudno sobie wyobrazić, że ktoś może mieć dwa samochody. Do jednego moja wyobraźnia się już przyzwyczaiła, od kiedy ojciec dostał na przydział simkę. Nie masz pojęcia, ile uciechy. Mama ją sama myje.

— Ubóstwo daje człowiekowi w gruncie rzeczy o wiele więcej radości niż bogactwo.

— Mam ochotę cię uderzyć!

— Dlatego tak dobrze czuję się w waszym kraju. Polska jest tak świeża, tak nie zepsuta nadmiarem czegokolwiek. Tu każdy przedmiot, każda nowa myśl nabiera odmiennego, szczególnego blasku. Zdemoralizowanym posiadaniem narodom przydałaby się wasza siła pragnienia.

— Jednym słowem, przedkładasz Wołomin nad Riwierę. W Wołominie rzeczywiście wszystko jest bardzo świeże. Kiedy będę w Warszawie, musisz tam się ze mną wybrać.

— Z przyjemnością, skoro nie możemy razem pojechać na Riwierę. Dostałem wczoraj list od ojca. Stary robi forszę, dobudował nowe skrzydło w pensjonacie. Amerykanie płacą, jakby dolary ich parzyły.

— Wyobraź sobie, że ja nigdy w życiu nie widziałam dolara. Gaston popatrzył na nią i roześmiał się.

— Jesteś wzorem praworządności.

Jechali wolno zakorkowaną ludźmi i wozami jezdnią.

— Ładnie ci w moim samochodzie - rzekł Gaston.

— Wiesz, że nieuczciwe jest to, co mówisz.

— Nieuczciwe, dlaczego?

— Nie udawaj niewiniątka. Musi mi wystarczyć mój

razowy chleb.

— Najważniejsze, że ci wciąż smakuje. Masz zdrowe zęby.

— Zdrowe!

— No więc gdzie on jest, ten nasz Piotr? Magdalena rozglądała się niepewnie.

— Ba! Lublin nie Paryż, ale nie wiem, czy tak od razu znajdę tę knajpę.

— Ja jestem cierpliwy.

— Ale on nie. Mamy jeszcze tylko dziesięć minut.

— Ci, którzy nie chcą być zwyciężeni, muszą przede wszystkim przestać się bać. Jeśli Piotr to czuje...

— Nie wiem, co on czuje. Nigdy nie wiem, co on czuje. Zdaje się, że to tu.

Piotr wstał, gdy Gaston ukazał się za Magdaleną w drzwiach kawiarni. Czekał tak na niego, a gdy się zbliżył, ucałował go serdecznie w obydwie policzki.

- Nic się nie zmieniłeś.

— Ani ty.

— Ech, ja - zaczynam nawet siwieć.

— To z kokieterii. We Francji dziewczęta szaleją za siwymi panami, wprowadzie w wieku bardziej podeszłym niż nasz, ale, mój Boże, nie ma się o co martwić, my też do niego dojdziemy.

- Za to Magdalena z każdym rokiem młodnieje, nie uważasz?

Gaston przyczaił się, wietrzył zaczepkę.

- To przywilej pięknych kobiet - powiedział z ukłonem.

Magdalena machnęła ręką, nie uważała tej wymiany zdań za komplement.

- Dajcie mi spokój, dobrze?

Rozmawiali po niemiecku. Sąsiedzi przyglądali się im z niechęcią. Wtrącała od czasu do czasu polskie lub francuskie słowo, żeby rozwiać ich posądzenia. Gaston i Piotr wymieniali uwagi o defiladzie, Magdalena zauważyła z przykrością, że sformułowania Piotra na ten temat są ostrożne. Potem wrócili do niemieckich wspomnień. Piotr nie zapytał ani słowem o pobyt Gastona w Polsce. Francuz wtrącił na siłę kilka słów o swoich daremnych poszukiwaniach, ale Piotr nie zatrzymał się przy tych zwierzeniach.

— Jestem głodna - westchnęła Magdalena. Byli tak sobą zajęci, że zapomnieli o jej istnieniu. Nie mogła już tego dłużej znieść. Teraz zwrócili się do niej obydwaj i patrzyli na nią prawie zaskoczeni.

— Muszę zaraz coś zjeść!

— Mówiłem ci, że z obiadem nie będzie tak łatwo. Wszystkie restauracje są zarezerwowane dla wycieczek.

— Wiecie co? - powiedział Gaston. - Jedźmy gdzieś za miasto. W najgorszym razie dostaniemy mleka i jaj u jakiegoś chłopca.

Magdalena była zachwycona projektem. Piotr także przystał nań bez oporu. Gaston odgadł powód tej skwapliwości. Polak nie chciał pokazywać się w Lublinie w jego towarzystwie.

Nie zdradził się jednak ze swojej myśli. Nie dlatego, żeby zgodnie ze swym zawodem wołał udawać, iż wie mniej, niż wiedział, ale dlatego, że żał mu było Piotra.

Pomysł rzeczywiście okazał się dobry. W jakiejś wsi, na tyle malowniczej, że aż przez urodę przyrody wydawała się bogatsza, spożyli nieskomplikowany posiłek i na chwilę wyciągnęli się na trawie. Mężczyźni zdjęli marynarki, a Magdalena żakiet od kostiumu, osłaniając bieliznę jedwabną chustką. Nawet rzeczka płynęła opodal - wszystko było tak jak dawniej.

— O czym myślicie? - spytał Gaston.

— Właśnie o tym - mruknął Piotr. - Dziesięć lat!

- Czy to mają być liryczne wspomnienia, czy rozważania refleksyjne na temat, że właściwie niewiele zmieniło się w atmosferze świata?

— Raczej to pierwsze - wtrąciła Magdalena.

— Nie, dlaczego? - Piotr podniósł się na łokciu. - Nie uciekam od dyskusji.

— Ale ja do niej nie zmierzam. Nie mam zamiaru porównywać z sobą naszych światopoglądów. A strach dyskusji nie podlega. Boimy się - ja i ty.

— Czego ty się boisz?

— Jutra. Ja, wypoczęty, świetnie sytuowany młody człowiek, boję się jutra. Tego, że w ogóle może go nie być. Albo, że nas zaskoczy i trzeba je będzie przyjąć w każdej postaci.

— Dużo macie czasu na takie rozmyślania - rzekł Piotr, z powrotem opadając na trawę. - Nam się nie nudzi. Mamy kupę roboty przed sobą.

W oczach Gastona zamigotał błysk złości.

— I zawsze będziecie ją mieli, tę kupę roboty. Strasznie powoli to u was idzie. Ale nie o tym chciałem mówić. Nie przekonasz mnie, że wy nie czujecie niepokoju. Znowu najważniejsze jest do załatwienia. Zginęło tyle ludzi, tyle krwi wsiąkło w ziemię i po tym wszystkim nie zawarto nawet pokojowego traktatu. Może wobec tego wcale nie było wojny?

Albo ona wciąż jeszcze jest. Wciąż jeszcze jest w naszym niepokoju. Jak długo będziemy się tym dręczyć?

— To ty powinieneś wiedzieć - odezwała się Magdalena.

- Ty pracujesz w dyplomacji.

Gaston roześmiał się nieszczerze.

— Dobrze, możemy o tym nie mówić.

— Ależ proszę, jeśli masz ochotę.

— Nie, nie mam ochoty.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony. Bo właściwie o czym tu można gadać? - Magdalena przytrzymała na dekolcie uciekające końce chustki. - Człowiek powoli traci zaufanie do spraw, których nie można zmienić. Z biegiem czasu przyzwyczajają się do roli rezonera. Ale ona, tak jak w teatrze, nie posuwa akcji naprzód.

— Która godzina? - spytał Piotr.

- Błagam cię! - zawołała. - Daj odetchnąć trochę bez zegarka.

- Dobrze.

Leżeli milcząc. Przez łąkę płynęła rzeczka, płytka i skromna o tej letniej porze. Pszczoły i bąki brzęczały wśród traw. Wiatr zawiewał zapachem siana i podsychającego rżyska.

Gaston uniósł się nieco i patrzył na spoczywające w trawie głowy swoich polskich przyjaciół. Oni tu należeli, to był ich kraj. Prawdopodobnie gdzie indziej nie umieliby żyć. Piotr na pewno. Na niego zresztą nie było ratunku: on wierzył, że jest tu potrzebny, że wszystko, co robi, prowadzi do biblijnego, powszechnego szczęścia. Właściwie - Gaston zadumał się głęboko - należałoby mu zazdrościć. Wszelkiego rodzaju fascynacja jest pokrowcem duszy. A Magdalena go kochała, kochała go z tym wszystkim, co jest tak niewygodne w miłości, a co równocześnie znakomicie ją podsyci: chyba nigdy nie była pewna, czy naprawdę mu na niej zależy. Pochylił głowę i patrzył teraz tylko na Piotra, na jego jakby uśpioną, spokojną, szczelnie zamkniętą powiekami twarz. A może po prostu nie znał go? Może go wcale nie znał?

Wrócili do Lublina późnym popołudniem. Gaston wolno prowadził wóz w stronę zamku, gdzie urządzono wystawę. Naciskał bez przerwy klakson, krzyczał i prosił - ludzie oblegali wóz z każdej strony.

— I wyobraź sobie, że to wszystko ruszy na dworzec - westchnęła Magdalena. - Słabo mi się robi na samą myśl.

— Dlaczego?

— Dobrze ci się pytać, dlaczego? Masz samochód i gwizdziesz na wszystko. Nawet nie zobaczysz jak polski plebs potrafi się cisnąć do pociągu.

— Myślałem, że macie zarezerwowane miejsca.

— Nie wszyscy - odrzekła z przekąsem. Piotr westchnął.

— Odwiozę was do Gdańska - zaproponował Gaston.

— Naprawdę zrobiłbyś to? - zawołała z zachwytem Magdalena.

— Dlaczego nie - żeby uczcić takie spotkanie?

— To niemożliwe - rzekł Piotr. Magdalena spojrzała na niego wyczekująco.

— Muszę wrócić razem z delegacją.

— Dlaczego musisz wrócić razem z delegacją? - nie rozumiał Gaston. - Nie wystarczy, że razem z nią tu przyjechałeś? Trochę prywatnego życia chyba ci się należy.

— Ale nie przy takiej okazji.

Zaległo przykre milczenie. Na szczęście Gaston przyhamował, znajdowali się w pobliżu wejścia na teren wystawy.

Magdalena otworzyła drzwiczki kabrioletu i postawiła nogę na stopniu.

— Dobrze wiesz, jaka mnie czeka podróż w tym tłoku. Jeśli nie zdecydujesz się jechać, pojedę sama z Gastonem.

— Po cóż tak stawiasz sprawę? - zaczął łagodnie Gaston. - Było mu nieprzyjemnie. - Piotr na pewno ustąpi i pojedziemy razem.

— Nie mogę - odparł Piotr stanowczo. - Magdalena powinna to zrozumieć.

— Wobec tego jadę sama z Gastonem! - Wyskoczyła z wozu i patrzyła na nich błyszczącymi z irytacji oczyma.

Gaston zobaczył, jak twarz Piotra robi się blada. Spuścił głowę.

— Nie zrobisz tego, Madeleine.

— Właśnie, że zrobię.

— Musisz zrozumieć, że stawiasz mnie w kłopotliwym położeniu. Ja nie będę mógł cię zabrać.

Usłyszała dokładnie to cicho wypowiedziane zdanie, ale stała przez chwilę mrugając powiekami, jakby nie mogła pojąć jego sensu. Ogarnęła ją nagła wściekłość: na siebie, że popełniła ten nietakt, na Gastona, że dał jej nauczkę, na Piotra, że do tego doprowadził.

- Pocałujcie mnie w nos! - krzyknęła z pasją nie wiadomo dlaczego po polsku, na szczęście po polsku, odwróciła się i wskoczyła w tłum. Uciekała szybko wymijając ludzi, skręcała w wystawowe alejki, przechodziła przez stoiska. Wreszcie - zmęczona - przystanęła przed kioskiem z napojami. Obejrzała się z nadzieją, ale nikt jej nie gonił. Albo niepodobieństwem było znaleźć kogoś w tym tłumie, albo naprawdę nikt jej nie gonił. Poprosiła o kufel ciemnego piwa i popijając wolno zastanawiała się nad sytuacją. Z Gastonem koniec! Nigdy mu tego nie wybaczy. Wolał sprawić jej przykrość, aby oszczędzić Piotra. Jeden głupi most wysadzony razem w powietrze znaczy więcej niż... - nie dokończyła myśli. Wzruszyła ramionami i oddała kufel. Postanowiła za wszelką cenę dostać się do Warszawy i upozorowawszy chorobę posiedzieć w domu kilka dni. Ogarnęło ją roztkliwienie, cóż to była za przystań, ten dom na Saskiej Kępie! Każde ze zmartwień wyglądało łagodniej w perspektywie tego bliskiego pocieszenia. Będzie razem z matką myła simkę, pomoże ojcu, jeśli ma do przepisywania jakieś rękopisy, posadzi w ogrodzie truskawki - na pewno mają już wasy. Nie potrzebuje żadnych mężczyzn, ani Piotra, ani Gastona, ani nikogo innego, żeby się na tamtych zemścić. Wbrew tej deklaracji pomyślała o Andrzeju. Andrzej był znów wolny, rozwiódł się przed półrokiem

- nie miał cierpliwości do małżeństwa. Tych informacji udzielały matce znajome panie, wciąż uważające małżeństwo Magdaleny za mało poważne. Andrzej, raz na zawsze zrażony do małżeństwa, dopiero teraz zaczynał być dla niej interesujący. Ale rychło spostrzegła, że myśli o nim tylko dlatego, żeby nie myśleć o tym, co ją gnębiło. Miała zamiar porządnie zwiedzić wystawę, żeby mieć co opowiedzieć rodzicom.

Najdłużej zabawiła w pawilonie rolniczym, w ogromnej stajni, pełnej okazów rasowego bydła. Krowy, buhaje, świnie i barany patrzyły na ludzi pełnymi wyrozumienia oczyma. Zwierzęca arystokracja, odznaczana na powiatowych i wojewódzkich konkursach, bez ekscytacji poddawała się tym bezustannym oględzinom. Pracowite mordy żuły pokarm. Przyglądanie się nie zmęczonemu ruchowi szczęk działało uspokajająco. Magdalena wyszła, kupiła w pobliskim stoisku paczkę pierników; gdy płaciła, dobiegł ją z głośnika głos Piotra: „Magdaleno, czekamy na ciebie przed głównym wejściem”. Wzruszyła ramionami i wróciwszy do pawilonu zajęła dawną pozycję przed czerwoną jałówką. Wydawało się jej, że zwierzę już ją poznaje. W tym miłym złudzeniu zaczęła gryźć pierniki, zapatrzona w ruchliwy, przyjemny pysk swojej towarzyszki.

Tak zastał ją Piotr, gdy dobrze już pod wieczór, złaziwszy wystawę wszerz i wzdłuż, zaszedł w końcu i do tego pawilonu.

- Magdaleno! - jęknął. - Cóż ty wyprawiasz?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Czekam na ciebie.

— Tutaj?

- Tutaj. Przecież już raz pogodziliśmy się w stajni, pamiętasz?

Ludzie przepływali przejściem między żłobami. Piotr pochylił się i szybko pocałował ją w policzek.

— Wszystko w porządku?

— O, tak.

— No to chodźmy stąd.

— Pojadę pociągiem - szeptała uwiesiwszy się u jego ramienia. - Będę gnieść się, będę wachać ten kolektywny smród i będę udawać, że nawet jestem tym zachwycona.

Piotr roześmiał się.

— Nocujemy przecież w Lublinie. Dopiero rano jedziemy do Warszawy, a o osiemnastej do Gdańska. Będę przez cały czas z tobą. Czy wiesz, co spotkało Gastona?

— Co takiego?

— Nic tragicznego, ale w każdym razie nieprzyjemna historia. Szczególnie dla nas. Skradli mu z samochodu płaszcz i lornetkę. Kiedy nam uciekłaś, zaczęliśmy cię szukać...

— Chyba nie od razu?

— No, trochę czasu zajęła nam nasza męska rozmowa. Ale potem weszliśmy na teren wystawy, a wóz został przed bramą. Dobrze, że aparat filmowy zabrał z sobą. Gdyby i ten aparat mu zginął, mógłby sobie pomyśleć Bóg wie co. Straszny wstyd!

- Na biednego nie trafiło.

— Ale jak my wyglądamy? W dodatku musiał pojechać na komisariat, żeby złożyć zeznania.

— Trzeba było pojechać razem z nim.

— Przecież musiałem szukać ciebie. Zresztą zaprosiłem go do nas do domu.

— Kogo? - zapytała cicho Magdalena.

— Gastona oczywiście. Przyjedzie do nas w sierpniu.

XXVII

Piotr wyszedł z komitetu nieco wcześniej niż zwykle. Spragniony był powietrza, wiatru, widoku zieleni. Biskupia Górka i pagórki nad ulicą 3 Maja stały na widnokręgu, jak kopce świeżo żętej trawy.

W domu Magdaleny jeszcze nie było. Nastawił na gazie czajnik z wodą. Obydwoje jadali obiady w stołówkach, ale po powrocie Magdalena lubiła wypić herbatę i zjeść coś słodkiego. Zawsze przechowywała w kredensie kawałek babki, kruche ciastka czy pierniki. Z filiżanką herbaty w dłoni chrupała je, półleżąc na tapczanie - i był to chyba jedyny jej odpoczynek w ciągu dnia. Potem czekały ją niezliczone zajęcia domowe, które powiększyły się, gdy dostali drugi pokój po Jasiu. Piotr wprawdzie zżymał się na ten luksus, gdy rodziny robotnicze gnieździły się w jednej izbie, ale Magdalenie udało się go w końcu nakłonić, aby skorzystał z przywileju swego stanowiska. Nie chodziło zresztą o ten drugi pokój, tylko o wyłączność kuchni i łazienki, o ciszę, o możliwość schronienia się przed ludźmi.

Stawiając na tacy filiżanki i talerz z ciastem, Piotr ogarnął wzrokiem czyste ściany kuchenki, muślinową firankę w oknie, dwie rozkwitłe prymule na parapecie. On sam - tak plujący do niedawna na lepkość mieszczańskiego szczęścia - nie mógł sobie wyobrazić, żeby tu miała pospołu z nimi gospodarzyć obca osoba. I naraz uzmysłowił sobie, czym był dla niego ten dom. Jak do niego wracał, jak się śpieszył, starając się dojrzeć już od rogu ulicy, czy w oknach świeci się światło, czy Magdalena czeka na niego. Lubił zgrzyt klucza w zamku, skrzywienie podłogi w przedpokoju - te wszystkie odgłosy i szmery, które mieszkaly razem z nimi, zadowoleni towarzysze każdego dnia. Przynosił tu z sobą swoje radości, żeby je przeżyć po raz drugi, żeby je sobie przyswoić i zrobić z nich prezent Magdalenie; i zmartwienia przynosił także w nadziei, że rozprawi się tu z nimi, że ona pomoże mu - je pokonać i unicestwić. To był jego dom. Jego dom na wszystkie dni tygodnia, wygodne i uciążliwe, bezpieczne i

takie, przed którymi trzeba się kryć w dobroć i ciepło drugiego człowieka, tego drugiego człowieka, który w tym domu czeka, gotowy przyjąć wszystko, co przyniesie miłość i życie.

Nalał herbaty do termosowego dzbanka, który Magdalena dostała na imieniny od koleżanek w biurze, i ustawiwszy go obok tacy na stole w pokoju, położył się na tapczanie, czekając na nią. Ciekaw był wyrazu jej twarzy, gdy zobaczy, że wszystko już gotowe, że może się położyć obok niego z filiżanką herbaty i ciastkami na talerzyku.

Usłyszał wreszcie zgrzyt klucza w zamku i pośpieszne jej kroki przez przedpokój. Zostawiła siatkę z zakupami w kuchni i stanęła na progu.

Nie zauważyła zastawy na stole. Była zaróżowiona od pośpiechu i podniecenia.

- Jadę zaraz do Poznania! - zawołała, ściągając z głowy beret.

Ponieważ Piotr zaniemówił, podeszła bliżej i przysiadłszy na brzegu tapczanu, szerzej wyjaśniła całą sprawę: koleżanka zachorowała i odstąpiła jej swoje miejsce w wycieczce orbisowskiej na Targi w Poznaniu. Czy miała nie skorzystać z tej okazji? Ile razy mówiła, że ma ochotę pojechać na Targi, a on w ogóle nie reagował na to? Argumenty były przekonujące, niepotrzebnie przedstawiała je tak żarliwie z miną kota, który zjadł śmietanę.

Piotr milczał, miał zwyczaj denerwującego milknięcia, które było w stanie doprowadzić każdego rozmówcę do szału. Magdalena odgarnęła włosy z czoła.

- Powiedz, czy miałam nie skorzystać z takiej okazji? - zapytała jeszcze raz.

Piotr patrzył na nią bez słowa.

Zerwała się z tapczanu i stała teraz przed nim coraz czerwieńsza i bardziej potargana. Jej włosy uczestniczyły zawsze w jakiś dziwny sposób w każdym wzburzeniu.

— Nie zamierzasz chyba gniewać się o to na mnie? Od tak dawna nie miałam żadnej rozrywki. Zobacz, jak żyją inne kobiety.” Nie mam zamiaru narzekać, ale chwilami muszę zaciskać zęby. Czy ty myślisz, że praca w biurze idzie mi jak z płatka, że nie mam czasem ochoty zarżnąć kogoś lub udusić? Jeśli nie będę miała jakichś uspokajających przerw w tych nastrojach... - urwała, bo Piotr przestał patrzeć na nią. Usiadła znów przy nim i oparła się o jego piersi.

— Oczywiście, że wolałabym pojechać z tobą. Ale przecież wiem, że ty się nie ruszysz. Albo będziesz miał egzekutywę, albo plenum, albo wyjazd w teren. Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Byłoby to samo co z wyjazdem do Zakopanego. - Odetchnęła głęboko i nie starała się już tak bardzo, żeby przyłapać jego spojrzenie.

Piotr odsunął jej rękę i wstał z tapczanu.

- Co ci zapakować do neseseru?

Uśmiechnęła się z ulgą.

— Tylko przybory toaletowe i piżamę. Pojadę w kostiumie, nie będę się przebierać.

— Masz na stole herbatę - mruknął, grzebiąc w szafie. - Napij się i odpocznij.

— Och, Boże! Jakże tu ślicznie wszystko przygotowałaś. A ty się nie napijesz?

— Dziękuję. Już piłem.

— Co ty opowiadasz, filizanka jest czysta. - Podeszła i pocałowała go w kark. Przytuliła twarz do jego pleców i stała tak

przez chwilę, objąwszy go ramionami.

— Nie mogę szukać pizamy, hamujesz mi ruchy - rzekł Piotr szorstko.

— Dajże spokój z tą głupią pizamą. Nigdzie nie pojedę, jeśli nie przestaniesz się na mnie bocyć.

— A więc jeszcze mam się z tego cieszyć?

— Oczywiście.

Odwrócił się do niej twarzą. Patrzyła na niego promiennie.

- Oczywiście, że tak. Ja na przykład cieszyłabym się bardzo, wiedząc, że ma cię spotkać jakaś przyjemność.

Miała rację. Nie ulegało wątpliwości, że miała rację, ale niełatwo było mu ją przyznać.

- Dobrze, więc i ja się cieszę - powiedział wreszcie, ale wciąż czuł niemiły chłód w sercu.

Magdalena rozpogodziła się.

- A teraz musisz wypić ze mną. Sama zapakuję swoje rzeczy.

Nie powrócili już więcej do tego tematu. Magdalena zaopatrzyła go w kilka rad na okres jej nieobecności, co ma sobie zrobić na śniadanie i kolację, czy musi dokupić coś do jedzenia. Potem odprowadził ją na dworzec i szybko wrócił do domu.

Starał się obronić przed tym podejrzeniem, ale nie dawało mu spokoju: Magdalena umówiła się w Poznaniu z Gastonem, to nie ulegało wątpliwości. Dlatego w ostatniej chwili zawiadomiła go o wycieczce, żeby nie mógł pojechać razem z nią. Zrobiło mu się prawie słabo z rozpaczy, żalu i wstydu. Dlaczego to zrobiła? Czy nie poświęcał jej każdej wolnej chwili, każdej myśli, każdego wzruszenia? Stał pośrodku pokoju, nie wiedząc, co z sobą począć. Wszystko go bolało, głowa, mięśnie i brzuch. Gaston! Przyjął go jak brata. Sądził, że serdeczność, jaką mu okazał, rozbroi w nim każdy podstępny zamysł. Nie umiał przegrywać, każda klęska wydawała mu się klęską ostateczną. Nie było poza nią jutra, przebaczenia ani odwetu. Wciąż stał, a ręce zwisały mu wzdłuż ciała.

Zaczął się w końcu rozbierać, choć jasno było jeszcze na dworze. Nie wiedział, co miałby innego zrobić w tym opustoszałym domu. Rozejrzał się po znajomych ścianach, meblach, firankach i kwiatach - nie czuł już ich, przyjaźni. Przejął go żal tak ostry jak skurcz żołądka - jednak dom to była ona. Tylko ona; wszystko, co tu nagromadziła, bez niej nie miało żadnego znaczenia. Kopnął nogą krzesło i zawiesił na nim marynarkę. Zrzucił buty, aż potoczyły się daleko na pokój, zszarpnął z grzbietu koszulę i nagi, nie mając siły włożyć piżamy rzucił się na tapczan. Marzył o śnie. Przez długą chwilę liczył barany przeskakujące przez płot, potem przerzucił się na świnię,

w końcu zaczął liczyć palce u nóg, wciąż wracając do dużego u prawej nogi. W jakąś wysoką cyfrę, do której doszedł, wmieszały się trapiące go myśli. Wstał i wyszukał na półce jakąś książkę, jeszcze nie rozciętą. Była to powieść współczesna, tak bardzo współczesna, że Piotr ani się obejrzał, jak sennym ruchem położył ją na dywaniku przed tapczanem.

Zbudził go długi, niecierpliwy dzwonek.

Wyskoczył z pościeli i chwyciwszy po drodze kurtkę od piżamy, wybiegł do przedpokoju. Serce mu biło. Wyobraził sobie w ciągu kilku sekund, że to Magdalena wraca, że może przytrafiło się jej coś w drodze albo po prostu postanowiła wrócić i wysiadła w Tczewie.

Szarpnął drzwiami i otworzył je na oścież.

Na progu stał Gaston.

- Cóż, u licha? - zawołał. - Co się u was dzieje? Dzwonię i dzwonię. Spicie tak wcześnie?

Piotr cofnął się, osłaniając swoją goliznę. Musiał głupio wyglądać w tym stroju nieco kusym, z obłąkanie szczęśliwym uśmiechem na twarzy, bo Gaston nie ruszał się z progu, przyglądając mu się krytycznie.

— Chory jesteś? - zapytał.

— Ja? Skądże? Wejdz wreszcie do środka. Jestem sam i położyłem się trochę. Magdalena pojechała na Targi do Poznania.

— O, do diabła! - zaklął Gaston. - A ja chciałem wam zrobić niespodziankę i właśnie przyjechałem, żeby was tam zabrać. Dawno pojechała?

— Przed trzema godzinami.

— Może pojedziemy za nią? Sama pojechała?

— Z wycieczką „Orbisu”.

— Łatwo ją znajdziemy. Ubieraj się.

— Nie mam przecież urlopu. Gdybym miał, pojechałbym razem z nią.

— Wiesz, ty mimo całego marksizmu pójdiesz prosto do nieba - zawołał Gaston. - Urlopu nie ma! Żona sama jedzie na Targi, bo on nie ma urlopu. Przenocujesz mnie przynajmniej?

— Oczywiście. Szkoda, że nie napisałeś wcześniej.

— Sam przecież powiedziałeś mi, że bym do was raczej nie pisał. Przyjaźń z francuskim dyplomatą - o, to bardzo niebezpieczne! Trzeba znowu prosić sąsiadów o gościnę w garażu.

— Zaraz to załatwię - Piotr ubierał się szybko. Wciąż nie przestawał się uśmiechać. Gdyby się nie wstydził, rzuciłby się Gastonowi na szyję z rozsadzającej mu piersi uciechy, że jest tu, tu przy nim, że na pewno nie czeka na Magdalenę w Poznaniu.

Sprawa garażu została szybko załatwiona i Piotr mógł wreszcie zająć się swoim gościem.

- Na pewno jesteś głodny.

- Jak wilk! Cieszyłem się na jajecznicę ze szczypiorkiem, którą tak świetnie robi Magdalena.

— Jajecznicę ze szczypiorkiem ja też potrafię ci zrobić.

— Mogę pójść z tobą do kuchni?

— Proszę.

Gaston usiadł na kuchennym stołku i obserwował Piotra krzątającego się przy kredensie.

— Co ją podkusiło, żeby samej jechać do Poznania? - zawołał. Chciał mu powiedzieć: słuchaj, ona zdradza nas obydwu, ale zabrakło mu odwagi.

— Po prostu chciała się trochę rozerwać. Ona tutaj naprawdę nie ma żadnych przyjemności.

— Ma ciebie, to jej powinno wystarczać. Ty jesteś jej rozrywką na całe życie.

Piotr spojrzał na niego z ukosa. Podejrzewał, że Gaston kpi z niego.

- Tak wymagający nie jestem - rzekł trochę zbyt ponuro.

Gaston roześmiał się.

— Urządzimy sobie kawalerski wieczór. Skoczę i przyniosę coś do picia.

— Poczekaj, w domu powinno się coś znaleźć. Kiedy do Delikatesów nadchodzi transport win, Magdalena kupuje kilka butelek i chowa w kredensie na odpowiednią okazję. - Piotr wyszedł do pokoju i wrócił z butelką Vero. - Lubisz włoski wermut?

— Może być. Daj, otworzę.

Tłuszcz na patelni zaskwierczał. Piotr zaczął rozbijać jaja ze skupieniem uczonego, który dokonuje epokowego doświadczenia. Wreszcie jajecznica była gotowa. Wyjął talerz, żeby przełożyć ją z patelni.

- Co ty robisz? - krzyknął Gaston. - Zepsujesz cały smak! Jaja je się tylko z patelni. Poza tym mam już dosyć tej restauracyjnej elegancji, talerzy, talerzyków, półmiseczków. Chcę raz być w domu i jeść w kuchni, prosto z patelni, podpierając się łokciami na stole. Nalej tego wina!

Wypili. Wino miało gorzki, korzenny smak.

— Dobrze! - mruknął Gaston. - Tego mi było brak od rana. Nie masz drugiej patelni, żebyś sobie też usmażył jajecznice?

— Mam.

— No to smaż. Nie mogę jeść, kiedy siedzisz nie mając nic przed sobą i patrzysz na mnie.

Piotr szybko uwinął się ze swoją porcją. Podnieśli znowu pełne kieliszki.

— Taki wieczór od dawna nam się należał - mówił Gaston. Przestał już prawie żałować, że nie zastał Magdaleny. Przy niej trzeba było mieć się zawsze na baczności, a mężczyźni lubią nieraz postawę „spocznij”.

— Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że przyjechałeś! - Piotr znowu miał ochotę ścisnąć i całować swego gościa. Smarował mu bułki, słodził herbatę, przycinał rzodkiewki. Wyszukał puszkę śledzi w oliwie, słoik ogórków i paczkę tyłzyckiego sera - stawiał to wszystko przed nim, zachwalając, jakby był kelnerem w prywatnej restauracji.

Gaston jadł. Mimo patelni i łokci na stole jadł w sposób europejski, z właściwą dozą apetytu i znudzenia, nie zwracając na potrawy uwagi, a jednocześnie zaciekawiony nimi na tyle, aby usatysfakcjonować najbardziej pod tym względem próżnych gospodarzy. Piotr nie przypuszczał nigdy, że tyle wdzięku może być w tej prostej i tak koniecznej dla życia czynności.

Do diabła! - myślał. - On jest chyba naprawdę do zakochania, ten Gaston! - Nie czuł przy tym goryczy ni lęku, ponieważ ten zachwycający człowiek siedział naprzeciw niego i nie mógł być w żadnym innym miejscu świata.

Znowu wychylili kieliszki. Gaston zdjął marynarkę i powiesił za sobą na poręczy krzesła. Piotr dopiero teraz zauważył wąską wstążeczkę wojskowego odznaczenia w klapie.

— Za co to dostałeś?

— Za co? Za most!

— Za jaki most?

— Za nasz most. Po powrocie z obozu zgłosiłem w ministerstwie tę sprawę, zbadali ją, trochę to nawet długo trwało, ale w końcu dostałem odznaczenie, i to nie byle co - Croix de la Liberation, bo przecież byłem w niewoli, a jednak nie przestałem walczyć. Tak, mój drogi, przyjemnie jest być bohaterem, kiedy wszystko już minęło i nic już człowiekowi nie grozi. A ty nie dostałeś odznaczenia?

— Nie - bąknął Piotr.

— Dlaczego?

— A bo ja wiem, dlaczego?

— Może nie wiedzą o niczym?

— Wiedzą. Dobrze wiedzą - powtórzył i zawstydzil się nagle, przypomniał sobie pytania stawiane Magdalenie i jemu. - Nie mówmy o tym - rzekł prędko.

Gaston patrzył mu w oczy.

— Wydaje mi się, że należy sobie coraz częściej przypominać, że było się kiedyś żołnierzem.

— Co masz na myśli?

— Czy sądzisz, że pozwolą nam długo odpoczywać?

— Odpoczywać nie pozwalają nam nigdy. Ale trzeba w sobie wytworzyć jakąś technikę myślenia, ochronną technikę myślenia. Kto chciałby pracować, gdyby wszyscy myśleli o wojnie?

Gaston napełnił kieliszki, podniósł swój do góry i czekał, aż Piotr uczyni to samo.

— Może masz rację - powiedział powoli - może nie trzeba o niej myśleć. Ostatecznie przegrywać można i pokój.

— Sądzisz, że go przegrywamy?

— Jako uprzejmy gość nie odważyłem się na liczbę mnogą. Ta poprawka należy do ciebie.

Piotr milczał. Gaston wyciągnął ramię przez stół i dotknął jego dłoni.

- Przepraszam cię. Nie przyjmuj tak ponuro wszystkich pytań, które wysuwamy pod adresem świata. W pytaniach, na które nie ma odpowiedzi, kryje się zawsze jeszcze jakaś

nadzieja. A mnie ta myśl gnębi od dawna - z naszych dróg znikły drogowskazy, nikt nie wie, dokąd idziemy, dokąd chcemy i dokąd powinniśmy iść, kto jest prawdziwym naszym wrogiem. Wciąż muszę wracać do jednego: nawet najszlachetniejszy naród może przegrać wojnę, ale biada temu, który przegrywa pokój.

Piotr poruszył się.

— Już powiedziałem ci raz, w Lublinie - pamiętasz? - że my nie mamy czasu na rozmyślania, które was trapią. Dostaliśmy zrujnowany kraj i zrujnowanych ludzi. Ich trudniej będzie odbudować niż fabryki i domy. Przez tyle lat kradzież i oszustwo były bohaterstwem. Długo trzeba walczyć z tym wszystkim.

— Nic nie zrobicie. Polacy muszą mieć w walce żywego przeciwnika.

Walczyć z pojęciem, jak nieuczciwość, lekkomyślność czy lenistwo, to nic dla nich.

—Dobrze nas poznałeś - rzekł Piotr z przekąsem.

—A dobrze - ostatecznie jestem tu po to. Cóż jeszcze można o was powiedzieć? Nie lubicie się wzajemnie. Nie znam drugiego takiego narodu, który by miał w swoim łonie tyle antagonizmów: regionalnych, politycznych, obyczajowych. Pomorzacy nie lubią warszawiaków, a inteligencja czuje niechęć, jaką budzi w robotnikach, i odplaca im tym samym. Wcale się jej zresztą nie dziwię - gdyby mnie ktoś nienawidził tylko za to, że umiem więcej od niego...

—Nasza inteligencja ma wiele na sumieniu - odparł gwałtownie Piotr. - Od razu ustawiła się na przeciwnych pozycjach, odgradzając się od milionów robotników, chłopów, drobnego mieszczaństwa. Tymczasem powinna zrozumieć, że jej uczucia patriotyczne - niezależnie od wszelkiej polityki - powinny wyrażać się nie w dąsach na walkę klasową, ale w upartej pracy dla całego narodu.

—Poczekaj - rzekł Gaston z bladym uśmiechem. Chciał rozładować niebezpieczne podniecenie Piotra. - Wymieniłem tyle waszych wad, że czułbym się nie w porządku nie przeciwstawiwszy im choćby kilku naszych narodowych świństewek. My na przykład nie jesteśmy za bardzo odważni. I cóż nam z tego, że nie jemy ryby nożem, że nie kradniemy tak pospolicie jak wy - wciąż nie mogę zapomnieć tej lornetki i płaszcza - uśmiechnął się - kiedy równocześnie nie znalazł się ani jeden Francuz tak odważny, aby odpowiednio przywitać hitlerowskiego generała w Paryżu.

Piotr milczał. Gaston machnął ręką.

- Po co w ogóle o tym mówimy? Teraz wszystko pójdzie o wiele prędzej. Patriotyczne uczucia i cały ten lamus psychologiczny, który towarzyszył poprzednim wojnom, nie znajdzie już zastosowania. Usunięto go z nowoczesnych magazynów broni. Teraz będziemy umierać jak bydło, zaledwie zdążywszy oddać kał ze strachu.

Piotr znowu nic nie odrzekł. Smarował chleb dla Gastona,

starannie rozprawiając masło nożem. Gaston wypił łyk wina.

- Wiesz, byłem trzy lata temu w Hamburgu. Opowiadano mi tam o pewnej staruszce, która co jakiś czas stawiała na nogi całą policję. Zaczęło się od tego, że podczas jakiejś oficjalnej wizyty rządowej w mieście, gdy zebrane tłumy witały przejeżdżającą w samochodzie osobistość, staruszka wyskoczyła na środek jezdni i rzuciła pod samochód bombę. „To za Karolka!” - krzyknęła. Bomba nie zrobiła dygnitarzowi nic złego: była ze starych szmat. Babinę oczywiście aresztowano, ale nie trzymano zbyt długo. Zapomniano o jej istnieniu, gdy tymczasem historia znów się powtórzyła. Tym razem bomba została rzucona „za Rudolfka”. Znowu babcię zamknięto i potrzymano kilka miesięcy w zakładzie dla nerwowo chorych. Ale ponieważ okazała się w gruncie rzeczy nieszkodliwa, zwolniono ją, oddając pod nadzór policji. Ilekroć przyjeżdżał ktoś do miasta, babcia siedziała w areszcie domowym. Ale któregoś dnia po prostu o niej zapomniano, a właśnie miała miejsce wizyta jakiejś krajowej czy zagranicznej osobistości. Staruszka wmieszała się w tłum i rzuciła jeszcze jedną bombę „za Gerhardka!” Potem sama zgłosiła się na policję i poprosiła, żeby jej więcej nie zamykać, ponieważ rzuciła już swoją ostatnią bombę i teraz będzie już z tym koniec. Słuchasz mnie?

—Ależ tak - odpowiedział Piotr. Nie mógł odeprzeć od siebie pytania, po co Gaston mu to opowiada?

—Dziennikarzom oczywiście nie pozwolono zrobić z nią wywiadu, ale ludzie opowiadają sobie treść jej oświadczenia, jakie miała złożyć na policji. Otóż powiedziała, że straciła na wojnie trzech synów. Od dłuższego czasu nie dawała jej spokoju myśl, że nie uczyniła nic, aby ich bronić. Chciała więc przynajmniej pomścić ich śmierć, aby mieć wreszcie czyste sumienie. Wypij, Pierre! Nasze matki także nie należą do odważnych.

—Moja już nie żyje - rzekł cicho Piotr. Czuł przykry, denerwujący wstyd za swoją poprzednią myśl.

—Tym lepiej dla niej. Moja ma jeszcze wszystko przed sobą. I nie jest odważna, wcale nie jest odważna. Pamiętasz Dominique'a?

—Oczywiście.

—On w ogóle nie miał matki. A kiedy umierał, wiedział, że to jest tak proste, jak zgarnięcie opadłych liści z jezdni.

- Dominique nie żyje? - zdziwił się Piotr. - Nic nie mówiłeś.

—Mówiłem Magdalenie, kiedyś jej o tym mówiłem - mruknął Gaston. - Nie żyje. Zginął, zanim Niemcy wycofali się z Marsylii.

—Niewiele zaznał rozkoszy - rzekł Piotr w zamyśleniu.

- A my? - krzyknął Gaston. - A ja?

Piotr ledwie powstrzymał nagły uśmiech.

— A ja? - powtórzył Gaston. - To wszystko jest przecież tylko chwilowym oszustwem: dobre jedzenie, ubranie, ciepło i wygodna w domu. Oszustwem albo jeszcze gorzej - perfidią w obdarzaniu człowieka tym wszystkim, co będzie musiał utracić.

— Nie wszyscy ludzie mają okazję cierpieć na tę obsesję.

Gaston wyczuł ton złośliwości w słowach Piotra. Zamrugał oczyma i wyciągnął rękę po butelkę.

- Nie rozumiemy się - rzekł żałośnie. - A przedtem rozumieliśmy się tak dobrze.

Piotr chciał mu wyjaśnić, dlaczego przedtem rozumieli się tak dobrze, ale ogarnęła go fala tkliwości dla tego wciąż niedorosłego chłopaka, który siedział przy stole w jego kuchni, wichrząc sobie dłonią włosy.

- I nie jesteśmy odważni - ciągnął dalej Gaston. - A byliśmy! Ty dobrze wiesz, jak byliśmy odważni. Chociaż ja mniej - dodał ciszej – ja się wciąż bałem, tylko było mi wstyd przed tobą.

- Nie pleć głupstw.

- Mówię ci, strasznie się bałem. I dlatego ja mam order za ten most, a ty...

- Jesteś pijany, Gaston - rzekł Piotr łagodnie.

Gaston wyprostował się i przygładził włosy.

- Nie, nie jestem pijany. Czy trzeba być pijanym, żeby przyznać się do tego, co ogryza nam dusze? Strach, wielki strach - to jest wszystko, do czego jesteśmy zdolni.

Piotr ukradkiem spojrział na zegarek, było już późno - jutro czekał go ciężki dzień. Magdalena dojeżdża do Poznania - pomyślał i znowu ogarnęła go fala czułości dla Gastona.

- Pościelę ci tapczan - powiedział. - Na pewno jesteś zmęczony.

Gaston patrzył na niego smutno.

— Myślisz, że potrafię się ukryć na twoim tapczanie przed tym, co ogryza mi duszę? Jesteśmy mało odważni, Pierre!

— Może jesteśmy już zmęczeni odwagą? Tamtym jej rodzajem? Teraz potrzebny jest nam inny.

Kiedy Gaston już spał w drugim pokoju, zadzwieczał telefon. Dzwonił ojciec Magdaleny, od czasu do czasu dowiadywał się, co u nich słychać.

— Magdaleny nie ma - powiedział Piotr. - Wyjechała dziś po południu na Targi do Poznania.

— Sama? - zdziwił się profesor.

- Z wycieczką „Orbisu”. Koleżanka odstąpiła jej swoje miejsce.

Krótkie, zaniepokojone milczenie po drugiej stronie przewodu pchnęło Piotra do nagiego zwierzenia:

- Niech ojciec sobie wyobrazi, że akurat przyjechał Gaston i miał nas zabrać na Targi samochodem. Magdalena będzie niepokieszona.

Znowu chwila ciszy, a potem rozpozgodzony głos profesora:

— Gaston! Jakże się cieszę! Pozdrów go ode mnie.

— Już śpi, ale zrobię to jutro rano. W domu wszystko w

porządku?

— Tak. A u was?

— U nas też - rzekł Piotr szybko. - Pracy dużo - dodał.

— Nie przejmuj się tak wszystkim, Piotrze - rzekł serdecznie starszy pan. - Nie przyjechalibyście na niedzielę? Matka się ucieszy.

— Może da się zrobić - zawołał Piotr. Na niedzielę miał wyznaczony wyjazd w teren, ale zapragnął nagle z dziecinną prawie tęsknotą znaleźć się wśród życzliwych mu ludzi, znaleźć się z Magdaleną w domu, który tak kochała. - To na pewno da się zrobić - powtórzył. - Dziękuję.

— No to bądź zdrow.

— Ucałowania rącek dla mamy - rzekł Piotr w słuchawkę.

Siedział na brzegu tapczanu, bojąc się ruszyć. Gzuł się omdlały, bezsilny ze wzruszenia. Co mi jest? - pomyślał z przestraczem. - Może jestem chory? - Gaston poruszył się w drugim pokoju, zajęczał przez sen.. Piotr zerwał się i pobiegł na palcach, żeby zobaczyć, co się z nim dzieje: Francuz spał jak dziecko, rozciągnięty na brzuchu, z twarzą w poduszce - śniło mu się coś i mamrotał przez sen. Piotr otulił go kołdrą i wycofał się cicho z pokoju. Zalewała go fala tkliwości. Położył się i natychmiast zasnął.

Rano „Gaston podwiózł go samochodem do Gdańska. Zdecydował się wracać do Warszawy. Piotr mu wierzył. Magdalena nocnym pociągiem miała wyjechać z Poznania - na pewno nie zadałby sobie trudu tak dalekiej podróży dla wątpliwej nadziei odnalezienia jej i spędzenia z nią kilku chwil.

Podczas jazdy mówili mało. Krótkimi zdaniem wymieniali uwagi o pogodzie, mijanych widokach i samochodach, których z wiosną coraz więcej pokazywało się w tej okolicy.

Piotr prosił, żeby go wysadzić przy Bramie Oliwskiej, nie chciał wzbudzać sensacji przed komitetem zagranicznym wozem. Gdy pożegnawszy się otworzył drzwiczki samochodu, Gaston

zapytał nie podnosząc oczu znad kierownicy:

- Czy Magdalena jest z tobą szczęśliwa?

Piotr doznał uczucia pchnięcia w serce. Dopiero po chwili odpowiedział pytaniem na pytanie: -; Kochasz ją?

— Tak.

— Mówiłeś jej o tym? Czy teraz mówiłeś jej znowu o tym? Gaston zapuścił motor.

— Tak - powiedział cicho. - I wróciła do ciebie.

XXVIII

Piotr uporządkował biurko, zamknął szufladę i schował klucz do kieszeni. Ciepły wiatr zawiewał od otwartego okna. Dzień był wspaniały: niebo miało kolor emaliowanego na niebiesko garnka.

Lato nad morzem było pięknym - choć krótkim - oddechem między dwiema długotrwałymi szarugami, wiosną i jesienią. Miał motocykl - każdy wyjazd w teren stawał się przez to jakby wycieczką krajoznawczą. Jechał do Jeziorzan. Złapał się na tym, że planując ten wyjazd pragnął pogodnego, ostro naświetlonego słońcem dnia. Zmarszczył brwi - nie lubił komentarzy, jakie mu podsuwała jego podświadomość. Zdjął czapkę z wieszaka.

Na korytarzu rozległy się charakterystyczne kroki Bronki. Wiedział z praktyki, że jej wizyty trwają dłużej niż pięć minut, więc gdy weszła, zaznaczył od razu z intonacją pośpiechu w głosie:

— Jadę w teren.

— Mimo to będę musiała was zatrzymać. - Nie patrzyła na niego. Usiadła przy biurku i poprosiła o papierosa. Gdy go jej zapalał, wskazała mu jego miejsce. Usiądźcie, tego nie da się tak w dwóch słowach.

Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

— Mówiłem wam, że jadę w teren.

— Słyszałam, zdążycie.

— Nie możemy odłożyć tej rozmowy?

— Raczej nie. - Bronka wreszcie podniosła na niego wzrok. - Pytano mnie o was.

Piotr usiadł.

— Co to ma znaczyć?

— Nie jest dla nikogo tajemnicą, że się przyjaźnimy. Wyobrażano więc sobie, że to jest dostateczny powód, aby wiedzieć coś o drugim człowieku. - Uśmiechnęła się kwaśno.

Piotr patrzył na nią w napięciu. Ulicą przejechał tramwaj, podłoga zadrżała pod stopami.

Bronka zrezygnowała nagle z uśmiechu, jej wargi zwały się w surowym wyrazie gorzkiego strapienia.

- I po co wy to robicie, Kwaśniewski? - powiedziała z żalem. - Po co wy robicie te głupstwa? Któż to jest ten Francuz, który do was przyjeżdża?;

Piotr miał ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili ze względu na daleką od skłonności do żartów minę Bronki.

- To jest pan Gaston Assement - powiedział wesoło – pracownik francuskiej ambasady w Warszawie. Informacja dosyć dokładna? – Patrzył na nią ubawiony.

Bronka naprawdę nie miała ochoty do żartów.

— Nie zachowujcie się bezczelnie - szepnęła.

— Kiedy to prawda - Piotr nie mógł pohamować śmiechu. - Mogę jeszcze podać wam jego adres, dwa adresy: w Warszawie i we Francji.

— Kto to jest ten człowiek?

— Przecież wam powiedziałem.

— Co was z nim łączy? Dlaczego tu przyjeżdża? Po co?

„Bo kocha się w mojej żonie” chciał odpowiedzieć Piotr. Uważał, że to świetny dowcip. Wciąż patrzył na Bronkę rozbawionym wzrokiem.

- Przecież to mój przyjaciel! Razem byliśmy w Niemczech podczas wojny. Razem wysadziliśmy most, przez który szły pociągi z amunicją na wschód z jednej spośród już

nielicznych fabryk amunicji w Bawarii. - Nigdy się tym przed nią
nie chwalił. Teraz czekał, że zobaczy błysk uznania w jej oczach.

Ale ona zapytała cicho:

— Dlaczego nie wspomnieliście o tym w waszej ankiecie?
Drgnął. Zauważyła jego reakcję i zrozumiała ją mylnie.

— Dlaczego? - powtórzyła.

- Bo to nie był jedyny most w moim życiu - wybuchnął. –
Robiłem to już w trzydziestym dziewiątym roku, służyłem w saperach. Z zawodu jestem chemikiem, jak wiecie - znając moją ankietę.

Nie zwróciła uwagi na jego ostatnie słowa.

— I dokonaliście tego we dwóch? - spytała.

— Tak. Mój przyjaciel Francuz dostał nawet za to order -
powiedział dobitnie.

Długo strząsała popiół z papierosa. Piotr wstał i podszedł do niej.

- Powiedzcie mi, o co chodzi. Chcę wszystko wiedzieć.
Dlaczego nie zwrócono się z tym do mnie wprost? Dlaczego użyto waszego pośrednictwa?

Bronka podniosła głowę.

— Ponieważ już raz ręczyłam za was.

— Wiem o tym - rzekł cicho.

— Ale teraz... - zawahała się.

— ...ale teraz zaczynacie tego żałować. - Odwrócił się. Nie chciał, żeby patrzyła mu w twarz.

— Teraz zaczynam tracić pewność siebie. Zrozumcie mnie -
szepnęła. W jej głosie drgnęła prośba, którą zaraz opanowała.

Piotra olśniło nagle podejrzenie, że tym razem chodzi nie tylko o niego, ale także i o nią.

— Te dwie sprawy - powiedziała wolno - łączą się bardzo jaskrawo.

— Jakie dwie sprawy? - wyjąkał.

— Francuz i wasza nie wyjaśniona przeszłość wojenna.

Odwrócił się, żeby móc na nią patrzeć. Nie mógł opanować nagłego uśmiechu współczucia. Powiedziała to. Naprawdę użyła tego obszernego zwrotu, w którym wszystko mogło się zmieścić, i patrzyła mu prosto w oczy, pewna swoich racji, swoich szlachetnych racji, swoich niezachwianych, sprawiedliwych racji.

Poczuł smutek mdły jak niestrawność. Może naprawdę trzeba było rzucić to wszystko, założyć pralnię, wytwórnę kremów czy lakierów do paznokci? Może szkoda było czasu na tę beznadziejną walkę - nie wiadomo z kim i nie wiadomo o co? Kiedy po raz pierwszy zakwestionowano jego „przeszłość”, przyjął pomoc Bronki, ponieważ uważał, że w całej tej sprawie najważniejszą rzeczą jest to, żeby mógł dalej pracować. Żeby - niezależnie od pomyłek, podejrzeń i krzywd - mógł dalej robić to, co uważał za słuszne, konieczne i bardzo ludziom potrzebne. Ale wtedy Bronka wierzyła w niego i miał prawo przyjąć jej pomoc. Teraz sytuacja wyglądała inaczej.

- Nie należałem do AK - zaczął znużonym głosem. - Walczyłem w oddziałach AK, bo znalazłszy się nagle w powstaniu po ucieczce z Reichu nie miałem wyboru oddziału. Zresztą ta formalna przynależność była mi w gruncie rzeczy zupełnie obojętna. Chciałem bić Niemców - nie było czasu zastanawiać się, pod czyim szyldem to robię.

Czekał, że coś powie, że odezwie się do niego. Trwało to dosyć długo, więc powiedział znowu:

- Potem wstąpiłem do 1 armii. Wiecie przecież i to. - Urwał, przyłapał się na tym, że sam czuje konieczność przytaczania argumentów - obronnych. Wiatr zakołysał firanką, powiało zapachem lata, rozgrzanej słońcem blachy parapetu i jezdni zlewanej wodą.

Bronka ukryła twarz w dłoniach i siedziała bez ruchu. Patrzył na jej długie palce zaciśnięte na oczach. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale uznał to za zbędne i upokarzające. Spojrzał na zegarek.

— Ko! - powiedział. - Na mnie czas! Podniosła głowę.

— Więc nie możemy się dogadać? - szepnęła.

- Chyba dogadaliśmy się. Wiem, że dużo wam zawdzięczam. Ale myślałem - nie gniewajcie się - że... już wreszcie będzie z tym spokój. A tu nagle okazuje się, że jestem właściwie w toku postępowania. Wy sami powiedzieliście mi przecież przy okazji sprawy mojej żony w UB, że to się w gruncie rzeczy nic

opłaca. Nie należy tracić pożytecznych ludzi dla powodów zbyt białych, czy wręcz nic istniejących. Teraz ja wam to przypominam. To się naprawdę nie opłaca. - Wyszarpnął z kieszeni marynarki portfel i wyjął z niego jakiś list. - Dostałem go przed kilkoma dniami. Zawiadomienie z sanatorium w Prabutach o śmierci jednego z pacjentów. Zetknąłem się z nim tylko raz, potem pisał do mnie z Prabut, gdy się tam znalazł, a w końcu kazał donieść mi o swojej śmierci. Nie wiem, dlaczego uważał, że akurat mnie należy oskarżyć o jego krzywdy. Może sądził, że ja mogłem, a nie chciałem mu pomóc? Nie mogłem. Ludzie u nas z wszelkich porachunków robią walkę polityczną, a my nie uczyniliśmy dotąd nic, aby odebrać im tę broń z ręki. Czy sądzicie, że nam się to opłaca?

Bronka znów ukryła twarz w dłoniach. Potrząsnął listem.

- Ten człowiek walczył pod Monte Cassino. Zaraz po wojnie wrócił do kraju. Pracował uczciwie, choć wojna pozbawiła go zdrowia. Ale gdy tylko nastąpił komuś na odcisk, od razu przypominano sobie jego przeszłość. „Przeszłość!” Mydłki, które przez całą wojnę nie trzymały karabinu w rękach, ukreśliły bat na człowieka z jego własnego bohaterstwa. I szło ono za nim jak infamia. Powinien był położyć uszy po sobie, nie narażać się nikomu, pilnować tylko swojej miski. Ale jakaś prawość żołnierska wciąż się w nim kołatała - nie mógł kraść z innymi, nie mógł pić za kradzione. Nie 230

przyjął się w żadnym środowisku. No i dostałem ten list na pamiątkę po człowieku, Florianie Gibali.

Umilkł, a gdy ona wciąż się nie odzywała, powtórzył:

- Czy to nam się opłaca? Ten list zastałem w domu, gdy wróciłem z wodowania nowego dziesięcioletnika. I cały mój dobry nastrój przysł w jednej chwili. Czy wszystko musimy sobie psuć w ten sposób? Każdą radość? Każdy sukces? Czy zawsze muszą nam gówna wpadać w najlepszą zupę? - Naumyślnie był ordynarny, bo wiedział, jakiego nie lubi.

Ale ona nie poruszyła się nawet. Schował list do portfela.

- Bronka - rzekł pojednawczo..- Wiem, że jest dużo przesady w tym, co mówię. Wielu ludzi wróciło z Zachodu, pracują, nic złego się im nie dzieje, ale gdy krzywda Gibały wyjdzie na jaw, nikt o tym nie będzie pamiętał. Nieszczęście ma zawsze większą reklamę niż szczęście. Jeśli Iksiński dostaje premię, kupuje żonie prezent, dzieciom daje na kino, zjada dobry obiad i z zadowoleniem kładzie się na poobiednią drzemkę - nie opowiada się o tym ani nie pisze. Ale jeśli Iksińskiego przejedzie tramwaj – pełno o tym w gazetach, a sąsiedzi nie rozmawiają o niczym innym przez cały tydzień. Bronka - powtórzył. - Wierzę w wasze dobre intencje w stosunku do mnie i nie ma w tym ani waszej, ani mojej winy, że nie możemy się dogadać. Przyszliście do mnie, ponieważ dopuszczalny jest wyjątek w regule, której ogromu nie chcecie sobie nawet wyobrazić. Obojętność jest dobrym stróżem cierpienia. My potrafimy być obojętni.

Odjęła wreszcie dłonie od twarzy. Oczy miała czerwone.

— Dajcie papierosa - mruknęła. - Już wiem, dlaczego w gruncie rzeczy nie lubię tak zwanych inteligentów. Każdy prosty człowiek zrozumiałby od razu o co chodzi. A wy rozsnuwacie przede mną jakieś rozważania teoretyczne. - Niedługo utrzymała się w tym tonie, głos jej się załamał. - Proszę was - szepnęła - proszę was, bądźcie rozsądni! - Wstała i położywszy mu dłonie na ramionach zbliżyła ku niemu płonąca rumieńcem twarz. Oczy błyszczały od niedawnych łez.

— Staram się być rozsądny - powiedział, jak mógł,

najmniej szorstko. Nie zdawał sobie sprawy, że w jego słowach nie było nic więcej poza uległością wobec kobiety, która naraz wydała mu się wzruszająca i śliczna. Płakała przez niego, bała się o niego. Piotr nie wyobrażał sobie, że jest na świecie mężczyzna, który potrafiłby znieść to obojętnie. - Staram się być rozsądny - powtórzył.

Wpatrywała się w niego z nadzieją. Mówiła pośpiesznie wyrzucając z siebie bezładnie słowa, krztusząc się nimi i dławiąc.

- To naprawdę jest tak, jak mówiłam. Weźcie to poważnie, błagam was, weźcie to poważnie. Nie możecie lekceważyć sobie wszystkiego, co dotyczy waszej osoby. Może ta sprawa z powstania jest naprawdę błaża, może jest taka, ale tylko wtedy, jeśli nie ma żadnych okoliczności towarzyszących.

Chyba mówię dosyć jasno? Zrozumcie mnie, błagam was, zrozumcie mnie! Jeśli zaczniecie zachowywać się wzbudzając podejrzenie - wszystko nabierze innego znaczenia. Musicie przestać widywać tego człowieka.

— Kogo? - spytał Piotr, zapomniawszy już, o czym mówili poprzednio.

— Tego człowieka z francuskiej ambasady - krzyknęła. Zdziwił się.

— Przecież to niemożliwe. Bronka opuściła ramiona, cofnęła się do tyłu. Była już zmęczona.

- Jak to niemożliwe? - jęknęła. - Sądziłam, że już coś do was dotarło?

Piotr jakby jej nie słyszał.

- Pod jakim pozorem mogę go nie widywać? Zna mój adres. Mam mu zamknąć drzwi przed nosem? A żona? Co powiem żonie? Musiałbym powtórzyć jej całą naszą rozmowę. Może i jemu także? Dopiero miałby uciechę!

Oczy Bronki pociemniały, oddychała ciężko.

- Musicie przestać go widywać - powtórzyła dobitnie. - Nie wiem, pod jakim uczynicie to pozorem. Czy powiecie żonie, czy nie. To mnie nie obchodzi. - Mówiła ostro, głośno, prawie krzyczała. - Nic mnie nie obchodzi, jak to zrobicie. Ale musicie to zrobić! Ja już dłużej nie mogę... - i wybuchnęła płaczem, cichym, żalonym płaczem kobiet, które się wstydzą swojej słabości. Podniosła dłoń do ust, zagryzła palce i ruszyła z pełnym wysiłku pośpiechem ku drzwiom.

Piotr zastąpił jej drogę.

— Nie pozwolę wam tak wyjść! - Otoczył ją ramieniem i gładził ostrożnie po plecach. Płakała cicho, uspokajając się powoli.

— Musicie mi przynajmniej przyrzec, że przemyślicie to wszystko - szepnęła.

— O, to mogę wam przyrzec na pewno. Musimy powrócić jeszcze do tej rozmowy. Z wami, a może nawet nie tylko z wami. Nie można się bać rzeczy, które nie istnieją, nie

można uważać ich za złe czy niebezpieczne, skoro ich nie ma. Mam zamiar przekonać was o tym, was i wszystkich innych. Jest wiele prawdziwych rzeczy, których należy się bać. - Poglądził ją jeszcze raz po plecach czule i pobłaźliwie, jak dziecko. Kiedy płakała, nie zostawało w niej nic z oschłej surowości, o której utrzymanie tak usilnie dbała. - Powrócimy jeszcze do tej rozmowy, Bronka. Teraz muszę już jechać.

— Nie możecie odłożyć tego wyjazdu? - poprosiła.

— Nie. Zebranie zapowiedziane na dzisiaj. Ludzie będą czekać. Uśmiechnęła się z gorzką ironią.

— Nie przesadzajcie: tak bardzo znowu czekać nie będą.

— W każdym razie ja muszę przyjechać.

— Nie moglibyście zabrać mnie z sobą? - zapytała nieśmiało.

— Jadę motorem - odparł pośpiesznie.

Zaczerwieniła się. Posunęła ciężki but protezy ku drzwiom. Już jej nie zatrzymywał.

— Zabiorę was innym razem - rzekł serdecznie. - Poproszę o samochód i zabiorę was.

— Wolałabym, żeby to było dziś.

Otworzył przed nią drzwi. I stał w nich długo, patrząc jak się oddala pustym korytarzem, jasnowłosa, pochylona nieco do przodu, wlokąc za sobą niezgrabnie protezę.

Chwycił czapkę, ale zawrócił i usiadł przy biurku. Poczł naraz pragnienie zadzwonienia do Magdaleny, usłyszenia jej głosu. Zaskoczyło go to. Wyciągnął rękę po słuchawkę. Nakręcając numer uzmysłowił sobie, że nie może jej wspomnieć o rozmowie, jaką miał przed chwilą, że nie może zamknąć swego domu przed Gastonem, skoro ona wybrała jego, a nie Gastona.

Magdalena była na zebraniu rady zakładowej. Dość długo trwało, zanim podeszła do aparatu.

— Tu Piotr! - zawołał.

— Czy się coś stało? - przestraszyła się. Rzadko dzwonił do niej.

— Nie, nic się nie stało. Czy nie wolno mi do ciebie zadzwonić? Chciałem usłyszeć twój głos.

— Co? - krzyknęła. - Co chciałeś usłyszeć?

— Twój głos.

Magdalena zamilkła na chwilę. Odczuł przykro ciszę szumiącą w słuchawce.

— Jadę w teren - powiedział.

— Przecież mówiłeś mi to już rano.

— Do Jeziorzan - dodał. - Tego ci nie mówiłem.

- Do Jeziorzan? - głos Magdaleny zawisł w zdziwionym pytaniu.

Wyczuł, że nie jest tym zachwycona. Odetchnął z ulgą, gdy powiedziała:

— Jeśli wstąpisz do naszego rybaka, pozdrów go ode mnie. Może wybierzemy się tam w niedzielę?

— Świetnie! - zawołał. - Świetnie!

— Późno wrócisz? - zapytała.

— Postaram się jak najprędzej. Ale nie czekaj na mnie. A może nie - czekaj, będę się bardziej śpieszył.

— No więc jak? Mam czekać czy nie czekać?

— Czekaj! Będę się starał wrócić jak najprędzej. Magdaleno! - zawołał nagle. - Wciąż bardzo cię kocham.

— Jezus Maria!

— Co się stało?

— Nic. Powiedziałeś mi to po raz pierwszy w życiu.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Może jesteś chory?

- Nie - roześmiał się. - No, już muszę jechać. Całuję cię. Do widzenia.

Kupił papierosów, pobrał benzynę i szybko wydostał się na ulicę Kartuską, a potem w zieloną przestrzeń podmiejską. Koszono siano: duszny zapach, potęgowany upałem, unosił się nad łąkami. Chłonał ciepłą, napierającą nań zewsząd woń. Nie osłaniał oczu okularami - chciało mu się jak najwięcej lata, barw i powietrza, uderzeń wiatru i słonecznej spiekoty. Nie myślał o niczym.

Nad stawami, obrosłymi kępami niezapominajek, bielilo się stado gęsi, w sadach dojrzewały czereśnie - wróble pierwsze próbowały ich słodczy. Z niskich miedz, wśród dojrzewających, wyrosniętych zbóż, podrywał się raz po raz popielaty obłok przebiegających kuropatw. W soczystych trawach łąk spoczywały ciężkie, leniwe krowy, zmęczone sytością i upałem.

Wybrała mnie, a nie jego - pomyślał nagle. - Mnie, a nie jego! - Ogarnęła go fala niespodziewanej czułości dla Gastona, który tak piękny, tak wspaniały i bogaty przyjeżdżał do jego domu spragniony rodzinnego szczęścia.

Przed Jeziorzanami skręcił w obejście starego Płonki. Zastał go na podwórzu, gdy usiłował rozrąbać spory pieniek. Słyszac motor, odwrócił się ku niemu i czekał niezupełnie wyprostowany, z siekierą w ręku, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Wydał mu się, jak przy pierwszym spotkaniu, cały wypłowiały od słońca i starości, wymyty z kolorów tak dokładnie,

aby żadna z barw nie przeszkadzała zobaczyć go naprawdę.

Pozdrowił go i wyciągnął rękę po siekiere.

— Dajcie, mam więcej siły. Ale stary nie przyjął pomocy.

— Sam poradzę - mruknął podnosząc ramię do uderzenia.

Pieniek jednak ani drgnął. Piotr roześmiał się.

- Widzicie, on wyraźnie czeka na mnie, żebym go obrobił, jak się należy. Dajcie no tę siekiere, po co macie się męczyć?

Drogą jechała powoli wiejska furmanka wypełniona ludźmi wracającymi z targu. Płonka odwrócił się i tylko zerkał ku jadącym przez ramię. Wciąż nie oddawał Piotrowi siekiery, aż go to zniecierpliwiło.

— Wypuście wreszcie z ręki tę siekiere! Chcę wam pomóc, a czasu mam mało.

— Nie trzeba - powiedział stary.

Piotra uderzył szczególny ton jego głosu. Spojrzał na niego uważnie.

— Nie trzeba - powtórzył rybak. - I przyjeżdżać tu też nie trzeba - dodał powoli. Ludzie we wsi się mnie boją.

— Co to znaczy, Płonka? - zapytał Piotr, blednąc.

— A znaczy to, że ludzie cię u mnie widzieli. A oni cię znają. W całym powiecie cię znają i dalej. Tylko ja, głupi, niczego nie wiedziałem.

— Czegoście nie widzieli?

- Ano nie wiedziałem, po co tu się kręcisz. Aż mi ludzie w Jeziorzanach mówią, że ja nieszczęście na wieś szykuję.

Piotr cofnął się o krok, zdjął czapkę.

— Przysięgam wam, Płonka, że ja do was z czystej przyjaźni. Polubiłem was, ja i moja żona...

— I ta kulawa także, co? Po coś z nią jeździł do Wyręb? Grzyby zbierać? Ludzie was tam dobrze pamiętają. Tylko ja niczego się nie dorozumiałem. Wciąż się do ludzi pchacie. Wciąż im gadacie, że wszystko dla ich dobra. A oni go nie potrzebują, oni nie chcą tego waszego dobra.

Piotr milczał.

- Nie trzeba do mnie przyjeżdżać - powtórzył rybak cicho.
- Ludzie się ode mnie odwrócili. Boją się mnie. Tego doczekałem się na starość, żeby ludzie się mnie bali. Tego się doczekałem. Idź sobie! Nie masz tu czego u mnie szukać.

Piotr chciał coś rzec, ale wyraz oczu starego zniechęcił go. Nacisnął czapkę na głowę i odszedł szybko.

Wyprowadził motor na drogę i skierował się do Jeziorzan. Zawrócił jednak po kilkudziesięciu metrach. Przed nim powoli jechała furmanka, która dopiero co minęła dom Płonki.

Skręcił z drogi na pastwisko, ciągnące się wokół jeziora. Odnalazł swoje miejsce, które po raz pierwszy odkrył tu z Magdaleną. Zdjął marynarkę i wyciągnął się na ziemi. Fala cicho podpływała pod brzeg. Przez łoży przelatywał pachnący wiatr.

Miał przed sobą dużo czasu, jakby całą wieczność na myślenie i odpoczynek. Nie umiał podjąć decyzji, czy pojedzie do Jeziorzan. Może bał się tych ludzi, a może bał się tylko tego, że oni go się boją? Nie chciał o tym myśleć, nie chciał myśleć o niczym. Jakiś ptak odezwał się w zaroślach. Wyciągnął trel jasny jak promień dźwięku. Piotr przymknął oczy i słuchał, a gdy ptak odleciał - cisza wydała mu się ogromną pustką, w której jest miejsce na wszystko, w której wszystko może się zdarzyć.

Czyżby dziesięć lat życia, dziesięć lat uczciwej, ciężkiej pracy, kiedy nie dosypiał i nie dojadał, czyżby te dziesięć lat poświęcił złudzeniu? Sądził, że jest ludziom potrzebny, że z jego

wysiłku powstaje, jak w fabryce z wrzuconego do kotła surowca, nowa jakaś wartość: czyjeś lepsze życie, może spokój, może nawet szczęście. A oni go się bali, oni tylko go się bali.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Bronką i to, czego od niego żądała. Te dwie sprawy nie mogły mieć ze sobą żadnego związku, a jednak czuł, że spinają go jakieś dwie ciasne klamry, w których nie może się poruszyć, nie może oddychać.

Zerwał garść wilgotnej trawy i przyłożył sobie do czoła.

Nic chciał o tym myśleć, nie chciał jeszcze o tym myśleć.

Starał się wyobrazić sobie, co robi w tej chwili Magdalena, do jakich sklepów wstąpi po drodze do domu, co przyniesie w swojej kolorowej torbie na sprawunki. Powiało zapachem kredensu, drewnianych półek, nasiąkniętych aromatami wiktuałów, żytnią wonią chleba, wanilią, która przedłużała wspomnienie po każdych świątach, ostrym odorem octu i korzeni. Za kilka dni wypadały jego imieniny i torba Magdaleny kryła na pewno wiele niespodzianek. Starał się myśleć o tym długo, jak najdłużej. A potem nagle przypomniał sobie pytanie, które postawił mu Gaston: czy ona jest z nim szczęśliwa. Nie on sam, lecz Gaston uważał, że wreszcie należy zastanowić się nad tym. Czy jest z nim szczęśliwa? Innymi słowy, czy on potrafi ją uszczęśliwić? Czy się starał, czy przynajmniej o tym myślał?

Tego nie można się nauczyć, z tym trzeba się urodzić, żeby umieć uszczęśliwiać tych, których się kocha. Nie posiadłszy tej umiejętności, można sobie serce spalić uczuciem, a ten ktoś tego nawet nie zauważy i wolałby może efektowny neon od rozpalonego do czerwoności żelazniaka. To jest niezmiernie trudna sztuka: miłość. Gaston zapewne lepiej znał się na niej, miał więcej czasu, a może trochę wprawy. Nie przywiązując się zbyt do majstrów i dość często zmieniając miejsca terminów, można było dojść do tej szczególnej perfekcji, która pozwala z miłości czynić radość, a nie ponurą udrękę na całe życie. A jednak - pomyślał ze zdziwieniem - wybrała mnie, a nie Gastona.

Otworzył oczy, na niebie pojawiły się małe obłoczki, okrągłe i nieruchome. Łozy drżały pod lekkim wiatrem.

Czy Magdalena jest z nim szczęśliwa? - zastanowił się znowu. Trzeba było o czymś myśleć, za wszelką cenę trzeba było o czymś myśleć! Usiłował sobie przypomnieć rok po roku: miesiące wiosenne i zimowe, poranki i wieczory, niedziele i dni powszednie, kiedy budziła się i zasypiała, kiedy wracała z pracy, gotowała, słuchała radia, zmywała naczynia, kiedy bała się włożyć nową sukienkę, kiedy kupowała kwiaty do ich mieszkania, prała, trzepała dywan, kiedy była zmęczona i czekała w nocy na niego, kiedy go kochała i czekała na niego, kiedy niepokoiła się i czekała na niego, kiedy wciąż na niego czekała.

Ptaka powrócił i znów wyciągnął swój wysoki trel tuż nad głową Piotra. Bardzo niebogate było szczęście Magdaleny. A jednak wybrała mnie! - pomyślał znowu.

Zobaczył twarz Magdaleny taką, jaką witała go zawsze po długim oczekiwaniu, po długim bronieniu się przed napaściami wyobraźni. Stężała od lęku rozjaśniał promień ulgi. Nie widział jej oczu ani ust - docierało do niego tylko to światło, rodzący się uśmiech uspokojenia. Szybko kończyli wtedy swoje wieczorne czynności i kładli się przy sobie, bardzo do siebie stęsknieni, ale i nie pragnący żadnego innego zadośćuczynienia poza własną obecnością, milczącym, ciasnym, jakby zawsze zagrożonym jakimś niebezpieczeństwem, zwarciem ciał.

Pomyślał, że dziś też będą tak leżeć, gdy wróci z Jeziorzan.

Podniósł się na łokciach i trwał przez chwilę, wpatrując się w pomarszczoną płaszczyznę jeziora. Grzbiety ryb błyskały raz po raz, jakby ktoś, ukryty w łożach, bawił się lusterkiem.

Więc to już było postanowione, że tam pojedzie? Że nie wolno mu odrzucić tego wyzwania? Wstał, wyprostował się i roześmiał się nagle na głos. A Bronkę zaprosi na swoje imieniny! Niech osobiście pozna Gastona.

Zszedł na brzeg i złożony dłońmi zaczerpnął wody. Pił chciwie dużymi, łakomymi łykami. Czuł w sobie rzeźwość i radość budzącej się siły. Miał ochotę się śmiać, bić się po udach i piersiach, tarzać się w trawie. Poszukał czapki, nacisnął ją na czoło. Ptak znowu odezwał się w zaroślach.

Piotr nie zapuszczał motoru, dopóki nie umilkł.

W Jeziorzanach, wbrew przewidywaniom Bronki, ludzie czekali na niego.

Powitał go miejscowy sekretarz partii. Piotr pochwalił go za frekwencję na zebraniu, ale nie sprawił mu tym przyjemności. Chłop patrzył w ziemię.

- Ano przyszli - mruknął.

Piotr spojrzał na rzędy pierwszych ławek. Miał przed sobą twarze chłopskie, surowe od wiekowej biedy, nieufne od wiekowego oszukaństwa. Odnalazł w nich, po raz pierwszy tak wyraźnie, swoją własną dawną niedolę, własny trud bronienia się przed zasadzką, przed podejściem we śnie. Stał przed nimi z tą świeżą pamięcią w sercu, a oni go się bali.

- Znacie starego Płonkę, rybaka? - zapytał niespodziewanie.

Milczeli, zaskoczeni pytaniem. Dopiero gdy jakiś wyrostek odezwał się spod ściany, przyświadczyli zgodnie, że go znają.

- Z tym Płonką przyjaźniliśmy się od kilku lat. Przyjeżdżałem do niego na niedziele z żoną. I oto wypędził mnie dziś ze swego obejścia..

Ludzie patrzyli na niego w milczeniu.

- Powiedział mi, żebym więcej do niego nie przyjeżdżał. Bo widzieliście mnie u niego i mówicie, że nieszczęście na wieś szykuje.

Słychać było obijanie się much o szyby i daleki gwizd kolejki wąskotorowej, dojeżdżającej do Różanki.

- Zawróciłem z drogi, bałem się jechać do Jeziorzan, ponieważ wiedziałem, że wy się mnie boicie. I wiecie - pewnie nie przyjechałbym wcale do was, gdyby nie to, że rano coś mi się przydarzyło. A przydarzyło mi się coś takiego, że i ja także zacząłem się bać.

Nikt nie kaszłał, nikt nie poruszył się na ławce.

- Ja także zacząłem się bać. Po wyjściu od Płonki, kiedy postanowiłem nie jechać do was, poszedłem nad jezioro i długo myślałem o wszystkim. O swoim zmartwieniu i o waszym. I

zrozumiałem, że nie mogę zawrócić spod Jeziorzan, że muszę do was przyjechać, stanąć przed wami, spojrzeć wam w oczy i zapytać, dlaczego się mnie boicie.

Ludzie patrzyli na niego mrugając powiekami. Ale hardo trzymali karki, nikt nie spuścił głowy.

- Dlaczego się mnie boicie? Przyjechałem do was, żeby zadać wam to pytanie. Przyjechałem was prosić, żebyście mi na nie odpowiedzieli. Bo jeśli się okaże, że to urojenie, ten wasz strach przede mną, to może okaże się także, że i mój strach jest urojeniem i trzeba tylko, żeby ludzie zaczęli szczerze rozmawiać ze sobą, a rozwieją się wszystkie strachy świata...

Staruszek w pierwszym rzędzie głośno wytarł nos. Ludzie poruszyli się w ławkach, zaskrzypiało drewno. Piotr nie odrywał oczu od podniesionych ku niemu twarzy. Walczył.

Wyszedł z zebrania po północy, mokry od potu, ale szczęśliwy.

Zostawił ich zdziwionych. Już nie zaciętych, nieufnych i opornych, lecz zdziwionych. Wysypali się za nim na plac przed urzędem gminnym, otoczyli go kołem, gdy już zapuszczał motor. Jakaś kobieta, z najbliższego sąsiedztwa, przyniosła mu mleka. Staruszek z pierwszego rzędu zapytał, ile płacą w mieście za kilogram kminku, bo w Wyrębach zasiali kminku dwa hektary.

Piotr nie wiedział. Staruszek był rozczarowany jego ignorancją. Przykazał mu surowo rozpytać się o cenę kminku w Gdańsku, żeby mógł im powiedzieć, jak tu przyjedzie następnym razem.

— Wygląda na to, że mnie zapraszacie? - roześmiał się Piotr.

— Ano chyba nie inaczej - odezwał się ktoś z gromady..

— Przyjadę - zgodził się - ale przedtem musicie załatwić z Płonką.

— Już ja z nim załatwię - zawołał staruszek. - Do szkoły chodziliśmy razem. Zawsze mnie słuchał!

Buchnął śmiech, a do Piotra docisnął się wysoki chłopak w welwetowej kurtce.

— Po trzy i cztery tysiące dostali! - szepnął z namiętną pożądlivością.

— Kto?

— A ci z Różanki. Traktorzyści. Dzisiaj PGR robił obrachunek. Za wiosenną orkę tyle wypadło im nadliczbówek. Nie mógłby pan mnie na jaki kurs zapisać? U ojca cały dzień robię, a jak kino przyjedzie, to kilku groszy żałuje nawet.

Piotr poklepał go po plecach.

- Pomyśli się o tym.

Chłopak patrzył mu w oczy z niedowierzaniem.

— Nie mówi pan aby tak?

— Przekonasz się, jak przyjadę. Słyszałeś przecież, że mnie zaprosili.

— Po trzy tysiące! - powtarzał chłopak. - Po trzy tysiące! Dzisiaj przez cały dzień się bawią.

Piotr jeszcze raz poklepał go po plecach i włączył bieg. Ludzie, oślepieni blaskiem reflektora, usuwali się z drogi, chórem odpowiadając na pożegnanie..

Z miękkiej drogi wiejskiej wydostał się na szosę i zwiększył szybkość. Jego radość była pośpiechem. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, znaleźć się w domu i opowiedzieć wszystko Magdalenie. Nieraz bywały takie dni, kiedy wolał, żeby już spała i nie pytała go o nic. Ale dziś chciał, żeby czekała na niego. Widział ją, jak leży skulona na brzegu tapczanu, gotowa każdej chwili zerwać się, gdy zazgrzyta klucz w zamku, i podbiec do drzwi, aby stając na progu mógł od razu zobaczyć jej rozjaśnioną ulgą twarz.

„Magdaleno! - powie jej. - To jest najpiękniejszy dzień w moim życiu!” Nie ucieczka z Oświęcimia, nie wysadzenie mostu w Edenheim, nie powrót do kraju i przepłynięcie Wisły po powstaniu, nie wejście do Berlina, ani nawet pierwsze chwile ich miłości, ale ten dzień właśnie, w którym naprawdę był z ludźmi, naprawdę był z nimi i wszystkiego, czego chciał dla nich - chciał dla siebie i wszystkiego, czego nie chciał dla siebie - nie chciał dla nich i rozumiał ich, i oni go rozumieli, i nie bał się ich, a oni nie

bali się jego.

„To jest najpiękniejszy dzień w moim życiu” - powie jej. Ona go spyta dlaczego i tak rozpocznie się ta opowieść. A jutro będzie musiał powtórzyć ją Bronce i jeszcze komuś, i jeszcze wielu ludziom będzie musiał ją powtarzać, żeby prędzej, żeby jak najprędzej zniknął strach z ich życia. Ten, który był złą bronią w ich rękach, ten - który był bronią przeciwko nim. To był najpiękniejszy dzień w jego życiu - na pewno.

Noc była ciemna, przed nowiem.

Gwiazdy rozjaśniały niebo, dla ziemi nie miały blasku. Drzewa pojawiały się wzdłuż drogi tylko na chwilę, wydobyte z nocy przez smugę reflektora. Zapadały się potem w mijaną ciemność, jak w staw. Piotr zerwał z głowy czapkę. Wiatr rozrzucił mu włosy, ochłodził czoło. Z pola szły wszystkie zapachy lata. Oddychał nimi głęboko, pełną piersią. Zaśmiał się nagle na głos, zaśpiewał jakimś dźwiękiem, którego przedtem nie znał. Znow zobaczył Magdalenę czekającą na niego i zaczął mówić do niej z daleka, przez noc, przez ciemność wszystkimi słowami, których nauczył się w ciągu wielu lat jak modlitwy. Układał usta w czuły kształt i mówił do niej, wołał i śpiewał, a drzewa pozostawały w tyle, coraz więcej drzew, coraz więcej drzew i coraz więcej nocy.

Kiedy nagle usłyszał jakiś śpiew, pomyślał, że to echo jego głosu. Ale on umilkł, nasłuchując, a echo nic milkło. Nie zdążył przyhamować, gdy zobaczył przed sobą sunący bez świateł środkiem drogi traktor. Dał sygnał i chciał go wyminąć, traktor „poderwał się i skręcił w tę samą stronę. Dwa silne reflektory rzuciły mu w oczy pełne światło.

Zanim poczuł ból, usłyszał jeszcze jakieś głosy, chichot kobiecy i krzyk - nie wiedział: własny czy cudzy. A potem zrozumiał, że leży na ziemi, że pod twarzą czuje mokrą od rosy trawę, że jacyś ludzie biegną ku niemu, ale on „nie może nic powiedzieć, nie może się poruszyć ani wstać, choć ona czeka, ona czeka, ona czeka na niego...

— Co jest? - zawołał z przyczepy za traktorem

zniecierpliwiony głos.

— Cichooo! - odpowiedział mu chłopak przy kierownicy.
Zeskoczył z siodełka i zszedł na brzeg szosy.

— No, co jest, do cholery? - powtórzył tamten. - I dać tu
takiemu gnojkwowi kierownicę do ręki! - Nie otrzymawszy
odpowiedzi, zeskoczył

z przyczepy. Dziewczyny przestały pisać. - Na co się tam gapisz? - zapytał podchodząc.

Zobaczył.

- O, kurwa! - zaklął cicho.

Zawrócił pośpiesznie i „wskoczył na siodełko, wskazując towarzyszowi miejsce na przyczepie.

Rozległ się trzask motoru, drzewa znowu zaczęły chować się w ciemność.

XXIX

- Musi pani wstać - powiedziała z perswazją Marciniakowa.

Magdalena, jak automat, podniosła się z tapczanu, ściągnęła sweter i pozwoliła, aby Marciniakowa z krawcową ubrały ją w czarną jedwabną suknię, szytą pośpiesznie na tę najsmutniejszą okazję w jej życiu. W drugim pokoju spał ojciec. Zażył podwójną dawkę bromuralu, żeby przespać jednak kilka godzin przed jutrzejszym pogrzebem. Na nią bromural nie działał, upadała ze zmęczenia, z wyczerpania rozpaczą, a sen nie przychodził, wciąż musiała myśleć, wciąż musiała myśleć o tym samym.

- Na biodrach trzeba trochę zebrać - powiedziała Marciniakowa.

Była jej wdzięczna za obecność, za wszystko, co robiła dla niej. Odkąd przybiegła do nich w nocy, prawie obłąkana po otrzymaniu przez telefon bezlitośnie lakonicznej wiadomości, Marciniakowa nie odstępowała jej ani na chwilę. Miała inne znajome, bliższe jej wiekiem i środowiskiem, u żadnej z nich nie szukała ratunku. Podświadomie chciała mieć przy sobie osoby, które kochały Piotra i które wiedziały także, że ona go kochała. W każdym spojrzeniu Marciniakowej, w dotknięciu jej twardych dużych rąk było przypomnienie owego dnia, gdy zjawiała się w jej kuchni, przespawszy pod wspólnym dachem pierwszą noc z Piotrem. Była wdzięczna jej także i za to, że to ona, a nie matka,

jest w tej ciężkiej chwili przy niej.” Matka niedomagała ostatnio na serce i profesor kategorycznie sprzeciwił się jej wyjazdowi na pogrzeb. Magdalena uważała, że nic lepszego nie mógł postanowić. Nie chciała, żeby nawet ona przypatrywała się jej rozpaczy. Ojciec był dyskretniejszy. Teraz na przykład spał, a matka zapewne siedziałaby przy niej. I trzeba by było wciąż o czymś mówić, może jeść, myć się - jak co dnia.

Marciniakowa wzięła ją za ramiona i obracała wolno, żeby sprawdzić, czy sukienka jest w dole równa.

- W porządku - powiedziała krawcowa.

Magdalena ściągnęła teraz żałobny strój i w bieliźnie usiadła na tapczanie. Marciniakowa przyniosła z łazienki szlafrok i okryła ją. Na dworze świtało. Niewidoczne w mroku drzewa wystąpiły nagle na tle nieba, jak ciemne płaskie wycinanki. Z otwartego okna zawiało zapachem lasu. Magdalena przypomniała sobie, jak Piotr lubił spać przy otwartym oknie, oddychając tą bliską sosnową wonią, którą noc napędzała w ulice wciśniętego w las miasta.

- Na którą potrzebna będzie suknia? - spytała krawcowa zbierając swoje rzeczy. Oczy jej się kleiły, twarz miała szarą jak popiół.

Ja na pewno wyglądam jeszcze gorzej - pomyślała Magdalena. - Ona jest tylko zmęczona, prześpi się i otworzy swoje życie na nowo. Może jutro będzie szyła ślubną suknię?

— Pogrzeb jest o dziesiątej - odpowiedziała Marciniakowa. - Suknia powinna być gotowa najpóźniej na ósmą.

— Dobrze. Moja mała ją odniesie.

Wyszły cicho do przedpokoju, Marciniakowa ostrożnie zamknęła za nią drzwi. Gdy wróciła, Magdalena wciąż siedziała na tapczanie w tej samej pozycji, szlafrok zsunął się jej z ramion.

- A teraz trzeba się położyć - powiedziała kobieta.

Magdalena posłusznie uniosła nogi i wyciągnęła je na tapczanie. Marciniakowa podsunęła jej pod głowę poduszkę i znowu okryła szlafrokiem. Sama położyła się przy niej i objęła ją mocnym, pachnącym mydłem ramieniem. Wiedziała, czego

człowiekowi potrzeba. Usypiała tak może dzieci, gdy się bały, lub męża, gdy był bardzo zmęczony, za bardzo zmęczony, żeby móc zasnąć. Magdalena przytuliła czoło do jej obfitego łona. W drzewach przed domem odezwały się pierwsze ptaki.

Dzień był piękny. Magdalena starała się myśleć tylko o tym jednym, że dzień jest tak piękny. Trzecia osoba przemawiała już nad otwartym grobem. Starła się nie słuchać. Tego nie można było przecież brać poważnie, że on naprawdę miał leżeć w tym wilgotnym dołku, poprzerastanym płowymi pasmami piasku i rudymi smugami gliny. Członkowie orkiestry Stoczni Gdańskiej trzymali przed sobą swoje dęte instrumenty. Dlaczego oni właśnie mieli grać na pogrzebie Piotra - może ze względu na Marciniaka? Chciała o to kogoś zapytać, ale najbliżej stał ojciec i patrzył na nią takim samym wzrokiem, jak na pogrzebie babki, jakby miał jej do zarzucenia, że zachowuje się nieodpowiednio. Zrezygnowała z zasięgnięcia informacji na temat orkiestry. Zresztą wszystko jedno, każda orkiestra była dobra w takich okolicznościach.

Przemawiał już czwarty mówca. Z tego, co gadał, Magdalena zrozumiała tylko rzecz smutną i niepojętą, że Piotr był bohaterem, czego dzieci i przyszłe pokolenia mają mu nie zapomnieć. Jakie dzieci? - zatrwożyła się. - Piotr nie miał żadnych dzieci, nie mieliśmy dzieci, nigdy ich mieć nie będziemy. Zastanowiła się, czy miałyby to jakieś znaczenie, gdyby obok niej nad tym otwartym grobem, przekładanym piaskiem i gliną, jak wielkanocne ciasto skórką pomarańczową i figami - stało jakieś małe stworzenie, tak samo jak i ona nie rozumiejące nic z tego, co się stało. Nie, nie trzeba jej było tej pociechy. Świat nie zasługiwał na to, żeby rodzić na nim dzieci. Oni muszą odgadać swoje tak samo jak i księża - pomyślała ze zniecierpliwieniem.

Orkiestra zamigotała w słońcu uniesionymi w górę instrumentami. Po chwili ciężki, ponury marsz targnął powietrzem. Dostojnicy, członkowie delegacji i koledzy odstąpili od grobu. Czterech żwawych ludzi zakrzętało się przy trumnie.

Chwycili za pasy i ciężkie pudło zjeżdżało już w dół wśród chrzęstu opadającego na powierzchnię żwiru. Magdalena zachwiała się. Więc to jednak naprawdę Piotr tam był, w tych kilku deskach zbitych w podłużny kształt, zakopią go zaraz i wszystko raz na zawsze się skończy. Nie będzie już nigdy żadnej prawdziwej radości i żadnego niepokoju. Świat może się walić i stawać na głowie, a ona będzie już zawsze spokojna, jakby umarła razem z nim i razem z nim leżała w tym kolorowym, niepoważnym grobie. Chciała zobaczyć, jeszcze lepiej zobaczyć, jak tam jest - w miejscu, w którym mieli go zakopać. Postąpiła krok naprzód, ale ojciec chwycił ją za ramię. Z drugiej strony ktoś także chwycił ją za ramię. To był Marciniak, usłyszała jego głos:

- Niech pani tam nie patrzy, nie wolno tam patrzeć.

Na trumnę Piotra spadła pierwsza łopata ciężkiej, wilgotnej ziemi.

Odwróciła się i ukryła twarz na czyjejs piersi w białej koszuli i czarnej marynarce. Oddychała ciepłem drugiego ciała, słyszała, jak bije czyjeś serce.

Po drugiej stronie grobu stała Bronka. Sama jedna na opustoszałej przestrzeni tuż przy stercie żółtego piasku, który miał za chwilę utworzyć kopczyk nad ciałem Piotra. Stała wyprostowana, z twarzą uniesioną ku światłu. Nikt jej nie podtrzymał, nikt nie pocieszał. Ciężka proteza głęboko zaryła się w piasek. Już nigdy nie będzie musiała się jej wstydzić. Może być już kaleką, niezdolną do pośpiechu ani tańca. Do miłości także. Wszystko nie miało już żadnego znaczenia. - Po raz pierwszy myślała o tym, po raz pierwszy na to się odważyła. Gdy szła długim korytarzem w komitecie, zawsze bała się, że on wyjdzie ze swego pokoju i zobaczy ją i będzie na nią patrzył przez ten nie kończący się czas, który był jej potrzebny na przejście z pokoju do pokoju. Teraz będzie już mogła kuśtykać do woli, może nawet sprawić sobie łaskę, grubą łaskę z gumą na końcu, która nie ślizga się na lodzie...

Patrzyła na żonę Piotra, podtrzymywaną przez dwóch

mężczyzn. Nigdy nie czuła do niej sympatii, nie mogła zdobyć się na tę wielkoduszność. Ale teraz poczuła coś na kształt litości. Och, jej było łatwiej niż tamtej - ona go nigdy nie miała. Do niej należał tylko jego dzień, dzielony między wielu ludzi. Usiłowała mu pomagać, czasem wydawało jej się, że go broni - w gruncie rzeczy broniła tylko własnych wyobrażeń o sprawiedliwości..

Grabarze zgarniali piasek wokół grobu. Łopata zaczepiła o protezę Bronki, otarła się o jej grubą podeszwę. Dziewczyna usunęła się pośpiesznie, straciła na chwilę równowagę na nie wygładzonym gruncie.

Ktoś podtrzymał ją, oparła się ciężko na podanym ramieniu. Rumieniec, jak chluśnięcie krwi, rozlał się po jej twarzy. Nawet teraz, nawet teraz musiała się jeszcze wstydzić swego kalectwa.

Łopaty zgrzytały ostro o żwir. Przymknąwszy oczy można było mieć złudzenie, że to ogrodnicy gracują alejki parku. Bronka starała się jak najdłużej zachować tę myśl. Lato: wilgotna ziemia pachnie, ktoś krząta się w ogrodzie, może sadi kwiaty, może drzewka...

Czyjeś ramię wspierało ją mocno i życzliwie. Ach, cóż mogło ją obchodzić, że ten obcy człowiek lituje się nad nią? Ciężiej oparła się na nim. Ciężiej - całym ciałem, całym zmęczeniem i smutkiem.

-Vousctes malade, mademoiselle - usłyszała nagle cicho w obcym języku wypowiedziane słowo. - Fermettez que je vous accompagne jusqu'au auto.

Odwróciła głowę i zobaczyła z bliska pochyloną nad sobą zatroskaną twarz młodego mężczyzny. Była to twarz piękna, smutna i tak w szczególny jakiś sposób nietutejsza, że Bronka natychmiast opuściła powieki, nie mając odwagi na nią patrzeć. Wolno odsunęła się od swego towarzysza, ale on stanowczo ujął jej ramię i wciąż mówiąc coś do niej cicho i uspokajająco, zaczął sprowadzać ją w dół ku widniejącym przed bramą cmentarza samochodom.

Ludzie z łopatami kończyli formowanie podłużnego

wzgórka, spłaszczonego nieco na wierzchu. Szło im to składnie, każdy ruch osiągał zamierzony cel. Zaczęło się składanie wieńców i kwiatów, orkiestra znów grała, hałaśliwy smutek żałobnego marsza bił w niebo, jak rozpisany na nuty wystrzał armatni.

Magdalenie składano kondolencje. Stała między ojcem a Marciniakiem i pozwalała ścisnąć sobie dłoń. Towarzysze z KC oglądali ją zdziwieni. No, no - myśleli. - Ten Kwaśniewski! Ich podziw był niedorzecznie aktualny. Człowiek w okularach, który wygłaszał ostatnie przymówienie, podszedł do Magdaleny i jeszcze raz powtórzył jej mniej więcej to samo, co mówił przedtem; O przyszłych pokoleniach i ich pamięci. Magdalena podziękowała mu i nagle osunęła się przed nim na kolana. Nie zemdląca, chciała być tylko nisko, przy samej ziemi, żeby już nikt do niej nie mówił, żeby nikt jej nie widział.

Ojciec pochylił się i dotknął jej pulsu.

- Niech ją pani stąd zabierze - powiedział cicho do Marciniakowej. - Ja tu wszystkiego dopilnuję do końca.

- Nie! - szepnęła Magdalena.

Marciniakowa objęła ją wpół.

- Chodźmy! - powiedziała stanowczo. - Nic jesteśmy tu już potrzebne.

Magdalena wstała posłusznie, ale nie pozwoliła się prowadzić. Szła między grobami czarna i wysoka, a dzień był taki piękny, taki kolorowy i słoneczny, najpiękniejszy z dni wczesnego lata, kiedy jeszcze ani liść, ani źdźbło trawy nie przeczuwa śmierci.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Profesor został, żeby dopilnować założenia tablicy i opłacić grabarzy. Czekał, aż skończą: Patrzył na pokryty kwiatami wzgórek i po raz któryś tam z rzędu zaczynał wciąż tę samą modlitwę. Czuł żal do siebie, że nie mógł się skupić i odmówić jej tak, jak należy. Nie przestrzegał praktyk religijnych, ale zdarzało mu się nieraz przypomnieć się Panu Bogu, nie dlatego żeby naprawdę weń wierzył, ale że nie potrafił zdobyć się na tak podniosły stan duszy wobec żadnego innego pojęcia. Myślał, że tu, na tym nie poświęconym miejscu, nie został odmówiony ani jeden pacierz na intencję spokoju duszy Piotra. Może zmarły go nie potrzebował, ale on sam czuł potrzebę ofiarowania mu tych kilku słów, którymi zawsze żegnano odchodzących z tej ziemi. Nie pamiętał jednak, czy zaczął Ojcze Nasz, czy Wieczne Odpoczywanie i myśl znów uciekła ku sprawom napastliwie praktycznym. Należało zająć się mieszkaniem, jakoś je zabezpieczyć, powierzyć czyjejś opiece. Nie wiedział, czy Magdalena zechce od razu zrezygnować z pracy. Wolałby zaraz zabrać ją do Warszawy. Była do niczego. Trzymała się jeszcze, ale była do niczego, znał ten pozorny spokój późniejszych pacjentów. Niechby siedziała sobie na Saskiej Kępie, opalała się w ogrodzie albo nad Wisłą, chodziła z matką na kawę. Miał jutro nie dającą się odłożyć operację i musiał natychmiast wracać do Warszawy; bał się, że Magdalena nie zechce jechać razem z nim.

Grabarze zainkasowali pieniądze i oddalili się pośpiesznie. O drugiej czekał ich nowy pogrzeb. Dzień zapowiadał się pomyślnie.

Profesor przeżegnał się i zaczął znów pierwsze słowa pacierza. Nagle poczuł, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się - był to Marciniak. Trzymał w dużych dłoniach czarny pilśniowy

kapelusz i obracał go, przebierając palcami.

- I po wszystkim - szepnął.

Profesor skinął głową. Pomyślał, że nigdy nie skończy swego pacierza.

- Chodźmy - rzekł z rezygnacją.

Ale Marciniak się nie ruszył.

- Zostanę tu jeszcze - powiedział. - Trochę przy nim tu jeszcze zostanę. - Obrócił znów w rękach kapelusz. - Nie wiem, czy pan to zrozumie, nie zna mnie pan - byłem zwykłym traserem w stoczni, dzisiaj mam tytuł inżyniera. Uczyłem się, on mi pomagał. Mówił nieraz, że jestem żywym pomnikiem naszych czasów, czy jakoś tak... - zmieszał się. - Było mu to do czegoś potrzebne, żeby mówić tak do mnie. Teraz by mu to chyba także było potrzebne, zostanę więc tu jeszcze trochę przy nim. Niech pan powie żonie, żeby poczekała na mnie z dziećmi przed cmentarzem.

- Są taksówki - bąknął profesor.

Marciniak nic przestawał obracać kapelusza.

— Po wszystkim - powtórzył. - I co z tego, że będzie sąd, że im wlepią może po kilka lat za prowadzenie traktora po pijanemu? Odsiedzą i wyjdą i może nawet nic z tego nie zrozumieją. A on ich ciągnął w górę, to właśnie boli mnie najwięcej.

— Chodźmy - powiedział profesor jeszcze raz.

Marciniak poprawił jakiś wieniec, który obsunął się z grobu. Nie podniósł głowy.

- Przyjdę zaraz, zaraz tam przyjdę - szepnął. - Tylko trochę tu przy nim pobędę.

Profesor oddalił się powoli w stronę bramy.

Samochody z delegacjami już odjechały - pozostały tylko dwie taksówki, którym kazał się zatrzymać. W jednej z nich siedziało czterech małych Marciniaków. W drugiej - Magdalena z Marciniakową. Przy otwartych drzwiach samochodu stał stary, przygarbiony człowiek w odświętnym, staromodnym czarnym ubraniu. Tylko kapelusz na jego głowie - spłóciały do białości od deszczów i słońca - nie pasował do tego uroczystego stroju. Stał i patrzył na Magdaleny i ona na niego patrzyła, milcząco, ze znużeniem i smutkiem.

Gdy profesor podszedł do taksówki, stary człowiek oddalił się i zatrzymawszy się przy ogrodzeniu cmentarza, patrzył dalej bez słowa w twarz Magdaleny bielejącą za szybą samochodu.

— Kto to jest? - spytał profesor, zajmując miejsce obok córki. Magdalena milczała.

— Co to za człowiek? Czego chciał od ciebie? Odpowiedziała Marciniakową:

- To stary rybak, z którym Piotr się przyjaźnił. Mieszka pod Jeziorzanami, niedaleko tego miejsca... - urwała.

- Czego chciał? - nalegał profesor.

Marciniakową wzruszyła ramionami.

— Kiedy nie wiem. Przyszedł powiedzieć, że rozmawiał z Piotrem tego dnia...

— I co?

— Nie wiem. Nic więcej nie powiedział.

Magdalena nie uczestniczyła w tej rozmowie. Wyglądała przez szybę samochodu. Ludzie wracali z plaży, nieśli przerzucone przez ramię kolorowe płaszcze, mokre kostiumy kąpielowe, pasiaste piłki. Morska woda nadała zapewne ich włosom ostry zapach namokłej psiej sierści. I piasek mają pewnie we włosach - we włosach, w butach, za mankietami spodni. Przypomniała sobie, jak gniewała się zawsze, gdy Piotr rozbierając się siał piasek na dywan. Poczowała skurcz żołądka i przyplływ śliny do ust, jak przy wymiotach. Dotknęła ręki ojca.

- Cicho, cicho - szepnął.

Nie chciała już tam nigdy wejść. Ani na próg! Do tego domu, w którym miała być teraz bez niego.

— Tatusiu - powiedziała.

— Cicho, cicho - powtórzył ojciec.

I pracować już nie chciała dla tych ludzi. Przez nich zginął Piotr. Dla nich czy przez nich - to wszystko jedno. Poczwała nienawiść do wszystkich słów wypowiedzianych nad jego grobem. Gdyby siedział na miejscu, w jakiej fabryce czy urzędzie, gdyby go nie nosiło po tych przeklętych drogach, żyłby, żyłby, och - żyłby jeszcze długo.

Zacisnęła palce na dłoni ojca. Niech ją zaraz stąd zabierze. Zaraz! Nie chce już tu być. Nie chce dotknąć niczego, co było wspólne, żadnego przedmiotu ani żadnej myśli. Ona także nie będzie już wędrować od wsi do wsi, od miasta do miasta, wmuszając w ludzi książki, odczyty, pogadanki. Teraz już koniec z tym - oni ich i tak nigdy naprawdę nie pragnęli. Przymknęła oczy. Zobaczyła przed sobą twarze ludzkie, wiele ludzkich twarzy i oczy, zapatrzone w nią, ciekawe, oczekujące.

— Nie! - krzyknęła na głos. - Nie! Ojciec objął ją i zakołysał lekko.

— No, no - szepnął.

Już nigdy więcej nie widzieć tych ludzi! Nie była im potrzebna. I Piotr nie był im potrzebny. Nie chcieli ich. Wsunęła twarz w zagięcie ojcowskiego rękawa. Wracała znów do dawnych dni, gdy w ten sposób przeżywała wszystkie swoje smutki. Małe, łatwe smutki, ale i ten trzeba będzie przeżyć tak samo.

Samochód zatrzymał się przed domem. Stał już przed nim duży ciężarowy wóz, z którego jacyś ludzie znosili łóżka i stoły.

- Jezus Maria! - jęknęła Marciniakowa.

Magdalena dopiero teraz podniosła głowę. Profesor jeszcze niczego nie rozumiał; zapłacił taksówkarzowi i pomógł Magdalenie wysiąść. Z drugiej taksówki, która właśnie nadjechała, wyskoczył Marciniak. On od razu zorientował się w sytuacji.

— Macie przydział? - krzyknął do człowieka przy ciężarówce.

— Wolnego! - powiedział tamten. - Tylko wolnego!

- Przydział! - krzyczał Marciniak. - Nie mogliście poczekać, żeby ludzie przynajmniej spokojnie z pogrzebu wrócili?

Zza ciężarówki wysunął się młodszy mężczyzna, widocznie syn tamtego.

— Trzy razy mieszkanie uciekało nam sprzed nosa, bośmy właśnie byli tacy delikatni. Wszyscy wprowadzają się podczas pogrzebu. To najpewniejsze.

— Weszliście do mieszkania? - przeraził się Marciniak.

— No, wielkie rzeczy! Niech się pan nie boi, nic nie zginęło. Wszystko złożyliśmy w jechiym pokoju.

Profesor dopiero teraz pojął, co się stało.

- Milicja! - zawołał. - Zaraz sprowadzę milicję.

Młodszy roześmiał się.

— A sprowadzaj pan sobie zdrow! Moja żona będzie zaraz rodzić - leży już w mieszkaniu i będzie zaraz rodzić, jak tylko milicja ją tknie.

— Mogę zaraz to sprawdzić, jestem lekarzem! - wybuchnął profesor.

— Jak pan jest lekarzem - krzyknął stary - to powinien pan wiedzieć, że człowiek nie może mieszkać w piwnicy. Dziesięć lat w piwnicy! Dziesięć lat - pan by wytrzymał?

Zza zakrętu ulicy wyjechał cicho popielaty kabriolet. Gaston zatrzymał wóz i nie wysiadając, przypatrywał się scenie.

— Przydział! - krzyknął znów Marciniak. - Nie macie prawa wprowadzać się bez przydziału.

— Wie pan, gdzie ja mam to pańskie prawo? - zapytał młodszy, zbliżając się do niego. - Zaraz panu powiem, gdzie ja je mam. A żeby gnić w piwnicy, to na to jest prawo? Na to się pozwala?

Magdalena dotknęła ramienia ojca.

- Chodźmy stąd! - powiedziała.

Profesor spojrział na nią nie rozumiejąc.

- Chodźmy! - powtórzyła. - I tak nic chciałam tu już wejść. - Rozejrzała się wokoło. Zobaczyła Gastona - wyskoczył z wozu i podszedł do niej.

- Zabierzesz nas? - zapytała. - Skinął głową.

- Musisz przecież wziąć rzeczy - zdenerwował się ojciec.

- I tej sprawy nie można tak zostawić - zwrócił się groźnie do dwóch ludzi, którzy patrzyli teraz na nich milcząc.

Magdalena wyjęła klucze z torebki i podała je Marciniakowej.

Kobieta wyciągnęła rękę, klucze zadzwoniły cicho. Magdalena znów poczuła ból w okolicy żołądka, zgięła się jak po otrzymaniu ciosu. Gaston wziął ją pod ramię i podprowadził do samochodu.

Profesor stał przez chwilę niezdecydowany przed ciężarówką, potem skłonił się Marciniakom i podążył za córką.

- Dla kogo kupujesz tyle kwiatów? - spytała Magdalena bez zainteresowania. Patrzyła na Gastona, jak wybiera z olbrzymich wazonów stojących na ladzie i podłodze pęki białego bzu, goździków i róż.

Miał na sobie popielaty płaszcz zamszowy z uniesionym nieco kołnierzem, w którego rozchyleniu widniał związany na niedbały węzeł miękki wiśniowy szal. Był bez nakrycia głowy, czarne włosy - zwichrzone wiatrem - opadały mu na czoło. Wszystkie ekspedientki zbiegły się, żeby go obsłużyć. Były to ładne, młode dziewczyny, wyświeżone do pracy w sklepie jak na bal.

Gaston brał z ich rąk kwiaty, udając, że nie widzi, jak na niego patrzą. Odwrócił się powoli ku Magdalenie.

—Mam pewną znajomą... Biedactwo, ledwo wraca do życia. Niewiele miałem dotąd okazji, żeby jej sprawić trochę przyjemności.

—Nie wiem, czy to jest najlepszy sposób, żeby mi ją sprawić - powiedziała.

Mówili po francusku. Ekspedientki przysłuchiwały się im z ową natarczywą i żalosalną ciekawością, jaką wzbudza obcy, niezrozumiały język.

- Mimo to będę usiłował - odrzekł. Wciąż się uśmiechał, choć mniej promiennie niż przedtem. - Spójrz tylko - zawołał - w listopadzie taki bez!

Trzymał białą gałązkę aż ciężką od kwiatów. Magdalena pożałowała swoich słów.

—Dobrze - powiedziała - kup mi go. I odwieź mnie już do domu.

—Źle się czujesz?

—Nie, po prostu jestem zmęczona.

Dziewczęta szeleszcząc papierem pakowały kwiaty. Magdalena patrzyła na dużą szybę wystawową zalaną deszczem. Na ulicy zapalono już latarnie, samochody jechały na pełnych światłach, opony szemrały ocierając się o wilgotną jezdnię. O tej porze, gdy dzień pracy się kończył, panował w tej części miasta

największy ruch. Obwieszona ludźmi tramwaje i autobusy rozwoziły mieszkańców Warszawy do ich dzielnic.

Nie lubiła pośpiechu i zgiełku, jakim żyła w tym czasie warszawska ulica. Nienawidziła ludzi, którzy gdzieś dążyli, do kogoś wracali, komuś kupowali upominki. Nienawidziła ludzi, którzy stali w kolejkach przed kinem, tłoczyli się przy ruchomych schodach w domu towarowym, pili zimne piwo przy kioskach na ulicy. Nienawidziła ich! Zacisnęła powieki, żeby nikt nie zobaczył wyrazu jej oczu.

—Idziemy! - usłyszała głos Gastona. Rozdawał dziewczętom uśmiechy jak napiwki. Odprowadzały go aż do drzwi kwiaciarni.

—Naprawdę chcesz jechać do domu? - zapytał, gdy siedziała już w samochodzie.

—A co innego możemy zrobić?

—Och, możemy zrobić mnóstwo innych rzeczy. Na przykład... - urwał.

—Co „na przykład”? - spytała, ale brak ciekawości w jej głosie powstrzymał go od powiedzenia tego, co zamierzał. Zapuścił motor.

—Dobrze, odwiozę cię do domu.

—Może wstąpisz na chwilę? - powiedziała uprzejmie. Była ostatnio niesłychanie dobrze ułożona, dbająca o formy i pozory. Gastonowi, który nie znał jej takiej, wydawało się to nie do zniesienia.

Odwrócił do niej głowę i parsknął krótkim śmiechem.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, że nie skorzystam z zaproszenia. - Nic jej nie powiedział - myślał. - Nic jej nie powiedział. Rozmawiał z ojcem Magdaleny. Powiedział mu, że z łatwością może uzyskać przeniesienie do Paryża. Sądził, że profesor zrozumiał we właściwy sposób jego intencje. Choć i innych nie krył przed nim. Kilkumiesięczne zaledwie wdowieństwo Magdaleny wstrzymywałoby go od tej propozycji, gdyby znosiła je inaczej, gdyby jej rozpacz nie była rozpaczą całego ciała, tylko duszy, serca, pamięci. Po prostu zaproponował - lekarstwo. Kochał ją - nie chciał, żeby umarła albo oszalała. Ponadto był przyjacielem Piotra, usiłował wierzyć, że to ma jakieś znaczenie. Wszystko to wyluszczył starszemu panu w szczerzej męskiej rozmowie. Prosił, żeby porozmawiał z córką - och, nie w celu wyręczenia go w oświadczeniach, ale dla zwrócenia jej myśli we właściwym kierunku. Powinien był to zrobić - jako ojciec i jako lekarz. Teraz Gaston zrozumiał, że popełnił gafę. Można było przez wiele lat kochać tę samą kobietę, ale nie należało robić przy tym z siebie idioty. Jego upór rodził się prawdopodobnie z uporu Magdaleny. Nie pragnie się zdobywać niczego, co bez zdobywania jest zdobyte - od dawna wyjaśnił sobie psychologiczną stronę swego szaleństwa. Tak śmiały, tak zręczny, tak lekkomyślnie zwycięski w innych sytuacjach - tu przegrywał, ponieważ dopuścił do tego, żeby jego uczucie stało się czymś tak oczywistym i pewnym jak wschód i zachód słońca. Starszy pan musiał go lekceważyć jak zakochanego studenta.

Jechał mostem Poniatowskiego, częste korki na jezdni doprowadzały go do szału. Włokąc się za jakąś ciężarówką miał dość czasu, aby patrzeć na Wisłę, dostrzegalną jeszcze w mroku, brudną jak mokry worek. Sekwana była równie brzydka w jesienne, zadeszczone dni. To niebo nadaje rzece jej piękno, niebo i to przywiązanie, myśl, że coś jest własne, niepowtarzalne i jedyne. Każdy miał na świecie taką jedną rzekę, którą uważał za najpiękniejszą, choć była to po prostu groźna masa wody, płynąca między brudnymi brzegami. Pomyślał o małych

rzeczkach górskich, których nikt nie sławi. O małych rzeczkach, przeźroczystych, jak rozlane na kamieniach szkło, i o jednej z nich, najbardziej uroczej, jaką znał. Może naprawdę była taka, a może myślał o niej tak dlatego, ponieważ spędził nad nią kilka wieczorów, które dotąd owiewały zapachem jego wspomnienia.

Trwała wojna, ludzie umierali na frontach, w obozach i bombardowanych miastach, on sam nosił odarty z dystynkcji mundur jeńca, a wiosna była wiosną nad bawarską rzeką, szeleszczącą wśród brzegów jak jedwab na kobiecych biodrach. Leżeli w wysokiej trawie, słuchali śpiewu ptaków, szemrania wiatru i wody - zapominając na chwilę, że poza linią horyzontu jest świat, który i o nich potrafi się upomnieć. Chciał zapytać Magdaleny, czy wspomina jeszcze czasem wieczory nad rzeką w Edelheim, ale zaniechał tej myśli. Piotr był tam także.

Vlost skończył się. Jechał teraz lśniąca kałużami jezdnią, zrobiło się trochę luźniej, mógł nieco zwiększyć szybkość.

Więc nie powiedział jej - powrócił znów do przerwanej myśli. - Kie powiedział jej. Dlaczego? Nie chciał, żeby wyjechała - stary, okrutny egoista. Mogła mieć Paryż, Riwierę, Włochy - mogła mieć to wszystko, o czym marzy każda kobieta tego kraju, opętanego pragnieniem podróży. Stary polski uczoney uważał prawdopodobnie, że to za mało dla jego córki. Za mało czy za dużo - nic było praktycznej różnicy w tych sformułowaniach. To w każdym razie było nie dla niej. Czego więc dla niej pragnął? Czego chciał? Żeby wróciła do swoich wędrowek po zabłoconych wsiach i zapitych, cuchnących wódką miasteczkach? Proszę - komu oświata, komu wiedza, komu wiersze Mickiewicza i wiadomości o powstaniu świata? Komu pół godziny kultury między wyrzucaniem gnoju a kopaniem buraków? To była recepta na życie Magdaleny wystawiona przez Piotra. Czyżby jej ojciec także podpisywał się pod nią? Gaston zagryzł wargi. Czuł wściekłość i żal do siebie, że nie potrafi obronić się przed myślami, które nic przynosiły mu zaszczytu. Zahamował gwałtownie. Przez jezdnię przechodził tuż przed maską samochodu młody człowiek w waciaku. Rozmyślnie nie

śpieszył się, patrząc z wyzywającym uśmieszkiem w szybę wozu. Gaston zaklął. Nieraz spotykał się z tym rodzajem prowokacji.

- Przejedź go! - usłyszał nagle ostry szept Magdaleny. Szarpnęła go za rękaw, zacisnęła palce na jego ramieniu. - Przejedź go! - krzyknęła.

Przeraził się jej głosu, skręcił w boczną ulicę i zatrzymał wóz. Magdalena cofnęła rękę z jego ramienia i wybuchnęła płaczem. Objął ją i ostrożnie przyciągnął do siebie.

Płakała w milczeniu, plecy jej drżały, choć trzymał ją mocno przy sobie.

—Zapomnij o tym - szepnęła.

—Nie możesz tu zostać - wybuchnął. - Musisz zmienić otoczenie, odetchnąć innym powietrzem. Musisz, rozumiesz?

Czekał, słysząc dudniące walenie serca. Czekał - napięty aż do bólu w żalosnej pewności, że po raz ostatni mówi z nią o tym, że już nigdy więcej mówić z nią o tym nie będzie.

Podniosła głowę. Było ciemno, ale czuł, że patrzy na niego.

- Zabiorę cię stąd - powiedział. - Kocham cię. Przecież wiesz, że wciąż cię kocham. - Umilkł, czując dokuczliwy ton perswazji w tym wyznaniu.

Magdalena jednak niespodziewanie przytuliła się do niego.

—Gaston! - westchnęła.

—Kocham cię. Wiesz, że tylko ja mogę ci teraz pomóc. Tylko ja, nikt inny. Nie mogłabyś obdarzyć zaufaniem nikogo innego - odpowiedz!

—Nikogo - powtórzyła posłusznie.

—Nie mogłabyś nikogo innego pokochać?

—Nie.

Odetchnął. Czuł się osłabiony, jak po długim biegu, kiedy wysiłek zatyka krtań, zaciska palce na szyi. Teraz mógł zaczerpnąć powietrza w piersi i odpocząć, ale coś jeszcze było do powiedzenia, o czym nie mógł zapomnieć.

- Znałem Piotra - powiedział cicho. - Byłem do niego przywiązany. To także powinno ci pomóc. - Poczuł na dłoni jej palce. Milczała. - To ci powinno pomóc - powtórzył. - Nie będę się starał zniszczyć w tobie pamięci o nim. Zachowasz ją, a ja ci w tym pomogę. Bo przecież byliśmy razem, byliśmy razem: ty, on i ja.

Nie odpowiedziała.

—Rozumiesz to?

—Tak.

—Wyjedziesz ze mną?

—Tak.

—Kiedy?

—Tak najprędzej. Kiedy zechcesz - poprawiła się.

—Powiesz o tym dziś w domu?

—Powiem.

—Czy masz pewność, jak zachowają się rodzice?

Magdalena poruszyła się niespokojnie.

—Matka spodziewała się tego. Matka się ucieszy. A ojciec...

—Ojciec?

—Nie wiem, jak zachowa się ojciec - powiedziała wymijająco. - Bardzo przywiązał się do mnie ostatnio.

—Czy tylko dlatego?

—Nic wiem, czy tylko dlatego.

—Przecież nie traci cię na zawsze - zawołał gwałtownie Gaston. - Będziesz mogła przyjeżdżać do kraju, a i on dość często bywa teraz za granicą. Dlaczego sądzi, że cię straci?

—Nie wiem, czy tak sądzi.

—Na pewno tak sądzi, na pewno! - gorączkował się Gaston. - Jak można być tak samolubnym, tak...

—Daj spokój - Magdalena przerwała mu łagodnie. - Daj spokój.

—Moi rodzice będą cię uwielbiać - zaczął znów Gaston. - Będą cię rozpieszczać, zobaczysz. Wprawdzie nie przypominają niczym twoich - przez całe życie prowadzili swój hotel i myśleli

tylko o pieniądzech - ale przekonasz się, jacy potrafią być dobrzy dla ciebie. Matka zawsze pragnęła mieć córkę... - urwał. Przypomniał sobie, że mówił jej to już wiele lat temu, a ona odrzuciła wtedy propozycję wspólnej ucieczki do Francji. Powiedziała mu na wpół żartem, że gdyby zdecydowała się uciekać z Niemiec, wybrałaby chyba Polskę. Ile smutków musiało się jej przydarzyć w ciągu tych lat, że teraz mówiła: tak, Poglądził ją po plecach.

—Zobaczysz, będę cię uwielbiać.

To dobrze - westchnęła. - To dobrze! Bardzo potrzebuję, żeby mnie ktoś kochał.

- A ja? - szepnął, przysuwając twarz do jej twarzy.

XXXI

Magdalena stała przy oknie swego paryskiego mieszkania i patrzyła, jak stary dozorca zmiata z alejki skweru naprzeciwko pierwsze opadłe liście. Już październik - pomyślała. - Dopiero co była wiosna... I powiedziała na głos:

- Przypuszczam, że Betsy nie przepada za winem.

Gaston zerwał się ze swego miejsca.

—Mam dla niej coś mocniejszego. Gilbey's Gin i koniak. A dla Zygmunta mam jeszcze prawdziwą gdańską wódkę, wprowadzie Marie Brizard z Bordeaux, ale Polacy nie robią, zdaje się, gdańskiej wódki.

—Mogę cię zapewnić, że Zygmunt nie dostaje patriotycznych dreszczy i w bardziej zasadniczych sprawach. Nie będzie miał o to do ciebie pretensji.

—Nie cieszysz się, że przyjeżdżają?

—Nie, skądże? Jestem tylko trochę rozdrażniona. Uspokoję się, gdy się przekonam, że wszystko będzie w porządku. Wiesz, że Betsy zachowuje się przy stole jak inspektor.

—Zadziwiająco, ile pewności siebie daje woda wokół kraju! Magdalena roześmiała się.

—Należymy do dość rzadkiego rodzaju gospodarzy.

—Dlaczego?

—Zwykle obmawia się gości dopiero, gdy wyjdą.

- Przecież nie obmawiamy ich - zdziwił się niewinnie Gaston.

- W gruncie rzeczy uważamy przecież oboje, że Betsy jest urocza, a Zygmunt świetnie się u nas czuje.

—Nie sądzisz, że to moja obecność działa na niego tak dobrze?

—To chyba naturalne.

Odwróciła się od - okna.

- Nie rozumiesz mnie. Po prostu wyjeżdżając z kraju rozgrzeszyłam go.

Gaston spojrział na nią z niepokojem. Po raz pierwszy, od

kiedy tu byli, mówiła na ten temat.

Poprawiła jakąś książkę na bibliotecznej półce. Zrozumiała, że się dała złapać - trzeba było teraz odpracować tę niezręczność, w przeciwnym razie Gaston nie odzyska możliwości myślenia o czym innym. Przeszła do jadalni i otworzyła kłapę baru. Znowu rozmawiali o trunkach i o gustach oczekiwanych gości. Ale Magdalena czuła, że Gaston ją obserwuje, że nie tak łatwo go oszukać.

Nie chciała o tym myśleć. Wiedziała, że nie wolno jej o tym myśleć, ale nie potrafiła się przed tym obronić. Wszystkie radiostacje świata mówiły o Polsce. Wszystkie gazety pisały o Polsce. Polacy - dostrzegani tylko podczas wielkich narodowych widowisk - znowu dostarczali światu trochę sensacji. Nie cieszyła jej jaskrawa popularność wśród przyjaciół i znajomych Gastona. Nie lubiła teraz nawet Paryża, tego zarozumiałego miasta. Wydało się jej, że jego pycha sprowadzała się zawsze do lekceważenia nic urody, nie wspaniałości, ale przede wszystkim cierpienia innych miast. Rozumiała, że jest niesprawiedliwa, ale nie mogła myśleć inaczej. Bez żalu przygotowywała się do wyjazdu. Za kilka dni mieli opuścić Paryż i przenieść się do Pragi, gdzie akredytowano Gastona. Nie zdradziła się przed nim, jak ją to ucieszyło. Praga przy stosunkach ojca to już nie była żadna zagranica. Chyba - zastanowiła się - że posiadanie zięcia w ambasadzie francuskiej mogło te stosunki zdecydowanie popsuć. Tak przynajmniej sądził Zygmunt, snując w każdym liście przypuszczenia na temat niełatwej sytuacji ojca, w jakiej zapewne się znalazł. Dziś chyba też będzie mówił na ten temat - przysiadła na brzegu krzesła i wypatrując się bezmyślnie w kolorowe wnętrze baru, uświadomiła sobie, że ta wizyta dręczy ją od kilku cini.

Dowiedziawszy się o przeniesieniu Gastona do Pragi, Zygmunt śpieszył, żeby się z nimi zobaczyć. Mimo serdeczności, jaką jej okazywał, nie mogła odnaleźć dawnego z nim kontaktu. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z bratem po latach wojennej i powojennej rozłąki. Siedzieli naprzeciw siebie, uparcie wpatrzeni w jakiś punkt na dywanie, zmieszani obcością, brakiem

słów, które trzeba było, które można było wreszcie powiedzieć. Zaczęła niezręcznie opowiadać o sobie, ale utknęła na końcu wojny. Zygmunt wypowiedział również kilka zdań na temat swojej wędrówki na zachód. Już przy Dunkierce zrezygnował ze zwierzeń, mruknął, że ona to musi znać z jakichś książek czy opowiadań...

Za to Gaston i Betsy porozumieli się od razu. Gospodarując wspólnie przy komponowaniu cocktailów, zerkali raz po raz ku „swoim” Polakom, ubawieni sztywnością ich zachowania. Przestała interesować się słowami Zygmunta. Pochłonęła ją niezrozumiała nienawiść do tych dwojga, tak pewnych ugruntowanej wyższości swoich narodów, tak odległych od słowiańskich odwiecznych niepokojów.

Wiedziała, że uczucie niechęci powróci i tym razem. Było jej szczególnie przykro ze względu na Gastona. Starła się ukryć przed nim swoje nastroje, ale prawic nigdy się to nic udawało.

Spojrzała na zegarek; do przyjazdu Betsy i Zygmunta pozostało wprawdzie jeszcze nieco czasu, ale bezpieczniej było spędzić go na lotnisku. Wzięła ze stolika róże dla Betsy, prześliczne Crimson Glory, stulone jeszcze w pączki o ledwie odchylonych purpurowych płatkach.

—Już? - spytał Gaston.

—Wolę być wcześniej na lotnisku, Zygmunt by nam nigdy nie wybaczył, gdybyśmy przyjechali po wylądowaniu samolotu.

Jeszcze przed rokiem działało to na nią podniecająco, jak orzeźwiający tusz po nużącym dniu - ruch na lotnisku, międzynarodowy tłum, zapowiedzi płynące z megafonów w różnych językach: samolot do Rzymu, do Nowego Jorku, Kairu, Oslo, Moskwy, Rio de Janeiro, Sambułu, Wiednia, Aten, samolot do...

Wtedy chciała być we wszystkich tych miejscach, zaraz, natychmiast, jak najprędzej - ale Gaston miał tylko miesiąc urlopu w roku, z czego dwa tygodnie musieli spędzić u jego rodziców pod Niceą. Zdążyli więc być tylko we Włoszech i w Hiszpanii, na przyszły rok Gaston projektował wyjazd do. Egiptu i Turcji.

Usiłował się dowiedzieć, czego ona pragnęłaby najbardziej, ale nie miała określonych życzeń.

- Napijesz się kawy? - powtórzył.

Doładowania samolotu z Londynu pozostało jeszcze czterdzieści minut, weszli do kawiarni i usiedli przy oszklonej ścianie, przez którą widać było rozległą płytę lotniska.

—Napijesz się kawy? - powtórzył.

—Może być kawa - powiedziała.

—Co to znaczy: „może być”? Jeśli masz ochotę na coś innego...

—Nie mam ochoty na nic innego.

Już znowu zaczynał się bać, więc trzeba było rozpromienić się natychmiast i powiedzieć:

—Kochanie, przecież marzę o kawie.

—Zaraz ją dostaniesz, skarbie - odpowiedział. Rozejrzał się za kelnerką, a gdy nie dostrzegł jej w pobliżu, wstał i odnalazł ją przy bufecie.

—Dziękuję - powiedziała Magdalena.

Kawiarnia była pełna przedziwnych ludzi, brakowało w niej chyba tylko Eskimosów. Przez długie godziny można było obserwować bez obawy znudzenia tę mieszaninę ras, strojów, sposobów zachowania, ale Magdalenę interesował tylko jeden człowiek, siedzący opodal, w marynarce w dużą pepitę. Ciągnął przez słomkę kolorowy aperitif, odwrócony do niej bokiem, zupełnie nieciekawy i najzwyczajniej środkowoeuropejski - a nie mogła oderwać od niego wzroku, nie mogła zająć się nikim innym. Niechby się poruszył! - myślała. - Niechby spojrzął ku oknu, nie patrzył chyba przez całe życie na startujące co kilka minut samoloty...

—Kogo tak obserwujesz? - spytał Gaston.

—Ba, żebym to wiedziała! Ten człowiek mi kogoś przypomina, ale nie jestem pewna... Boże! - zawołała, gdy mężczyzna w pepitkowej marynarce uniósł głowę, żeby porównać czas swego zegarka z czasem, który wskazywał ogromny zegar na ścianie kawiarni. - Przecież to Jaś!

—Jaki Jaś? - zatrwożył się od razu Gaston.

—Jaś! Nasz były sublokator. Mój i Piotra - wyjaśniła po długiej chwili, gdy Jaś też już ją spostrzegł i uniósł się nieco na krześle. - Z tego naszego mieszkania w Sopocie.

—Co on tu robi?

—Uciekł. Prawie tak samo jak ja.

—Co też ty mówisz? - obruszył się Gaston.

—Cicho, cicho - szepnęła. - Muszę z nim porozmawiać.

Jaś szedł ku niej osobliwym jakimś krokiem, który był trwającym przez cały czas ukłonem i zdumieniem, i jakąś zawstydzoną przykrością nie do ukrycia.

—Co za spotkanie! - wykrztusił. - Co pani tu robi?

—Piotr nie żyje - powiedziała od razu i może dlatego, że mówiła po polsku, zabrzmiało to nie jak wyjaśniająca sytuację informacja, ale jak utrata zupełnie świeża i Jaś nie zauważywszy prawie dalszego ciągu zdania, w którym przedstawiła mu Gastona, stanął jak rażony piorunem.

—Dlaczego? Co się stało?

- Nie żyje - powtórzyła. - Miał wypadek, kiedy wracał z terenu.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę nieruchomo, jednakowo zaskoczeni tym ostatnim słowem wśród kolorowego tłumu paryskiego lotniska, gdzie nic wiedziano nic o polskich drogach, o polskich przestrzeniach i misjach wysyłanych w nie ludzi.

- Zabili go! - zawołał Jaś.

—Nie - sprostowała, a potem dodała bardziej do siebie niż do niego: - A może i tak.

—Widzi pani! Widzi pani! - powtarzał Jaś. Usiadł na brzegu wskazanego mu przez Gastona fotela, każdej chwili gotów do pośpiesznego powstania. - Byłem tego pewny.

—Czego był pan pewny? - zapytała powoli Magdalena.

—Że on się nie nadawał... że nie nadawał się do tego wszystkiego...

—On się nadawał - powiedziała twardo, a Gaston, choć nie rozumiał słów, od razu nadstawił czujne ucho. - To tamci się nie nadawali.

- No tak - bąknął Jaś. - To przecież na jedno wychodzi. A teraz pani tu - dodał po chwili - w Paryżu?...

—Tak - powiedziała. - Pan też?

—Nic - ożywił się. - Ja mam akurat urlop. Lecę do Rzymu. Po raz trzeci spędzam urlop w Rzymie - roześmiał się może nieco zbyt hałaśliwie. - Przyjemne miasteczko!

—Bo ja wiem? - szepnęła Magdalena i Jaś ucichł nagle, a Gaston zwrócił teraz ku niemu zaniepokojone spojrzenie.

—Słyszał pan, co się tam u nas dzieje? - zapytała po chwili.

—Gdzie?

- Przecież mówię: w kraju.

Jaś wzruszył ramionami.

- Trudno by było nie słyszeć, wszędzie o tym pełno. Ale to jeszcze jeden powód do ulgi: niech się sami bawią. Boże! Świat jest taki piękny! Tracić życie na coś takiego!

Słuchała milcząco tego, co mówił o swoich podróżach, o zwiedzaniu tak nagle i szeroko otwartego świata - i starała się zrozumieć, z wysiłkiem i uporem, i bardzo dobrą wolą, dlaczego tak puste, tak bezużyteczne wydaje się to szczęście turystów, kiedy się go wreszcie dostąpi, kiedy przestaje się go tylko pragnąć.

—Madeleine! - szepnął Gaston. -Kawa ci zupełnie wystygła.

—Pasażerowie odlatujący do Rzymu o 16.55 - odezwał się głos w megafonie - proszeni są do kontroli celnej.

- To ja - zerwał się Jaś. - To mój samolot!

Magdalena wyciągnęła do niego rękę.

- Niech mnie pan kiedy odwiedzi - powiedziała. Nie podała mu adresu, a on o niego nie zapytał, zdając sobie sprawę, że nie pragną się zobaczyć, że obydwoje za nic nie chcą się zobaczyć po raz drugi.

Betsy ukazała się na schodkach uśmiechnięta tak promiennie, jakby była gwiazdą filmową, fotografowaną przez reporterów. Była dość ambitna, aby podobać się wszystkim i w każdej okoliczności. To kosztowało trochę wysiłku, ale opłacało się z nawiązką: czekający na samolot patrzyli na nią z zachwytem. Miała na sobie rdzawy kostium o krótkim zakiecie obszytym u dołu brązowym futrem. Gdy schodziła w dół, wąska spódnica opinała się na smukłych udach. Zygmunt szedł za nią, niosąc neseser.

Magdalena podeszła i pocałowała ją ostrożnie w obydwie policzki. Potem zwróciła się do brata.

—Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedział.

—Nie wygłupiaj się - odrzekła po polsku. Zdenerwowała ją anglosaska zdawkowa uprzejmość, której formuły sypały się z niego jak trociny. Na każdą okoliczność miał coś stosownego do powiedzenia.

—Co ci się stało? - spytał urażony.

—Nic mi się nie stało - odburknęła. I dodała nagle cicho i bardzo żałośnie: - Strasznie mi tu jakoś dziwnie, Zygmunt. Bądź taki jak dawniej. Nie gadaj tymi okrągłymi angielskimi zwrotami. Nie mogę znieść tego, że potrafisz przewidzieć z góry, co masz do powiedzenia w każdej okoliczności.

—Może porozmawiamy jednak o tym później? - spytał Zygmunt z naciskiem.

—Dlaczego później? Chcę, żebyś od razu zachowywał się po polsku. To ona ciebie tak obstrugała i zamroziła. Pewnie tylko w łóżku chce, żebyś był słowiański.

—Wybrałaś sobie szczególny temat.

- Cóż w tym złego? Wszyscy wiedzą, że Anglicy są potęgą wyłącznie na morzu. Tylko narody w gruncie rzeczy tak pierwotne jak my...

- Może jednak zaczniemy mówić po francusku - przerwał jej zniecierpliwiony.

Szli do samochodu postępując za panią Townfield i Gastonem. Magdalena nadstawiła ucha.

- Oni rozmawiają po angielsku, nie troszcząc się, że ja nie znam tego języka. Wiem, że Betsy czuje się od razu jak zmokła kura, gdy rozmawiam z tobą po polsku. Boi się, żeby cię nie zjadły te słowa, które dla niej są tylko dźwiękiem pełnym zgrzytów i chrzęstów. Ona wie, że takie są także nasze dusze.

—Jesteś bardzo roztrzęsiona. Widzę, że naprawdę będziemy musieli z sobą dłużej porozmawiać.

—Ciekawa jestem gdzie? Chyba w łazience. Przecież oni nie zostawią nas samych nawet na minutę.

—Kochają nas! - roześmiał się Zygmunt. - To skarb dla takich rozbitków jak my.

Nie odpowiedziała. Dochodzili do wozu. Gaston otwierał drzwiczki przed panią Townfield. Magdalena usiadła obok niej i rozpoczęła uprzejmą rozmowę. Betsy roziskrzonymi oczyma obserwowała mijane ulice. Paryż działał na nią jak zabieg kosmetyczny. Czuła się w nim młodsza, ładniejsza, bardzo spragniona życia i bardzo zdolna do wielorakiej żarłocznej konsumpcji. Patrząc na jej promienną twarz, Magdalena pomyślała, że przy takiej kobiecie trzeba czym prędzej zrezygnować ze złego nastroju, jeśli się nie chce być pokonaną. Nie bez trudu dobyte z siebie najradośniejszy ton szczebiotu, jaki kiedykolwiek przeszedł przez jej gardło. Gaston zerknął ze zdziwieniem w wiszące nad nim lustro, szukając odbicia jej twarzy.

Utrzymywała się wytrwale w tej pozie przez cały czas trwania kolacji, która wypadła bez zarzutu. Kucharka, przysłana z pensjonatu na południu, zaprezentowała godnie wszystkie zalety słynnej kuchni mamy Assement. Goście zachwalali dania i trunki i trzeba było dotrzymywać im towarzystwa. Czyniła to chętnie, choć Gaston patrzył na nią z niepokojem. Gdy atmosfera stała się prawie że studencka, uznała, że może zrezygnować ze swojej męczącej wesołości. Podparła dłońmi ciężącą jej głowę. Chciała się upić, ale wydawało się jej, że jest wciąż trzeźwa. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, co ona tu robi. Skąd się tu wzięła? Po co? Instynktownie spojrzała na Zygmunta - on był najbliższy, on powinien wiedzieć. Ale on także miał wypisany na twarzy ten sam znak zapytania. Sięgnęła po kieliszek.

—Madeleine!

—Tylko troszeczkę! - Zimny alkohol prześliznął się przez gardło, a potem rozplynał kojącym ciepłem tuż pod sercem. Przymknęła oczy.

—Madeleine! - powtórzył Gaston. Gładził jej rękę jednostajnym, uspokajającym ruchem.

Kochają nas - przypomniała sobie słowa Zygmunta.

Pieszczota Gastona wydała się jej czymś bardzo cennym. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Tylko Folies Bergeres - Gaston wrócił czym prędzej do przerwanej rozmowy. - Pierwszy wieczór w Paryżu można spędzić tylko w Folies Bergeres.

- Na szczęście nie dostaniemy biletów - odezwała się Magdalena.

Wszyscy zwrócili się ku niej, więc zamrugła powiekami i szybko uzupełniła swoje słowa. - Jest zaledwie kilka dni po premierze i bilety wyprzedane są na miesiąc naprzód. A „na szczęście” powiedziałam dlatego, że wydaje mi się, iż Betsy powinna najpierw odpocząć po podróży.

- Betsy wcale nie jest zmęczona! - zawołał Zygmunt. Pragnął udowodnić Magdalenie, że popełniła nietakt.

Pani Townfield spojrzała na niego chłodno.

- Przeciwnie - powiedziała - z przyjemnością położę się dzisiaj wcześniej. Wprawdzie podróż mieliśmy bardzo dobrą, ale zbyt wiele wrażeń jednak męczy, w dodatku jeśli się stale mieszka na wsi.

Zygmunt przyjął nauczkę z pokorą. Magdalena miała ochotę parsknąć mu w nos, widząc jak bardzo martwi się tym, że wciąż daleki jest od wzoru. Poczula naraz pragnienie wyzwalającego chamstwa, wulgarnej prawdy w zachowaniu, spięć ostrych i niewybaczalnych. Miała ochotę zacząć gwizdać lub wyciągnąć nogi na stole, a może powiedzieć im, żeby sobie poszli do diabła. Żal jej było tylko Gastona, który tak poważnie potrafił się martwić, jak stary nauczyciel.

- Nalej mi! - poprosiła, znowu wyciągając kieliszek.

- Nie, tego już nie - rzekł Gaston stanowczo. - Zrobię ci szprycera.

Piła chciwie zimny napój. Pomyślała, że dobrze by było pójść spać - chciała to zaproponować po polsku Zygmuntowi, ale Zygmunt podnosi właśnie kieliszek i mówił, nie patrząc na nikogo.

- Niepraktycznie jest być teraz zmęczonym. Myślę, że po

prostu nie praktycznie. Mamy przerwę na życie - o tym powinniśmy pamiętać.

Magdalena drgnęła. Podniosła oczy na brata. Więc i on to czuł? Musiało to w nim dojrzewać w ciągu długich lat, w których nie było wojny ani pokoju, tylko bezustanne, podniecone oczekiwanie. Patrzyła na niego. Dopiero w tej chwili wydał jej się naprawdę bliski.

- Podczas przerwy na życie - ciągnął dalej Zygmunt - obowiązuje świetna kondycja, jak po otrzymaniu przepustki z koszar. Myśli się wtedy, że wieczór będzie trwał krótko i trzeba go spędzić jak najprzyjemniej. Napijmy się!

Betsy nie podniosła swego kieliszka. Jej piękne dłonie leżały płasko na obrusie tuż przy talerzu.

- Znowu zaczniecie o tym gadać - powiedziała cichym, ostrym szeptem. - Znowu i znowu, bez końca. Już to słyszałam setki razy przy wszystkich prywatnych i narodowych okazjach. Wiem, że się boicie. Czy uwierzysz? - zwróciła się do Magdaleny prawie z radością. - On boi się bardziej ode mnie.

Zygmunt i Gaston patrzyli na nią ponuro. Magdalena zmrużyła oczy.

- On także się boi - wskazała na Gastona. - On także! A my w gruncie rzeczy jesteśmy zwykłe markietanki, lubiące mężczyzn pachnących jeszcze prochem, owianych wojną jak najlepszą wodą kolońską. My to jednak lubimy! Och, czemu nie stać nas na to, żeby mówić kochankom i mężom:

Bądź tchórzem, mój miły! Bądź glistą pełzającą po ziemi!
Będę cię kochać, będę cię uwielbiać. Niech inni na ciebie pluja,
ale ja będę cię miała i zobaczysz, potrafię cię takim kochać!
Czemu nas na to nie stać?

Pytanie było skierowane do Besty, patrzyła na nią - ale ona nie zniżyła spojrzenia. Myślała o chłopcach z bazy hurricanów pod Roseshade. I o tym jednym, na którego czekała po każdym zadaniu bojowym. O, kochała go wtedy czulej i goręcej - to prawda. I tego kochała także za to, że był żołnierzem. Nie chciała teraz na niego spojrzeć, żeby nie odgadł jej myśli, ale naprawdę woń prochu była zapachem ich miłości. Uśmiechnęła się zamyślonym, czułym, trochę zmysłowym uśmiechem. Nie, nie miała ochoty się obrazić, ponieważ w oczach kobiety, która jej to powiedziała, było również wspomnienie tego zapachu. Były markietankami, które ciągną za wojskiem - na to nie było rady. Wciąż uśmiechając się, podniosła swój kieliszek. Ale nikt nie wypił oprócz niej.

Magdalena poszukała pod stołem dłoni Gastona i gładziła ją nerwowo. Nie zwrócił ku niej oczu. Nie rozumiał jej? Przecież wciąż pamiętała go, gdy trzymał ją w ramionach na korytarzu żandarmerii w Edelheim, poraniony i zbity, ale z nie wyjawioną tajemnicą za zaciśniętymi zębami - przecież wciąż takim go pamiętała i nie chciała innego, nie mogła chcieć innego, nie potrafiła.

- Gaston! - zawołała cicho.

Pochylił się ku niej ze zbyt zaakcentowaną uprzejmością.

- Jestem pijana - powiedziała szeptem. - Musisz zrozumieć, że jestem pijana. - Gładziła go teraz po „kolanie czule i pokornie.

Roześmiał się skwapliwie, z ulgą. Objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego i oparła policzek o jego szyję. Gdyby i Zygmunta uczynił to samo, wieczór skończyłby się małżeńską miłością, ale on siedział odwrócony trochę od Besty, zupełnie nieczuły na jej obecność.

- Czy mama w końcu przyjedzie? - zapytał nagle po

polsku.

Drgnęła. Poczowała, że dłoń Gastona ciaśniej zamyka się na jej ramieniu.

Odpowiedziała jednak również po polsku:

— Już do Paryża nie zdąży. Wizę miała obiecaną na listopad. A my za kilka dni wyjeżdżamy do Pragi. Paszporty mamy już gotowe.

— Zanim wystara się o wyjazd do Czechosłowacji - zaśmiał się Zygmunt - wy już możecie być gdzie indziej.

— Nie, Gaston ma zamiar trochę dłużej posiedzieć w Pradze. Zygmunt zamyślił się.

— Zresztą wątpię, żeby mama chciała teraz w ogóle ruszać się z domu.

— Dlaczego?

— Nie wiesz, co się dzieje? Radia nie słuchasz?

— Słucham.

- No więc co ci będę powtarzał. Teraz albo nigdy - wszyscy to czują.

Ach, mój Boże! - wyprostował ramiona. - Ile razy śniło mi się, że jestem w Łazienkach.

Przyglądała mu się w milczeniu.

— Chodzę po alejach, widzę drzewa, widzę drzewa o każdej porze roku, kiedy kwitną, kiedy stoją w pełnej zieleni i gdy liście z nich opadają. - Podparł głowę rękoma i patrzył w małą plamkę na obrusie po kilku kroplach koniaku. - Wydaje mi się nieraz, że jestem małym chłopcem i zbieram kasztany, że wypycham sobie nimi kieszenie, choć mama tego bardzo nie lubiła.

— Mama w ogóle nic lubiła - zawołała Magdalena - kiedy wracając ze szkoły chodziliśmy - sami do Łazienek. Że to wcale nie po drodze - dla mnie z Królowej Jadwigi, a dla ciebie z Batorego. Już wołała dla nas park Skaryszewski, choć tam było zawsze tylu pijaków.

— A potem znowu bała się Łazienek, bo umawialiśmy się tam na randki. Przyznaj się, włóczyłaś tam za sobą

wszystkich twoich chłopaków.

— Mój Boże, ledwo zaczęłam to robić, zaraz wybuchła wojna.

Betsy i Gaston wiedli z wysiłkiem rozmowę o francuskich nowościach w literaturze. Pani Townfield usiłowała przewidzieć, kto dostanie nagrodę Goncourtów za rok 56, ale po roztargnieniu w jej oczach Gaston poznał, że nic jej to nie obchodzi. Słowa gasły między nimi, układane w coraz krótsze zdania, potem już bezwstydnie pojedyncze, zdawkowe i samotne, gdy pytaniom nie udzielano odpowiedzi. W końcu umilkli i przysłuchiwali się bez żenady temu, co mówili tamci. Nie rozumieli nic, a raczej prawie nic, bo jakieś pochwycone słowo i tak nie tłumaczyło zdania. A jednak przysłuchiwali się temu potokowi dźwięków tak ostrych, jakby zawsze były kłótnią, nie spuszczała oka z ust, poruszających się w podnieconym pośpiechu, nie mogli zająć niczym innym myśli, nie mogli nawet ukryć swego niepokoju.

Zygmunt i Magdalena siedzieli teraz przechyleni ku sobie przez stół, dotykając się prawie wyciągniętymi rękoma. Czuli potrzebę gestu, krzyku, śmiechu na całe gardło. Ich wspomnienia wymagały formy obowiązującej w czasie, którego dotyczyły..

— A pamiętasz kaszanke, którą przywozili nam od babki, kiedy w Stawówce było świniobicie? - spytała Magdalena prawie śpiewnie.

— Ba!

— I salceson! I nóżki w galarecie!

— Jezus Maria! To było jedzenie! Przez siedemnaście lat nie jadłem niczego tqk dobrego. A knedle ze śliwkami pamiętasz?

— I ze śmietaną.

— A pierogi? Jadłaś tu chociaż raz pierogi?

— Nie.

— Z kapustą, z serem, z grzybami.

— Z grzybami to są uszka.

— Uszka w barszczu! Jezus Maria! Oni zupełnie nie

umieją gotować, Anglicy jeszcze bardziej niż Francuzi. Jajka na boczku - ot i całe szczęście. I tylko ten chleb przypiekany, aż zęby bołą. Nienawidzę grzanek.

— A ja oliwy. Czasem w nocy mi się śni, że pływam w oliwie, że oliwa dostaje mi się do uszu i nosa, że wlewa mi się do gardła. Tutaj nawet ciasto piecze się na oliwie, obrzydliwość!

— Obrzydliwość! - powtórzył Zygmunt i zamyślił się ze smutkiem. - Wiesz, co ja bym teraz zjadł - rzekł po chwili - nie gniewaj się, zamiast tej twojej francuskiej kolacji? Kotlet schabowy! Z kapustą. Do tego ziemniaki puree ze skwarkami. Pod to wszystko nie żaden dżyn, nie koniak, ale setka uczciwej wódki. Co myślisz o tym?

— Gaston twierdzi, że wieprzowina jest niezdrowa. On jada tylko wołową połówkę.

— Gówno on tam wie! Od schabu jeszcze nikt nie umarł. Pamiętasz warszawski „schab z anioła”? Patrzeć nie mogę na te ich rostbefy. Żrą, a krew im cieknie po brodzie.

— Bo oni w gruncie rzeczy są drapieżni.

— Ujarzmienie Afryki obudziło w nich ten zwierzęcy instynkt. Nie rozumiem ludzi, dla których największą przyjemnością jest polowanie na lwy. Używają zdobyczy cywilizacji: samolotu, samochodu, lornetki i broni, aby wytropić w dżungli niewinne zwierzę. Nigdy w życiu nie zabiłbym lwa.

— Polowałeś u babki na zające.

— Moja droga, zając to nie lew.

— Prawdopodobnie zając nie widzi tej różnicy.

— Ale zająca przynajmniej można zjeść. A jaki ma się pożytek z zabitego lwa?

— Ściąga się z niego skórę i zawiesiwszy ją w salonie psuje się krew zazdrosnym znajomym. Widzisz, każdy poluje na to, na co go stać.

— Nie, nie - kiwał głową Zygmunt - my jesteśmy łagodniejsi. Oczywiście, potrafimy nienawidzić, ale nienawiść nasza jest gwałtowna i czysta. Stąd jesteśmy szlachetniejsi nienawidząc niż oni, gdy kochają z wyrachowania. Mamy też chwile wielkich sentymentów. Tak ładnie umiemy się wzruszać na FON, na LOPP, na „Woda wyżej” i „Gorące serca zwalczą mróz”. Wystarczy do nas tylko zapukać, od razu otwieramy drzwi.

— Oni także otwierają drzwi. Wasza gościna u nich trwa bezwstydnie długo.

— Dość mam tej gościny! - krzyknął nagle Zygmunt. - Dość! Rozumiesz? Gardłem mi wyłazi!

Magdalena patrzyła na niego ze współczuciem.

— Czy czujesz, że są zniecierpliwieni?

— Ach, nie, nic o to chodzi. Ile razy wybieram się między ludźmi, występuję w marynarce ozdobionej odznaczeniem za bitwę o Londyn. To robi na nich wrażenie. Ale nawet jeśli ma się takie konto, czasem przychodzą myśli, że nie ma czym płacić.

— Przecież hodujesz te kury razem z Betsy. To także musi się liczyć. Oni uwielbiają jajka na boczku, sam powiedziałaś.

Spuścił głowę.

— Ale to za mało, żeby czuć się mężczyzną. Magdalena ostrożnie dotknęła palców jego ręki.

— Nie wróciłbyś ze mną? - zapytała cicho.

Znieruchomiał, jakby stracił nagle zdolność poruszania się, mówienia, oddychania nawet.

- Nie wróciłbyś ze mną? - powtórzyła.

Betsy i Gaston patrzyli na nich z rozpaczliwą czujnością. Gaston nalał sobie wina i wychylił duszkiem całą szklanekę. Betsy sięgnęła po koniak. Nawet pijąc nie spuszczała z nich oka, zapomniawszy wzajemnie o sobie, o tym, że są sprzymierzeńcami w tej walce.

— Coś ty powiedziała? - rzekł wreszcie Zygmunt.

— Powiedziałam, żebyś wracał ze mną.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? A Gaston?

— Gaston jest w tym szczęśliwym położeniu, że mieszkając w innym kraju nie musi wyrzekać się ojczyzny.

— Ani ojczyzna jego.

— Ciebie twoja także już się nie wyrzeka.

— Powiedziałeś „już”. Dziękuję. Wielka łaska - po siedemnastu latach.

— Łaska, nie łaska - ludzie wracają i są szczęśliwi. Przynajmniej mają pełne ręce roboty i nie pętają się bez sensu po

świecie.

— Ciekawym, jaką robotę widzisz dla mnie.

— Jakąkolwiek, byle pożyteczną.

— Żeby jakiś ćwok stał nade mną i mi rozkazywał?

— Ćwoki też się przez ten czas czegoś nauczyły. Ty nauczyłeś się hodować kury, a oni rządzić.

— Ładnie się nauczyli! Drogo nas ta nauka kosztuje.

— No, ciebie niewiele.

Cofnął się z krzesłem do tyłu i, pobladły z wściekłości, długo szukał najcelniejszej odpowiedzi.

- Ciebie chyba także nie. W każdym razie mimo wysiłków włożonych w budowę socjalizmu znalazłaś dość czasu i przytomności, aby po gołym apostołe nowego ładu machnąć się za faceta z dwoma samochodami i hotelem na Riwierze.

Strzał był dobry. Magdalena skurczyła się jak bramkarz, którego piłka ugodziła w żołądek. Ale w oczach jej nie było gniewu.

- Nie mów tak do mnie, Zygmunt. Nędzarz, który stawszy się bogatym nie potrafi nim być, jest godny pożałowania, a nie drwin. Masz za mało wyobraźni, żeby to zrozumieć.

Zygmunt przechylił się nad stołem, twarz miał łagodną i czułą.

— Nie chciałem sprawić ci przykrości. Oni uczynili cię kaleką. Powinnaś się z tego leczyć.

— Nie wiem, czy to jest uleczalne.

— I chcesz, żeby to samo stało się ze mną? Żebym ja także czuł się kaleką?

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po kieliszek, a Gaston bez słowa nalał jej wina.

— Wiesz, co ci powiem? - zaczął Zygmunt. - Ten rodzaj kalectwa jeszcze nie jest najgorszy. W każdym razie nie grozi każdemu - dodał z ironią - i na pewno nie jest chorobą społeczną. Ale ja znam inne. Miałem kolegę w Anglii, był ze mną na rekonwalescencji u Betsy. Polak. Został ciężko ranny pod Monte Cassino. Rok naprawiali go w różnych szpitalach, a potem drugi rok

Betsy odkarmiła go swoimi jajkami na boczku. A kiedy przyszedł do siebie, uparł się, żeby wracać.

— I co?

— Poczekaj. Uparł się, żeby wracać. Myślał, że go będą tam na rękach nosić, że od razu starostą zostanie. Syn małorolnego chłopa i spod Monte Cassino!

- No i co?

- Zaraz. Też mnie namawiał, żebym wracał. Ale ja go poprosiłem, żeby najpierw napisał do mnie, jak tam jest. - Napisał?

- Nie. - Nie wiesz, co się z nim stało?

— Wiem. Nie żyje.

— To nie dlatego! - krzyknęła nagle Magdalena. - To na pewno nie dlatego.! Jak w ogóle możesz łączyć te dwie sprawy? Czy mało ludzi umiera na gruźlicę?

— Skąd wiesz, że umarł na gruźlicę?

Magdalena patrzyła na niego tępo. Dotknęła wierzchem dłoni gorącego czoła. Może była pijana, może chora?

— Powiedziałam tak? - spytała.

— Tak. On umarł naprawdę na gruźlicę. Dostałem zawiadomienie z sanatorium. Widocznie musiał podać mój adres. A za życia nie napisał do mnie ani słowa, chociaż umawialiśmy się.

— Przestań! - zawołała zakrywając oczy rękoma. - Czy ty myślisz, że tak łatwo było przeciwdziałać?

— O czym ty mówisz?

— Nie masz prawa go oskarżać! - krzyczała. - Słyszysz? Nie masz prawa! On nie mógł mu pomóc!

— Kto? O czym ty mówisz, Magdaleno? - powtórzył Zygmunt zdziwiony.

Odsłoniła oczy. Minęła chwila, zanim szepnęła:

— Przepraszam cię. Sama nie wiem co mówię.

— Nie pij już więcej.

— Dobrze.

— Straciłem przez ciebie wątek. Do czego zmierzałem? Aha, do tego, żeby ci udowodnić, że są gorsze kalectwa niż twoje. Gdy człowiek, który miał się przez cały czas za bohatera, musi

nagle uwierzyć, że nim nie jest. Rzeczy wielkie topnieją przed nim jak śnieg uchwycony w dłoń.

Magdalena nie słuchała go. Jej ręce złożone na stole splatały się i rozplatały nerwowym ruchem.

- Pieką cię dawne bóle - powiedziała - i nie chcesz o nich zapomnieć.

Powinieneś zrozumieć, jak w tej chwili wygląda sprawa polska.

Zygmunt wybuchnął śmiechem. Śmiał się hałaśliwie i długo, jakby dawno nie zdarzyło mu się słyszeć tak wspaniałego dowcipu. Czekala cierpliwie, aż skończy.

— I kto ma mi wyjaśnić tę polską sprawę? Ty?

— Może ja. A może razem zastanowimy się nad nią?

— Daj mi spokój. Nie jestem politykiem, jestem żołnierzem, który nie wie, czy zwyciężył. Nie chciałbym, żeby mnie użyto po raz drugi w ten sposób.

— Mógłbyś łatwo uzyskać tę pewność, że zwyciężyłeś.

— O czym ty myślisz? - krzyknął.

— Już ci powiedziałam.

— Poczekam. - Odsunął się od stołu, przybrał niedbałą pozę, już teraz jakby zasobną w czas i spokój obserwacji.

Magdalena także cofnęła ręce z obrusa, złożyła je na kolanach i przypatrywała się im przez długą chwilę.

— Poczekam - powtórzył Zygmunt. - Jeszcze teraz miałbym się pchać w tę historię! Wytrzymałem tyle lat, wytrzymam jeszcze trochę. No, odezwij się! - krzyknął.

— Po co? Przecież ty uważasz, że wystarczy nosić w klapie odznaczenia za bitwy o cudze miasta, żeby szanowano nas w Europie.

— W gruncie rzeczy jesteś bardzo niedelikatna.

— Nie wstydzę się tego. Może twoje gusty artystyczne wymagają bardziej subtelnego ujęcia, cienkiej aluzji, metafory, ale na to trzeba mieć więcej czasu. A my nie mamy już czasu, Zygmunt. Ty masz trzydzieści siedem lat, ja trzydzieści pięć, Polska tysiąc, a ta nowa dwanaście. Jak długo można jeszcze ociągać się ze

spełnieniem swego obowiązku? Historia...

— Tylko mi teraz nie wyjeżdżaj z historią - zdenerwował się Zygmunt. - Za głupia jesteś, żeby o tym mówić.

— To ty jesteś głupi. Leniwy, zły i głupi.

Patrzyli na siebie ze złością. Magdalena miała ochotę pokazać mu język. Rozstali się prawie po okresie dzieciństwa, nie obcowali z sobą jako Judzie dorośli. Ich kłótnia była jednym z tych namiętnych i krótkotrwałych spięć, które często wybuchają w pokoju dziecięcym.

Betsy trzymała przed sobą butelkę koniaku i nie spuszczała z nich oka. Gaston przełykał nerwowo ślinę.

- Ojciec miał rację, że przez tyle lat nie chciał cię widzieć.

— To od ciebie wyjechał bez pożegnania. Ze mną się pożegnał, nawet płakał, jeśli chcesz wiedzieć.

— Ojciec też jest taki sam jak ty. Też jest nafaszerowany obowiązkami, aż mu się odbijają.

Nasz ojciec uczciwie pracuje i wie, gdzie jest jego miejsce. Twoje i moje też tam być powinno.

- No to jedź, jak ci tak pilno.

- Zobaczysz, że pojedę.

- Akurat dobrze trafisz. Winszuję!

— Betsy ma rację, jesteś tchórzem.

— Betsy tak mówi, bo chce mnie przy sobie zatrzymać. Z tego punktu Widzenia można wszystko wybaczyć kobiecie.

— Pocałuj ją w nos! Pocałuj ją w nos tę swoją Betsy.

— Jeszcze dziś to zrobię, zapewniam cię.

— Nie pojedziesz ze mną?

— Wariatka!

— Nie pojedziesz?

— Odczep się. Chcę spać. Chcę spać z moją milutką Betsy zwiniętą w kłębuszek. Nic innego mnie na razie nie interesuje.

— Nie pojedziesz?

- Magdaleno, nie bądź nudna! Powiedziałem ci: chcę spać. A ty jedź, jeśli jesteś taka odważna. Napiszesz do mnie potem, jak Florian.

Nic już nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę po wino, ale Gaston chwycił ją za łokieć.

- Idziemy spać, Betsy - zawołał Zygmunt.

Pani Townfield wciąż trzymała butelkę koniaku. Niewiele pozostało na jej dnie. Postawiła ją ostrożnie na stole i powoli podniosła się z krzesła.

- Skończyliście? - zapytała.

- Tak - odrzekł Zygmunt.

Namyślała się chwilę.

- „And let those that play your clowns speak no more than is set down for them”.

Zygmunt i Gaston patrzyli na nią zdumieni. Magdalena nie rozumiała.

- To z *Hamleta* - dodała Betsy, skierowując się do drzwi.

Zygmunt skoczył za nią i chwycił ją w ramiona. Bił go pięściami po plecach i głowie, ale widać niezbyt mocno, bo całował ją i, całując, wyniósł z pokoju.

Gaston roześmiał się nieszczercze.

- Co ona powiedziała?

— Ach, już nie pamiętam. Wszystko jedno co. To bez znaczenia. Nie powinniście byli tak długo rozmawiać po polsku.

— Przepraszam cię.

— Ją trzeba było przeprosić.

— Zrobię to jutro. - Jesteś zmęczona?

— Bardzo.

— Ja też.

Kiedy leżeli przy sobie w ciemnym pokoju, Gaston przesunął dłonią po jej głowie.

— Bardzo się dziś niepokoiłem. Drgnęła.

— Dlaczego?

— Nie wiem dlaczego. Nie umiem tego wytłumaczyć.

Uniosła się na łokciu.

— Słuchaj, Gaston - powiedziała z dziwną, poważną serdecznością. - Myśl zawsze, że cię kocham. Zawsze myśl o tym, cokolwiek by się stało.

— Co to znaczy? Boże drogi, dlaczego to mówisz?

— Nie wiem. Kocham cię. Chcę cię kochać. Ty jesteś jedynym człowiekiem, którego mogę teraz kochać.

- Dziękuję - powiedział. Był bardzo senny.

Przygarnęła go i usnął przy niej natychmiast jak dziecko.

Obudziła się nagle wśród nocy i od razu zaatakowały ją wszystkie sensacje minionego dnia. Leżała z otwartymi oczyma, wiedząc, że już nie zaśnie. Odmawiała pacierz, liczyła i znów wracała do modlitwy. Wykrój okien zaczynał jaśnieć. Ulicą jechały pierwsze samochody z żywnością dla Paryża. Dom drżał lekko, cicho dzwoniły szyby.

Wstała ostrożnie, żeby nie budzić Gastona. Narzuciła szlafrok i wysunęła się do jadalni. Otworzyła radiodbiornik, chciała posłuchać pierwszych komunikatów.

A potem nie było już na nic czasu. Ani na porządne ubranie się, ani na zastanowienie. Weszła do sypialni i chwyciła swoje rzeczy. Gaston spał na wznak z włosami zwichrzonymi nad czołem. Żal ścisnął ją za gardło. Patrzyła na niego przez długą chwilę. Spał ufnie, nie przeczuwał, że zrobi mu krzywdę.

Dotknęła lekko ustami jego ręki. Postanowiła, że do niego zadzwoni, że zaraz stamtąd do niego zadzwoni. Zdjęła futro z wieszaka w przedpokoju, głowę owinęła jedwabną chustką. Sprawdziła, czy ma pieniądze w torebce i paszport do Pragi.

Zatrzymała się na progu i odetchnęła głęboko powietrzem domu. Dopiero potem cicho zamknęła drzwi za sobą.

Na ulicy owiał ją wilgotny, październikowy wiatr. Latarnie kończyły swoje obowiązki. Dzień zwalniał je z posterunku, choć już o świcie wydawał się senny i zmęczony.

Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Kazała się wieźć na lotnisko.

XXXII

Czołgała się przez płytki wawóz porosły gęstymi krzakami. Suche gałęzie trzaskały pod jej ciężarem. Każdy chrzęst w ciszy brzmiał jak wystrzał. Przypadała wtedy nieruchomo do ziemi i wstrzymywała oddech.

Ogromne niebo wisiało nad nią, za bogate, za duże, jak na użytek mieszkańców jednej smutnej planety. Kiedy patrzyła w połyskliwą otchłań nad sobą, kreska na mapie, ku której dążyła, wydawała się nierealnym wymysłem. A przecież stały tam na pewno wbite obok siebie w równych odległościach niewysokie słupy granicy. Czołgała się ku nim, widząc prawie ich kształt, ich rysunek na tle jaśniejszego nieba, kiedy się na nie patrzy z dołu, z ciemnej ziemi. Pamiętała dokładnie to miejsce z pierwszych po wojnie wakacji, które z rodzicami spędzała w Kudowie. Dlatego je wybrała, bo wydawało się jej łatwe i znajome.

Przyjechała pociągiem do czeskiej stacji Nachod, potem w ciągu dnia pieszo przybyła aż tutaj, skąd było widać wśród pożółkłych już drzew czerwone dachy pensjonatów polskiego uzdrowiska. Nie było czasu na staranie się o paszport do Warszawy, musiała tam być zaraz, jak najprędzej... Wieczorem gdy leżała w wąwozie, czekając aż się zupełnie ściemni, słyszała bicie dzwonów po tamtej stronie. Zwoływały ludzi na

październikowe nabożeństwo. Oparła czoło o wiotki pęd jakiegoś krzewu i słuchała ich głosu.

Pojawiły się w pamięci sprawy wstydlive, których od dawna nie dotykała przypomnieniem, aby nie bolały. Bronka! Marciniakowie! Stary Płonka z Jeziorzan! I ludzie, dla których pracowała, dla których nie chciała pracować. I ten człowiek, który przechodził jezdnię niedaleko mostu Poniatowskiego w Warszawie, ten człowiek, którego kazała Gastonowi przejechać. Gdyby mogła go odnaleźć! Gdyby mogła!

Najpierw trzeba było myśleć o Bronce. To bolało najbardziej. Pamiętała jej twarz z owego straszego dnia, gdy stały naprzeciw siebie, a między nimi żwawi ludzie krzatali się przy grobie Piotra. A potem ją Gaston wywiózł do Paryża i na Riwierę, a Bronka musiała mieć siłę na codzienność i musiała dalej ciągnąć swój wózek, dalej i dalej, jakby nic się nie stało, jakby naprawdę nic nie zaszło w jej życiu. Powinna była przynajmniej do niej napisać, powinna była napisać, że to jej należy się słońce Riwiery i ciepłe morze, w którym można się kąpać nocą. Że to ona powinna odpocząć, bo się zmęczyła w życiu, bo się naprawdę już chyba zmęczyła. Nie napisała do niej, ale teraz to robi, zaraz, natychmiast, gdy stanie po drugiej stronie. I do starego rybaka Płonki, żeby nie miał już wyrzutów sumienia. I do Marciniaków. Im także należał się jej powrót. Tylko tamtego człowieka nie będzie mogła odnaleźć...

Długie godziny mijały powoli. Wzdłuż wąwozu biegły jakieś drogi i ścieżki, szli nimi ludzie, nieśli coś, rozmawiali, żyli. Dzień wyciszał się powoli. Dużo było jeszcze czasu do myślenia. Rodzice! Ich starość była zimna. Mieli dwoje dzieci. Stracili dwoje dzieci. Miłość na odległość jest oszustwem. W ten sam sposób można kochać Monę Lisę lub któregokolwiek z bohaterów powieści. Nigdy jej nie napisali, że chcieliby mieć ją przy sobie. Ich samotność była ambitna. Ale nieraz w listach czuła jej płacz.

Ach, zadzwonić do drzwi na Saskiej Kępie! Poczuc pod palcami gładką wypukłość dzwonka, usłyszeć kroki zmierzające

do progu i głos, gdy niespokojnie pyta: Kto tam? Usłyszeć to, zobaczyć: twarze, ulice, miasta! Kupić bilet na dworcu i pojechać dokądkolwiek, do Płocka czy do Radomia, pójść na targ, obmacywać kury, targować ziemniaki na zimę, kupić sobie ćwierć kilo orzechów, przymierzyć ciepłe bambosze, grzebać w motkach owczej wełny... Być tam, gdy się martwią i boją, gdy się cieszą i mają nadzieję, gdy pracują i mają nadzieję, gdy czegoś pragną, być tam razem z nimi, tam, tam i nigdzie indziej.

Gaston ją zrozumie. Zaraz, gdy stanie po drugiej stronie, zadzwoni do niego. Wytłumaczy mu. Przeprosi, że musiał się o nią martwić. Nie mogła mu powiedzieć, na pewno by jej wtedy nie zrozumiał. Przedtem jest trudniej zrozumieć niż potem. Przedtem trzeba zrozumieć zamiar, potem - wydarzenie. Gaston był za słaby, za słaby przez to, że ją kochał, aby zrozumieć zamiar. Dlaczego musiała zrobić mu to, musiała go skrzywdzić? Ale on był szczęśliwy, bogaty, spokojny.

Odgłosy poza wąwozem cichły powoli.

I jeszcze trzeba było o kimś pomyśleć. O tych, których już nie było. O Marysi, o Philomenie, Grzesiu i Dominique'u. Od dawna już nie wracała do nich wspomnieniem, a przecież te wspomnienia powinny bronić świat przed nowym głupstwem. Ludzie odchodzili, przemijali, ginęli - po to w końcu byli na tym świecie, żeby umierać. Chodziło tylko o to, po czym człowiek umiera.

Droga poza wąwozem ucichła. W dalekiej zagrodzie szczeakał tylko pies, nie na alarm, ale z bezmiernego psiego zachwyty nad pięknem nocy.

Ruszyła się ze swego miejsca i zaczęła powoli pełznąć przez zasłany liśćmi stok.

Człowiek powinien umierać po długim, wspaniałym życiu. Po dumie, że czegoś dokonał. Po radości, że zrobił wszystko, co mógł zrobić. Człowiek powinien umierać z przesytu życiem, bez żalu, że nie zebrał swojej części.

Och, jak chciała już być po drugiej stronie!

Tam było to wszystko, co trzeba mieć w życiu, żeby

umierać bez żalu.

Tam, po drugiej stronie, gdzie na nią czekano. Nie, to ona bardziej czekała, żeby być wśród nich. Nic innego nie mogła teraz dla nich zrobić. Nic innego nie mogła zrobić dla siebie, tylko być tam, być wśród nich.

Podniosła się nieco i nasłuchiwała.

Cisza trwała czysta i szeroka, rozległa cisza nocy. Zaczęła teraz czołgać się na kolanach. Od wilgotnej trawy szedł chłód, czuła się zziębnięta, przesiąknięta na wskroś zimną rosą. Bolały ją łokcie i piersi od wspierania się o kamienie, od przypadania do twardej ubitej ziemi. Pończochy miała podarte w strzępy. Naga skóra piekła tysiącem zadrapań i skaleczeń. Nie myślała teraz o tym; po drugiej stronie będzie mogła litować się nad sobą.

Znowu zaszczekał pies, ale gdzieś dalej - może już, tam, dokąd szła. Potem umilkł i odezwał się ten pierwszy, bliższy, ten który towarzyszył jej od wieczora. Odpowiadały sobie nawzajem, nasłuchując swoich głosów.

Bronka się zdziwi - myślała. - Zdziwi się i ucieszy. Na pewno! Takie uczucie bywa podobne do tego, gdy człowiek znajdzie coś, czego odzyskać nie miał już nadziei. Radość i niespodzianka! Bronka musi się ucieszyć!

Marciniakowie także. Ciekawe, gdzie też teraz kąpią swoje dzieci?

Gdzieś w oddali rozległ się jakby odgłos kroków i zabłysło na krótko

światło. Przypadła do ziemi, ogłuszona biciem własnego serca. Jeśli mają ją złapać, niech to będzie przynajmniej po tamtej stronie. Tam, gdzie miała obowiązek być, gdzie należało się jej być. Któż mógł wziąć jej to za złe?

Poczekwała, aż wszystko ucichło i rozpląnęło się w nocy i ciszy. Minuty szumiały w uszach jak wielki przyptyw. Przy tym wszystkim, co działo się w kraju, na pewno wzmocniono posterunki na granicy. Znow zaczęła czołgać się przed siebie. Przed siebie cal po calu, metr po metrze.

O jakiejś godzinie nocy zobaczyła przed sobą słupy granicy.

W miejscu tym ziemia była naga, wolna od zarośli, otwarta, jak skóra przed oczyma chirurga. Świeżo zaorane pasmo świeciło szklistym szronem. Dalej - po tej i po tamtej stronie - ciągnęły się zarośla, krzaki gęste i cieniste, ale aby do nich dobiec, trzeba było pokonać tę szeroką przestrzeń widniejącą w mroku.

Długo leżała bez ruchu. Lekki wiatr zakolysał gałęzmi. Liście posypały się z szelestem. W jakiejś zagrodzie zapiał kogut. Trzeba było się śpieszyć. Dzień się zbliżał. Pasma ziemi, naznaczone jak ściegiem białymi słupami, mogło pobieiec w ciągu godziny.

Uniosła się znów na łokciach i z twarzą przy ziemi pełzła ostrożnie. Czuła się jakby obnażona na tej otwartej przestrzeni, wystawiona na milion oczu. Jeszcze sześć, pięć, cztery metry. Mocniej odepchnęła się nogami i wyciągnęła ręce. Dotknęła słupa mokrego od rosy i przyłożyła do niego rozpalone czoło. Słyszała, jak bije w niej serce - w skroniach, w gardle, w piersiach, w przegubach dłoni. Uśmiechała się, dotykając wargami zimnego drzewa. Wszystko było teraz łatwe i proste. Zadzwoń do Gastona, powie mu, żeby się nie martwił. Zadzwoń do rodziców, powie, że wróciła. Zadzwoń do Bronki, usłyszy, jak Bronka się ucieszy. Ucieszy się, jak człowiek, który odzyskał coś, czego nie spodziewał się już odzyskać. Wróciła, żeby być z nimi. Być z nimi. Może się na coś przyda, może będzie do czegoś potrzebna? Musiała się śpieszyć! Teraz każda chwila liczyła się podwójnie.

Oderwała się od słupa i znów pełzła po oszronionej ziemi. Wielkie szczęście rozsadzało jej piersi. Była po drugiej stronie! Była tu, naprawdę była tu, nikt temu nie mógł zaprzeczyć. Zerwała się i skoczyła biegiem ku widniejącym opodal zaroślom. Dopadła ich, zanurzyła się w gałęzie i liście. Szła teraz przygięta tylko ku ziemi, szła szybko, niecierpliwie, jakby ktoś na nią czekał, jakby ktoś długo na nią czekał.

Znów odezwało się pianie koguta, a razem z nim jakieś kroki i głos:

- Stój! Kto idzie?

Nie zatrzymała się. Była po tamtej stronie. Co mogło się stać? Już nic nie mogło się stać. Posuwała się naprzód, rozsuwając gałęzie, uśmiechnięta i zuchwała.

- Stój! Kto idzie? - powtórzył głos. Zadrżała w nim wysoka nuta niepokoju i podniecenia.

Ten człowiek, strzegący granicy w niespokojny czas, bał się, bał się więcej od niej. Znów uśmiechnęła się i uśmiechała się wciąż, gdy padł strzał i poczuła uderzenie w plecy, bezbolesne małe pchnięcie. Osunęła się powoli na kolana, a potem coraz niżej, niżej twarzą ku ziemi. Nie mogła już biec, nie mogła nawet się poruszyć, ale była po tamtej stronie, była tu, naprawdę tu była.

„KB”